

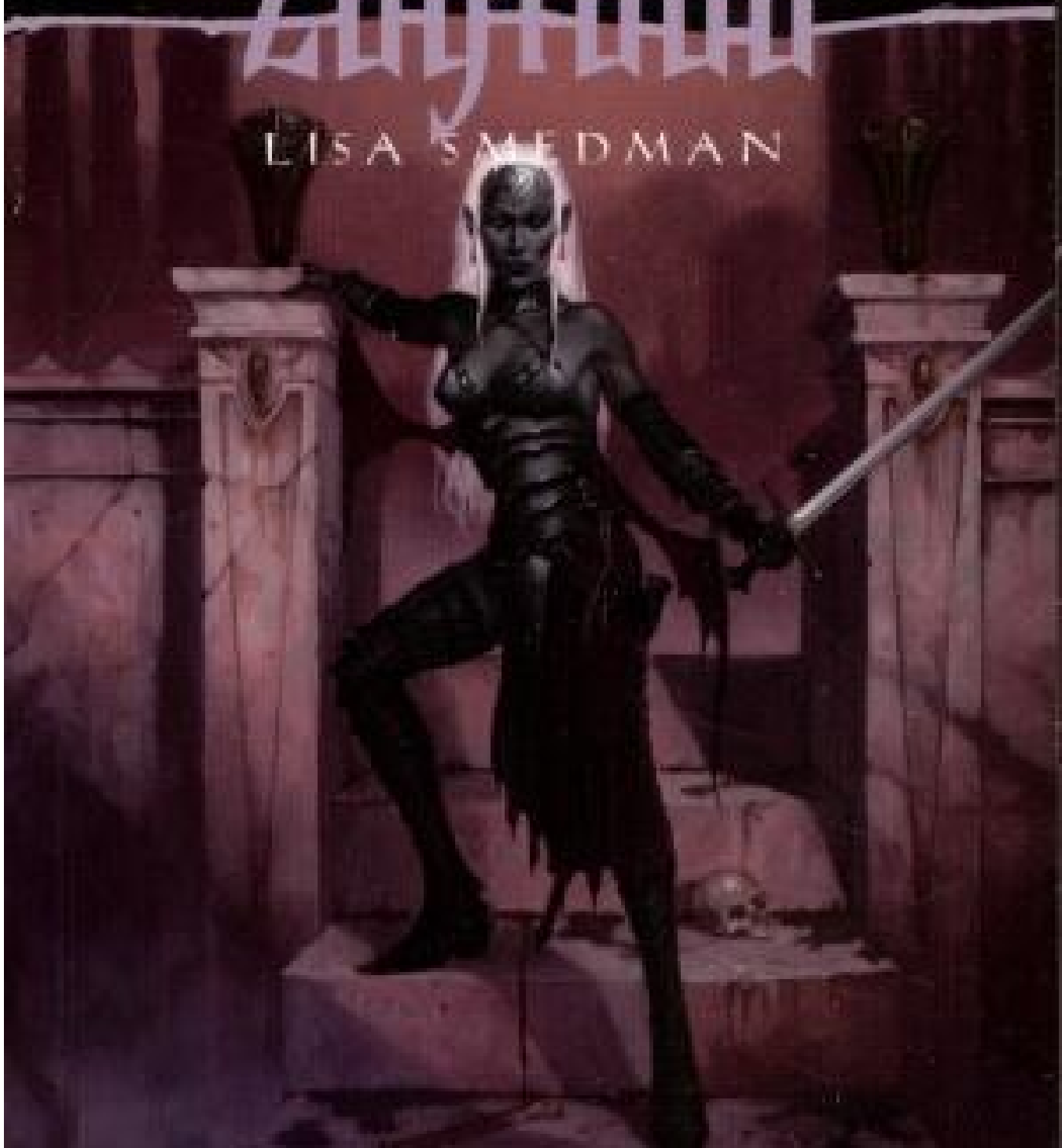
FORGOTTEN REALMS

R. A. Salvatore
przełożyła:

WOJNA PAJECZEJ KRÓLOWEJ KSIĘGA II

Zagłada

LISA SNEEDMAN



Podziękowania

Jeszcze raz dziękuję uczestnikom moich warsztatów pisarskich: Matthew Claxtonowi, Johnowi Hartowi, Barry'emu Linkowi, Fran Skene, Peterowi Tupperowi i Davidowi Willisowi Wasze uwagi krytyczne i sugestie były zawsze nieocenione!

Najpierw poczuły głód pożywienia, głód przemożny i domagający się zaspokojenia. Żywe istoty, szamoczące się i przepychające, kłębowisko tysięcy istot miotających się, gryzących i kopiących. Żadnych sojuszy, żadnego dzielenia się, milion pojedynczych pajęczków pożerających swoje rodzeństwo, ogryzających truchła i wysysających słodkie soki żywotne.

Te, które przeżyły kilka pierwszych minut po uwolnieniu się z jaja, nasyciły głód fizyczny, a ich ciała o ośmiu odnóżach zaokrągliły się. I na chwilę zapanował spokój.

Ale głód fizyczny okazał się tylko katalizatorem i te bestie, potomstwo Pani Chaosu, przeszły od potrzeb fizycznych do żądań ego, od prostego głodu do pierwszego smaku władzy i wojna rozgorzała na nowo. Gryzły i jadły. Atakowały i pożerały, karmiąc się zarówno przejmującym bólem rywali, jak i zapachem płynącej posoki.

Krzykiem bólu ofiary.

Strachem w ośmiu oczkach, gdy jeden zdobywał przewagę, a drugi uświadamiał sobie, że czeka go zguba.

Radością przelewania krwi.

Te, które przeżyły pierwszą falę szaleństwa, przeszły na drugi poziom, poza fizyczność.

Zaspokoili własne ego, poczucie przewagi, zaznały słodkiego smaku zwycięstwa. I tysiące odpoczywały.

Ale jeszcze nie skończyły.

Gdyż poza głodem i władzą przyszła żądza podniety, prawdziwe znamię Pani Lolth, ostateczne i paradoksalne pragnienie znalezienia się na samej krawędzi katastrofy.

Więc wszystko zaczęło się od nowa. Tysiące zaatakowały, pożerając i będąc pożeranymi, a te, które przeżyły pierwsze chwile nowej próby, zyskały poczucie własnego ja, gdyż były to istoty Lolth, istoty chaosu, a w zamęcie bitewnym, gdzie z każdej strony czaił się niebyt, potomstwo żyło, naprawdę żyło, pławiąc się w świadomości, że każda chwila może być tą ostatnią.

To było piękno chaosu.

To było piękno Lolth.

To było przeznaczenie wszystkich prócz jednego.

ROZDZIAŁ 1

Pharaun leżał w poszyciu leśnym, wpatrując się we wściekle ślepia syczących żmij. Z obnażonymi kłami ociekającymi jadem i rozdziawionymi pyskami czerwono-czarne węże przeżyły się na trzonku, z którego wyrastały.

Kobieta trzymająca bicz patrzyła na Pharauna z góry, ledwo panując nad wściekłością. Wyższa i silniejsza od mistrza Sorcere, była imponującą postacią. Pharaun nie widział jej twarzy - jasne światło bijące z nieba zalewało mu oczy, zmieniając ją w ciemną sylwetkę o białych jak kość włosach - ale jej głos był równie jadowity jak syki żmij.

- Umyślnie rozdeptałeś tego pająka - powiedziała Quenthel.

- Nieprawda - odburknął mag, wzdrygając się, gdyż breja, w której leżał, przesączała mu się przez elegancką koszulę, ziębiąc plecy. Cieszył się, że pozostali członkowie grupy rozproszyli się w różnych kierunkach i nie mogli go zobaczyć w tak haniebnej pozycji. - Nic nie widzę w tym parszywym świetle. Czy pozwoliłbym, aby moje spodnie znalazły się w tak opłakanym stanie, gdybym widział na tyle dobrze, żeby ominąć jeżyny? Jeśli na ścieżce był pająk, nie zauważyłem go.

Zerknął w lewo, na punkt, który chwilę wcześniej wskazała Quenthel. Kiedy spojrzała w tamtą stronę, wysunął prawą rękę zza pleców.

Jedna ze żmij syknęła ostrzegawczo, ale było już za późno. Mając wolną rękę, Pharaun wymówił słowo aktywujące magię jego pierścienia. Stalowa obrączka wokół palca czarodzieja rozwinęła się natychmiast, wydłużając się i przekształcając w miecz, który szybko jak myśl obrócił się w powietrzu i ciął, mierząc w węże.

Żmije cofnęły się, ledwo unikając siekącego ostrza. Quenthel odskoczyła w tył z brzękiem tuniki. Pharaun zerwał się z ziemi i natarł na nią mieczem.

- Jeggred! - krzyknęła Quenthel, wymykając się spod roztańczonego ostrza. - Broń mnie!

Pharaun wetknął dłoń do kieszeni piwafwi i wydobyl z niej szczyptę sproszkowanego diamentu. Wyrzucając w powietrze skrzący się proszek, wykrzycał słowa zaklęcia, jednocześnie okręcając się dookoła, aby rozrzucić pył. Natychmiast otoczyła go kopuła mocy, migocząc niczym odwrócona czasza. W ostatniej chwili. Uderzenie serca po zmaterializowaniu się magicznej kopuły z lasu wypadła postać przypominająca drowa. Draegloth rzucił się na kopułę, a pazury jego ogromnych bojowych łap wydawały pisk przypominający wrzaski potępionych, gdy starał się znaleźć punkt zaczepienia na twardej jak diament powierzchni. Jednak pomimo ponawianych prób, za każdym razem się zsuwał.

W końcu poddał się i przysiadł tuż obok magicznej bariery z mniejszymi dłońmi zaciśniętymi w pięści i opartymi o ziemię, z frustracji wysuwając i chowając pazury większych. Wbił w Pharauna spojrzenie nabiegłych krwią ślepiów, po czym targnął wyzywająco głową, aż zmierzwiona grzywa żółtobiałych włosów na jego plecach zafalowała.

Pharaun poczuł jego cuchnący oddech i wzdrygnął się, żałując, że magiczna bariera nie blokuje zapachów.

Stojąca za Jeggredem Quenthel, zasłaniając się puklerzem przypasanym do ramienia, nie spuszczała z oka miecza, który zawisł tuż nad nią. Żmije przy biczu syczały na klingę, a jedna z nich wyciągała się ku niemu, daremnie usiłując go dosięgnąć. Kapłanka sięgnęła po noszoną na biodrze tubę na zwoje, ale zatrzymała się. Nie miała ochoty marnować resztek magii, jaka jej pozostała, na tak błahą kłótnię.

- Odwołaj swojego siostrzeńca i porozmawiajmy - zaproponował Pharaun. Mrużąc oczy, spojrzął w jasnyniebieskie niebo. - I zejźmy z tego słońca, zanim obróci w pył twój śliczny adamantytowy puklerz.

Żrenice Quenthel rozwścieczonej niesubordynacją Pharauna zwięziły się. Z pewnością uważała, że choć jest mistrzem Sorcere, jako mężczyzna powinien znać swoje miejsce, i marzyła o użyciu jednego z zaklęć, jakie kiedyś otrzymywała od Lolth, aby uwięzić go w pajęczynie i poddać tysiącu wymyślnych tortur, ale Pajęcza Królowa umilkła. Oprócz zwojów wysokiej kapłance nie zostały jej już żadne zaklęcia.

- Jeggred - warknęła. - Odsuń się.

Jeggred niechętnie odsunął się od bariery.

- Tak już lepiej - powiedział Pharaun.

Uniósł prawą dłoń z wyprostowanymi palcami i wymówił słowo-rozkaz. Miecz skurczył się, a potem ruszył w stronę jego ręki i znów schował się w pierścieniu. Zaczął gestykulować, aby opuścić barierę, ale dostrzegł, że Jeggred tężeje.

- Przypominam ci, Quenthel, że mogę zabić to nasienie demonów jednym słowem - ostrzegł Pharaun.

- Jeggred wie o tym - odpowiedziała Quenthel, a obojętność malująca się na jej twarzy upodobniła ją do pozbawionej wyrazu maski. - Sam podejmuje decyzje.

Jeggred warknął - nie wiadomo czy na Quenthel, czy na Pharauna - i splunął na magiczną barierę. Potem wstał i zagłębił się z powrotem w las.

Pharaun pozwolił barierze opaść.

- No dobrze - powiedział, wygładzając wytworne, acz podniszczone podczas podróży odzienie i odrzucając z wysokiego czoła niesforny pukiel białych włosów. - Przepraszam, że nadepnałem na jedno z dzieci Lolth, ale zapewniam cię, że był to przypadek. Im szybciej opuścimy Krainy Światła, tym lepiej. Nie dość, że postawiliśmy na nogi całą twierdzę Minauth, zabijając wysokiego kapłana domu Jaelre...

- To była twoja decyzja, nie moja - warknęła Quenthel. Ale po chwili uśmiechnęła się. - Choć Tzirik zasługiwał na śmierć.

Żmije przy biczu zasyczały, przyznając jej rację.

Pharaun kiwnął głową, zadowolony, że zgadza się, iż śmierć ta była konieczna. Magia Tzirika pozwoliła drużynie na podróż przez Plan Astralny do Pajęczyny Demonów, władztwa bogini, której służyła Quenthel bogini, która pograżyła się w niepokojącym milczeniu. Tam odkryli, dlaczego kapłanki Lolth nie mogą już czerpać z jej magii: bogini zniknęła. Jej świątynia wyglądała na opuszczoną, a prowadzące do niej drzwi zostały zapieczętowane ogromnym czarnym kamieniem ociosanym na podobieństwo jej oblicza.

Nie mieli jednak czasu sprawdzić czy taka była wola samej Lolth. Zgodnie z przewidywaniami Pharauna Tzirik zdradził ich, sprowadzając przez magiczną bramę boga, któremu służył. Vhaeraun zaatakował kamienną twarz i prawie udało mu się ją sforsować, gdy pojawił się rycerz Lolth - bóg Selvetarm - aby jej bronić.

Gdy Pharaun zdał sobie sprawę, że Tzirik nie ma najmniejszego zamiaru pozwolić im wrócić, rozkazał Jeggredowi go zabić, mówiąc draeglothowi, że rozkaz wydała sama Quenthel. Śmierć kapłana wyrzuciła drużynę z Pajęczyny Demonów, pozostawiając tam samych bogów. Z tego, co Pharaun wiedział, Selvetarm i Vhaeraun wciąż ze sobą walczyli.

Gdyby Vhaeraun wygrał i zdołał uśmiercić Lolth, byłby to dla drowów początek nowej ery. Pan w Masce faworyzował mężczyzn i był przeciwny matriarchatowi. Jego zwycięstwo bez wątpienia popchnęłoby rozczarowanych mężczyzn z Menzoberranzan do jeszcze większego powstania niż to, które miało ostatnio miejsce. Ale jeśli Selvetarmowi uda się obronić Pajęczą Królową, Lolth może któregoś dnia powrócić i odbudować swą magiczną sieć, po raz kolejny obdarzając swoje kapłanki mocą. Cokolwiek się wydarzy, Pharaun chciał znaleźć się po stronie zwycięzców - a w każdym razie sprawiać wrażenie, że im służy.

- Jak już mówiłem - podjął czarodziej - nie dość, że ścigają nas Jaelre, to jeszcze w lesie roi się od leśnych elfów. Im szybciej znajdziemy się pod ziemią, tym lepiej.

Urwał, aby spojrzeć na las, mrużąc oczy w ostrym świetle odbijającym się od białego, mokrego śniegu, który przykrył drzewa i ziemię. Żałował, że przeniósł drużynę właśnie tutaj. Jego zaklęcie pozwoliło im uciec z twierdzy Jaelre, ale portal, z którego miał nadzieję skorzystać, okazał się nieczynny. Zostali uwięzieni na powierzchni u wylotu płytkiej, kończącej się ślepo jaskini.

- Ciekawe, czy ktokolwiek z pozostałych znalazł już drogę w dół - wymamrotał mag.

Jak gdyby w odpowiedzi, z lasu wyłonił się Valas Hune, który wychynął ze splątanej gęstwiny zarośli w ciszy, która była tylko częściowo zasługą jego magicznej kolczugi. Przy pasie zwiadowcy wisiały dwa zakrzywione sztylety kukri, a do kamizeli miał przypięte czarodziejskie talizmany różnych ras Podmroku. Najemnik, którego zmrużone bursztynowe oczy łzawiły lekko od słońca, miał kwadratową szczękę, która zawsze wyglądała na zaciśniętą. Valas znajdował się w stanie permanentnego napięcia i gotowości, jak gdyby cały czas spodziewał się uderzenia pięścią w brzuch. Jego hebanową skórę znaczyły dziesiątki szarych linii, blaknących pozostałości dwóch wieków starc.

Valas wskazał ruchem głowy kierunek, z którego właśnie przyszedł, i oznajmił:

- Niedaleko stąd jest zrujnowana świątynia. Zbudowano ją wokół jaskini.

Oczy Quenthel błysnęły, a żmije przy jej biczu zastygły, nasłuchując.

- Czy prowadzi do Krain Poniżej? - zapytała.

- Tak, pani - odparł Valas, kłaniając się lekko.

Pharaun podszedł do zwiadowcy i położył mu rękę na ramieniu.

- Dobra robota, Valasie - powiedział serdecznie. - Zawsze twierdziłem, że potrafisz wywęszyć każdy tunel. Prowadź! Zanim się obejrzymy, będziemy już w Menzoberranzan, gasząc zasłużone pragnienie najlepszymi trunkami, jakie...

- Nie sędzę. - Quenthel stała z rękami na biodrach i wzrokiem równie jadowitym jak zmije przy jej biczu. - Bogini zniknęła, prawdopodobnie została zaatakowana. Musimy ją odnaleźć. - Jej oczy zwężyły się. - Chyba nie proponujesz, żebyśmy odwrócili się od Lolth, co, Pharaunie? Jeśli tak, jestem pewna, że matki opiekunki dopilnują, abyś otrzymał stosowną karę.

Valas przeniósł wzrok z Pharauna na Quenthel, po czym zrobił krok w bok, zrzucając rękę Pharauna ze swojego ramienia.

- Odwrócili się od Lolth? - zapytał Pharaun, chichocząc, aby ukryć zdenerwowanie. - Bynajmniej. Sugeruję tylko, żebyśmy wypełnili rozkazy matki opiekunki. Kazała nam się dowiedzieć, co się stało z Lolth i dowiedzieliśmy się tego. Może nie znamy jeszcze wszystkich odpowiedzi, ale ułożyliśmy już ważną część łamigłówek. Matka opiekunka z pewnością życzyłaby sobie, żebyśmy zdali jej raport z naszych dotychczasowych odkryć. Ponieważ arcymag przestał odpowiadać na moje przesłania, nie możemy mieć pewności, że otrzymuje nasze raporty. Założyłem, że zdamy raport osobiście.

- Wystarczy, że wyślemy tylko jedno z nas - powiedziała Quenthel. - Ale nie będziesz to ty. Masz inne, ważniejsze zadania. - Urwała na chwilę, zastanawiając się. - Potrafisz przyzywać demony, czyż nie?

Pharaun uniósł brew.

- Znam zaklęcia przyzywające, to prawda - odrzekł. - Ale co to ma wspólnego z...

- Powrócimy do Pajęczyny Demonów - tym razem w naszych ciałach - odparła Quenthel. - I z bardziej godnym zaufania przewodnikiem niż Tzirik.

Valas wzdrygnął się.

- Demonem? - Małomówny zwykle zwiadowca zauważył groźne spojrzenie Quenthel, ale zdał sobie sprawę, że odezwał się na głos i uklonił się. - Jak rozkażesz, pani.

Pharaun był bardziej bezpośredni.

- Zakładając, że przywołam demona, jak mamy go powstrzymać przed rozszarpaniem nas na strzępy, nie mówiąc już o zmuszeniu go do poprowadzenia wycieczki do Otchłani? Nawet arcymag Gromph nie ośmieliłby się przywołać demona bez złotego pentagramu, aby go spętać. Jesteśmy w dziczy, w Krainach Słońca, jeśli nie zauważyłaś. Skąd mam wziąć komponenty zaklęcia...

- Jeggred.

Pharaun zamrugnął, zastanawiając się czy dobrze słyszy.

- Jeggred - powtórzyła. - Użyjemy jego krwi. Możesz nią narysować przyzywający diagram.

- Ach - zaklął pod nosem Pharaun, uświadamiając sobie, że Quenthel ma, niestety, rację. Krew draegloth mogła rzeczywiście spętać demona, ale tylko jednego - demona, który spłodził syna opiekunki Baenre. Demona, który był ojcem Jeggreda.

Pharaun nie miał najmniejszej ochoty się z nim spotykać, cieleśnie czy w jakikolwiek inny sposób, ale rozumiał, że nie ma większego wyboru, jeśli chce nadal uchodzić za wiernego sługę Lolth, co było konieczne, jeśli miał pozostać mistrzem Sorcere. Tak jak przed chwilą Valas, mag skłonił się.

- Jak rozkażesz, mistrzyni - powiedział, wymawiając ostatnie słowo z sarkazmem, aby przypomnieć jej, że jej tytuł jest pusty. Mogła być mistrzynią Arach-Tinilith w Menzoberranzan, ale on nie był jedną z jej trzęsących się ze strachu nowicjuszek. Wyciągnął rękę w kierunku wskazanym wcześniej przez Valasa. - Ale rzucaniem czarów zajmijmy się pod ziemią, dobrze? Mam dość tego paskudnego słońca.

Gdy Valas i Quenthel ruszyli, Pharaun udał, że idzie za nimi. Przystanął, zerwał gałązkę i zebrał nią ze ścieżki fragment pajęczyny. Lolth milczała, ale lepkie sieci tkane przez jej potomstwo były wciąż użyteczne. Stanowiła ona jeden z komponentów wielu używanych przez niego zaklęć. Wetknąwszy owiniętą pajęczyną gałązkę do kieszeni, pospieszył za resztą.

ROZDZIAŁ 2

Halisstra stała na szczycie urwiska, spoglądając na rozpościerający się przed nią las. Przysypane śniegiem drzewa ciągnęły się jak okiem sięgnąć we wszystkich kierunkach, tu i ówdzie urozmaicone przeraźliwie niebieską plamą jeziora lub rozdzielone drogą równą i prostą jak przedziałek we włosach. Halisstra po raz pierwszy zrozumiała, co oznacza słowo „horyzont”. Była to ta odległa linia, gdzie ciemna zieleń lasu spotykała się z kłującym oczy, poznaczonym smugami bieli błękitem nieba.

Stojący obok niej Ryld zadrzał.

- Nie podoba mi się tu - stwierdził, osłaniając oczy dłonią. - Czuję się... odsłonięty.

Halisstra spojrzała na pot spływający po hebanowych skroniach Rylda i sama zadrzała, gdy lodowaty zimowy wiatr smagnął ją po twarzy. Chociaż z boku urwiska znaleźli stare, zniszczone stopnie wyciosane w skale, wspinaczka była długa i męcząca. Nie potrafiła wyjaśnić, co skłoniło ją, żeby poprowadzić Rylda na jego szczyt, ani dlaczego nie czuła w ogóle niepokoju, który odczuwał fehmistrz. Jednak pomimo zdenerwowania Ryld - który dorównywał Halisstrze wzrostem, chociaż był mężczyzną - był wojownikiem w każdym calu. Przez plecy miał przewieszony wielki miecz, nosił kirys z napierśnikiem z krasnoludzkiego brązu, naramienniki i nałokietniki, które osłaniały jego żylaste, umięśnione ramiona ciężką stalą. Przy pasie wisiał mu krótki miecz do walki w zwarciu. Włosy miał przycięte krótko, tuż przy czaszce, tak by przeciwnik nie mógł go za nie złapać w czasie walki. Na głowie miał tylko krótką szczecinę, tak białą jak długie do ramion loki Halisstry.

- W Ched Nasad mieszkał krótko pewien mieszkaniec powierzchni, ludzki mag - powiedziała Halisstra. Bezkres nieba nad głową sprawiał, że mówiła przyciszonym głosem. Miała wrażenie, że bogowie czają się tuż za chmurami, obserwując ich. - Mówił, że w naszym mieście czuje się tak, jak gdyby mieszkał w pokoju o zbyt niskim suficie, że cały czas jest świadomy stropu jaskini wiszącego mu nad głową. Śmiałam się z niego. Jak ktokolwiek mógł czuć się osaczony w mieście o tak luźnej zabudowie, mieście zawieszonym na cienkich pasmach skamieniałych pajęczych nici? Ale teraz chyba rozumiem, co miał na myśli. - Wskazała na niebo. - Tu jest tyle... przestrzeni.

Ryld chrząknął.

- Napatrzyłaś się? Nie znajdziemy tu wejścia do Podmroku. Zejdźmy z powrotem na dół i schrońmy się przed wiatrem.

Halisstra kiwnęła głową. Wiatr przeciskał się przez jej kolczugę, a nawet przez grubo watowaną tunikę, która okrywała ją od szyi po kolana i od ramion do łokci. Na srebrnej płytce przyczepionej do piersi pancerza widniał symbol miecza ustawionego sztychem do góry na tle księżycy w pełni otoczonego nimbem srebrzystych promieni. Był to święty symbol Eilistrae, bogini drowów mieszkających na powierzchni. Watowanie kolczugi wciąż pachniało krwią - krwią kapłanki zamordowanej przez Halisstrę. Zapach unosił się nad zbroją niczym duch, chociaż krew miała już kilka dni.

Po tym, jak jej własna zbroja została skradziona, Halisstra przywłaszczyła sobie nie tylko zbroję Seyll, ale również jej tarczę i broń, między innymi długi smukły miecz z wydrążoną rękojeścią podziurawioną na całej długości otworami - rękojeścią, którą można było podnieść do ust i zagrać na niej jak na flecie. Piękna broń, ale na nic się Seyll nie zdała - zginęła, zanim zdążyła jej dobyć. Uspiona udanym zainteresowaniem Halisstry jej boginią, zupełnie się nie spodziewała nagłego ataku. Lecz pomimo zdrady kapłanki Pajęczej Królowej, powiedziała jej: „Wciąż wiążę z tobą nadzieje”. Powiedziała to z taką pewnością, jak gdyby nawet w ostatnich chwilach życia oczekiwała, że Halisstra ją ocali.

Była głupia. Ale Halisstra nie mogła zapomnieć jej słów, tak jak nie mogła się pozbyć zapachu krwi z przywłaszczonego pancerza.

Czy to było właśnie poczucie winy - uciążliwy smród, którego nijak nie można się było pozbyć?

Rozgniewana własną słabością, odepchnęła od siebie tę myśl. Seyll zasługiwała na śmierć. Kapłanka wykazała się głupotą, pokładając zaufanie w osobie innej wiary - i to tym większą, że zaufała innej drowce.

A jednak, pomyślała Halisstra, przystając, żeby puścić Rylda przodem, w jednym Seyll miała rację. Byłoby miło nie musieć się zawsze troszczyć o własne plecy.

* * *

Ryld schodził po stopniach w milczeniu, wsłuchując się w cichutkie pobrzękiwanie kolczugi

Halisstry i na próżno starając się nie myśleć o kształtnych nogach, które zobaczyłby, gdyby tylko się odwrócił. Co się stało z jego koncentracją? Jako mistrz Melee-Magthere powinien nad sobą panować, ale Halisstra usidliła go w sieci pożądania mocniejszej niż jakakolwiek sieć upleciona przez magię Lolth.

U stóp schodów, z dala od przejmującego wichru wiejącego na odsłoniętym szczycie urwiska, Halisstra zatrzymała się, żeby obwieść palcem wycięty w skale kształt sierpa.

- To było kiedyś święte miejsce - oznajmiła, spoglądając na połamane kolumny rozrzucone wśród spowitych całunem śniegu drzew.

Ryld skrzywił się. W Świecie Ponad roślinność obrastała wszystko niczym pleśń. Brakowało mu gładkich kamiennych ścian jaskiń, wolnych od zapachu wilgotnego łu i liści, który zatykał mu nozdrza. Rozkopał śnieg butem, odkrywając popękana kamienną posadzkę.

- Skąd wiesz? - zapytał.

- Sierp księżycy to symbol Corellona Larethana. Elfy zamieszkujące niegdyś te lasy musiały oddawać mu w tym miejscu cześć. Kapłani wspinali się zapewne po tych stopniach, aby praktykować swą magię w świetle księżycy.

Ryld spojrzął spod zmrużonych powiek na płomienną kulę wiszącą na niebie.

- Księżyc nie jest przynajmniej tak jasny jak słońce - zauważył.

- Jego światło jest bardziej miękkie - odparła Halisstra. - Słyszałam, że to dlatego, że bogowie, których jest symbolem, są łagodniejsi dla swoich wyznawców, ale nie wiem, czy to prawda.

Ryld wpatrywał się przez jakiś czas w ruiny, a potem rzekł:

- Bogowie elfów zamieszkujących powierzchnię nie mogą być silni. Corellon pozwolił, żeby jego świątynia popadła w ruinę, a bogini Seyll nie była w stanie uratować jej przed tobą.

Halisstra kiwnęła głową.

- To prawda. A jednak gdy wiele tysięcy lat temu Lolth próbowała obalić Corellona i mianować na jego miejsce nowego koronara, została pokonana i musiała skryć się w Otchłani.

- Akademia uczy, że bogini z własnej woli opuściła Arvandor - przypomniał Ryld. A potem wzruszył ramionami. - Był to raczej strategiczny odwrót.

- Być może - zadumała się Halisstra. - Wciąż jednak prześladowuje mnie myśl, że to, co widzieliśmy w Pajęczynie Demonów, ten czarny kamień ociosany na kształt oblicza Lolth, był czymś w rodzaju zamka, pieczęci, która czyni ze świątyni Lolth jej więzienie. Więzienie narzucone jej przez jakiegoś innego boga. Czy Lolth kiedyś się z niego wydostanie, czy może będzie w nim tkwić całą wieczność, a jej magia już na zawsze pozostanie stłumiona?

- Właśnie tego chce się dowiedzieć Quenthel - powiedział Ryld.

- Podobnie jak ja - odrzekła Halisstra. - Ale z innych powodów. Skoro Lolth jest martwa albo tkwi w wiecznej Zadumie, jaki sens ma wypełnianie rozkazów Quenthel?

- Jaki ma sens? - zawołał Ryld. Zaczynał dostrzegać niebezpieczne rozstaje, na jakie zaprowadziły Halisstrę jej rozmyślenia. - Tylko taki: z zakłęciami czy bez, Quenthel Baenre jest Mistrzynią Arach-Tinilith i pierwszą siostrą domu Baenre. Gdybym się jej sprzeciwił, straciłbym moją pozycję mistrza Melee-Magthere. W chwili, w której Menzoberranzan dowie się o mojej zdradzie, wszyscy członkowie Akademii dobędą sztyletów, chcąc utoczyć mi krwi.

Halisstra westchnęła.

- To prawda. Ale może w innym mieście...

- Nie mam ochoty prosić o odpadki z cudzego stołu - powiedział szorstko Ryld. - A jedyne miasto, w którym mogłem zamieszkać, zostało zniszczone i to dzięki twojemu domowi. Ponieważ Ched Nasad przestało istnieć, nie masz dokąd wracać. Tym bardziej powinnaś spróbować wkraść się w łaski Quenthel, żeby znaleźć w Menzoberranzan nowy dom, kiedy już wrócimy do Podmroku.

- A jeśli nie wrócę? - zapytała Halisstra po dłuższym milczeniu.

- Co takiego?

- A jeśli nie wrócę do Podmroku?

Ryld obrzucił spojrzeniem las otaczający ich ze wszystkich stron. W przeciwieństwie do cichych tuneli z litej skały, do których był przyzwyczajony, porowata ściana drzew i krzewów była pełna szelestów, trzasków i szybkich ruchów zwierzątek przeskakujących z gałęzi na gałąź. Nie potrafił zdecydować, co jest gorsze: uczucie własnej małości, jakiego doznawał pod pustym bezkresem nieba, czy to, którego właśnie doświadczał - wrażenie, że las ich obserwuje.

- Jesteś szalona - powiedział do Halisstry. - Samej nie uda ci się tu przeżyć. Zwłaszcza bez zaklęć,

które...

W oczach Halisstry zapłonął gniew. Ryld pożałował nagle pochopnych słów. Przez to wszystko, co mówiła o bogach Świata Ponad, zapomniał na chwilę, że jest również kapłanką Lolth i pochodzi ze szlacheckiego domu. Zaczął kłaniać się nisko i prosić o przebaczenie, ale ku jego zaskoczeniu ona położyła mu rękę na ramieniu.

A potem powiedziała coś tak cichym szeptem, że musiał wyteńczyć słuch, żeby usłyszeć.

- Razem udałoby nam się przeżyć.

Wbił w nią wzrok, zastanawiając się, czy się nie przesłyszał. Przez cały czas miał przemożną świadomość jej dłoni na swoim ramieniu. Dotyk jej palców był lekki, ale wydawał się palić mu skórę, oblewając go gorącem.

- Razem mogłoby nam się udać - przyznał, ale zaraz pożałował, że się odezwał, widząc błysk w jej oczach.

Sojusz, do którego niechcący właśnie przystąpił, prawdopodobnie nie będzie trwalszy niż przyjaźń łącząca go kiedyś z Pharaunem. Halisstra będzie go utrzymywać tak długo, jak długo będzie służył jej celom, i porzuci go w chwili, w której stanie się niewygodny. Tak jak zrobił to Pharaun, zostawiając Rylda samego, kiedy obaj starali się uciec z fortecy Syrzana.

Umiejętność medytacji ocaliła wtedy Ryldowi życie i pozwoliła mu pokonać przeciwników. Później, kiedy znów spotkał się z Pharaunem, mag poklepał go po plecach i udał, że od samego początku był pewny, że Ryld przeżyje. Z jakiego innego powodu opuściłby swojego „najdroższego przyjaciela”? Halisstra obdarzyła Rylda uśmiechem, który sprawił, że wyglądała przebiegle i pięknie zarazem.

- Oto, co zrobimy... - zaczęła.

Ryld wzdrygnął się na dźwięk słowa „my”, ale zachował obojętny wyraz twarzy, słuchając co ma mu do powiedzenia.

* * *

Danifae obserwowała zza drzewa Halisstrę i Rylda, którzy stali w ruinach świątyni, rozmawiając. Było jasne, że coś knują. Mówili zbyt cicho, żeby Danifae mogła ich usłyszeć, i nachylali się ku sobie jak spiskowcy. A gdy Ryld na koniec pocałował Halisstrę, stało się jasne, że są, albo wkrótce zostaną kochankami.

Patrząc na nich, Danifae czuła, jak wzbiera w niej zimny, tępy gniew. Nie zazdrość - Ryld ani Halisstra nic ją nie obchodzili - ale frustracja wywołana faktem, że to nie ona uwiodła Rylda jako pierwsza.

Danifae była znacznie piękniejsza niż jej dawna pani. Podczas gdy Halisstra była szczupła, miała małe piersi i wąskie biodra, Danifae była zmysłowo zaokrąglona. Włosy Halisstry były po prostu białe, podczas gdy włosy Danifae miały srebrzysty połysk.

Halisstra miała dość ładną twarz o nieco zadartym nosie i zwykłych, czerwonych jak węgle oczach, ale Danifae miała nad nią przewagę skóry delikatniejszej niż najczarniejszy aksamit, wydętych nieustannie ust i brwi, które tworzyły idealny biały łuk nad każdym z niesamowitych bladoszarych oczu. Przewagę, którą powinna była wykorzystać wcześniej, sądząc po ckliwej scenie, na jaką przypadkiem się natknęła.

Quenthel została już wciągnięta do gry, choć starsza, bardziej doświadczona kapłanka nie była do końca nieświadoma pragnień Danifae. Nie trzeba było być geniuszem, żeby domyślić się, dlaczego Danifae uwiodła mistrzynię Arach-Tinilith. Właściwie można się było tego spodziewać.

Danifae oczekiwała większych trudności w przypadku Pharauna i Valasa. Mistrz Sorcere był przebiegły. Wiedziała, że trudno go będzie omamić, jeśli zajdzie taka potrzeba, ale jego otwarta niechęć do Quenthel dawała jej jakiś punkt zaczepienia. Valasa kupił i opłacał dom Baenre, a tego rodzaju złota Danifae nie miała większych szans zdobyć w najbliższej przyszłości. To będzie delikatna sprawa. A Jeggred, cóż...

Ale Ryld, zadurzony w Halisstrze, która wkrótce przestanie być jej panią, stanowił twardszy orzech do zgryzienia.

Jaki sens ma gra w sawę, pomyślała, jeśli nie kontroluje się wszystkich pionków?

Pomiędzy ruiny wszedł Valas, za nim Pharaun i Quenthel, a chwilę później z lasu wybiegł Jeggred. Fałszywy uśmiech, jakim Halisstra obdarzyła Quenthel, i sposób, w jaki Ryld spojrział Pharaunowi w oczy, potwierdziły podejrzenia Danifae. Halisstra miała zamiar zdradzić wysoką kapłankę,

a Ryld swojego dawnego przyjaciela.

Danifae uśmiechnęła się. Nie wiedziała jeszcze co knują, ale była pewna, że może z tego wyciągnąć jakąś korzyść. Wyszła na polanę, dołączając do nich.

Krótkim trzaśnięciem z bata Quenthel dała znak pozostałym, aby zebrali się wokół niej.

- Valas odkrył wejście do Podmroku - oznajmiła, - Kiedy będziemy już bezpieczni pod powierzchnią ziemi, Pharaun rzuci czar. Wracamy do Pajęczyny Demonów. Ale nie wszyscy. Jedno z was zanieś wieści do Menzoberranzan, do matek opiekunek.

Gdy wzrok Quenthel przesunął się po drużynie, Danifae dostrzegła w jej oczach niezdecydowanie. Quenthel nie była pewna, kogo może oszczędzić - albo komu zaufać. Korzystając z okazji, Danifae padła plackiem przed wysoką kapłanką.

- Pozwól mi wypełnić twój rozkaz, pani - powiedziała. - Będę służyć ci tak wiernie, jak służyłam Lolth.

Mówiąc to, zerknęła spode łba na Halisstrę w nadziei, że Quenthel zrozumie, o co jej chodzi. Podczas ich niedawnej podróży do Pajęczyny Demonów Halisstra zhańbiła się bluźnierstwem i nie powinno się jej ufać.

Ani Danifae, rzecz jasna. Branka nie miała najmniejszego zamiaru wybierać się do Menzoberranzan, jeśli zostanie wybrana. W Sschindylrynie znalazła czarodzieja, który może będzie potrafił uwolnić ją raz na zawsze spod władzy nienawistnych więzów, które łączyły ją z Halisstrą.

Danifae poczuła, że Quenthel dotyka jej włosów i podniosła na nią wyczekujący wzrok.

- Nie, Danifae - powiedziała Quenthel, głaszcząc ją delikatnie. - Zostaniesz ze mną.

Danifae zgrzytnęła zębami. Najwyraźniej uwiedzenie Quenthel poszło jej aż za dobrze.

Halisstra wystąpiła naprzód i ku zdumieniu Danifae padła na kolana przed Baenre.

- Pani - powiedziała Halisstra. - Pozwól mi zanieść twoją wiadomość. Wiem, że wcześniej cię zawiodłam, w cieniu świątyni samej bogini. Teraz błagam cię. Pozwól mi... odkupić mój grzech.

- Nie! - warknęła Danifae. - Ona coś knuje. Wcale nie zamierza wracać do Menzoberranzan. Ona... Halisstra wybuchła śmiechem.

- A niby dokąd miałabym pójść, Danifae? - zapytała. - Ched Nasad legło w gruzach. Nie mam już domu, do którego mogłabym wrócić. Muszę sobie znaleźć nowy dom w Menzoberranzan. A czy znasz lepszy sposób na jego znalezienie, niż stawienie czoła niebezpieczeństwu Świata Ponad, niż zanieś ważnej wiadomości pierwszemu domowi?

Oczy Danifae zwięzły się. Czują, że Halisstra coś knuje.

- Chcesz podróżować do Menzoberranzan po powierzchni? - zapytała, wypluwając z siebie ostatnie słowo. Sama? Przez lasy, w których roi się od Jaelre? Zostaniesz pojmana przed zapadnięciem nocy.

Danifae z zadowoleniem odnotowała, że Quenthel skinęła głową. Z pewnością miała zamiar odrzucić idiotyczną propozycję Halisstry i zamiast niej wysłać brankę. Ale usta Halisstry zdrząły w leciutkim uśmiechu i Danifae pojęła, że nieświadomie poszła swojej pani na rękę.

- To pozwoli mi dotrzeć na miejsce - oświadczyła Halisstra, głaszcząc skórzany pokrowiec, w którym trzymała lirę. - Znam pieśń bae'qeshel, która pozwoli mi wędrować z wiatrem. Dzięki niej dotrę do Menzoberranzan w góra dziesięć dni.

Danifae zmrużyła oczy.

- Jeszcze nigdy nie widziałam, żebyś używała tego zaklęcia.

- A jaki byłby z niego pożytek w Podmroku? - zapytała Halisstra, wzruszając ramionami. - Nie ma tam wiatru a nawet gdyby był, weszłabym prosto w ścianę jaskini. W każdym razie nie mam zwyczaju tłumaczyć się brance. Nasza sytuacja uległa zmianie, Danifae, ale nie do końca.

Jeszcze nie, pomyślała Danifae, po czym chwyciła Quenthel za kolano i poprosiła:

- Nie wysyłaj jej. Wyślij mnie. Jeśli Halisstra zginie...

- Będzie ci bardzo, bardzo przykro, nieprawdaż? - zapytała Quenthel z drwiącym uśmiechem. Wysoka kapłanka знаła charakter łączących je więzów. - Pójdzie Halisstra. Ty zostaniesz z nami, dzięki czemu będziemy w stanie ją wysledzić, a przynajmniej będziemy wiedzieć czy wciąż żyje. Takie dwie bezdomne włóczęgi jak wy są nam najmniej potrzebne.

Danifae spuściła potulnie wzrok, choć dławiła ją bezsilna złość. Halisstra, sama w Świecie Ponad, niemal na pewno zostanie zabita. To była tylko kwestia czasu.

A kiedy umrze, magia Więzów sprawi, że Danifae umrze wraz z nią.

ROZDZIAŁ 3

Valas poczuł, jak napięty węzeł mięśni pomiędzy jego ramionami rozluźnia się nieco, gdy otoczyła go znajoma ciemność. Za trzecim zakrętem tunelu zostawili za sobą ostre światło słoneczne. Wciąż wyczuwał ziemisty zapach wilgotnych liści, który mówił mu, że Krainy Powierzchni znajdują się tuż nad ich głowami, ale powietrze wokół niego zrobiło się czystsze. W miarę jak schodzili coraz niżej w dół krętą skalną rozpadliną, czuł, że oczy przystosowują mu się do ciemności. Słońce przestało go razić, dzięki czemu po raz pierwszy od wielu dni mógł otworzyć szeroko oczy i skorzystać ze zdolności widzenia w ciemnościach.

Za Valasem szli gęsiego Quenthel i pozostali. Instynktownie ucichli, gdy tylko zostawili światło słoneczne za plecami.

Nawet górny Podmrok mógł być niebezpieczny dla nieostrożnych podróżnych, a ten tunel stanowił nieznaną terytorium. Jednak w porównaniu ze zwiadowcą poruszali się strasznie głośno. Valas usłyszał drapanie zbroi o kamień, gdy ktoś za nim przeciskał się przez przewężenie tunelu, gdzie konieczne było obrócenie się bokiem. Chwilę później usłyszał szurnięcie buta i ciche westchnienie, gdy któraś z elfek się potknęła. Odwrócił się gniewnie, chcąc pokazać na migi „Ruszaj się ciszej”, ale opuścił rękę, gdy zobaczył, że pośliznęła się Quenthel, a nie Danifae. Danifae po raz kolejny szła na końcu grupy, tuż przed Ryldem - nie z powodu ewentualnych niebezpieczeństw przed nimi, tego Valas był pewien, ale po to, by po zniknięciu Halisstry mieć oko na towarzyszy.

- *Dlaczego się zatrzymujesz?* zapytała na migi Quenthel zza pleców Pharauna. *Ruszaj.*

Jeden z węży przy jej biczu syknął lekko.

Valas kiwnął głową i poprowadził ich dalej korytarzem. Tak jak poprzednio Pharaun szedł zaraz za nim, bez przerwy zaglądając mu przez ramię, jak gdyby czegoś szukał. Ryld natomiast bez przerwy oglądał się za siebie. Za każdym razem, gdy ich spojrzenia spotykały się, fehmistrz pokazywał na migi, że wydawało mu się, że ktoś za nimi idzie. Valas jeszcze nigdy nie widział go tak zdenerwowanym.

Za pierwszym i drugim razem, gdy Ryld to zrobił, Valas zawrócił, żeby samemu to sprawdzić, ale niczego nie zauważył: żadnych dźwięków, żadnych oznak pościgu. Od tej pory ignorował zachowanie Rylda.

Po wysłaniu Halisstry do Menzoberranzan została ich tylko szóstka. Osobiście Valas uważał, że była to ze strony Quenthel niemądra decyzja. Wątpił, by Halisstrze udało się tam dotrzeć, gdy nie chroniła jej już magia Lolth. Ale Quenthel musiała być tego samego zdania. Zapewne chciała wyeliminować rywalkę, która mogła przypisać sobie zasługę odkrycia, co się stało Lolth - zakładając, że powrót do Pajęczyny Demonów był w ogóle możliwy.

Po raz setny odkąd Quenthel ogłosiła swój plan wezwania demona przy pomocy Pharauna, zwiadowca pytał sam siebie, jaki to ma sens. Demon najprawdopodobniej zwróci się przeciwko nim i pożre ich, zamiast gdziekolwiek zaprowadzić.

Przypomniawszy sobie, że los najemnika nie polega na poddawaniu rozkazów w wątpliwość, lecz na ich wypełnianiu. Tak więc prowadził ich naprzód. Zagłębiając się coraz dalej w nieznaną ciemność, z Pharaunem zaraz za plecami, dotknął palcem jednego z amuletów przyczepionych do koszuli - swojej szczęśliwej monety o dwóch reszkach - z nadzieją, że ocali go, gdy demon zwróci się przeciw nim, co było prawie pewne.

* * *

Halisstra stała na skarpie, z której roztaczał się widok na zrujnowaną świątynię i wpatrywała się w horyzont. Pozostali zeszli jakiś czas temu do Podmroku, a słońce powoli osuwało się za horyzont, zabarwiając chmury różem i złotem. Choć łzały jej oczy, wpatrywała się w zachód słońca z fascynacją, patrząc, jak kolory przechodzą w coraz ciemniejsze odcienie oranżu, potem czerwieni, a w końcu purpury, tworząc nowe wzory za każdym razem, gdy ukośne promienie padały na chmury pod innym kątem. Zaczynała rozumieć, dlaczego mieszkańcy powierzchni opowiadają o zachodach słońca z takim uniesieniem.

W miarę jak las w dole robił się coraz ciemniejszy, jej wzrok zaczął się przestawiać na widzenie w ciemnościach. Widziała ptaki przelatujące między gałęziami i słyszała łopot wielu skrzydeł należących do stada ptaków lecących między drzewami w stronę urwiska. Słyszała, że naziemne stworzenia żyją rytmem dnia i nocy i uświadomiła sobie, że sterowane magią oświetlenie Ched Nasad oraz słynna kolumna

Narbondelu w Menzoberranzan, służąca do odmierzania upływu „nocy” i „dni”, musiały być pozostałością dawnych czasów, gdy drowy wciąż jeszcze zamieszkiwały powierzchnię. Czyżby Jaelre po prostu odpowiedzieli na zew, którego inne drowy jeszcze nie słyszały, gdy wrócili na powierzchnię, porzucając wiarę w Lolth?

Stado ptaków zbliżało się, wypełniając korony drzew tuż poniżej urwiska dziwnymi gwizdzącymi krzykami. Jeden z nich wzbil się ponad czubki drzew, bijąc skrzydłami tak szybko, że rozmazywały się w oczach. Dopiero gdy znalazł się w odległości kilku kroków od niej, Halisstra rozpoznała czym w rzeczywistości był. Włochate ciało, osiem odnóży, długa, ostra jak igła trąbka - wszystko to składało się na groźne stworzenie, którego nie spodziewała się spotkać na powierzchni. Zwłaszcza że w jej stronę leciał z szybkością strzały nie jeden, ale dziesiątki stworów całe stado.

- Lolth dopomóż - wyszeptala Halisstra. - Żądlaki.

Były za blisko na strzał z kuszy. Wyrwijąc z pochwy miecz Seyll, Halisstra przygotowała się na atak. Ponuro pomyślała, że kolczuga na nic się jej nie zda - cienkie jak igła trąbki żądlaków z łatwością przecisną się między ogniwami.

Gdy pierwszy żądlak zanurkował w dół, Halisstra zamachnęła się długim mieczem. Wciąż posługiwała się nim niepewnie, bo był cięższy niż klinga, do której była przyzwyczajona. Mimo to cios był celny i rozplątał żądlaka na dwoje.

Zaraz potem spadły na nią kolejne stwory.

Przez kilka chwil Halisstra odganiała się od nich, zabijając dwa następne mieczem i miażdżąc trąbkę trzeciego uderzeniem małej stalowej tarczy, którą nosiła na lewym ramieniu.

W prawym barku poczuła przeszywający ból. Chwilę później kolejny żądlak wbił trąbkę w tył jej lewej nogi, tuż pod kolanem. Zachwiała się. Tylko szalony unik pozwolił jej wywinąć się spod trąbki żądlaka mierzącego w jej szyję. Obracając się, chlasnęła go mieczem, gdy ją mijał.

Coraz więcej stworów leciało w jej stronę - prawie dwa tuziny. Halisstra chwyciła lewą ręką żądlaka, który wkłuł jej się pod kolano. Nacisnęła i usłyszała miłe jej uszom trzaśnięcie, gdy opite cielsko pękło. Wyrwała je z nogi i odrzuciła w bok, jak przez mgłę zauważając krew, która przesiąkła jej przez rękawicę. Żądlak wkłuty w jej ramię wciąż sączył krew.

Chmara rzuciła się na nią. Cztery następne żądlaki wkłuły jej się w ciało. Jeden głęboko w lewe ramię, dwa w prawą nogę, a czwarty w bark, obok tego, który już zdążył się łąpczywie przyssać. Halisstra zabiła mieczem dwa kolejne. Powietrze przepływające przez otwory w jego rękojeści wydawało nieharmonijne dźwięki brzmiące jak nieumiejętna gra na flecie. Halisstra, która z powodu utraty krwi opadała gwałtownie z sił, nagle zadrżała, uświadamiając sobie, że może tu umrzeć. Lolth przestała się nią opiekować i obdarzać ją zaklęciami, których potrzebowała, żeby odpędzić plugawe stwory. Jedyne zaklęcie bae'qeshel, które mogło wpłynąć na tyle stworów naraz, wymagało użycia instrumentu muzycznego jako ogniska a trudno jej było grać na lirze i walczyć w tym samym czasie.

I wtedy przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Może mogła użyć innego instrumentu, bardziej poręcznego...

Porzucając próby osiągnięcia żądlaków, gdyż było ich zbyt wiele, Halisstra obróciła miecz Seyll i przytknęła jego rękojeść do ust, zasłaniając otwory opuszkami palców tak, by powietrze umknęło przez pojedynczy otwór. Chociaż nogi ugiwały się pod nią od upływu krwi, poczuła, jak magia wydobywająca się z jej ust wypełnia rękojeść i wydostaje się na zewnątrz. Zadzwonilo jej w uszach, a potem pojedyncza nuta - słodka, wysoka i przeraźliwie mocna - rozdarła powietrze. Wszędzie wokół niej żądlaki pospadały w dół, uderzone magicznym podmuchem. Te przyssane do jej ciała oklapły, obwisły na chwilę, po czym powoli zsunęły się z niej, uderzając o ziemię z miękkimi, głuchymi łupnięciami.

W ciszy, która nastąpiła, Halisstra słyszała wyłącznie własny oddech. Gdy otworzyła oczy, zobaczyła dziesiątki żądlaków leżących pokotem na ziemi. Niektóre z nich wciąż drgały. Podniosła z ziemi najbliższego i ścisnęła. Krew - jej krew przemoczyła jej rękawicę, gdy jego ciało pękło. Upuściła go i podeszła do następnych, zabijając jednego po drugim. Potem ściągnęła nasiąknięte krwią rękawice i odrzuciła je na bok.

Może powierzchnia nie była wcale takim wspaniałym miejscem.

A potem uświadomiła sobie, że coś musiało spłoszyć żądlaki coś, co poruszało się przez las w kierunku skarpy, na której stała. Przypadła do ziemi i odczołgała się w kierunku schodów, szukając jakiejś kryjówki.

* * *

Valas dał pozostałym znak, żeby się zatrzymali, kiedy kręty tunel opadający coraz głębiej ku Podmrokowi otworzył się na gruzowisko prowadzące do średnich rozmiarów pieczary, której dno było ukryte pod taflą wody. Pharaun zachichotał cicho, przerywając ciszę.

- Idealne - wyszeptał.

- Cicho, - zgrmiał go Valas, ale Pharaun tylko się roześmiał.

- Za chwilę i tak będzie tu głośno - powiedział mag, mrugając do zwiadowcy. Potem zawołał do pozostałych, którzy zostali wyżej: - Mistrzynie, znalazłem odpowiednie miejsce. Przygotuj Jeggreda.

Valas usłyszał, jak Quenthel każe draeglothowi uklęknąć, a potem dźwięk dobywanego sztyletu. Pharaun położył mu rękę na ramieniu.

- Przepraszam - powiedział. - Muszę się tam dostać.

Valas nadal nie był pewny, co zamierza mag, ale posłusznie przykleił się do zimnej skały, pozwalając Pharaunowi precyzyjnie się do jaskini. Mag sięgnął do kieszeni piwafwi i wyciągnął z niej szklany stożek. Zakasał rękawy i wycelował go w wodę u swoich stóp.

- Chalthinsil! - krzyknął na całą jaskinię.

W tej samej chwili ze szklanego rożka wyleciał stożek przeraźliwie zimnego powietrza, wypełniając jaskinię wirującym szronem. Magiczne zimno uderzyło w sadzawkę, zmieniając ją w lity lód. Szron kłębił się jeszcze jakiś czas w powietrzu, pokrywając ściany i strop jaskini skrzącymi się kryształkami lodu. Potem zniknął, pozostawiając w powietrzu chłód, który przyprawiał Valasa o drżenie. Pharaun wsadził szklany stożek z powrotem do kieszeni piwafwi.

- Idealna - powiedział, wpatrując się w taflę lodu. - Gładka, w sam raz do rysowania. - Potem krzyknął przez ramię: - Quenthel, jestem gotów.

Za plecami Valas usłyszał wyczekujące syknięcie jednej ze żmij przy biczu Quenthel. Chwilę później poczuł zapach rozlanej świeżo krwi. W wejściu do jaskini ukazała się Quenthel, która podała Pharaunowi kielich. Mag zszedł w dół stoku, starając się nie rozlać jego zawartości.

Quenthel i Danifae stanęły za Valasem, zaglądając do jaskini. Quenthel pstryknęła palcami i w tunelu pojawił się również Jeggred, wydychając w lodowatym powietrzu kłęby cuchnącej pary. Jedną z potężnych bojowych łap przyciskał do nadgarstka mniejszego ramienia. Spomiędzy jego zaciśniętych palców spływała krew, kapiąc na kamienie u jego stóp.

Chwilę później dołączył do nich Ryld, który w końcu zrezygnował z uważnej obserwacji tunelu za nimi.

Pharaun ślizgał się już po zamrożonej sadzawce. Pozostali patrzyli, jak dobywa sztyletu i rysuje na jej powierzchni ogromną sześcioramienną gwiazdę, żłobiąc w lodzie głębokie bruzdy. Kiedy skończył, przystanął na chwilę, sprawdzając czy nie ma żadnych niedociągnięć.

Quenthel zmarszczyła brwi.

- Sześć ramion? - zapytała. - Dlaczego nie standardowy pentagram?

Pharaun wzruszył ramionami.

- Każdy potrafi wezwać demona przy pomocy pentagramu. Lubię rozmach. - Obszedł heksagram, przelewając krew z kielicha w jedną z wrytych w lodzie linii. Po chwili podniósł rękę i kiwnął na draeglotha. - Jeggred, chodź tutaj.

Spojrząwszy na Quenthel, która skinęła głową na znak zgody, draegloth wielkimi susami zbiegł na dół, zrzucając po drodze kamienie, które potoczyły się po lodzie. Przeciął zamrożoną powierzchnię sadzawki, podszedł do maga i posłusznie otworzył dłoń, puszczając na jego polecenie zakrwawiony nadgarstek. Pharaun złapał go za rękę i podstawił pod przecięty nadgarstek kielich. Kiedy ten znów się napełnił, gestem polecił Jeggredowi zatamować krew, po czym podjął obrysowywanie heksagramu.

Musiał powtórzyć tę czynność jeszcze dwa razy, zanim skończył. Pomimo upływu krwi draegloth przez cały czas zachowywał obojętność. Kiedy Pharaun wreszcie go odprawił, wbiegł w górę zbocza, aby dołączyć do pozostałych.

- A teraz - powiedział Pharaun, wyłamując palce i przeciągając się - przechodzimy do trudniejszej części zadania.

Z kieszeni wyjął świeczkę. Przeciął ją na sześć części, ociosując każdą końcówkę, aby odsłonić knot. Obszedł gwiazdę dookoła, wywiercając dziurę w każdym z jej wierzchołków i zatykając w niej jedną świeczkę. Potem podniósł się i pstryknął palcami. Nagle zapłonęło sześć płomieni. Ich skąpe ciepło w magiczny sposób rozeszło się we krwi, która zamarzała w rowkach w lodzie. Krew stopiła się i zaczęła krążyć, płynąc w żyłach heksagramu.

Valas zmrużył oczy, gdyż pełgający żółty blask utrudniał mu widzenie w ciemnościach. Oszronione ściany jaskini odbijały światło, skrząc się milionem diamentów. Świece zamigotały, ich płomień przechyliły się lekko w jedną stronę. Widząc to, Valas kiwnął głową. Jaskinia nie kończyła się ślepo. Musiała w niej być jakaś szczelina, ukryta przed ich wzrokiem, przez którą dostawało się powietrze.

Stojąc z rękami rozpostartymi nad heksagramem, Pharaun zaczął skandować zaklęcia. Jego słowa odbijały się echem w zamkniętej przestrzeni, a świece spalały się w oszałamiającym tempie, tworząc na lodzie kałuże stopionego wosku. Jednak knoty nadal płonęły, a gdy tylko płomień dotknął lodu, ich kolor zrobił się jaskrawoniebieski. Pulsujące płomień popłynęły wzdłuż linii symbolu, mieszając się z krwią Jeggreda i przybierając ohydny, fioletową barwę.

Głos maga osiągnął crescendo i Pharaun klasnął w dłonie nad głową. Rozległ się huk gromu, który całkowicie zagłuszył sapnięcie Valasa i pomruk Jeggreda. Przez chwilę wydawało się, że zimne powietrze jaskini rozdarło się na dwoje. Przez szczelinę Valas dostrzegł kłębiące się czerwono-czarne kłęby dymu i gorące płomień Otchłani. Potem rozległ się ryk głuchej wściekłości i oburzenia, a przez portal pomiędzy planami przemknęła ogromna humanoidalna postać, zataczając się, jak gdyby pchnęła ją jakaś niewidzialna siła. Pharaun, stojący do niej twarzą, cofnął się kilka kroków, ale zaraz odzyskał zimną krew.

- Udało mu się - powiedziała Quenthel.
- Tak - zgodziła się Danifae z podziwem w głosie.

Demon - glabrezu - był prawie trzy razy wyższy od drowa i potężnie umięśniony. Miał czworo ramion - dwoje zakończonych dłońmi, a dwoje ogromnymi, kłapiącymi szczypcami - i psi łeb. Jego ciało cuchnęło jak gnijące trupy piekące się nad piekielnym ogniem. Skórę miał tak czarną, że nie było widać wyraźnie jego rysów, z wyjątkiem ściętego płasko ryja, z którego wystawały żółte kły, i oczu płonących z tak przenikliwą intensywnością, jak gdyby w ich fioletowej głębi kłębiła się cała furia Otchłani.

- Ośmieliłeś się mnie wezwać? - zaryczał głosem, który zatrzęsł całą jaskinią, aż z jej zboczy posypały się na lód drobne kamyki. - Jak śmiałeś?

Naśladując gest, którym przywołał go Pharaun, demon szyderczo wyrzucił ręce nad głowę. Pomiędzy jego rozczapierzonymi palcami wybuchł jaskrawy płomień, zalewając jaskinię oślepiającym światłem. Łypiąc spode łba na czarodzieja, demon wyciągnął ramiona ku niemu, wysyłając w jego stronę falę ognia.

Zamiast ogarnąć Pharauna, płomień zatrzymały się na granicy heksagramu. Z rykiem przemknęły wzdłuż wypełnionych krwią rowków, w mgnieniu oka przebiegając od wierzchołka do wierzchołka gwiazdy, a potem stopniowo zwolniły. Zamiast roztopić lód, płomień wydawały się zamarzać. A potem rozsypały się z brzękiem pękającego kryształu.

Kącik ust Pharauna uniósł się w uśmiechu.

- Skończyłeś, Belshazu? - zapytał sucho.
Żrenice demona zwężyły się.
- Znacie moje imię - powiedział, a jego głos przeszedł w głęboki pomruk.
- Znamy - odezwała się Quenthel zza pleców Valasa. - I jeśli nie chcesz tkwić przez resztę wieczności w heksagramie, powiesz nam, gdzie możemy znaleźć bramę prowadzącą z tego planu do Otchłani. Powiedz nam, a mag cię uwolni.

Belshazu chrząknął, a potem opadł na kolana, obwąchując pętający go symbol.

- Krew draegloth - warknął. - Więc dlatego ta drowia suka sparzyła się ze mną. Jak miała na imię? Tral? Tull? Nie... Triel. - Demon splunął na lód cuchnącą flegmą, po czym dodał z pogardliwym pomrukiem: - Dziwka.

Przeniósł wzrok z Pharauna na stojącą wyżej grupkę drowów, a jego fioletowe ślepie płonęły tak wyzywająco, że Valas dobił na wszelki wypadek kukrisy.

Jeggred odwzajemnił pomruk demona. Tężej, spiął się do skoku. Dłoń Quenthel opadła na jego plecy i zacisnęła się na jego splecionej grzywie. Odciągnęła go do tyłu w chwili, kiedy miał się już rzucić naprzód.

- Zostań przy mnie - rozkazała.
Jeggred usłuchał.

Valas westchnął z ulgą, zadowolony, że draegloth nie zaatakował swojego ojca. Gdyby Jeggred przestąpił choć na krok symbol wyrysowany jego własną krwią, linie mocy wiążące demona

naciągnęłyby się i pękły. Na czym demonowi wyraźnie zależało.

Pharaun odchrząknął i Belshazu z powrotem skupił uwagę na nim.

- Do rzeczy - powiedział mag. - Musimy się dostać do Pajęczyny Demonów. Gdzie znajduje się najbliższa brama do Otchłani?

Belshazu obnażył żółte kły w uśmiechu i wbił wzrok w Pharauna, jak gdyby zastanawiał się, którą z jego kończyn oderwać najpierw.

- Tu, w tej jaskini - huknął. - Pod moimi stopami. Pokażę wam.

Przywołując ponownie magiczny ogień, demon skierował płomień buchające mu z dłoni w dół, w lód pod stopami. Ponieważ magia nie próbowała przekroczyć granic heksagramu, osiągnął zamierzony cel. Ogromne kłęby pary uniosły się znad topniejącego lodu, przesłaniając miejsce, w którym stał. Pod stopami demona ukazał się krater, a gdy wypełniła go woda ze stopionego lodu, Belshazu zatopił w niej płonące dłonie i podpalił ją.

Pharaun nachylił się w jego stronę, chcąc zobaczyć obiecaną bramę. Jednocześnie sięgnął do kieszeni piwafwi. Jegfred wciąż wystawiał i chował pazury, z trudem hamując wściekłość wywołaną obelgami, jakimi demon obrzucił jego matkę. Danifae i Ryld stali bliżej wylotu tunelu i rozprawiali o czymś na migi. Byli odwróceny plecami do Valasa, więc nie widział, o czym rozmawiają.

Stojąca obok niego Quenthel nagle stężała.

- Pharaun, powstrzymaj Belshazu! - krzyknęła. - Próbuje...

Jej rozkaz utonął we wściekłym syku pary i głośnym bulgotaniu. Valas usłyszał ją tylko dlatego, że stała tuż obok niego. Potem zobaczył, co pokazuje linia heksagramu zaczynała opadać w kierunku krawędzi wypełnionego wodą krateru, w którym stał Belshazu. Pharaun też to w końcu zauważył, ale było już za późno.

Linia płynącej krwi runęła z głośnym sykiem w kipiącą wodę i zniknęła.

Heksagram został przerwany.

- Czarodzieju - jesteś mój!

Rycząc z triumfem, Belshazu ruszył przez wrzącą wodę w stronę Pharauna. Jego fioletowe ślepie pały wściekłością na maga, który w swej głupocie ośmielił się go spętać.

ROZDZIAŁ 4

Ryld wyciągnął z kieszeni piwafwi woreczek piasku i umieścił go na skalnym występie w miejscu, gdzie tunel rozwidłał się, po czym ostrożnie położył na nim duży kamień. Wyciągnął z kołczanu jeden z beltów, które Halisstra zabrała leśnym elfom, i sprawdził czy jego haczykowany grot nie nosi śladów trucizny. Gdy oględziny wypadły pomyślnie, przeciął nim sobie dłoń. Rozsmarował krew na ścianie tunelu, po czym odłamał grot beltu. Położył złamany belt na podłodze i zerknął nerwowo w dół korytarza prowadzącego ku jaskini, niepokojąc się, czy ktoś go nie usłyszał.

Cisza. Odgłos był cichy i nikt się nim nie zainteresował.

Zacisnął w dłoni szmatę, aby zatamować krew, po czym upuścił ją na ziemię obok złamanego drzewca. Potem wyciągnął z kieszeni swoją pojemną torbę z przędzy fazowego pająka i położył ją na ziemi tuż pod workiem wypełnionym piachem. Ostrożnie poluzował wiązanie woreczka, aż zaczęła się z niego sypać struga piasku, prosto do przenośnego otworu. Potem pospieszył opadającym stromo korytarzem do jaskini, gdzie zostawił pozostałych.

Martwił się, że Jeggred wyczuje świeżą krew na jego dłoni, ale wyglądało na to, że draegloth sam upuścił sobie sporo krwi. To Danifae przyglądała mu się podejrzliwie, kiedy wrócił.

Ryld nie zwracał większej uwagi na Pharauna, gdy ten wezwał demona, gdyż jego umysł zaprzętało nieme odliczanie, które rozpoczął po opuszczeniu woreczka z piaskiem. Spojrzał w dół zaniepokojony, kiedy demon powiedział Pharaunowi, że brama do Otchłani znajduje się dokładnie pod zamarzniętą sadzawką. Był to z pewnością jakiś fortel, ale Pharaun nie poddał go w wątpliwość. A kiedy dłonie demona zapłonęły po raz drugi, Pharaun po prostu stał i patrzył, jak gdyby chciał się przekonać, co zrobi.

Ryld skoncentrował się na odliczaniu: piętnaście, czternaście, trzynaście... już prawie czas.

- Posłuchaj - powiedział, dotykając ramienia - Danifae. Słyszysz?

Danifae obrzuciła go podejrzliwym spojrzeniem. A potem z głębi tunelu dobiegł ich odgłos kamienia uderzającego o dno korytarza i toczącego się w ich stronę. Oczy Danifae rozszerzyły się.

- Ktoś...

Jej słowa przerwał gwałtowny syk pary dobiegający z jaskini w dole. Zerknąwszy w dół, Ryld zobaczył, że demon topi lód. Otworzył usta do krzyku, żeby ostrzec maga...

... po czym zamknął usta. Demon był problemem Pharauna.

Ryld przeszedł na język migowy, żeby jego słów nie zagłuszył syczący ryk wrzącej wody.

- *Ktokolwiek to jest, pożałuj, że za nami idą. Powiedz Quenthel, dokąd poszedłem.*

- *Uciekasz za Halisstrą, oskarżyła go Danifae.*

Zaskoczyła go jej szczerłość - i aprobata, jaką dojrzał w jej oczach. Czyżby cieszyła się, że jej pani będzie jednak miała opiekę?

- *Nie, odparł, zdecydowany blefować dalej. Wróć. Na dowód zostawiam ci to.*

Ściągnął z palca jeden z dwóch magicznych pierścieni, ten o mniejszej wartości, i podał go Danifae, upuszczając go umyślnie. Pierścień odbił się od skały i zaczął toczyć w stronę pozostałych. Danifae rzuciła się za nim, usiłując go złapać, zanim przywłaszczy go sobie Quenthel albo ktoś inny.

Ryld odwrócił się i ruszył szybko z powrotem. Zobaczył, że Valas rzuca mu krótkie, pytające spojrzenie. A potem Quenthel ostrzegła Pharauna. Chwilę później jaskinię wypełnił ryk triumfu. Demon był wolny.

Ryld zdążył się już oddalić kilka kroków i wspinał się szybko wąskim tunelem, który doprowadził ich do jaskini. Za plecami słyszał ryki, gwałtowny plusk i przerażone wrzaski. Omiótł go podmuch zimnego powietrza - fala uderzeniowa zakłęcia. Nie wiedział czy rzucił je Pharaun, czy demon. A potem męski głos zawył z bólu. Pharaun?

Przez uderzenie serca naprawdę zastanawiał się czy nie zawrócić. Potem postanowił iść dalej. Pharaun powinien się przekonać, co to znaczy nie móc liczyć na przyjaciela.

Wspinał się w górę, ignorując odgłosy walki za plecami, aż w końcu dotarł do spłaszczonego woreczka, który zdjął ze skalnej półki. Wrzucił go do przenośnego otworu, który złożył. Wytrzepie go później, kiedy znajdzie się już na powierzchni. Jeśli pozostali przeżyją atak demona i zaczną go szukać, nic nie zdradzi im fortelu, jakim się posłużył.

Szedł szybko naprzód, wracając tą samą drogą, którą zeszli z powierzchni. Schodząc, zapisywał w pamięci punkty orientacyjne, przystając kilka razy, żeby odwrócić się i przyjrzeć im z przeciwnej strony.

Minął miejsce, gdzie musieli przeczołgać się po gruzowisku z zawalonego częściowo stropu, a potem długą, wąską jaskinię, gdzie strumyk wody zachęcił do wzrostu mizerną kępkę mchu. Potem był naturalny komin, który mierzył jakieś dwieście stóp i kończył się u góry i u dołu ślepyimi korytarzami, ale otwierało się na niego kilka wąskich tuneli.

Po dotarciu do komina Ryld spojrział w górę i zaczął liczyć. Dostali się tutaj trzecim tunelem nad nim, nieco z prawej. Dotknął magicznej broszy wpiętej w koszulę, wszedł w komin i zaczął lewitować w górę.

Zbliżając się do wylotu tunelu, usłyszał cichutki brzęk dobiegający z jego wnętrza. Rozpoznając natychmiast odgłos ocierających się o siebie ogniów kolczugi, przykrył głowę kapturem piwafwi i podkurczył nogi. Magia opończy otoczyła go, spowijając cieniem. Minął wylot tunelu, do którego zmierzał - bokiem, aby osoba, którą właśnie usłyszał, nie zauważyła przesuwanego się szarego cienia - i zatrzymał się nad nim w odległości równej dwunastu krokom. Zawisł tam, starannie kontrolując oddychanie, tak by z jego ust nie wydobył się nawet najcichszy odgłos. Czekał.

Chwilę później w wylocie tunelu ukazała się twarz. Czarna jak heban skóra obcego drowa zlewała się z mrokiem panującym w tunelu za jego plecami, podobnie jak czarna maska ukrywająca dolną połowę jego twarzy - symbol kleryka Vhaerauna - ale białe włosy i jarzące się słabo czerwone oczy odcinały się wyraźnie w ciemnościach. Spojrział w górę, tam, gdzie unosił się Ryld. Komin był wprost idealnym miejscem do zastawienia zasadzki.

Ryld powoli wsunął palec w spust kuszy przypiętej do nadgarstka, ale kleryk najwyraźniej go nie zauważył.

Przyjrząwszy się pobieżnie górnej części komina, kleryk skupił się na jego dolnym odcinku. Wyciągnąwszy z kieszeni piwafwi rozwidlony kawałek kości, chwycił go kciukiem i palcem wskazującym każdej dłoni i przytrzymał nad kominem, wymawiając słowa zaklęcia. Kość rozżarzyła się miękkim szkarłatnym blaskiem. Chwilę później światło skupiło się na czubku kości, po czym wybuchło skwierczącą purpurową iskrą. Iskra uniosła się w górę, zawahała i zaczęła powoli opadać w dół. Zatrzymała się naprzeciw tunelu, z którego właśnie wydostał się Ryld, i zgasła.

Kapłan odwrócił się i przekazał na migi komuś stojącemu za nim w tunelu:

- *Poszli tamtędy.*

Ryld obserwował w milczeniu, jak kleryk i dwaj dobrze uzbrojeni mężczyźni opuszczają się w dół. Kleryk i jeden z wojowników po prostu spłynęli za pomocą magii, ale drugi wojownik musiał schodzić wąskim załomem komina, zapierając się plecami o jedną, a rękami i nogami o drugą ścianę. Z taktycznego punktu widzenia był to odpowiedni moment, żeby uderzyć albo uciekać, ponieważ stękanie i szuranie, jakie wydawał gramolący się w dół mężczyzna, musiało zagłuszyć ucieczkę fechmistrza tunelem, który właśnie opuścili nieznajomi.

Rylda nie obchodził los Quenthel Baenre. Towarzyszył jej, ponieważ taki otrzymał rozkaz. Valas potrafił się o siebie zatroszczyć w walce, a Danifae pochodziła z innego miasta i była mu obojętna. Ale Pharaun, chociaż był potężnym magiem, walczył właśnie z demonem. Z łatwością padnie ofiarą tych trzech...

Odrzucając do tyłu piwafwi, Ryld strzelił z kuszy do kleryka. Mały bełt trafił drowa w policzek, znacząc go w poprzek czerwoną bruzdą. Gdy tylko potężna trucizna grotu dostała się do jego krwioobiegu, kleryk zawisł w powietrzu i został zmuszony do chwycenia się wylotu mijanego korytarza, gdyż opuściła go moc lewitacji. Wczołgawszy się do niego, legł na podłodze, trzęsąc się i poruszając ustami w niemej modlitwie.

Ryld dotknął broszy i runął w dół jak kamień. Spadając, obrócił się, jednocześnie dobywając krótkiego miecza i robiąc wymach nogą w chwili, gdy mijał schodzącego w dół drowa. Zaklinowany pomiędzy ścianami komina mężczyzna nie był w stanie zrobić nic oprócz zamknięcia oczu. Wymierzony w twarz kopniak odrzucił mu do tyłu głowę, która uderzyła z głośnym hukiem o ścianę. Chwilę później jego nieprzytomne ciało runęło w dół w ślad za Ryldem.

Odpychając się od ściany, Ryld aktywował ponownie magię broszy, hamując upadek. Nieprzytomny drow minął go, lądując z głuchym łoskotem łamanych kości na ziemi. Tymczasem lewitujący wojownik dobył broni - nabijanego kolcami buzdygana.

Ryld opadał w jego stronę z krótkim mieczem w ręku. Jego przeciwnik krzyknął coś - słowo-rokaz - i głowica jego buzdygana zapłonęła jasnym, magicznym światłem. Oślepiiony nagłą jasnością Ryld instynktownie umknął w bok. Usłyszał jak buzdygan uderza z hukiem w ścianę obok jego głowy.

Wymierzył następnego kopniaka, ale chybił. Wojownik był przyzwyczajony do walki w świetle słonecznym i z łatwością uchylił się przed uderzeniem.

Przeklinając, Ryld wezwał magiczną ciemność, która wypełniła komin. Żaden z nich nic nie widział, więc żeby zlokalizować przeciwnika, obaj musieli uważnie nasłuchiwać cichego szelestu materiału i pancerza zagłuszanego przez modlitwy kleryka.

Podmuch powietrza ostrzegł Rylda przed kolejnym ciosem buzdygana. Wywinął się gwałtownie w bok, niechcący zsuwając się nieco w dół. Prawą ręką otarł się o ścianę komina i sekundę później buzdygan wyrzucił go w łokieć, pozbawiając czucia w ręce od barku aż po koniuszki palców. Spróbował się zamachnąć, ale miecz wyśliznął mu się z palców.

Buzdygan uderzył po raz drugi, trafiając go w żołądek. Napierśnik Rylda uchronił go przed kolcami, ale siła ciosu wydarła mu z gardła stęknienie. Jego przeciwnik był lepszy niż się spodziewał.

Usłyszał, że jego miecz uderzył z brzękiem w dno komina, daleko w dół. Tymczasem modlitwa kapłana przeszła z szeptu w głośny śpiew. Kleryk starał się zneutralizować truciznę za pomocą magii, co oznaczało, że Ryld będzie się musiał wkrótce zmierzyć z dwoma napastnikami. W wąskim kominie przewieszony przez plecy fehmistrza wielki miecz był bezużyteczny. Nie był w stanie nim wymachiwać. To oznaczało bliskie zwanie. Bardzo bliskie.

Słyszając oddech przeciwnika, Ryld odepchnął się kopniakiem od ściany i ułożył płasko w powietrzu. Jego palce otarły się o kolczugę, a zaraz potem usłyszał zbliżający się buzdygan. Przesunął się, ale broń trafiła go w ramię. Od obrażenia uchronił go noszony na palcu pierścień w kształcie smoka - pierścień mistrza Melee-Magthere którego magia czyniła skórę i ciało fehmistrza twardymi jak pancerz smoka. Kolce buzdygana wygięły się, broń odskoczyła.

Tymczasem Ryld podciągał się w górę po ciele przeciwnika, wbijając palce w newralgiczne punkty. Mężczyzna stęknął, sapnął, a potem wydał z siebie głośny charkot, gdy Ryld znalazł jego gardło i zmiażdżył mu tchawicę. Ciało drowa zwiotczało i runęło w dół.

Podczas walki spadali coraz niżej w dół. Ryld znalazł się poza zasięgiem magicznej ciemności i znów zaczął widzieć. A kleryk widział fehmistrza.

Wykrzykując inwokację do swego boga, kapłan zdarł maskę z twarzy i cisnął nią w Rylda. Fehmistrz obrócił się i opadł w dół, ale maska pomknęła za nim z szybkością pikującego nietoperza. Uderzyła go w twarz i przywarła do nosa i ust z mokrym plaśnięciem.

Ryld spróbował zderzyć ją z twarzy, ale przyłgnęła do niej jak grzyb do skały. Nie mogąc oddychać - wystarczył pojedynczy wdech, żeby niesiona przez nią zaraza dostała się do płuc zrobił jedyną rzecz, jaka mu pozostała. Dotknął broszy i opadł w dół. Jakimś cudem zdołał uniknąć wdechu, gdy złapał się półki, na której stał kleryk. Wciąż wstrzymując oddech, podciągnął głowę na wysokość występu i przerzucił nad nim nogi. Mentalna dyscyplina wpojona mu przez mistrzów Melee-Magthere sprawiła, że zdołał skoczyć ku zdumionemu klerykowi z rękami wyciągniętymi do ciosu. Przed oczyma zatańczyły mu czarne plamy, gdy dotarł do granicy wytrzymałości swojego ciała i przekroczył ją, wciąż pędząc naprzód.

Kleryk, z czerwonymi oczyma rozszerzonymi strachem, odskoczył do tyłu, uchylając się przed atakiem. A potem, najwyraźniej nie wytrzymując napięcia, odwrócił się i rzucił do ucieczki, wykrzykując słowa modlitwy. W powietrzu tuż przed nim ukazał się krąg ciemniejszego powietrza, w który wskoczył. I zniknął.

Uderzenie serca później maska zniknęła z twarzy Rylda. Mogąc znów oddychać; fehmistrz wziął głęboki, drżący oddech i oparł się o ścianę. Przez chwilę wszystko wydawało się być w jak najlepszym porządku. Kleryk zniknął, uciekł przez magiczny portal, a dwaj wojownicy z domu Jaelre, którzy mu towarzyszyli, byli martwi. Nawet gdyby kleryk znalazł Pharauna i pozostałych, Ryld znacznie poprawił ich szanse wygranej. Poza tym dwa trupy nadawały jego wymówce, którą usprawiedliwił oddalenie się, pozory prawdy. Jeśli pozostali wrócą tędy, znajdą martwych wojowników, ze śladów wywnioskują, że był tu jeszcze ktoś trzeci i pomyślą, kiedy Ryld nie wróci, że został pojmany i zawleczony z powrotem do Minauthkeep. Doskonale.

Raz jeszcze wkroczył do komina i lewitując, opuścił się w dół, aby odzyskać upuszczony miecz. Splątane ciała zabitych przez niego wojowników leżały zaklinowane na dnie komina.

Miecz Rylda utknął pomiędzy nimi.

Przewrócił leżące na wierzchu ciało i sięgnął po miecz - a potem wciągnął z sykiem powietrze w płuca, zauważając parę skórzanych rękawic, które wypadły z rozdartej kieszeni jednego z wojowników.

Rozpoznał je natychmiast po insygniach domu Melarn wytłoczonych na szerokich mankietach.

Były to rękawice Halisstry - a miękka skóra była sztywna od zaschniętej krwi.

Serce Rylda skuł lodowaty strach. Czy to znaczy, że Halisstra została zabita? Jeśli tak, powinien wrócić do pozostałych zakładając, że nie zostali jeszcze pożarci przez demona - i porzucić szalony pomysł pozostania na powierzchni. To i tak był pomysł Halisstry. Jeśli była martwa, nie miał po co wracać tam sam.

Ale jeśli żyła...

Ryld potrząsnął głową, zły na siebie. Nie był jej nic winien. Szukanie jej było szaleństwem.

Jego pięść zacisnęła się na nasiąkniętych krwią rękawicach. Wetknąwszy je do kieszeni piwafwi, dotknął broszy i lewitując, uniósł się w górę komina.

ROZDZIAŁ 5

Pharaun uśmiechnął się drwiąco, gdy Belshazu pomknął przez sadzawkę wrzącej wody w jego stronę.

- Demony są takie przewidywalne - powiedział, cmokając.

Uniósł szklany stożek, który schował uprzednio w dłoni i wymówił słowo-rozkaz. Ze stożka wyleciał podmuch lodowatego powietrza, który uderzył w demona. Pot skrzystalizował się na szerokiej piersi Belshazu w migoczący lód, ale stopił się od gorąca i pędu jego szarży. Kiedy lodowaty podmuch uderzył w głęboką po kolana wodę, w której stał demon, sadzawka natychmiast zamarzała z powrotem. Demon, uwięziony w lodzie sięgającym mu kolan, skierował płomień otaczający jego dłonie w dół, ale lód nie chciał się topić.

Pharaun uśmiechnął się jeszcze szerzej, widząc, że jego plan okazał się skuteczny.

- Dziękuję za wzburzenie sadzawki - powiedział do demona. - Udało ci się mieszać krew Jeggreda z wodą. A, i jeszcze coś, co może cię zainteresować. Wiedziałeś, że kryształki lodu mają zawsze sześć boków? Podobnie jak kryształki krwi, jako że krew składa się głównie z wody. Zawsze tworzą idealne tycie heksagramy. Miliony heksagramów.

Demon dopiero po chwili pojął, o czym mówi Pharaun. Gdy to zrozumiał, ryknął jeszcze głośniejszym niż wcześniej, gruchocząc szczypcami wiążący go lód. Choć ciosy były na tyle silne, by napełnić jaskinię donośnym dudnieniem, lód ani nie popękał, ani się nie poszczerbił. Wysilek musiał wyczerpać demona. Po kilku uderzeniach dyszał głośno, sapiąc chrapliwie.

- Do rzeczy - podjął Pharaun. - Miałeś nam powiedzieć, gdzie znaleźć najbliższą bramę do...

Pod wpływem gwałtownego targnięcia, od którego żółć podeszła mu do gardła, Pharaun poleciał w górę wskutek odwrócenia grawitacji. Zaskoczony i zdezorientowany nagłą zmianą nie był w stanie złagodzić upadku magią lewitacyjną. Wyrznął w strop z siłą, od której aż go zatkało. Danifae i Jeggred uderzyli w sklepienie sekundę później, ale Valas wylądował na nogach z kocią zwinnością, a Quenthel zdążyła aktywować lewitację, zanim dotknęła skały.

Demon rzucił się na Pharauna, wyciągając się najdalej, jak pozwalały mu na to tkwiące w lodzie nogi. Jedna para jego kleszczy zacisnęła się na nodze maga, przecinając skórzany but i ciało, aż zgrzytnęła o kość. Pharaun wrzasnął z bólu i spróbował przytrzymać się skały, opierając się demonowi usiłującemu przyciągnąć go do siebie.

Chwilę później coś przemknęło obok niego: Valas. Z chyżością, którą zawdzięczał magii, zwiadowca przebiegł po nierównym stropie jaskini ze sztyletem w każdej dłoni, aby zaatakować demona. Jedno z magicznych ostrzy wbiło się głęboko w nadgarstek Belshazu, przecinając kość w rozbłysku błękitnych iskier. Ranny demon zawył z wściekłości i zamachnął się na niego drugą parą szczypców, ale Valas był już poza jego zasięgiem.

Gdy tylko poczuł, że odrąbane szczypce odpadają od jego nogi, Pharaun odepchnął się od stropu, lewitując poza zasięg demona. Wciąż rycząc, z cuchnącą krwią tryskającą z kikuta nadgarstka, Belshazu anulował rzucony chwilę wcześniej czar. Danifae i Valas opadli z powrotem na dno pieczary, a zwiadowca natychmiast zerwał się na równe nogi, by zagrozić Belshazu sztyletem. Quenthel i Jeggred spłynęły w dół w ślad za Pharaunem.

Pharaun, chroniąc uszkodzoną nogę, wylądował na powierzchni zamarznętej sadzawki za plecami demona. Krew tryskała mu z porwanego buta, rozlewając się po lodzie i zamarzając na różowo na lodowej tafli. Mag wydobył z kieszeni piwafwi metalową buteleczkę, odkorkował ją i opróżnił jej zawartość. Elixir uzdrawiający zadziałał niemal natychmiast, tłumiąc ból jak szklanka grzybnej brandy. Za chwilę ranna noga była cała i zdrowa. Spróbował stanąć na niej całym ciężarem i poczuł tylko lekkie łaskotanie. Oprócz rozdartego buta nic nie wskazywało na to, że był ranny.

Ze zbocza, na którym wylądowali pozostali, dobiegł go cichy syk żmij przy biczu Quenthel. Głos ich pani był równie zniecierpliwiony.

- Pharaun! Przestań marnować czas. Zmusz demona, żeby powiedział nam co trzeba.

Mag skłonił się lekko w stronę Quenthel, a potem odwrócił się do uwięzionego w lodzie Belshazu, który dyszał ciężko z wyczerpania i przyciskał okaleczoną rękę do piersi. Miał chmurną minę, ale płomień w jego fioletowych oczach powiedział Pharaunowi, że nie został poskromiony. Jeszcze.

Niczym wielki mistrz savy, Pharaun wykonał ostatni ruch.

- Jest coś jeszcze, co moim zdaniem powinieneś wiedzieć - zwrócił się do demona. - Moje zaklęcia

zamroziły nie tylko sadzawkę, ale również skryzalizowały parę wodną w powietrzu. Właśnie to czujesz w płucach... tysiące drobniotkich heksagramów, wżynających ci się w ciało. Odpowiedz nam na nasze pytania, a uwolnię cię, zanim wyrządzą ci większą krzywdę. Jeśli będziesz się ociągał, umrzesz.

Gdy Belshazu zastanawiał się nad jego propozycją, Pharaun starał się zachować kamienny wyraz twarzy. Nie miał pojęcia czy kryształki lodu w płucach Belshazu mogą wyrządzić mu krzywdę, ale brzmiało to przekonująco.

Belshazu zaryczał z wściekłości, ale ryk przeszedł w charczenie. Demon spojrzał na Pharauna zbolalym wzrokiem, po czym kiwnął niechętnie głową.

- Nic nie wiem o żadnej bramie - warknął.

Za plecami Pharauna jedna ze żmij przy biczu Quenthel syknęła z irytacją.

- Ale można dostać się z tego planu do Otchłani w inny sposób - ciągnął demon. - Może was tam zabrać statek demonów... jeśli uda wam się go odszukać.

- Statek demonów? - powtórzyła Quenthel.

Belshazu spojrzał na nią nienawistnie.

- Słyszałaś o Wojnie Krwi? - zapytał.

Jego głos był pełen wzdrygnięcia, jak gdyby spodziewał się, że drowy nie mają pojęcia o poczynaniach jego pobratymców.

- Oczywiście - odparła Quenthel. - To walka pomiędzy Otchłanią a Dziewięcioma Piekłami. Wspaniała wojna szalejąca od tysiącleci.

- Wspaniała? - zadrwił Pharaun. - Raczej hałaśliwa, nieporadna i bezsensowna. Żadna ze stron nie pamięta, o co walczy, nie mówiąc już o tym, że nie ma żadnych szans na wygraną.

- Diabły z Dziewięciu Piekieł zostaną pokonane! - zaryczał Belshazu.

- W stosownym czasie - wtrącił sucho Pharaun. - Ale mówiłeś coś o jakimś okręcie?

Wciąż powarkując, demon zignorował Pharauna i zwrócił się do Quenthel.

- W przeszłości moi pobratymcy znaleźli nowy sposób przypuszczania ataków na Dziewięć Piekieł. Zbudowaliśmy okręty z kości związanych pasmami ducha wydartego służącym nam plugawcom i zawiesiliśmy nad nimi żagle z płatów zdartej z nich skóry. Statki te żeglują pomiędzy planami, pędzone wiatrami chaosu. Wieki temu jeden z okrętów chaosu szukający nowej drogi do Dziewięciu Piekieł zapuścił się na Plan Cieni. Popłynął Rzeką Cieni do miejsca, gdzie rzeka styka się z tym planem i zaginął. Z jego załogi powrócił tylko jeden marynarz, skamłający plugawiec. Bełkotał, że uridezu, który był kapitanem statku został pokonany, i jeszcze coś o straszliwej burzy. Poddaliśmy go ognistemu smagnięciu i torturze wrzącego oleju, ale był w stanie podać nam tylko jedną sensowną informację, że tuż przed utratą statku, załoga zawinęła do miasta w waszym świecie. Nazwa miasta nic nam nie mówiła, ale może wy ją znacie - Zanhoriloch.

W przeciwieństwie do Quenthel, która przysłuchiwała się uważnie słowom demona, Valas wyglądał, jakby w ogóle go nie słuchał. Całą uwagę skupił na czyszczeniu sztyletu z lepkich smug krwi. Danifae stała za nimi z wyraźnie sceptycznym wyrazem twarzy, bawiąc się pierścieniem. Jeggred, znudzony, lizał ranę na nadgarstku.

- Ta informacja jest bezużyteczna - powiedziała Quenthel. - Jak mamy znaleźć ten statek, zakładając, że w ogóle istnieje? Nigdy nie słyszałam o takiej nazwie miasta.

- Ja słyszałem - rzekł Valas. Kiedy pozostali odwrócili się w jego stronę, jeszcze raz przesunął szmatką wzdłuż sztyletu kukri, po czym wsadził go z powrotem do pochwy. - To miasto abolethów.

Pharaun przewrócił oczyma.

- Robi się coraz weselej. Rybi ludek to ostatnie istoty, z którymi chciałbym mieć do czynienia.

Danifae poruszyła się gwałtownie.

- Pani - powiedziała. - Pharaun ma rację. Czy nie powinniśmy...

- Milcz - warknęła Quenthel. - Widziałam, jak się kulisz ze strachu, jak trzymasz się z tyłu niczym tchórzliwy mężczyzna i jestem już tym zmęczona. Jeśli będę chciała poznać twoje zdanie, kapłanko, zapytam o nie.

Danifae zrobiła, jak jej kazano, zaciskając ze złością wydęte usteczka.

- Zanhoriloch znajduje się niedaleko stąd - ciągnął Valas. - W jeziorze Thoroot.

- W jeziorze Thoroot? - zapytała Quenthel.

- Abolethy mieszkają pod wodą.

- Jak daleko stąd? - zapytała wysoka kapłanka.

Zwiadowca zmarszczył brwi, zastanawiając się.

- Jeśli uda mi się znaleźć właściwy tunel - rzekł - podróż zajmie tyle czasu, ile zajmuje żarowi dotarcie do szczytu Narbondelu.

Quenthel rozważyła jego słowa, po czym zapytała:

- Jak duże jest to jezioro?

- Ogromne - odparł Valas. - W każdym razie wystarczająco duże, żeby zmieściło się w nim miasto.

- Albo statek - zastanawiała się na głos Quenthel. - Jeśli statek chaosu napotkał burzę zaraz po opuszczeniu Zanhoriloch, może się znajdować na dnie jeziora. Jeśli rzeczywiście tak jest, tylko abolethy wiedzą o jego istnieniu. - Zerknęła na Belshazu i wyraz jej twarzy stwardniał. - O ile wciąż jest cały. Powiedziałeś, że demony „utrąciły” go podczas burzy, Belshazu? Jak bardzo został uszkodzony?

Belshazu wzruszył ramionami.

- Mane twierdził, że jest cały.

Oczy Quenthel zwęziły się.

- Więc dlaczego demony nie próbowały go odzyskać?

Oczy Belshazu błysnęły.

- Nie słuchałaś drowko? Powiedziałem, że zaginał - na tym najplugawszym z planów. Jak mieliśmy go odnaleźć?

Pharaun, przysłuchując się w milczeniu rozmowie, zauważył, że Danifae wpatruje się w niego. Przesunęła się nieco, tak że Quenthel znalazła się pomiędzy nią a demonem. Skupiwszy na sobie uwagę maga, odezwała się do niego na migi za plecami Quenthel.

- *Teraz demony wiedzą już, gdzie jest miasto. W chwili, w której uwolnisz tego...*

Pharaun wykonał nieznaczny ruch palcami.

- *Tak.*

Wolał nie mówić nie więcej. Z tego co wiedział, Belshazu rozumiał język migowy.

To Valas jak zwykle zadał praktyczne pytanie.

- Kiedy już znajdziemy statek i wydobędziemy go z jeziora, jak nim płynąć?

Belshazu uśmiechnął się chytrze.

- Statek ma usta. Trzeba go tylko nakarmić.

Pożądlivy uśmiech Quenthel w niczym nie ustępował uśmiechowi demona. Widząc, jak zerka w jego kierunku, Pharaun nie miał żadnych wątpliwości, kogo najchętniej cisnęłaby w gardziel statku demonów.

- I? - dopytywał się Valas, wciąż zainteresowany stroną praktyczną. - Kiedy okręt zostanie nakarmiony, co mamy dalej robić?

- Płynąć - odparł szyderczo Belshazu. - Statek ma żagle, takielunek i rumpel. Złapcie wiatr i płyncie. Najpierw w górę Rzeki Ceni i w poprzek Jądra Cieni. Po dotarciu do Otchłani rzeka rozgałęzia się. Pomniejsze odnogi uchodzą do przejść na Planie Nieskończonych Portali. Jedno z nich prowadzi na sześćdziesiąty szósty poziom. Płyncie prawą odnogą, a statek zanieśe was do Otchłani Demonów.

Pharaun nie odzywał się. Wszystko to budziło w nim wątpliwości. Ale Quenthel błyszczały już oczy. Żmije przy jej biczu zaczęły się miotać, nie mogąc się doczekać, aż ich pani wyruszy na poszukiwanie okrętu - najlepiej natychmiast.

- Dziękujemy, Belshazu - zwróciła się do demona wibrującym głosem. - I przepraszamy za niedogodności, na jakie naraził cię mag. - Wbiła zimne spojrzenie w Pharauna i rozkazała krótko: - Uwolnij go.

Stojąca za jej plecami Danifae zaczęła gwałtownie gestykulować:

- *Nie! Demon zaczeka przy statku, aż...*

Z szybkością jednej ze swoich żmij Quenthel obróciła się i jednym płynnym ruchem wyszarpnęła bicz z za pasa. Sycząc z radości, węże rzuciły się na Danifae.

- Kazałam ci milczeć! - wrzasnęła Quenthel.

Wzięta z zaskoczenia Danifae zareagowała za późno. Odskoczyła w tył, ale najdłuższa ze żmij drasnęła ją w policzek zębami. Spełniwszy swoje zadanie, żmija zwinęła się z powrotem, przyglądając się siniejącym czerwonym kreskom, jakie zostawiła w miękkim ciele drowki. Jej jad rozplątał się po ciele dziewczyny, która osunęła się na kolana, z trudem łapiąc oddech.

Quenthel wpatrywała się zimno w Danifae, głaszcząc łeb żmii, która zadała niemal śmiertelny cios.

- Nie martw się - powiedziała do branki. - Zinda jest największy, ale jego jad jest najmniej trujący. Będziesz żyć, jeśli jesteś wystarczająco silna. - Ignorując łkania Danifae, odwróciła się do Pharauna. - A więc?

Pharaun po raz kolejny uklonił się - tym razem nieco głębiej - i zajął się najbardziej nagłą kwestią. Ostrożnie.

- Mogę wymówić słowo, które uwolni Belshazu, ale nie będzie mógł powrócić do Otchłani, dopóki lód nie stopnieje.

- Więc sam go stop - warknęła. - Napełnij jaskinię kulą ognistą.

Pharaun uniósł brew.

- Niestety, wiedząc, że znajdziemy się pod ziemią, nie przygotowałem tego zaklęcia - powiedział, opanowując pokusę powiedzenia tego, co naprawdę myśli.

Quenthel wykazuje się jeszcze większą głupotą niż zwykle - dlaczego, zastanawiał się Pharaun, pozostali dalej słuchają jej rozkazów?

Jegged był bezmyślnie, niewolniczo oddany najwyższej rangą kobiecie ze swojego domu, a Valasowi płacono za lojalność. Ale Danifae musiała sobie zdawać sprawę, że jej niesłabnąca wierność nie zostanie nagrodzona. Zwłaszcza że Lolth milczała i najprawdopodobniej nie przyglądała się poczynaniom swoich służek.

Valas odchrząknął.

- Lód w końcu się stopi - zauważył obojętnym tonem. - Czym jest dzień czy dwa dla demona?

Gdy Quenthel odwróciła się w jego stronę, rozwścieczona jego „bezczelnością”, Pharaun wreszcie zrozumiał, o co jej chodzi. Chciała przypochlebić się Belshazu. Tak jak jej siostra Triel Quenthel pragnęła pewnego dnia połączyć się z demonem. I to nie pierwszym lepszym demonem.

Pharaun spojrział na Jeggeda, który przysiadł u boku Quenthel z kłami obnażonymi w niemym warknięciu. Zwaliste monstrum może zostało pobłogosławione przez Lolth, ale Menzoberranzan nie potrzebowało jeszcze jednego draeglotha. Jeden stwór zanieczyszczający powietrze swoim cuchnącym oddechem w zupełności wystarczał.

- Jestem pewien, że Belshazu zapamięta, że wstawiłaś się za nim - zapewnił Quenthel. - Jestem też pewny, że... spojrzysz na siebie przychylnie... gdy nadejdzie czas.

Demon uśmiechnął się lubieżnie, wpatrując się w kapłankę z wywalonym jęzorem. Kozie rogi nadawały mu wygląd satyra - jeśli pominąć okaleczone ciało i pojedyncze kleszcze.

Pharaun wzdrygnął się.

- Doskonale - powiedziała w końcu Quenthel. - Wymów słowo uwalniające demona, Pharaunie, i niech Belshazu odnajdzie drogę do Otchłani w swoim czasie. Kiedy lód stopnieje.

- Zrobię to... gdy tylko się stąd wydostaniecie. - Ślizgając się po lodzie, Pharaun ominął demona tak, aby nie znaleźć się w zasięgu drugiej pary kleszczy i wdrapał się do pozostałych. Rozejrzał się dookoła, po czym zapylał: - A gdzie Ryld?

Danifae, której organizm zwalczył już najgorszy jad, trzęsąc się, wstała z kolan i odparła:

- Usłyszeliśmy... hałas w tunelu za nami. Tuż przed tym... jak demon się uwolnił. Ryld poszedł sprawdzić... co to.

- Powinien był już wrócić - stwierdził Pharaun z nutą niepokoju w głosie.

Quenthel popatrzyła na Jeggeda i kiwnęła brodą. Draegloth oddalił się wielkimi susami w głąb tunelu i wrócił chwilę później z grotem ułamanego bełtu. Podał go Quenthel, pociągając nosem.

- Krew - warknęła. - Rylda.

- Powinniśmy go poszukać - powiedział Pharaun.

Ruszył w górę tunelu, ale Quenthel złapała go za ramię.

- Jeszcze nie skończyłeś - powiedziała, wskazując demona. - Poza tym to bez sensu. Fehmistrz albo nas dogoni, albo nie. Musimy się stąd wydostać, inaczej zostaniemy uwięzieni w tym ślepym korytarzu. Bełt pochodzi z kuszy leśnego elfa.

- Ona ma rację - potwierdził Valas.

Pharaun niechętnie kiwnął głową. Nawet ranny, Ryld potrafił się o siebie zatroszczyć. W końcu do nich dołączy. Ale odkąd zauważyli, że fehmistrz zniknął, Pharaun dotkliwie odczuwał jego nieobecność. Po jego zniknięciu nie pozostał mu nikt, kto osłaniałby mu plecy. Albo z kim mógłby się przekomarzać. Jeśli Ryld jest martwy, Pharaunowi będzie go brakować. Może nawet kilka dni.

Quenthel spojrzała na Danifae, która wciąż była na czworakach.

- Jeśli przestałaś się już nad sobą użalać, możesz wstać - powiedziała. - Musimy znaleźć ten okręt. Quenthel wyszła za Valasem z jaskini, a żmije przy jej biczu syczały szyderczo. Jeggred po raz ostatni warknął przez ramię na Belshazu, po czym skoczył za swoją panią.
Gdy tylko zyskał pewność, że Quenthel już go nie widzi, Pharaun schylił się i podał Danifae rękę. Zmierzyła go badawczym spojrzeniem, jak gdyby zastanawiała się, czy nie wyładować na nim hamowanej do tej pory wściekłości, a potem pozwoliła mu się podnieść. Podtrzymując ją, odprowadził do tunelu, po czym odwrócił się i wymówił słowa zaklęcia, a potem spiesznie dołączył do niej.
Belshazu wygrażał mu zdrowymi szczypcami.
- Jeszcze się spotkamy, magu! - ryknął.
Pharaun zachichotał, wspinając się korytarzem w górę.
Kiedy piekło stopnieje, Belshazu.
Co było mało prawdopodobne, jako że właśnie rzucił na lód zaklęcie trwałości.

ROZDZIAŁ 6

Świat tonął już w mroku, gdy Ryld wynurzył się z tunelu. Dotarcie na powierzchnię zajęło mu trochę czasu. Wiszący nad czubkami drzew księżyc w pełni był częściowo ukryty za chmurami, ale rzucał dość światła, by utrudniać fehmistrzowi widzenie w ciemności. Na śniegu przykrywającym zrujnowaną świątynię pełno było śladów stóp, ale Ryld zdołał odszukać te należące do kleryka i wojowników domu Jaelre. Prowadziły tylko w jedną stronę - do wnętrza tunelu. Kleryk musiał uciec inną drogą.

Ryld przyjrzał się drzewom, sprawdzając czy w lesie nie przyczaili się przypadkiem inni wojownicy Jaelre. Nie widząc nikogo, wyczołgał się z wylotu korytarza.

Chwilę później usłyszał cichy, melodyjny gwizd. Rozpoznał melodię.

- Halisstra? - wyszeptał.

Halisstra rozproszyła zaklęcie czyniące ją niewidzialną i rzuciła mu się w objęcia.

- Ryld! - zawołała. - Myślałam, że nie wrócisz.

Chciał zapytać, dlaczego w niego zwątpiła, ale przycisnęła usta do jego ust, całując go. Przez dłuższą chwilę odwzajemniał jej uścisk, gorączkowo chłonąc jej zapach i smak. Żyła! Potem przypomniał sobie wojowników, których zabił - i kleryka, któremu udało się zbiec.

- Nie możemy tu zostać - powiedział. - Jaelre wpadli na nasz trop. Pod ziemią natknąłem się na jeden z ich oddziałów zwiadowczych.

- Wiem - odparła, zaskakując go. - Widziałam trzy elfy przemykające się lasem tuż po zachodzie słońca. Usłyszeli mnie i skierowali się w tę stronę. Nie udało im się mnie znaleźć, chociaż szukali bardzo długo po znalezieniu moich rękawice.

- Cieszę się - wyszeptał Ryld. - Nie musisz się już nimi przejmować. Są martwi.

Usłyszał, jak ze świstem wciąga powietrze w płuca i pomyślał, że to reakcja na jego słowa. Ale zaraz uświadomił sobie, że powodem był uścisk jego dłoni na jej ramieniu. Była ranna. Gdy obrócił jej rękę, zobaczył ukłucie tuż pod miejscem, gdzie kończył się rękaw kolczugi. Rana została uleczona - zapewne w magiczny sposób - ale niedawno, skoro drowka wciąż odczuwała ból.

- Chyba odzyskałem twoje rękawice - powiedział. - Co się stało?

- Żądłaki. Dziesiątki żądłaków, ale są już martwe.

- Jak?

- Poraziłam je magią, a potem rzuciłam na siebie czar niewidzialności.

- Zagrałaś na lirze?

Kiedy Halisstra potrząsnęła głową i wyszczerzyła zęby, Ryld zamrugał ze zdziwieniem.

- Więc jak? - zapytał. - Czy Lolth się przebudziła?

Halisstra roześmiała się wzdorliwie.

- Sprawdźmy. Obudziłaś się, Lolth? Widzisz to?

Uśmiechając się dziko, wykonała bluźnierczy gest, odwracając dłoń wnętrzem do góry i układając palce w znak martwego pająka.

Ryld skulił się, ale kilka uderzeń serca później, gdy nic się nie stało, rozluźnił się powoli.

Halisstra uśmiechnęła się i pogłaskała ręką miecza odebranego kapłance Eilistrae.

- Znalazłam nowy sposób czarowania. Nie potrzebuję już mojej liry - ani Lolth.

Ryld kiwnął głową, zaniepokojony nie tyle jej bluźnierstwem, co strachem przed tym, co może się wydarzyć. Nad ich głowami wisiał księżyc symbol bóstwa, które wyгнаło Lolth z Arvadoru. Czy Corellon albo inny z bogów powierzchni uzna Halisstrę za swoją?

Starając się zlekceważyć swoje wątpliwości, Ryld spojrzał spode łba na ruiny świątyni boga stwórcy.

- Powinniśmy się zbierać - powiedział ostrzej niż zamierzał. To miejsce jest niebezpieczne.

Halisstra wpatrywała się w niego przez chwilę, a potem kiwnęła głową.

- Chodźmy.

* * *

Ryld szybkim ruchem ręki zwrócił uwagę Halisstry.

- *Nie ruszaj się*, - pokazał na migi. A potem: - *Słyszysz to?* - Przez resztę nocy szli przez las, nie słysząc nic oprócz miarowego bębnienia deszczu, który topił im śnieg pod stopami, ale teraz gdzieś z przodu dobiegło ich wycie jakiegoś zwierzęcia. Chwilę później odpowiedział mu drugi skowyt, nieco z

prawej, który zakończył się serią krótkich, podnieconych szczeknięć. Szczeknięcia układały się w ciąg, który przypominał mowę.

- *Jest ich przynajmniej dwoje*, odparła Halisstra.

Ryld kiwnął głową. Wbił wzrok w las, ale blask wschodzącego słońca, padający ukośnie z przerwy pomiędzy ciężkimi chmurami, zupełnie go oślepił.

Halisstra sięgnęła po miecz, migając:

- *Zbliżają się w naszym kierunku.*

- *Tak. I to szybko, ale...* - Po chwili nasłuchiwania usłyszał wysokie, zaniepokojone szczeknięcie. - *Nie poluj. Uciekają przed czymś.*

Z ponurą miną i mokrymi włosami opadającymi na ramiona pancerza, Halisstra dobyła miecza. Ale ku jego zaskoczeniu odwróciła go i przytknęła rękojeść do ust.

- *Lewituj*, pokazała wolną dłoń. *Ukryj się.*

Przycisnęła wargi do rękojeści i dmuchnęła, a powietrze wypełniła niesamowita muzyka. Chwilę później znikła. Ryld poznał, że nadal stoi w tym samym miejscu, patrząc na ziemię. Był to jedyny punkt, gdzie nie padał deszcz.

Gdy wycie i ujadanie zbliżyło się, Ryld dotknął swojej broszy. Bezszelestnie uniósł się w powietrze pomiędzy przemokniętymi gałęziami. Zatrzymał się na wysokości dziesięciu kroków i naciągnął kuszę. Chwilę później usłyszał w zaroślach w dole jakiś szelest. Jego oczom ukazało się ogromne szare zwierzę pędzące na czterech pałkowatych nogach z wywieszonym językiem i wytrzeszczonymi ślepiami. Biegając, rozglądało się na boki, ale z jego oczu nie wycierało przerażenia dzikiego stworzenia, lecz żywa inteligencja, jak gdyby szukało kryjówki. Szczeknęło raz, z lasu odpowiedziało mu ujadanie towarzysza, po czym zniknęło.

Ryld mógł strzelić do niego z kuszy, ale nie zrobił tego. Wolał zachować magiczny bełt dla tego czegoś, co goniło drapieżnika. Nie musiał długo czekać. Chwilę później usłyszał, jak coś wielkiego przedziera się przez las dudniącym krokiem. Chód wskazywał na człowieka, ale trzask gałęzi i ciężkie sapanie powiedziały Ryldowi, że istota jest o wiele większa. Kiedy wreszcie zobaczył, jak stwór jednym niedbałym machnięciem ręki łamie na pół smukłe drzewko, przekonał się, że miał rację.

Był to troll.

Dwa razy wyższy od drowa i prawie pięć razy cięższy, troll miał cętkowaną, szarozieloną skórę pokrytą szarymi gruzełkami. Kuśtykał naprzód na pokracznych trójpalczastych stopach, a jego gumowate ramiona były tak długie, że kłykcie wlokły się po ziemi, zostawiając bruzdy w mokrej brei. Z niskiego czoła wyrastały czarnozielone włosy opadające na plecy splątana, brudna grzywa, i nawet w silnym deszczu jego ciało wydzielalo ohydny odór, coś pośredniego między ludzkim potem a odchodami rothe. Ryld patrzył z góry, jak troll przystaje. Z kącików jego zasapanego pyska pełnego połamanych zębów pociekły strużki śliny. Fehmistrz znów powstrzymał się od strzału z kuszy. Bełt tylko rozjuszyłyby trolla i uświadomił mu, że ktoś tu jest.

Po chwili, odzyskawszy oddech, troll był znów gotów do biegu. Nagle gwałtownie odwrócił głowę w bok, a jego nozdrza rozdęły się.

- *Halisstro! Uważaj!* - krzyknął Ryld, bardziej po to, żeby przyciągnąć uwagę trolla, niż żeby ostrzec Halisstrę, która z pewnością sama go obserwowała.

W tej samej chwili strzelił. Bełt śmignął w stronę celu, ale tuż przed ugodzeniem trolla odbił się od gałęzi. Zamiast wbić się potworowi w oko, bełt wyciął mu bruzdę na czubku głowy. Uderzenie serca później draśnięcie zagoiło się.

Troll, zwęszywszy Halisstrę, przeczesywał powietrze przed sobą długimi machnięciami szponiastych łap. Musiał się znaleźć niebezpiecznie blisko, ponieważ chwilę później drowka stała się widzialna, a jej długi miecz przeciął powietrze. Troll głupio sparował cios łapą i stracił dwa palce, które upadły na ziemię, wijąc się w mokrym śniegu.

Stwór machnął drugą ręką, przejeżdżając nią przez pierś Halisstry. Magiczna kolczuga uchroniła drowkę przed zranieniem, ale siła ciosu odrzuciła ją do tyłu. Pośliznęła się na rozmokłej ziemi i upadła. Wyczuwając łatwą zdobycz, troll skoczył i Halisstra dopiero w ostatniej chwili zdołała unieść tarczę. Zęby trolla wgrzyły się w jej brzeg, miażdżąc go. Troll potrząsnął łbem, wyrывая Halisstrze tarczę z ręki. Przygwożdżona do ziemi ciężarem klęczącego na niej potwora, nie była w stanie użyć miecza.

Rozprasząc magię lewitacji, Ryld spadł w dół pomiędzy gałęziami. Wylądował w pozycji bojowej, jednym płynnym ruchem dobywając Rozpruwacza z pochwy przewieszanej przez plecy.

Wkładając w cios całą siłę, zamachnął się trzymanym oburęcznie wielkim mieczem i poczuł, jak klinga przecina szyję trolla. Odrąbana głowa wyleciała w powietrze, mrugając głupio ślepiami, spadła na ziemię i odturlała się na bok. Bezgłowe cielsko podniosło się na nogi i odwróciło w stronę Rylda, który następnym ciosem rozplątał mu żołądek, z którego wylały się cuchnące wnętrzności.

Bezgłowy wypatroszony troll kuśtykając, zagłębił się wreszcie w las.

Halisstra leżała na placach na mokrej ziemi, dysząc. Deszcz rozpryskiwał się na jej twarzy. Martwiąc się, że może natychmiast potrzebować magii uzdrawiającej, Ryld schylił się, żeby jej pomóc...

... i został powalony na ziemię ciosem, który powinien był przewidzieć. Odtaczając się szybko w bok, zobaczył, że troll wrócił. Stwór kuśtykał w jego stronę, jedną ręką przyciskając odrąbany łeb do kikuta szyi, a drugą usiłując go dosięgnąć. W chwili, gdy zerwał się z ziemi, odskakując poza zasięg jego szponów, zobaczył, jak z węzłów mięśni na karku trolla wystrzelają w górę ścięgna, które wspinają się w górę, wczepiając w łeb. W mgnieniu oka przyszyły łeb z powrotem do ciała, zaś wnętrzności, które wylały się z rozplatanego brzucha, zostały wessane z powrotem do wnętrza rany. Palce, które odcięła mu wcześniej Halisstra, zaczynały już odrastać. Na pieńkach pulsowało już szaroróżowe mięso.

Skacząc naprzód, po raz drugi ciął potwora w kark, ale ten, w przeciwieństwie do fehmistrza, spodziewał się ataku. Uchylił się ze zdumiewającą szybkością, po czym rzucił się naprzód, zaciskając gumowatą rękę na dłoni Rylda. Mężczyzna usłyszał trzask kości i jęknął. Choć potworowi brakowało dwóch palców, jego pięść z niewiarygodną siłą miażdżyła dłoń fehmistrza. Troll wyrwał mu Rozpruwacza z ręki i odrzucił go na bok.

Halisstra zdołała podnieść się z ziemi i zasypywała plecy trolla gradem ciosów, a jej miecz wydawał przy tym dziwne, przypominające granie fletu dźwięki. Stwór stękał przy każdym uderzeniu jak niewolnik smagany batem, ale ignorował głębokie rany na plecach. Obróciwszy się, odepchnął drowkę ciosem, od którego zatoczyła się do tyłu. Ryld wyszarpnął krótki miecz i wbił go w miejsce, gdzie powinno się znajdować serce trolla, ale choć klinga zagłębiła się w gumowatej piersi stwora po rękojeść, nie wywarło to na nim żadnego wrażenia.

Ręka potwora wystrzeliła do przodu z szybkością jednej ze zmij Quenthel i owinęła się Ryldowi wokół szyi. Potężne palce zacisnęły się, utrudniając mu oddychanie. Mężczyzna poczuł w całym ciele przypływ magicznej energii pochodzącej z noszonego na palcu pierścienia w kształcie smoka, który utwardził jego ciało pod szponami trolla - ale było już za późno. Tchawica fehmistrza zacisnęła się. Puszczając miecz, wciąż zatopiony po rękojeść w piersi potwora, uderzył zeszywniałymi palcami w miejsca, gdzie powinny znajdować się punkty paraliżujące, ale wzdrygnął się tylko z bólu. Równie dobrze mógłby próbować wbić palce w skałę.

Halisstra znów włączyła się do walki i zdołała odciąć jedną ze stóp potwora poniżej kostki. Troll zachwiał się, ale szybko odzyskał równowagę, balansując na kikucie. Odplacił Halisstrze ciosem pazurów, który poszarpał jej kolczugę, wrywając z niej jedno ogniwo.

Nie mogąc oddychać, Ryld krzyknął w jedyny możliwy sposób:

- Uciekaj! Ze mną już koniec!
- Nie! - wydyszała. - Nie zostawię cię!

Skoczyła naprzód, zasypując trolla wściekłym gradem uderzeń. Ryld, obserwując ją okiem mistrza, zauważył, że wystawiła się niechcący na cios, który musiał okazać się śmiertelny.

Choć Ryld powinien przyglądać się jej z dystansem osoby, która ma zaraz umrzeć i nie może na to nic poradzić, poczuł, jak w tej niemożliwie długiej chwili rozciągającej się pomiędzy dwoma słabnącymi uderzeniami serca zalewa go dziwne uczucie, głęboki smutek i poczucie bezmiernej straty. Nie tylko dlatego, że Halisstrę czekała śmierć, ale dlatego, że jej śmierć oznaczała koniec czegoś, co Ryld dopiero odkrył: prawdziwej przyjaźni - może nawet miłości. Miłości, która sprawiała, że jedna osoba była gotowa poświęcić własne życie w beznadziejnej próbie ocalenia drugiej. Kiedy ich spojrzenia spotkały się, Ryld uświadomił sobie, że zrobiłby to samo dla Halisstry i zobaczył, że ona o tym wie. Zobaczył też coś, czego nigdy nie widział w oczach innego drowa - zaufanie.

W tej samej chwili z lasu wypadła drowka z twarzą oblepioną mokrymi od deszczu srebrystobiałymi włosami. Była naga, jeśli nie liczyć ciężkiego srebrnego łańcucha w pasie, na którym wisiał duży srebrny dysk i zakrzywiony myśliwski róg. Biegła pędem, z uniesionym nad głową mieczem, którego klinga połyskiwała srebrnym płomieniem. Z przeraźliwym, wysokim okrzykiem, który zabrzmiał jak pojedyncza nuta pieśni, cięła.

Brzeszczot wgryzł się głęboko w ramię trolla, a potem zapłonął. Srebrny ogień ogarnął

natychmiast jego cielsko, oślepiając Rylda. Fechmistrz wzdrygnął się, myśląc, że też zostanie poparzony, ale fala gorąca, której się spodziewał, nie nadeszła. Płomienie wydawały się buchać pieśnią, zamiast żarem, tańcząc w swoim własnym rytmie i liżąc gumowatą skórę trolla.

Rycząc, troll osunął się na kolana, skóra poczerniała mu od magicznego ognia. Ryld, mogąc znów oddychać, gdyż potężna dłoń puściła jego szyję, wciągnął powietrze w płuca. Choć skażone swądem palącego się mięsa, jeszcze nigdy nie smakowało mu tak słodko. Patrzył, osłupiały, jak ciało trolla zapada się w siebie, spopielone w ciągu kilku uderzeń serca przez srebrzyste płomienie.

- Dziękuję ci, pani - zwrócił się do drowki - zapewne czarodziejki albo kapłanki, i to potężnej. Ukłonił się jej głęboko.

- Ocaliłaś mnie i moją...

Głos mu zamarł, gdy zobaczył wyraz twarzy kobiety. Wpatrywała się w Halisstrę z zaskoczeniem i gorzką złością. Ryld wreszcie rozpoznał symbol na srebrnym dysku, który wisiał na łańcuchu u jej pasa. Był to miecz na tle otoczonego aureolą kręgu. Symbol Eilistraee.

- To pancerz Seyll - powiedziała kleryczka, przyglądając się kolczudze noszonej przez Halisstrę pałającymi oczyma. - To ty ją zabiłaś.

Nieznajoma wyrwała róg zza pasa i zadęła w niego, wydobywając pojedynczą, przeciągłą nutę. Chwilę później odpowiedziały jej głosy rogów pozostałych myśliwych.

ROZDZIAŁ 7

Nimor pochylił się nad rozłożoną na podłodze jaskini mapą Menzoberranzan, której rogi zostały obciążone kanciastymi bryłkami srebra wielkości pięści. Wskazał coś swoim rapierem.

- Pająk, którego chcemy zabić, ma dwie głowy - zwrócił się do pozostałej piątki, trzech duergarów i dwóch demonów, która zebrała się wokół mapy. - Należy odrąbać obie, a ciało umrze. - Sztych jego klingi dotknął południowego skraju miasta. - Jedną głową jest Qu'ellarz'orl, płaskowyż, na którym stoi pierwszy dom. Przesunął rapier, wskazując punkt na północnym krańcu miasta, gdzie główna jaskinia łączyła się z mniejszą. - Drugą jest Tier-Breche, pieczara mieszcząca trzy najważniejsze instytucje w Menzoberranzan: Sorcere, Melee-Magthere i, przede wszystkim, wielką świątynię Lolth, Arach-Tinilith.

- Twardy orzech do zgryzienia, a właściwie dwa stwierdził Horgar, który stał tuż obok Nimora, po jego lewej.

Książę szarych krasnoludów ledwo sięgał drowowi do pasa, ale był szerszy w barach niż szczupły Nimor. Wpatrywał się chmurnie w mapę, z roztargnieniem pocierając grubymi palcami łysą głowę. Jego dwaj gwardziści - duergarowie, tak jak on, jeden z blizną biegnącą od podbródka do ucha przez kość policzkową - obserwowali bacznie dwójkę półdemonów stojących po przeciwnej stronie mapy.

- W rzeczy samej, książę - odparł Nimor. - Właśnie dlatego chcę, żeby to duergarowie poprowadzili atak na Tier-Breche. Frontalny atak tunelem z północy. Wasze oddziały zbudują zapórę, zza której będą miotać z katapult bombami zapalającymi w Sorcere i Arach-Tinilith, dopóki nie zostaną z nich dymiące zgłiszcza.

- Łatwo powiedzieć - stwierdził Horgar - trudniej wykonać. W tunelu będzie się roić od jadeitowych pajaków. Może uda nam się pokonać jednego albo dwa, ale nie wszystkie.

Chichocząc, Nimor sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej pół tuzina płaskich owalnych jadeitów nanizanych na srebrny łańcuszek. Na każdym z nich widniało imię. Nimor potrząsnął nimi, aż zabrzęczały.

- Dzięki naszemu sojusznikowi, który zdołał przeniknąć w głąb Menzoberranzan, mogę wam zagwarantować, że nie będą stanowić żadnego problemu - oznajmił.

Książę prychnął.

- A gdzie będą wtedy tanarukowie? Będą mężnie osłaniać nam tyły?

Wywołało to pomruk Kaanyra Vhoka, który obnażył idealnie równe zęby i uderzył się rękojeścią pokrytego runami miecza w złoty napierśnik.

- Mój Znękany Legion jest gotów pokonać twoich ludzi w każdej chwili - warknął, spoglądając gniewnie znad mapy na krasnoluda o oszpeconej twarzy. - Nawet nasze orki mogłyby...

Aliisza pociągnęła go za ramię, przerywając mu w pół słowa. Spojrzał na nią gniewnie, ale wysłuchał tego, co wyszeptęła mu do ucha, po czym powoli opuścił miecz.

- Panowie, proszę - powiedział Nimor. - Wysłuchajcie mnie. - Odwrócił się do Vhoka. - Znękany Legion weźmie udział w walce. Zajmiecie Donigarten, źródło zaopatrzenia miasta w pożywienie i wodę, a potem spadniecie ze wschodu na Qu'ellarz'orl. Matki opiekunki będą zmuszone wycofać obrońców na południe, tym samym otwierając duergarom drogę od północy. Ale nie wszystkim duergarom. Przynajmniej jedna kompania musi pomaszerować wraz z tanarukkami i wmieszać się w ich szeregi, co przekona drowy, że wszystkie nasze siły biorą udział w ataku na pierwszy dom Menzoberranzan.

Vhok zmrużył oczy.

- Mamy być tylko przynętą?

- Ależ skąd - zapewnił go Nimor z błyskiem w oku. - Też macie szansę na zwycięstwo wielką szansę. Podjąłem kroki mające na celu wyeliminowanie domu Baenre z gry za pomocą małej niespodzianki, jaką przygotowałem dla jego matki opiekunki. Kiedy Triel zostanie usunięta, pozostałe drowki z domu Baenre zaczną rywalizować o jej tron. Kompanie, którymi dowodzą, zaczną ze sobą walczyć i będą zbyt zajęte, żeby zajmować się czymś tak nieistotnym jak obrona miasta. Kiedy pozostałe arystokratyczne domy zobaczą, że Baenre są w rozsypce, wyczują ich słabość i uderzą. Jeden lub kilka spróbuje objąć pozycję pierwszego domu. Kiedy będą zajęte walką ze sobą, żołnierze lorda Vhoka wślizną się do miasta i zajmą Qu'ellarz'orl.

Vhok skrzywił się.

- Interesująca teoria.

- To nie tylko teoria - odparował Nimor. Urwał, aby strzepnąć skalny pył z rękawów nieskazitelnie

skrojonej koszuli. - Taka jest drowia natura. Jesteśmy jak pająki reagujące na drganie pajęczyny. Kiedy myślimy, że ofiara znajduje się na naszej łasce, uderzamy. Ale tym razem ofiarą będą same drowy. Menzoberranzan upadnie. Gwarantuję to wam.

* * *

Triel chłodno przyglądała się więźniowi, który został przyprowadzony przed jej oblicze - młodemu drowowi. Leżał na wznak na podłodze jej sali audiencyjnej z nadgarstkami związanymi ciasno na plecach i kostkami skrępowanymi powyżej gołych stóp. Czarne spodnie i koszula wisiały na nim w strzępach, ukazując niezliczone skaleczenia, z których na posadzkę kapiała krew. Włosy po jednej stronie głowy miał spalone do krótkiej szczeciny, a twarz pokrytą pęcherzami. Jedno oko jeńca, zamknięte i zapuchnięte, łzawiło, ale drugie spoglądało na Triel wyzywająco.

Triel zmarszczyła nos, gdyż w powietrzu unosił się swąd spalonych włosów i mięsa. Bawiła się idealnie wyważonym sztyletem do miotania - jedynym, jaki pozostał w bandolierze drowa, kiedy go pojmano. Mrowienie palców, jakie poczuła, powiedziało jej, że broń jest magiczna - podobnie jak ostrza, które zabiły jej cztery elitarne gwardzistki.

- To broń skrytobójcy - zauważyła, podając go jednej z drowek stojących po jej obu bokach: dwóch gwardzistek uzbrojonych w tarcze i buzdygany, które zawsze jej towarzyszyły.

Trzecia gwardzistka - oficer - wystąpiła naprzód, żeby dokończyć raport.

- Intruz został schwytany na piątym poziomie, matko opiekunko - powiedziała. - Uważamy, że próbował się dostać do twoich prywatnych komnat.

Triel wpatrywała się w oficer, która pomimo wszystkiego, co się wydarzyło, wyglądała, jak gdyby właśnie rozpoczęła służbę. Jej adamantytowa kolczuga była lśniaco czarna, a długie białe włosy starannie splecione. Stała sztywno na baczność, u pasa wisiał jej wypolerowany buzdygan, a do obu nadgarstków miała przyczepione ręczne kusze. Pięć czarnych pajaków wyszytych na ramieniu srebrnej tuniki wskazywało na jej stopień.

- Jak dostał się do środka, kapitan...? - Triel nie dokończyła zdania, licząc na to, że drowka zrobi to za nią.

- Kapitan Maignith - odparła kobieta, spoglądając Triel w oczy dokładnie tak długo, jak wymagał tego protokół. - Nie dostał się do środka przez żadną z dolnych bram. Dokładnie przepętałam strażników. Wszyscy byli na swoich posterunkach, a magiczne bariery wciąż znajdują się na swoim miejscu. Nie prześliznął się między nami. Musiał się tu dostać z góry.

To powiedziawszy, kapitan Maignith spojrzała na drugiego oficera - porucznika jaszczurczych jeźdźców - który stał kilka kroków z tyłu, jak przystało mężczyźnie. Miał na sobie obcisłe, skórzane bryczesy i piwafwi oblamowane srebrem. Srebrny hełm z pióropuszem trzymał w zgięciu łokcia i najwyraźniej miał kłopot ze spojrzeniem Triel prosto w oczy.

- Matko opiekunko, ja... Moi jeźdźcy nie zauważyli niczego na zewnątrz - zająknął się.

Triel odnotowała z rozbawieniem tę zmianę podmiotu. Magiczny kolczyk powiedział jej, że porucznik mówi prawdę - w co święcie wierzył. Nie dosłyszała drżenia głosu, które nieodmiennie towarzyszyło kłamstwu.

Bawiła się trzonkiem zawieszzonego u pasa bicz, identycznego jak ten noszony przez Quenthel. Żmije syczały niecierpliwie, wyczuwając jej pragnienia. Porucznik zasługiwał na karę i zostanie ukarany w odpowiednim czasie.

Jej ręka zsunęła się z bata.

- Idź po swojego jaszczura - rozkazała.

Porucznik wahał się chwilę za długo z mieszaniną ulgi i zdumienia na twarzy. Potem, nagle przypominając sobie, gdzie jego miejsce, uklonił się głęboko i wyszedł z komnaty.

Jeniec uśmiechnął się półgębkiem, najwyraźniej zadowolony z zamieszania, jakie wywołało jego najście.

Triel, której nie spodobał się wyraz jego oczu, chwyciła różdżkę z plecionego żelaza, którą nosiła obok bicz. Na czubku różdżki osadzone było małe białe piórko, które wycelowała w jeńca, wymawiając słowo-rokaz. Z różdżki nie popłynęła w jego stronę żadna widzialna siła, ale efekt był natychmiastowy. Jeniec wrzasnął z autentycznym przerażeniem na całą salę i podciągnął nogi pod brodę. Gdyby miał wolne ręce, z pewnością objąłby nimi kolana. Kołysał się w przód i w tył, skamłając. Kiedy Maignith trąciła go czubkiem buta, znów krzyknął i odtoczył się w bok, zostawiając pomiędzy kropkami

krwi na posadzce plamę cuchnącej uryny.

Triel westchnęła w nadziei, że nie marnuje czasu. Tyle innych spraw czekało na załatwienie. Na przedmieściach Menzoberranzan armia duergarów, tanarukków i innych pomniejszych ras przygotowywała się do ataku na miasto. Triel powinna być teraz na naradzie wojennej, planując z dowódcami, jak odeprzeć najeźdźców, ale po nieudanej próbie zamachu na jej życie - nie pierwszej, rzecz jasna musiała się dowiedzieć, kto za nią stoi.

Czy jedna z jej sióstr uznała, że lepiej nadaje się na matkę opiekunkę? Czy powinna wzmocnić zabezpieczenia od wewnątrz? A może skrytobójcę nasłał któryś ze szlacheckich domów? Może Barrison Del'Armgo? To wydawało się mało prawdopodobne, gdyż w tej chwili drugi dom znajdował się w równie trudnej sytuacji co dom Baenre. Po druzgocącej klęsce pod Słupami Żalu Mez'Barris Armgo z trudem przedarła się z powrotem do miasta z niedobitkami swoich wojsk - i żalną opowieścią o tym, jak jej żołnierze zostali zapędzeni do bocznego tunelu i stracili czwartą część sił oraz cały tabor.

Czekając na powrót porucznika z jaszczurem, Triel podeszła do tronu, który niegdyś należał do jej matki. Przypominający kształtem ogromnego pajaka i wykuły z litego adamantytu fotel opierał się na ośmiu zakrzywionych nogach. Został nasycony potężnymi zaklęciami, między innymi magicznym symbolem, który natychmiast zwracał każdy magiczny atak na matkę opiekunkę przeciwko temu, kto był na tyle głupi, żeby się na niego poważyć. Tron był symbolem Lolth, lecz choć bogini zapadła w milczenie, wciąż działał, ponieważ nasycono go magią wtajemniczeń.

Siadając na tronie ze skrzyżowanymi nogami dwie gwardzistki przesunęły się, żeby stanąć po obu jej stronach pomyślała o Gromphie i po raz kolejny zadała sobie pytanie, gdzie się podział arcymag Menzoberranzan.

Drzwi otworzyły się i do sali audiencyjnej wpadł zatęchły odór jaszczura. Porucznik wszedł do środka, prowadząc swojego wierzchowca za uzdę. Jaszczur przycisnął się przez drzwi i ruszył po kamiennej posadzce, a odrywające się od niej przyssawki na jego stopach wydawały przy każdym kroku ciche plaśnięcie. Stwór był dwa razy dłuższy od drowa - trzy razy nawet, jeśli liczyć ogon - i wyglądał straszliwie. Jego błoniasta skóra jarzyła się błękitną luminescencją, która oświetlała mroczną komnatę. Gdy mijał jeńca, wysuwając i chowając język, odwrócił głowę w bok i zaciągnął się zapachem mężczyzny. Skrytobójca, wciąż czując na sobie efekt magii różdżki, załkał i skulił się.

Triel zabębniła palcami o zimny metal tronu.

- A więc - powiedziała, dzieląc się z porucznikiem swoimi obserwacjami - skrytobójca nie mógł się wdrapać po zewnętrznej stronie stalagmitu. Gdyby to zrobił, zwęszyłyby go jaszczury.

Porucznik zamknął oczy z ulgą.

- Nasuwa się zatem pytanie - ciągnęła Triel - jak się tu dostał?

Stojący obok porucznika jaszczur wysuwał i chował język, zlizując krew rozsmarowaną po posadzce. Jego okrągłe, czarne ślepia wpatrywały się w jeńca bez mrugnięcia powieką.

Triel uśmiechnęła się.

- Twój wierzchowiec wygląda mi na wygłodniałego, poruczniku - zauważyła. - Może zdejmij mu kaganiec i pozwól się pożywić jakąś mało istotną częścią, rzecz jasna.

Szczerząc zęby, porucznik wykonał rozkaz.

Ogon jaszczura drgnął niecierpliwie, a jego świecąca skóra momentalnie przybrała głębszy odcień niebieskiego, ale czekał na sygnał pana, zanim rzucił się na jeńca. Z głośnym trzaskiem zgruchotał zębami kości, odgryzając mu stopy poniżej kostek. Zabójca wydał z siebie pojedynczy krzyk, gdy jego stopy zniknęły w gardle jaszczura, po czym zemdłał.

Chwytnąjąc za wodze potwora, porucznik odciągnął go do tyłu.

Triel przyglądała się beznamiętnie tętniącej krwi rozlewającej się po posadzce.

- Zatamujcie upływ krwi - rozkazała.

Maignith posłusznie wystąpiła naprzód i stuknęła głowicą buzdyganu w każdy z kikutów. Magia oręza sprawiła, że głowica rozbłysła jasnym światłem, kauteryzując rany. Kiedy przestały skwierczeć, Maignith chwyciła za to, co zostało z włosów zabójcy i odgięła mu głowę do tyłu, siarczystymi policzkami usiłując przywrócić mu przytomność.

Powieka zdrowego oka skrytobójcy zamrugnęła, oko otworzyło się. Jego opalona twarz, jeszcze przed chwilą pulsująca purpurą, zrobiła się szara.

- Chcesz żyć? - zapytała Triel.

Wyglądało na to, że skrytobójca otrząsnął się już z efektów działania różdżki.

- I tak mnie zabijesz, bez względu na wszystko - wychrypiał.
- Niekoniecznie - odparła Triel. - Widać, że masz talent, skoro udało ci się dostać tak blisko moich komnat. Być może będę chciała kupić twoje usługi.
- Nie mam stóp.
- Dysponujemy magią regeneracyjną - odparła Triel.
- Już nie - powiedział skrytobójca, wzdrygając się przy próbie uśmiechu. - Lolth jest martwa.
- Triel zerwała się na równe nogi, wyrwijając zza pasa bicz.
- Błuznierca! - wrzasnęła.

Przez kilka uderzeń serca zmija przy jej biczu wily się wściekle, sycząc z furją. Jak on śmie tak do niej mówić? Do niej, pierwszej służki Lolth i matki opiekunki domu Baenre. Ale w głębi duszy zdawała sobie sprawę, że jej gniew jest spowodowany strachem. Brak raportów od Quenthel napępiał ją niepokojem, który wzrastał w miarę upływu czasu. Ale jeśli Lolth przerwie milczenie i dowie się, że Triel nie ukarała mężczyzny za jego bezczelność...

Uświadomiła sobie, że skrytobójca próbuje ją rozdrażnić. Sprawić, żeby do niego podeszła. Nie wiedziała, jak mógłby ją zaatakować, ranny i związany magicznym sznurem, ale nie przeżyłaby tylu wieków, gdyby nie doceniała swoich wrogów. Pogłaskała każdą ze zmij po kolei, żeby uspokoić je - i siebie - po czym zatknęła bicz za pas.

Triel utraciła łaskę Lolth, ale miała inne magiczne zdolności. Użyła jednej z nich, mocy swojego głosu. Nadając mu niskie, uwodzące brzmienie wibrujące magiczną energią, zaczęła zasiewać w umyśle jeńca pewną sugestię.

- Możesz mi powiedzieć, kto cię przysłał - powiedziała. - Jeśli to matka opiekunka innego domu, jest bezpieczna. Nie zamierzam marnować moich żołnierzy i atakować jej w chwili, gdy czeka nas oblężenie. Jeśli to jedna z moich siostr, możesz zyskać tyle samo służąc mnie. Więc powiedz mi... kto cię wynajął?

- Nie jestem zwykłym najemnikiem - wycedził mężczyzna.
- Oho, duma. Triel potrafiła to wykorzystać.
- Oczywiście, że nie. Jesteś dumny z tego kim i czym jesteś. Dlaczego nie miałbyś podzielić się ze mną tymi informacjami? Opowiadając mi o sobie, nie zdradzisz przecież matki opiekunki, której służysz.
- Nie służę żadnej kobiecie - warknął asasyn. - A już wkrótce żadnemu mężczyźnie. Pan w Masce zatroszczy się o to.

Zebrani w komnacie oficerowie i strażniczki stężeli, słysząc wymienione przez jeńca imię. Triel z wysiłkiem zapanowała nad sobą i skupiła się na informacji, którą właśnie z niego wyciągnęła.

Czczenie Vhaerauna było w Menzoberranzan surowo zakazane. Przyznawanie się do tego było równoznaczne z samobójstwem - powolnym samobójstwem, gdyż jego wyznawców zwykle poddawano przed śmiercią torturom, żeby wyciągnąć z nich imiona innych błuznierców. Skrytobójca właśnie podpisał na sobie wyrok śmierci, co oznaczało, że nie potraktuje serio żadnej z obietnic darowania mu życia.

Nie, on chciał umrzeć. I to powoli.

Triel spojrzała na niego z góry.

- Jeśli liczysz na nagrodę Vhaerauna, zastanów się - powiedziała. - Nie wypełniłeś misji. Będziesz miał szczęście, jeśli twój bóg uniesie maskę, żeby na ciebie splunąć. A twoi towarzysze spiskowcy są słabi i nieudolni. Spójrz tylko, kogo tu przysłali, chłopca? Nie są nawet warci mojej wzgardy.

Zdrowe oko skrytobójcy błysnęło.

- Śmieję się, póki możesz - rzucił. - Wkrótce będziesz płakać, kiedy odwiedzą cię Jaezred Chaulssin.

Triel uśmiechnęła się w duchu, zastanawiając się nad tą nazwą. Musiała to być jakaś organizacja - może powstała podczas stłumionego niedawno powstania niewolników. Czy mogli to być jacyś obszarpańcy, którzy uciekli z ruin miasta Chaulssin?

- Nigdy nie słyszałam o Jaezred Chaulssin - powiedziała pogardliwie. - To jasne, że są nie tylko bez znaczenia, ale także nieskuteczni.

Jeniec zaśmiał się chrapliwie.

- Na pewno nie są nieskuteczni. Mój pan sprowadził armię na wasze miasto.

Triel uczepiła się tej informacji.

- Twój pan jest zatem duergarem... a może tanarukkiem? To Kaanyr Vhok?

- Kimś znacznie większym. Znacznie większym niż najemnik Vhok. Mój pan posiada władzę, o

jakiej ty możesz tylko marzyć. To on doprowadził do waszej porażki pod Słupami Żalu.

Triel podniosła brew i zapytała:

- Doprawdy? - Zgadywała, o kim mówi skrytobójca, ale potrzebowała potwierdzenia. - Więc z pewnością życzyłby sobie, żebym poznała jego imię, żebym wiedziała, który mężczyzna ośmielił się zaatakować matkę opiekunkę Baenre w jej własnym domu. A może się mnie obawia, jak każdy dobrze ułożony chłopczyk?

Prowokacja, w połączeniu z siłą magicznej sugestii, przeważyła szalę.

- Mój pan nie jest zwykłym drowem - powiedział. - Nimor jest...

Ugryzł się w język, zdając sobie sprawę, że i tak powiedział już zbyt wiele.

- Nimor? - warknęła Triel. Nie знаła tego imienia. A potem uświadomiła sobie, kto to musi być. - Masz na myśli kapitana Zhayemda z domu Agrach Dyrr, nieprawdaż? Zdrajcę, który sprowadził na nas armię duergarów?

Więzień kiwnął buntowniczo głową.

- A wkrótce waszego pana.

Triel zastanowiła się nad tym chwilę. Imię Zhayemd było oczywiście przybrane. Czyżby przełożony skrytobójcy przywłaszczył też sobie miano szóstego domu? Jak daleko sięgała zdrada Agrach Dyrrów? Czy Nimor sam przekonał żołnierzy, żeby zaatakowali swoich sojuszników, czy miał poparcie całego domu? Było to ważne pytanie, jako że siedzibę Agrach Dyrrów oblegały siły, które można było wykorzystać w walce z duergarami i tanarukkami.

Triel postanowiła zalefować.

- Wiem, że twój pan nie należał do Agrach Dyrrów - powiedziała. - Nigdy wcześniej go nie widziałam a znam wszystkich starszych oficerów tego domu. Matka opiekunka Yasraena i ja... jesteśmy sojuszniczkami. Tak bliskimi jak to tylko możliwe w przypadku dwóch matek opiekunek.

- Yasraena Dyrr jest tylko pionkiem.

Triel zeszywniała.

- Co masz na myśli?

- Domem Agrach Dyrr rządzi mężczyzna - liczdrow. Vhaeraun przywrócił naturalny porządek rzeczy, tak jak to robi w całym Menzoberranzan, kiedy wygramy tę wojnę.

Triel usłyszała, jak ktoś obok wciąga ze świstem powietrze w płuca i przypomniła sobie o poruczniku. Z szybkością atakującego węża strzeliła z bata w jego stronę. Sycząc radośnie, pięć żmij zatopiło kły w jego ciemnym ciele. Oficer zeszywniał, zacharczał słabo i wywrócił oczami, po czym zwałił się na ziemię jak złamany stalaktyt.

Jego jaszczur pociągnął nosem i natychmiast zaczął go pożerać, przeżuując jego głowę z głośnym gruchotaniem.

Triel spojrzała na Maignith.

- Nikomu ani słowa - syknęła.

Maignith ukloniła się i popatrzyła znacząco na obie strażniczki po obu stronach Triel.

- Możesz liczyć na naszą dyskrecję, matko opiekunko.

Triel zajęła się z powrotem jeńcem. Była zachwycona tym, że wreszcie poddał się jej magicznej sile sugestii - ujawnił jej więcej informacji, niż ośmielała się marzyć. Oblizując usta jak jaszczur wietrzący krew, badała go dalej.

- Czy to liczdrow cię tu przysłał? Czy to za sprawą jego magii dostałeś się do środka?

- Nie... i nie.

- Więc kto cię tu wpuścił?

- Sam Nimor. I choć zawiodłem, on nie zawiedzie. Wasze osłony nie znaczą dla niego więcej niż pajęczyny. Z łatwością odprowadził mnie poprzez cienie do waszej „twierdzy”.

- Nimor jest w tych murach? - zawołała Maignith.

Skrytobójca uśmiechnął się pogardliwie i odparł:

- Był.

Oczy Triel zwęziły się. Nie dlatego, że Nimor zdołał zakraść się do serca domu Baenre - ogromnego stalaktytu, który został wydrążony, aby stworzyć Wielki Kopiec - ale dlatego, że opuścił go po dokonaniu podobnego wyczynu. Dlaczego nie został, żeby zaatakować ją osobiście? Po co zostawił słabszego sługę? Z pewnością wiedział, że ten mężczyzna zostanie pojmany.

Skrytobójca przerwał jej rozmyślania zbolałym śmiechem.

- Wkrótce sama przekonasz się o potędze i majestacie Nimora, kiedy poprowadzi ostateczny atak na ten dom. Oczywiście, jeśli dożyjesz...

Triel uświadomiła sobie, że asasyn wciąż spogląda na nią z wyzywającym błyskiem w oku. A jego wzrok kilka razy zsunął się na jej krzesło - ale tylko wtedy, kiedy myślał, że na niego nie patrzy.

- Straż! - krzyknęła. - Tarcze!

Kobiety po obu jej bokach natychmiast przyskoczyły do niej, ustawiając tarcze pomiędzy Triel i jedynym widocznym zagrożeniem skrytobójcą.

W chwili, w której dwie tarcze zderzyły się z brzękiem, salę audiencyjną wypełnił rozbłysk magicznej energii. Gorące płomienie wybuchły w miejscu, w którym leżał jeniec, i pomknęły na zewnątrz, a ich ryk uderzył w bębunki Triel z taką siłą, że niemal zagłuszył wrzaski strażniczek, których ciała poczerniały jak przypalone mięso.

Magia tarcz wytrzymała eksplozję i odbiła falę uderzeniową, która przetoczyła się nad, pod i wokół tronu, na którym skuliła się Triel. Poczula tylko przyływ ciepła i zobaczyła, jak pod wpływem wybuchu tarcze przesunęły się w jej stronę. Sam tron nie doznał żadnego uszczerbku wskutek wybuchu kuli ognistej, którą miał w sobie skrytobójca. Triel zgadywała, dlaczego. Atak był wymierzony w asasyna, który wniósł ją do sali, a nie w samą matkę opiekunkę. Informacje Nimora - i jego domysły co do miejsca, gdzie Triel będzie przesłuchiwać pojmanego skrytobójcę były bezbłędne.

Wszystko to Triel uzmysłowiła sobie w chwili dzwoniącej w uszach ciszy, która nastąpiła po wybuchu.

Maignith i pozostałe dwie strażniczki runęły na ziemię, poparzone do tego stopnia, że nie sposób ich było rozpoznać. Także jaszczur, zwinięty i leżący nieruchomo w kącie pomieszczenia był martwy, a jego skóra przestała się jarzyć.

Z ciała skrytobójcy nie pozostało nic prócz kości, żarzących się na czerwono jak węgle, znad których unosiły się smużki czarnego, oleistego dymu.

Triel zadrżała, świadoma, że od śmierci dzieliło ją uderzenie serca. Na chwilę poznała, co to strach. Nic dziwnego, że skrytobójca był taki skory do rozmowy. Musiał utrzymać ją w zasięgu zaklęcia, dopóki nie zadziałało.

Triel usłyszała czyjeś kroki w korytarzu - ktoś biegł w stronę sali audiencyjnej. Zaciśnęła mocno dłonie na nogach tronu, starając się powstrzymać ich drżenie. Spojrzała ponad poczerniałym trupem swojej gwardzistki, krzywiąc się na swąd spalonego mięsa, gdy do pokoju wpadła kapitan jej gwardii pałacowej. Oczy kobiety rozwarły się szeroko, gdy ogarnęła wzrokiem poczerniałe ciała na podłodze.

- Matko opiekunko - wydyszała, jak gdyby biegła z daleka. - Wróg zbliża się do miasta!

- Z której strony?

- Od strony jaskiń na południowym wschodzie. Nasze patrole stoczyły z wrogiem potyczkę w Pieczarze Siedmiu Macek i Jaskini Ablonsheira.

- Patrole napotkały tanaruków czy duergarów? - zapytała Triel.

- Jednych i drugich, ale głównie tanaruków.

- W jakiej liczbie?

Kapitan wzruszyła ramionami.

- Trudno powiedzieć. Ale wygląda na to, że ich armie połączyły siły i szybko przedzierają się przez Mroczne Władztwo. W każdej chwili mogą dotrzeć na przedmieścia.

Triel zgrzytnęła zębami. Czy był to zwód czy właściwy atak? Sądząc po kierunku, z którego nadciągali, duergarowie i tanarukowie zamierzali wkroczyć do Menzoberranzan przez jeden z dziewięciu tuneli pomiędzy Donigarten i skrajem płaskowyżu, ale z którego się wyłonią? I co będzie ich celem, jeśli uda im się dostać do wielkiej pieczary? W zwykłych okolicznościach Triel spodziewałaby się, że najeźdźcy będą przeć na północ, odcinając Donigarten i pola mchu, główne źródło zaopatrzenia miasta w wodę i pożywienie, aby mieć pewność, że Menzoberranzan nie będzie miało do nich dostępu podczas oblężenia. Ale zważywszy na moment skrytobójczego zamachu - który, gdyby się powiódł, pogrążyłby jej dom w całkowitym chaosie - być może istniał inny cel. Dom Baenre byłby pierwszym krokiem do ataku na sam Qu'ellarz'orl. Jeśli miała rację, główna siła uderzenia pójdzie tunelami położonymi najbliżej płaskowyżu.

Czy miała jeszcze czas, żeby zatkać lukę? Nie śmiała użyć do tego celu swojej osobistej gwardii. Będzie jej potrzebować do obrony kompleksu Baenre, jeśli wróg zdoła się wdrzeć do miasta. W pobliżu znajdowała się jeszcze tylko jedna kompania domu Baenre.

- Odwołaj naszych żołnierzy oblegających Agrach Dyrrów - rozkazała Triel. - Natychmiast wyślij ich do jaskiń pod wschodnim krańcem płaskowyżu. Każ im utrzymać je za wszelką cenę. I przekaz innym domom, żeby przysłały ludzi do obrony innych pieczar prowadzących do Narbondellynu. Zwłaszcza Barrisonom Del'Armgo. Nasze oddziały wezmą na siebie ciężar szturm, ale Del'Armgo muszą nas wesprzeć. Zostaw Agrach Dyrrów Xorlarrinom.

Kapitan ukloniła się.

- Jak każesz, matko opiekunko.

Gdy kapitan oddaliła się spiesznie, Triel zagryzła wargę, modląc się, aby podjęta decyzja okazała się słuszna.

Gdzie na Dziewięć Piekieł podziewa się Gromph, kiedy dom Baenre potrzebuje go najbardziej?

ROZDZIAŁ 8

Szkło.

Tafla szkła.

A za nią...

Szary kamień.

Ściany tunelu.

Blisko.

Za szkłem.

Gromph Baenre, arcymag Menzoberranzan, wpatrywał się bez mrugnięcia powieką w chropowaty kamień zaraz za ścianą swojego więzienia. Był uwięziony wewnątrz szklanej kuli. W całkowitej ciszy. Wewnątrz wydrążonej sfery leżącej na podłodze jakiegoś nieznanego tunelu. Nie mogąc się poruszyć, nie mogąc oddychać, nie będąc w stanie jasno myśleć.

Wpatrywał się we własne odbicie, zniekształcone przez wklęsłą powierzchnię szkła. Twarz miał surową, ale pozbawioną zmarszczek pomimo przeżytych siedmiu wieków, a to dzięki amuletowi wiecznej młodości przyczepionemu do piwafwi. Srebrzystobiałe włosy unosiły się wokół jego głowy, gdyż grawitacja istniała tylko na zewnątrz kuli. Oczy miał otwarte, nie mrugał.

Znużony przyglądaniem się własnej twarzy, wbił wzrok w ściany tunelu, zauważając jasną żyłkę kwarcu. Patrzył jak jest szeroka i jak wielkie są kryształy.

Czas mijał.

Chwilę później - dziesięć cykli, rok? - Gromph poczuł w umyśle łaskotanie. Świadomość. Czyjaś obecność. Zwracając ku niej umysł, Gromph poszukał jej. Zbierając wszystkie siły jak wyczerpany człowiek usiłujący podnieść głowę, skupił wolę.

- Kyorli?

Nic.

Czas mijał.

Wpatrywał się w żyłkę kwarcu, wyodrębniając w niej kryształ. Koncentrując się na jego fasetkach choć były zamazane przez wklęsłą taflę szkła przed jego oczyma - był w stanie skupić myśli.

Wiedział, że znalazł się wewnątrz szklanej kuli na skutek zaklęcia więżącego.

Zaklęcia rzuconego przez liczdrowa Dyrra.

Znajdował się głęboko pod miastem, w nieznanym mu tunelu, uwięziony w zaklęciu, które uniemożliwiało odnalezienie go nawet za pomocą magii wieszczącej.

Schwytany w pułapkę.

Czas mijał. Gromph spróbował otworzyć usta, zmusić powieki do mrugania, poruszyć palcami.

Nic.

Gdyby był w stanie zaczerpnąć powietrza, westchnąłby. Ale nawet gdyby mógł poruszać się i mówić - rzucić czar - nic by to nie dało. Zaklęcie, jakie rzucił na niego licz, było potężne i Gromph dobrze o tym wiedział. Jedyńm sposobem rozproszenia go było rzucenie na kulę równie silnego kontrzaklęcia. A mógł je rzucić tylko ktoś inny, z zewnątrz. Jeśli już samo to nie nastęrczało zbyt wielu trudności, zaklęcie mogło zadziałać tylko wtedy, jeśli zostanie rzucone w tym samym miejscu, co pierwotny czar więżący.

Gromph skrzywił się, świadomy ironii losu. Był arcymagiem Menzoberranzan, najpotężniejszym czarodziejem Miasta Pająków, znającym więcej czarów, niż większości magów się śniło. Ale nawet gdyby mógł rzucić czar życzenie, nic by mu z tego nie przyszło.

Znowu minął nieokreślony okres czasu. Gromph znów poczuł łaskotanie. Było bliższe i bardziej natarczywe.

Tak jak poprzednio skoncentrowanie się wymagało straszliwego wysiłku woli.

- Kyorli? - przekazał. - Pomóż!

Łaskotanie zniknęło. Gdyby jego ciało było do tego zdolne, Gromph zwiesiłby ramiona.

Nagle świat wywinął szalonego fikołka. Żyłka kwarcu zniknęła, a Gromph poczuł, że położenie jego głowy i nóg odwróciło się choć w jego sytuacji pojęcie góry i dołu nie miało większego znaczenia. Wpatrywał się w oczy ogromnego brązowego szczura dwa razy większego od kuli. Z jej wnętrza jego pysk wydawał się zniekształcony. Różowe łapki oparły się lekko o szczyt sfery, a wąsiki drżały, gdy zwierzę obwąchiwało zimne szkło.

Po dłuższej chwili Gromph zrozumiał swój błąd. To nie szczur był olbrzymi, tylko kula maleńka. Zakłęcie zmniejszyło go, tak że był mniejszy od szczura. Myślenie wciąż przychodziło mu z trudem, ale w końcu zauważył supełek na końcu bezwłosego ogona stworzenia.

- Kyorli! Pomóż mi. Zabierz mnie do domu.

- *Wracać?* - odparła szczurzyca bardziej emocjami niż słowami.

- Tak, wracać. Do miasta. Już.

Świat zawirował. Gromph widział, jak kamienne ściany uciekają w tył, podskakując jak szalone w górę i w dół, gdy kula, którą Kyorli popychała nosem i łapkami, potoczyła się po podłodze tunelu.

Nie, nie tunelu, po dnie wąskiej szczeliny w skale. Rozpadliny wielkości szczura.

Ściany nadal uciekały do tyłu. Na chwilę świat otworzył się na bezkresną ciemność, gdy Kyorli przetaczała kulkę przez podłogę ogromnej jaskini. W pewnej odległości Gromph dostrzegł błysk lawendowego światła: widzialne widmo faerzress. Potem plama magicznego promieniowania znalazła się za nimi, pochłonięta przez mrok.

Sfera toczyła się z grzechotem naprzód z Gromphem zawieszonym nieruchomo w środku, otoczonym całkowitą ciszą.

Wkrótce potem kula zatrzymała się gwałtownie pod ścianą.

- Co się stało? - zapytał Gromph.

Łapki szczura obróciły kulę. Gromph patrzył na ścianę jaskini, gdzie kilka kroków wyżej tunel biegł dalej po drugiej stronie szerokiej rozpadliny.

- *W górę!* - powiedziała Kyorli. - *Miasto.*

Szczurzyca wbiegła po ścianie w górę, a potem znowu w dół. Gromphowi świat zawirował, gdy jej łapki zaczęły bezskutecznie drapać o kulę, obracając ją dookoła. Po chwili Kyorli wspięła się znów w górę, weszła na krótko do tunelu, po czym wróciła na dół.

Gromph uświadomił sobie, że przecenił swojego chowańca. Kyorli była tylko szczurem i miała inteligencję szczura.

- Spróbuj inną drogą, - podsunął.

Kyorli wbiła w niego wzrok, poruszając wąsami. Potem, podrzuciwszy głowę w szczurzym odpowiedniku skinienia, znów zaczęła toczyć kulę. Gromph odkrył, że przesuwają go z powrotem tunelem, którym tu dotarli, przez jaskinię, gdzie jarzyło się faerzress, a potem następnym korytarzem.

Kiedy kula znów przestała się toczyć, Gromph zobaczył przed sobą rzekę. Miała tylko kilkanaście kroków szerokości, ale płynęła wartko. Gromph poczuł przypływ nadziei, rozpoznając ją. Podróżował już kiedyś tym tunelem, wiele lat temu. Był to jeden z podziemnych dopływów rzeki Surbrin. Uchodziła ona do Donigarten, jeziora, które dostarczało Menzoberranzan wody.

Ale wpływała w pozbawiony powietrza tunel. Gdyby Kyorli spróbowała płynąć za kulą, utonęłaby. Mogła wtoczyć kulę do rzeki i pozwolić wodzie zanieść Grompha do miasta, ale zanim sama dotarłaby do Menzoberranzan, prąd mógł już wynieść kulę z jeziora, w niższy bieg rzeki. Położenie Grompha mogło się zmienić na jeszcze gorsze.

Rozważał tę kwestię, choć powoli. Jego myśli były wciąż niemal stojącą kałużą. Po dłuższej chwili, w ciągu której Kyorli zdążyła zniknąć i pojawić się kilka razy, przysłała mu do głowy pewna myśl. Faerzress. Magiczna energia emitowana przez faerzress była niestabilna i nieprzewidywalna. Mogła zrobić z Gromphem różne dziwne rzeczy, a nawet go zabić. Ale jeśli będzie miał trochę szczęścia, może najpierw zmutować efekty wiążącego go zaklęcia.

- Zabierz mnie z powrotem do jaskini. Tam, gdzie żarzył się blask.

Świat zawirował wokół niego, gdy Kyorli wykonała polecenie. Blask znów się pojawił, gdy kula zatrzymała się.

- Bliżej.

Lawendowy blask zrobił się większy, jaśniejszy.

- Bliżej.

Blask rozszerzył się, wypełniając mu całe pole widzenia.

- Bliżej.

Kyorli zawahała się, ruszając nosem.

- *Niebezpieczeństwo*, - przesłała. - *Zbyt jasno. Boli.*

- Tak, - odparł Gromph. - Wiem. - Potem, wkładając w tę myśl całą swoją wolę, dodał jeszcze jedno słowo: - Bliżej.

Kyorli pchnęła kulę po raz ostatni i czmychnęła, przerażona.

Gdy kula potoczyła się, podskakując na nierównym podłożu, blask przybliżył się. Gdy kula zatrzymała się, blask otaczał ją ze wszystkich stron. Wciąż zeszywniały, Gromph pławił się w magicznym promieniowaniu. Faerzress albo go zabije, albo...

Jego mięśnie eksplodowały bólem, gdy wróciło mu w nich czucie. Chichocząc z zadowolenia, wstał. Kula zakotłosała się pod nim, zmuszając go do złapania równowagi. Sięgnął do kieszeni piwafwi i wyciągnął z niej drobny odłamek miki. Rzuciwszy ją sobie pod nogi, wymówił słowo, które powinno było aktywować zaklęcie niweczące. Nic się nie wydarzyło. Mógł się poruszać i mówić, ale rzucanie zaklęć było niemożliwe, dopóki tkwił wewnątrz kuli. Musiał zdać się na brutalną siłę, żeby dostać się tam, gdzie chciał.

Eksperymentując, przeniósł ciężar ciała do przodu, opierając się o gładką powierzchnię i wykonał niezdarne salto, gdy kula potoczyła się w przód.

Wymagało to wielu prób, ale w końcu Gromph nauczył się lak manewrować rękami i nogami, aby posuwać się naprzód jak szczur, zachowując równowagę, gdy kula toczyła się po ziemi. Kilka razy wybruszenie albo rozpadlina w ziemi sprawiły, że potoczył się w złą stronę, ale stopniowo, nabijając sobie przy okazji kilka bolesnych siniaków, zaczął wracać tunelem prowadzącym do rzeki.

Kyorli, która pokonała strach, gdy jej pan wydostał się z jasnego blasku faerzress, biegła za nim i od czasu do czasu naprowadzała kulę na właściwy kurs, popychając ją nosem albo łapką. Gdy dotarli do płynącej wartko rzeki, zaniepokoiła się i zaczęła biegać tam i powrotem wzdłuż brzegu.

- *Panie. Głęboka woda. Płynąć?*

- Nie, Kyorli. Tylko ja popłynę. Ty wracaj do Menzoberranzan drogą, którą tu przybiegłaś, tunelem prowadzącym w górę. Biegnij do Sorcere i sprowadź czarodziejów, których tam zastaniesz, na brzeg jeziora.

Szczurzyca zastanowiła się chwilę, poruszając wąsikami. Gromph uniósł rękę, przyciskając lekko dłoń do wewnętrznej powierzchni kuli. Kyorli przytknęła na chwilę nos do tego miejsca, a potem odwróciła się i zniknęła.

Gromph wziął głęboki oddech, przygotowując się do skoku do rzeki. Potem zachichotał. Nie ma potrzeby wstrzymać oddechu - magia kuli z pewnością wciąż działała, inaczej już dawno by się udusił w tak ciasnej, ograniczonej przestrzeni. Zakotłosał kulę w przód i spadł do rzeki.

Świat znów zawirował wokół niego, a potem była woda, obijanie się o kamienne ściany, od których kręcił się wokół własnej osi, a od czasu do czasu błysk świecącej ryby. Po jakimś czasie - jak długim, Gromph nadal nie był w stanie stwierdzić, ale musiał przepłynąć tunelem kilka mil - został rzucony na dno kuli. Sfera wznosiła się gwałtownie, niczym bańka, a potem wyskoczyła nad wodę, podskakując na powierzchni wielkiego jeziora.

Udało mu się! Dotarł do Donigarten!

Prostując się, Gromph spróbował przemieszczać się tak jak poprzednio, tocząc kulę po powierzchni jeziora. Ale kula tylko obracała się w miejscu. Uświadamiając sobie, że popełnił potencjalnie zabójczy błąd, zaklął. Jeśli Kyorli nie wróci do Menzoberranzan na czas i nie wypłynie w jezioro, żeby mu pomóc, będzie zdany na łaskę prądu. Gromph wysłał nieme wezwanie, ale nie usłyszał odpowiedzi. Z ciężkim westchnieniem wparł się mocno nogami w dno kuli, czekając, gdzie zanieśie go nurt.

Wynurzył się na powierzchnię niedaleko północno-wschodniego krańca wyspy leżącej na środku jeziora. Po jej brzegach dreptały bez celu stada rothe. Za wyspą Gromph widział żarzącą się iglicę Narbondelu. Pod nieobecność Grompha ktoś rzucał magiczny ogień na ogromny, skalny słup, aby oznaczyć początek „dnia” w Menzoberranzan, ale od jak dawna? Jak długo go nie było miesiąc, rok?

Gdy kula podpłynęła bliżej wyspy, Gromph jeszcze raz spróbował porozumieć się z Kyorli, ale na próżno. Czy szczurzyca nie zdążyła jeszcze dotrzeć do miasta? A może coś ją zatrzymało? Kiedy liczdrow uwięził Grompha, armia duergarów wzmocniona przez tanarukków maszerowała w stronę miasta. Czy siły Gracklstugh zablokowały drogi do Menzoberranzan? Nawet gdyby tak było, szczur dałby radę prześliznąć się między nimi.

Gromph ponowił próbę.

- Kyorli? Jesteś tam?

Gdzieś w pobliżu wychwycił słabo czyjąś myśl Kyorli, płynąca przez jezioro? Gromph sięgnął ku niej, ale zniknęła.

Coś trąciło kulę, zakolysało nią łagodnie.

- Kyorli?

Gromph otworzył oczy w chwili, gdy obok niego z jeziora wynurzyła się ręka. Ogromne fioletowe palce owinęły się wokół kuli i wciągnęły ją pod wodę. Palce, pokryte grubą warstwą śluzu, zabrudziły zewnętrzną powierzchnię sfery, ale pomiędzy smugami Gromph widział bulwiastą twarz, która zamiast nosa i ust miała cztery wijące się macki. Oczy illithida były białe i pozbawione źrenic, ale Gromph czuł, że stwór wpatruje się w niego, wiosłując lekko wolną ręką i utrzymując się tuż pod powierzchnią jeziora. Jego głos wdarł się do umysłu Grompha, zagłębiając się weń jak korzenie w miękką, niestawiającą oporu ziemię.

- Mag, - powiedział. - Pysznie!

ROZDZIAŁ 9

Kiedy kapłanka zadęła w róg, pierwszym impulsem Halisstry było nabicie jej na miecz, ale nie wiedzieć czemu zawahała się.

Za to Ryld zadziałał natychmiast. Przeskoczył przez skwierczące jeszcze ciało trolla, wyrwał z niego swój krótki miecz i pomknął w stronę kapłanki.

Nieznajoma była jednak szybsza. Opuściwszy róg, wyśpiewała pojedynczą nutę i złożyła ręce. Gdy jej palce się splotły, wyrósł przed nią gąszcz gałęzi. Ryld wpadł prosto w barierę, która odrzuciła go do tyłu - dopiero w ostatniej chwili udało mu się wykonać kontrolowany upadek i odturlać w bok.

Kiedy zerwał się na równe nogi, Halisstra usłyszała śpiew kolejnej kobiety dobiegający z lasu za nimi. Okręciła się, żeby stawić czoła nowemu zagrożeniu i zobaczyła kogoś w lesie. W tej samej chwili jakby znikąd pojawił się tuzin zakrzywionych ostrzy, które błyskając, zaczęły krążyć wokół niej i Rylda. Sięgająca piersi ściana wirującej stali wydawała odgłosy przypominające jej trzepot skrzydeł żądłaków, na które nakładały się wilgotne łupnięcia i trzaski, gdy kosła nasiąknięte deszczem gałęzie, pozostawiając pierścień nagiej ziemi o promieniu nie większym niż cztery stopy wokół miejsca, w którym stali razem z fehmistrzem.

Ryld dotknął broszy i wyskoczył w powietrze, ale za kostki natychmiast schwyciły go otaczające go krzaki, ożywione zaklęciem kapłanki. Ciął je mieczem, ale zaklęte zarośla rozrastały się, wypuszczając nowe gałęzie, zanim zdążył je odrąbać. Na miejsce każdej odciętej gałęzi wyrastały trzy nowe.

Jednocześnie krąg wirujących ostrzy zaczął się zacieśniać. Halisstra spróbowała się przez niego przedrzeć, używając tarczy Seyll, ale dwa z nich natychmiast uderzyły w puklerz, prawie zdzierając go jej z ramienia. Trzecie ostrze zgrzytnęło o rękaw kolczugi, trafiając ją w łokieć. Szarpnęła ramię do tyłu i potrząsnęła zdrętwiałymi palcami.

Przez ścianę ostrzy Halisstra widziała kapłankę, która zabiła trolla i dwie pozostałe, które do niej dołączyły. Każda była prawie naga, tak jak pierwsza, i dzierżyły w rękach miecze. Jedna z nich ta, która podtrzymywała barierę ostrzy była drobna jak na drowkę i miała ciemnobrązowe włosy. Dopiero po chwili Halisstra rozpoznała ją pod czarną farbą, którą natarła skórę farbą, która zaczęła spływać pod wpływem deszczu - ale kiedy to zrobiła, przekląła swój pech. Wiedziała, że żadnym sposobem nie uda jej się przekonać kapłanki, że jest niewinna i tylko przypadkiem „znalazła” pancierz Seyll.

Feliane, księżycowa elfka, widziała, jak umarła Seyll. Pod wpływem magicznego uroku, jaki rzuciła na nią Halisstra, uwierzyła, że drowka zakłuła Seyll przez przypadek, pośliznąwszy się na mokrej skale. Ale kiedy urok przestał działać, Feliane musiała zdać sobie sprawę, jak było naprawdę.

Ryld, rąbiący krzak przytrzymujący mu stopy, dał wreszcie za wygraną i spoglądał tęsknie na wielki miecz leżący tuż za ścianą wirujących ostrzy. Zerknął na Halisstrę i skrzywił się.

- Gdym miał Rozpruwacza...

Nie musiał kończyć. Halisstra doskonale wiedziała, co miał na myśli. Gdyby był w stanie dosięgnąć wielkiego miecza, mógłby go użyć do rozproszenia magii kapłanki.

A więc wszystko zależało od niej.

- To ja zabiłam Seyll! - zawołała do kapłanek, starając się przekrzyczeć szum wirujących ostrzy. - Ale zabijając mnie, popełniacie błąd.

Położyła miecz i kuszę Seyll na ziemi, a potem zdjęła przez głowę tunikę. Rzuciwszy ją obok oręza, zdjęła ostatnią rzecz, z jakiej obdarła trupa Seyll: magiczny pierścień kapłanki.

Cofając się przed napierającą na nich ścianą ostrzy, położyła pierścień na ziemi i zwróciła się do Feliane.

- Kiedy Seyll umierała, powiedziała, że wciąż wiąże ze mną pewne nadzieje. Wiedziała, że poczucie winy zmusi mnie do odkupienia zdrady, jaką popełniłam. Dlatego wróciłam, zamiast zejść z powrotem do Podmroku, aby błagać Eilistrae o przebaczenie za to, co zrobiłam.

Wirujące ostrza przeleciały nad bronią i kolczugą Seyll nie uszkadzając ich i zmusiły ją do cofnięcia się na Rylda, którego nogi były wciąż wplątane w wyrosłe wokół niego zarośla. Skręcił się w pasie i spojrzał ostro na Halisstrę. Jej słowa musiały zabrznieć bardzo przekonująco.

Halisstra zignorowała go, skupiając się na Feliane. Czy mogła użyć swojego głosu, aby po raz kolejny przełamać opór kapłanki?

Wirujące ostrza przestały się zbliżać. Były tak blisko, że Halisstra czuła idący od nich powiew.

Jeden krok naprzód i poszatkują ją na kawałki.

- Dowiedz tego - powiedziała Feliane. - Przysięgnij wyjść na światło, służyć Eilistraee i wyrzec się Lolth. Przysięgnij na miecz.

Halisstra rozważyła propozycję, ale pobieżnie, jednym okiem wciąż śledząc barierę ostrz.

Co mi szkodzi? pomyślała. Lolth jest martwa, a w każdym razie tak bliska śmierci, że nie ma to żadnego znaczenia.

Nawet gdyby powróciła do życia, Królowa Pająków doceniała i nagradzała zdradę - zwłaszcza jeśli była wymierzona w boginię będącą jej główną rywalką. Halisstra zawsze mogła zwrócić się przeciwko Eilistraee i powrócić do trzódki Lolth.

Halisstra wyciągnęła do Rylda rękę i powiedziała:

- Pożycz mi swój miecz.

Ryld rzucił jej krótkie, badawcze spojrzenie, ale posłuchał.

Halisstra wzięła od niego krótki miecz i wbiła go sztychem w ziemię. Potem, naśladując wyznawczynię Eilistraee, okrążyła go, trzymając rękojeść lewą ręką. Ściana ostrzy nie pozostawiała jej wiele miejsca, a klinga Rylda była tak ostra, że kiedy się o nią otarła, stał drasnęła ją w kolano. Zignorowała skaleczenie i wykonała pełen okrąg.

- Przysięgam - powiedziała do Feliane.

W oddali usłyszała granie myśliwskiego rogu. Kolejna kapłanka, która dołącza poniewczasie do pozostałych? Kapłanki też go usłyszały i wymieniły skinienia głów.

Ściana ostrzy zniknęła. W ciszy, która nagle nastąpiła, Halisstra usłyszała odgłos łamanych gałęzi. Pierwsza kapłanka rozproszyła zakłęcie, poluzniając sploty pętające Rylda. Uwalniając się ze złością, fehmistrz wyrwał krótki miecz z ziemi i stanął w gotowości, patrząc na zbliżające się kapłanki.

- Co teraz? - zapytał na migi.

- *Poddam się im*, - odparła Halisstra.

- *To samobójstwo*, - powiedział Ryld. - *Nie mogę ci na to pozwolić.*

Halisstra poczuła przyływ gorąca i czułości, którą do niedawna nazwałaby słabością. Aby to ukryć, przybrała lodowaty wyraz twarzy.

- Pozwolić mi? - zapytała na głos. - Ty... mężczyzna? Nie tylko zapomniałeś, gdzie twoje miejsce, ale właśnie udowodniłeś, że nie jesteś mi już do niczego potrzebny. - Ruchem brody wskazała leżący na ziemi wielki miecz. - Weź swój miecz, Ryldzie, i wracaj tam, gdzie twój dom. Wracaj do Podmroku.

Ryld wpatrywał się w nią w osłupieniu. Deszcz padający mu na twarz sprawił, że przez chwilę wyglądał, jakby płakał, choć Halisstra wiedziała, że zaprawiony w bojach wojownik nigdy nie byłby zdolny do czegoś podobnego. Potem podszedł do miejsca, gdzie leżał Rozpruwacz, napinając mięśnie ramion, gdy mijał kapłanki.

- Możesz odejść - powiedziała do niego Feliane, kiedy podniósł miecz. - Odejdź i nie idź za nami, inaczej ściągniesz na siebie gniew bogini.

Ryld mruknął coś pod nosem i wsunął wielki miecz do pochwy na plecach. Potem, nie zaszczycając Halisstry nawet jednym spojrzeniem, odwrócił się i wszedł w las.

Widząc, że kapłanki obserwują Rylda, Halisstra przez krótką chwilę rozważała rzucenie się do ucieczki, ale postanowiła tego nie robić. Zamiast tego wpatrywała się w miejsce, w którym zniknął Ryld, a tymczasem kapłanki podniosły oręż i zbroję Seyll.

Tylko poddając się, mogła zapewnić mu bezpieczeństwo.

Feliane odpięła srebrny łańcuch noszony przy pasie i pokazała Halisstrze, żeby wyciągnęła rękę. Halisstra posłuchała i łańcuch ożył nagle, oplatając jej się wokół nadgarstków. Cała siła uszła z niej i wpłynęła w ogniwa metalu, pozostawiając ją słabą jak rozłożony słońcem adamantyt. Zachwiała się, walcząc z paniką, która zaczęła w niej wzbierać. Co ja zrobiłam? Powiedziała sobie, że musi zachować spokój, i że wciąż została jej jeszcze jedna broń. Nadejdzie czas, gdy Ryld będzie daleko i będzie bezpieczny, a ona będzie mogła użyć magii bae'qeshel.

Spojrzenie w młodą, szczerą twarz Feliane jeszcze bardziej ją uspokoiło. W Feliane dostrzegła miękkość - słabość, którą mogła obrócić na swoją korzyść. Chociaż Halisstra już raz ją wykorzystywała, dziewczyna naprawdę uwierzyła w jej przysięgę i w to, że wróciła, aby odkupić swą winę. Wystarczył przyjazny uśmiech i kilka słów. Drowka otworzyła usta...

... ale kapłanka, która zabiła trolla, podeszła do niej i złapała ją za brodę, obracając jej głowę w bok. Halisstra zbyt późno zauważyła, że kapłanka coś nuci. Spróbowała coś powiedzieć, ale odkryła, że

nie jest w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

- Sama zabiorę ją do świątyni - powiedziała kapłanka. - Eilistraee zadecyduje o jej losie: pieśń... albo miecz.

* * *

Depcząc z chlupotem mokre paprocie, Ryld zagłębiał się ze złością w las. Zrobił to, czego chciała Halisstra, odszedł. Więc dlaczego czuł się taki bezsilny, taki wściekły?

Ponieważ ocalił własną skórę i zostawił ją na pewną śmierć.

Ponieważ kapłanka Lolth kazała mu to zrobić, przypomniał sobie. A on, jak posłusznemu mężczyźnie przystało, posłuchał.

Była kapłanka Lolth, poprawił się.

Może właśnie dlatego chciała umrzeć, aby połączyć się z boginią, która odeszła przed nią.

Potrząsając głową, ułożył palce w bluźnierczy gest, którego użyła Halisstra.

- Świetnie, daj im się zabić, Halisstro, jeśli tego właśnie...

Czy rzeczywiście tego chciała? Twarz Halisstry była tak martwa i pozbawiona wyrazu jak czarna kamienna twarz, która tkwiła na drzwiach świątyni - a może grobu? - Lolth. Ale Ryld zdołał wyczuć potężne uczucia kłębiące się tuż pod zimną powierzchnią. Dowiodła, że jej na nim zależy, kiedy walczyli z trollem. Jeśli przez cały ten czas był tylko zabawką w jej ręku, mogła ocalić życie uciekając, zostawiając go na śmierć...

Tak jak Pharaun.

Wtedy przyszła mu do głowy pewna myśl dziwna i obca naturze elfów. Czyżby Halisstra poświęciła się, aby on mógł żyć?

Nie, to niemożliwe. Musiała mieć w zanadrzu jakiś fortel - jakąś ukrytą broń albo zwój, który pozwoli jej uciec, dołączyć do niego. Ale skoro tak, dlaczego nie dała mu jakiejś wskazówki, gdzie mają się znów spotkać?

Bo obawiała się, że kapłanki usłyszą? A może oczekiwała, że Ryld do niej wróci, aby pomóc jej uciec?

Ryld, który szedł coraz wolniej, w końcu się zatrzymał. Stał, wsłuchując się w bębnienie deszczu w gałęziach nad głową, zastanawiając się, czy któraś z kapłanek nie poszła za nim. Przez cały ten hałas, jaki czyniła ulewa, nie mógł być tego pewien.

Nienawidził ciągłej mżawki. Spływała mu po twarzy, zmuszając do mrużenia oczu. Jego piwafwi zmieniło się w ciężki, mokry koc, który przylgnął mu do ramion i przyklejał się do ud w trakcie chodzenia. Od wilgoci skrzypiał mu pancerz, a miecz wkrótce pokryje się rdzą. Deszcz był jak wodospad, spod którego nie mógł się wydostać. Był w nim uwięziony - tak jak został uwięziony w niewidzialnej sieci, którą Halisstra uplotła wokół niego ze swych uśmiechów, pocałunków i westchnień.

Owinął się ciaśniej mokrym piwafwi, otaczając jego magią i stając się jeszcze jednym cieniem w mrocznym, ociekającym wodą lesie. Zawrócił do miejsca, gdzie stoczyli walkę z trollem.

Ryld okrążył cały teren, szukając śladów w topniejącej szybko brei, chcąc sprawdzić, w którą stronę poszły Halisstra i kapłanki, ale żadnych nie znalazł. Ostrożnie podszedł bliżej, spodziewając się w każdej chwili usłyszeć głosy.

Zadowolony, że jest sam, wszedł na przesiekę. Kucnął i przyjrzał się śladom zostawionym w mokrym śniegu.

Tutaj stała Halisstra, pomyślał, a tam jedna z kapłanek. Dwie pozostałe stały tam i tam...

I na tym ślady się urywały. Kapłanki nie oddaliły się pieszo, użyły magii, aby uciec - zabierając ze sobą Halisstrę.

Halisstra zniknęła bez śladu.

Chyba że...

Tak, to możliwe, pomyślał, gdy jego wzrok padł na odcisk w śniegu.

Był to trop szarej bestii, która uciekała przez las. Bestie porozumiewały się ze sobą, więc może mogły porozumieć się z nim.

Ryld schował miecz do pochwy i ruszył po śladach.

ROZDZIAŁ 10

Valas spoglądał na przestwór ciemnej wody w dole. Jezioro Thoroot było jeszcze większe, niż słyszał - tak szerokie, że jego przeciwległy brzeg ginał w mroku. Przypominało mu rozległy, płaski bezkres Anauroch, pustyni, którą niedawno odwiedzili. Różnica polegała na tym, że jezioro ze wszystkich stron otaczały strome urwiska, a wodospad, który wpadał do niego z hukiem z jaskini, u wylotu której stał Valas, miał wysoki, sklepiony strop. Ze stropu zwisały ogromne stalaktyty. Czubki niektórych dotykały wody, inne były poszczerbione niczym ostre zęby, przez co jaskinia przypominała olbrzymią, zębatą paszczę. Valas wzdygnął się, mając nadzieję, że nie jest to zły omen.

Czyjaś ręka dotknęła jego ramienia. Obrócił się i zobaczył Pharauna. Zaraz za nim stała Danifae.

- Co się stało? - zapytał mag.

- Nic - odpowiedział Valas. - To tylko wodny pył wodospadu. Zmarzłem.

Za plecami Pharauna i Danifae pokazała się Quenthel. Branka cofnęła się, nie spuszczać z oka bicia za pasem kapłanki. Żeby zmieścić się pod niskim stropem, Quenthel wspinała się z szeroko rozstawionymi rękami i nogami, aby nie pośliznąć się na śliskich kamieniach. To i drapieźny błysk w oku upodobiło ją do ciemnego pająka. Jeggred, jak zwykle o krok za nią, poruszał się zwinnie po nierównej półce, z mniejszymi ramionami wyciągniętymi dla równowagi na boki.

Quenthel spojrzała na ogromną pieczarę za wodospadem i zapytała:

- Dotarliśmy do jeziora Thoroot?

Jej głos ledwo było słychać poprzez ryk spadającej wody.

- Jest pod nami - odparł Valas, kiwając głową. - Jakies pięćdziesiąt kroków w prostej linii w dół.

- Widzisz gdzie miasto... albo statek?

Valas potrząsnął głową.

- Prawdopodobnie i jedno, i drugie znajduje się pod wodą. Ale w którym miejscu? - zastanawiał się.

Z tego co wiedział, Zanhoriloch znajdowało się po przeciwnej stronie jeziora, choć nie miał zamiaru przyznać się do tego Quenthel. Dotarli do jeziora jedyną drogą, jaką znał. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, było okazanie jakiegokolwiek słabości czy niepewności, nawet jeśli uda im się odnaleźć statek i zostawić Podmrok - oraz jego znajomość tych okolic - za sobą.

Zacisnął jedną dłoń na śliskiej skale i wychylił się najdalej, jak śmiał, przyglądając ścianie w dole. Tunel, którym szli, był szeroki, a jednym brzegiem rzeki biegł wygodny występ skalny. Po długiej i wyczerpującej podróży ten łatwy skrót do jeziora bardzo ich uradował. Ale później droga robiła się bardziej uciążliwa. Rzeka wypadała z tunelu poziomą fontanną, a od jej piany skała po obu stronach była mokra. Valas widział przez mgiełkę kropel jarzące się słabo smugi zieleni na kamieniach - łaty nasączonych wodą, oślizłych grzybów.

Poczuł, że coś wielkiego nachyla się nad nim, a cuchnący oddech powiedział mu, kto to. Jeggred spojrzał na jezioro, przytłaczając Valasa swoim ogromnym cielskiem i prawie spychając go poza krawędź urwiska.

Odepchnąwszy Jeggreda łokciem, Valas krzyknął do pozostałych nad głową draeglotha:

- Chciałbym pójść przodem, zanim ruszymy dalej. Pharaun, będę potrzebował magii, żeby zejść na dół i twojego zaklęcia, które pozwala oddychać pod wodą.

- Idziesz sam? - zapytał mag. - Nie powinieneś zabrać kogoś ze sobą? - Spojrzał na Quenthel, jak gdyby spodziewał się zobaczyć kogoś za jej plecami i westchnął. - A Jeggred?

- Nie! - warknęła Quenthel, a żmije przy jej bacie zaczęły się miotać. - Jeggred zostaje ze mną.

Wyczuwając złość kapłanki, Jeggred przysiadł u jej boku.

Zanim Valas zdążył zaprotestować, odezwał się Pharaun.

- Danifae będzie tylko opóźniać tempo a ja nie chcę marnować czasu i talentu, przygotowując dwa razy te same zaklęcia.

Valas przeniósł wzrok z Quenthel na Pharauna. Musiał stąpać bardzo ostrożnie, żeby nie przeważyć szali, co zaczynało się robić męczące. Z ulgą powitał perspektywę samotnej wyprawy.

- Pójdę sam - powiedział.

Zwiadowca Bregan D'aerthe zdjął piwafwi, obok którego położył na ziemi plecak, łuk i kołczan. Zrzucił też z siebie kolczugę - jej ciężar pociągnąłby go na dno jeziora - i buty. Ostrożnie wyjął z magicznej kamizeli te talizmany, którym mogłaby zaszkodzić woda, po czym założył kamizelę z

powrotem. Potem przywiązał sztylety do pochew. Nić, której użył, chroniła je pod wodą przed wypadnięciem, ale była wystarczająco cienka, by można ją było zerwać w razie potrzeby.

Kiedy skończył, podniósł wzrok na Pharauna i powiedział:

- Jestem gotowy.

Mag kiwnął głową i wyciągnął z kieszeni małą kartkę papieru z włókien grzyba. Rozwinąwszy ją, podał Valasowi jej zawartość - grudkę czarnej, smolistej substancji.

- Zjedz to - poinstruował zwiadowcę.

Nie pytając co to, Valas wepchnął grudkę do ust. Miała gorzki smak i przykleiła mu się do zębów. Z wysiłkiem rozwarł szczęki, odklejając od siebie trzonowce.

Pharaun roześmiał się.

- Nie musisz jej żuć. Po prostu połknij.

Valas przełknął substancję, a potem czekał, aż Pharaun wyrecytuje słowa zaklęcia. Mag zakończył, przebierając palcami po jego piersi, jak matka naśladująca pająka w rymowance dla dzieci. Kiedy skończył, palce u rąk i nóg zwiadowcy zrobiły się jakby gumowate. Kiedy oderwał jedną dłoń od skały, zauważył, że pokryta jest śluzem.

Pharaun sięgnął po raz drugi do kieszeni piwafwi i wydobyl kawałek jakiejś zaszuszonej powierzchniowej rośliny.

- Gotowy? - zapytał.

Valas kiwnął głową.

Mag wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Więc weź głęboki oddech.

Valas posłuchał, a Pharaun dmuchnął w niego przez patyk, kończąc zaklęcie.

Pierś Valasa zrobiła się ciężka, z nosa pociekła mu woda.

- Biegnij! - krzyknął Pharaun.

Valas nie potrzebował zachęty. Wystarczyło ciśnienie wody, która wypełniała mu płuca. Zsunął się poza krawędź urwiska i pobiegł w dół stromej ściany jak pająk, czepiając się jej lepкими dłońmi i stopami. Głową w dół spieszył ku wodzie, mrużąc oczy. Nad nim wodospad opadał łukiem w dół, zasłaniając wylot tunelu, z którego przed chwilą wyszedł i uderzał o powierzchnię wody z grzmiącym rykiem, który coraz bardziej narastał.

Zwiadowcę wciąż dzieliło od powierzchni jeziora kilka kroków, kiedy pragnienie zaczerpnięcia powietrza wzięło nad nim górę. Wyrzucając wodą z płuc, jak gdyby wymiotował, spróbował odetchnąć - i prawie się utopił.

Plując i prychając, dotarł wreszcie do jeziora. Gdy przebił głową zimną, wzburzoną powierzchnią, zaczerpnął w płuca wody i poczuł ulgę.

Schodził w dół, trzymając się skalnej ściany, dopóki kotłująca się woda nie zmyła z jego dłoni i stóp lepkiej warstwy śluzu. Odepchnąwszy się od ściany, zaczął płynąć, pozwalając, by prąd wodospadu zabrał go głębiej. Woda była zimna i ciemna. Przez jakiś czas płynął zupełnie na oślep, zdając się na swoje wyczucie kierunku i zmierzając ku środkowi jeziora. Zaklęcie Pharauna pozwalało mu oddychać wodą przez ponad jeden cykl. Mógł odpocząć na dnie jeziora, gdyby okazało się to potrzebne, ale miał nadzieję, że wkrótce natrafi na jakiś ślad miasta abolethów.

Przeplłynął spory kawałek, odpoczął, podpłynął jeszcze dalej i wydało mu się, że widzi w ciemnej wodzie przed sobą jakiś blask. Gdy się do niego zbliżył, blask rozdzielił się na grupę skupionych blisko zielonożółtych kul, które to bladły, to ciemniały.

Czy to światła Zanhoriloch? zapytał sam siebie, płynąc w ich stronę, ale gdy znalazł się na tyle blisko, by zobaczyć je wyraźniej, czekało go rozczarowanie.

Żarzące się kule nie były światłami miasta abolethów, lecz ławicą świecących meduz. Były ich setki, każdej wielkości dłoni Valasa. Poruszały się razem, kurcząc macki, a potem pulsując unisono, za każdym razem zmieniając kolor z zielonożółtego na żółty albo na odwrot.

Rozczarowany miał się już odwrócić, kiedy zauważył jakąś sylwetkę płynącą między nim a meduzami. Zwiadowca zastygł, nie chcąc zdradzić swojej obecności. Unosząc się z prądem, zawisł w wodzie, przyglądając się jej.

Postać była wielkości drowa i miała dwie ręce i dwie nogi, z których każda kończyła się płetwiastą dłonią lub stopą. Miała też rybi ogon, ale żadnych macek. Nie był to zdecydowanie aboleth - ale co to za rasa?

Istota płynęła obok meduz, poganiając je trzymaną w ręku laską. Głowica laski emitowała trzeszczące rozbłyski, których częstotliwość odpowiadała pulsowaniu meduz. Valas ledwo słyszał wydawany przez nią dźwięk, niskie dum, dum, dum, brzmiące jak przytłumiony odgłos bębna.

Pochłonięta doglądaniem swojej trzódki istota nie zauważyła jeszcze Valasa, więc zwiadowca musiał podjąć decyzję. Mógł się do niej zbliżyć i spróbować nawiązać z nią kontakt w nadziei, że powie mu, gdzie jest Zanhoriloch, albo zachować ostrożność i odpłynąć.

Dotknął talizmanu w kształcie gwiazdki, upewniając się, że jest wciąż przypięty do koszuli. W razie potrzeby zawsze mógł uciec dzięki jego magii.

Popłynął w stronę istoty.

Zbliżając się, zauważył, że jej skóra była równie ciemna jak u drowa. Miała łysą głowę, a jej ciało lśniło w świetle meduz. Skórę nieznanego pokrywała warstwa zielonego śluzu. Gdy Valasa dzieliło od niego może dziesięć kroków, stwór musiał wyczuć jego obecność. Machnąwszy ogonem, odwrócił się. Na widok jego twarzy Valas westchnął. Wysokie kości policzkowe i wyraźnie zarysowana szczęka nadawały stworowi wygląd drowa. Miał nawet czerwone oczy, ale nie miał uszu - a przynajmniej tylko pomarszczone wątki wokół otworów w głowie, wyglądające jak stopione pozostałości małżowin. Dłonie stwora - jedna mącąca wodę, żeby utrzymać go w miejscu, druga trzymająca laskę - miały kciuki, ale tylko dwa palce połączone szeroką błoną.

Valas otworzył usta, ale zaraz przypomniał sobie, że oddycha wodą i nie może mówić. Ni z tego, ni z owego przeszedł na język migowy drowów. Wybrał zupełnie neutralną wiadomość. Nadal nie wiedział czy stwór jest przyjacielem czy wrogiem drowów albo abolethów.

- To jezioro abolethów, prawda? - zapytał. - Czy ich miasto znajduje się gdzieś w pobliżu?

Nie spodziewał się odpowiedzi. Zwiadowca, który opowiedział mu o jeziorze Thoroot, mówił, że tylko garstka drowów zapuszczała się w te okolice.

Był zatem w szoku, kiedy stwór odpowiedział w języku migowym, choć jego gesty były niezdarne z powodu niezgrabnych, zrośniętych błoną palców.

- Szukasz abolethów? Oszalałeś? Wracaj, zanim...

Przypominający drowa stwór targnął się, jak gdyby dosięgnął go cios. Wypuszczając laskę, zwinął się w pozycję embrionalną, przyciskając błoniaste dłonie do głowy z ustami rozwartymi w niemym krzyku. Valas obrócił się, sięgając po sztylety i rozglądając za niebezpieczeństwem, ale zanim ich dobył, w jego czaszkę wdarł się przeraźliwie wysoki krzyk.

Głośniejszy niż jakikolwiek dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszał, wrzask nie pozwalał mu myśleć i wprawiał jego ciało w spastyczne drgawki. Zwinął się sam w pozycję embrionalną, zaciskając oczy w zboląłym grymasie i przyciskając dłonie do uszu.

Nie pomogło. Wrzask trwał nadal, odbijając się echem od ścian jego czaszki, aż w końcu miał pewność, że kość pęknie jak strzaskany kryształ. Potem ogarnęły go miłosiernie cisza i mrok.

ROZDZIAŁ 11

Halisstra siedziała ze skrzyżowanymi nogami na mokrej kamiennej podłodze jaskini, której jedyny wylot znajdował się nad jej głową. Ściany pieczary były pokryte malunkami - farbę nałożono bezpośrednio na kamień, linie bieły wzdłuż rysów skały. Postacie drowów wielkości naturalnej wyciągały ręce ku sklepieniu z oczyma płonącymi ekstazą. Wszystkie przedstawiały dorosłych, ale każda miała pępowinę, która wijąc się, opadała na dno jaskini niczym korzeń.

Nie miała już skrępowanych nadgarstków, ale szanse ucieczki miała równie wielkie jak namalowane postacie na zejście ze skały. Ściany, przynajmniej trzy razy wyższe od niej i pochylone do środka, kończyły się otworem w stropie, więc wspięcie się na górę bez pomocy magii było niewykonalne. Została starannie i skrupulatnie pozbawiona wszystkich magicznych przedmiotów i oręża, a klątwa, którą rzuciła na nią kapłanka, uniemożliwiła jej śpiewanie, a nawet nucenie krótko mówiąc, używanie jakichkolwiek zaklęć bae'qeshel.

Po odejściu Rylda kapłanka, która uśmierciła trolla, teleportowała Halisstrę do tej jaskini, po czym zniknęła. Pierwsza córka domu Melarn tkwiła w niej już cały dzień, najpierw niespokojnie przemierzając pieczarę tam i z powrotem, szukając drogi ucieczki. Kiedy wreszcie zaakceptowała fakt, że znajduje się w pułapce, usiadła ze skrzyżowanymi nogami i osunęła się w Zadumę. Kiedy się z niej otrząsnęła, widziała, jak krąg nieba nad jej głową szarzeje, a potem robi się czarny. Deszcz przestał padać, ale niebo było wciąż zaciągnięte chmurami. Nie widać było gwiazd ani księżyca. Spoglądając w górę, Halisstra była prawie w stanie wyobrazić sobie, że jest w Podmroku - że ma nad sobą korytarz albo tunel. Ale powiew niosący zapach kory i ziemi zniweczył to złudzenie, podobnie jak niski pomruk gromu w oddali. A także paprocie otaczające wylot jaskini jak grzywka włosów. Z ich przemokniętych łodyg spadały krople deszczu.

Na zewnątrz rozległ się śpiew. Usłyszała głosy kapłanek, które zebrały się, aby zdecydować o jej losie. Ich pieśni towarzyszyły srebrzyste dźwięki fletu i gwałtowny brzęk mieczy, stacatto metalicznych szczęknięć wyznaczających rytm. Halisstra nie była pewna, czy to nie wyobraźnia płata jej figle, ale pieśń brzmiała tak, jakby miała zaraz osiągnąć crescendo. Uznała, że za chwilę pojawi się jedna z czcicielek Eilistrae i ogłosi, jaka czeka ją śmierć.

Halisstra przygotowała się na nieuniknione. Tak czy inaczej - za sprawą magii ich zdradzieckiej bogini albo zimnego żelaza - zostanie stracona. Kapłanki opamiętały się i dotarło do nich, że Halisstra przysięgła wierność Eilistrae tylko po to, żeby zyskać na czasie. Nadszedł czas, żeby pomodlić się i przygotować do przejścia na następny plan - ale do którego bóstwa?

Halisstra знаła setki błagalnych modlitw do Lolth - modlitw, które mogła wyrecytować dłońmi, w niemej mowie, ale wiedziała, że nie zostaną wysłuchane. Lolth zniknęła i nie słuchała już modlitw. Nie karała już nawet bluźnierców. W Pajęczynie Demonów nie było już dusz umarłych i Halisstra musiała uznać, że wyznawcy Lolth odchodzą w niebyt, tak samo jak ich bogini.

Czy powinna pomodlić się do Selvetarma, rycerza Lolth? Z tego co wiedziała, mógł nadal walczyć z Vhaeraunem i nie usłyszeć jej - albo, co gorsza, był martwy. Czy istniał jakiś bóg, który jeszcze słuchał?

Halisstra zadrżała i podciągnęła kolana pod brodę, oplatając nogi ramionami. Przynajmniej Ryld był bezpieczny. Poddając się, ocaliła go. Miała już położyć policzek na kolanie, ale wzdrygnęła się, dotykając skaleczenia od miecza fechmistrza. Było to tylko draśnięcie, nie większe niż półksiężyc na paznokciu jej kciuka, ale paliło jak świeża rana. Otworzyło się i znów krwawiło, choć Halisstra musnęła je tylko policzkiem.

Śpiew na zewnątrz umilkł. Halisstra usłyszała nad głową szelest i podniosła głowę, zobaczyła Feliane, która klęczała w paprociach, wpatrując się w nią. Kapłanka zmyła z twarzy czarną farbę i jej skóra miała niezdrową barwę białego grzyba. Spoglądając w niebo drowka uznała, że myliła się co do zachmurzenia. Przez chmury musiał przeświecać księżyc, bo Feliane otoczyła na chwilę blada, srebrzysta poświata. Potem zniknęła i Halisstra znów widziała wyraźnie twarz kapłanki.

- *I?* - zapytała Halisstra na migi. - *Jaki czeka mnie los? Pieśń... czy miecz?*

- *Pieśń* - odparła Feliane.

Halisstra kiwnęła ponuro głową i wstała. Wolą spotkać śmierć na stojąco.

- *Jestem gotowa*, powiedziała, wykonując palcami gwałtowne, pełne napięcia gesty.

Na okrągłej twarzy Feliane pojawił się uśmiech. Gdyby była drowką, byłby on pełen triumfu, ale

Feliane wyglądała tak niewinnie i łatwowiernie, że Halisstrze przez chwilę wydawało się, że widzi ciepły uśmiech. Odepchnęła od siebie tę niemądrą myśl i stała sztywno, czekając.

Feliane zaczęła śpiewać w wysokim języku drowów. Zza jej pleców dobiegał chór kobiecych głosów, choć głos Feliane był najmocniejszy.

*Wyrzeknij się ciemności, w światło wkrocź bez obawy,
Twarz swą skieruj w niebo, elfów dziedzictwo prawe,
Płasaj pośród lasów, śpiewaj wraz z wiatrami,
W księżycowym blasku stąpaj między kwiatami.
Użyj sił swoich słabym, zło zwalczaj srogą stalą,
Dołącz do reszty łowczyń, lecz nie grzesz obcą wiarą,
Zwalcz potwory w sobie, te na zewnątrz pokonaj,
Ich krew cię oczyści, prawda to objawiona.
Siostróm swoim zaufaj, bądź bogini miłą.
Gdy do kręgu wstąpisz, słabość stanie się siłą.*

Feliane wyciągnęła rękę w dół, jak gdyby zachęcała Halisstrę, żeby ją złapała. Jej blada skóra nabrała księżycowego blasku.

Dopiero po chwili Halisstra zdała sobie sprawę ze znaczenia pieśni i gestu. To nie była egzekucja, tylko zaproszenie. I to nie tylko do życia, ale do przyłączenia się do kręgu. Przyłączenia się do kapłanek Eilistraee.

Oczy Halisstry zwęziły się. To musiał być jakiś podstęp.

- Zaufać? - powiedziała na głos, zaskoczona, że znów może mówić.

Nie musiała się specjalnie starać, żeby w jej głos wkradła się wzdarda, jaką czuła. Samo to słowo miało w języku drowów negatywne konotacje, sugerowało słabość, naiwność. Do głowy przyszły jej sojusze, jakie próbowała budować z własnymi siostrami i jak została zdradzona. Próbowała zbliżyć się z Norendią, opowiadając siostrze o bardce uczącej ją mrocznych pieśni. Kilka cykli później bardka „spadła” z jednej z ulic w dół i zginęła. Później w tym samym cyklu Jawil, druga córka domu Melarn próbowała dokonać zamachu na życie Halisstry. Kiedy Halisstra pobiegła po pomoc do Norendii, ta wbiła jej nóż w plecy. Dosłownie. Na szczęście magia Halisstry okazała się na tyle silna, aby ją ocalić i zabić obie siostry.

- Zaufać - wymamrotała znowu.

Za plecami Feliane zobaczyła kapłankę, która zabiła trolla. Kobieta spojrzała w dół, uśmiechnęła się i cofnęła poza zasięg jej wzroku.

Myśli przebiegały przez głowę Halisstry z szybkością błyskawicy. Mogła użyć magii bae'qeshel, aby urokiem skłonić Feliane do zrzucenia jej liny, a potem ogłuszyć resztę kapłanek Eilistraee bolesnym wybuchem dźwięku i uciec. Ale każdy nowy pomysł budził liczne wątpliwości, niepokojące jak odległy odgłos grzmotu.

Czy ucieczka była naprawdę tym, czego chciała - czy może w przysiędze, którą złożyła, pobrzmiwało słabe echo prawdy? Coś ciągnęło ją do Świata Ponad, choć nie potrafiła wyjaśnić przyczyny ani sobie, ani Ryldowi. Ale teraz zaczynała rozumieć. Zawsze uważała, że zdrada i egoizm to nieodłączne cechy drowów, ale teraz zaczynała dostrzegać, że może być inaczej.

Drowki zamieszkujące powierzchnię nie tylko wierzyły sobie nawzajem, były też gotowe obdarzyć zaufaniem Halisstrę. Chociaż wiedziały, że zabiła jedną z nich i że może postąpić tak samo z każdą z nich. Ich wiara w jej zdolność odkupienia swych win była silna, choć opierały ją tylko na słowach martwej kapłanki.

Tylko na nich?

Gdzieś z góry dobiegły ją dźwięki fletu, kilka cichych, ostrożnych nut. Przypomniały one Halisstrze dźwięki wydawane przez miecz Seyll, kiedy walczyła z żądlakami. I o tej ostatniej, przenikliwej nucie, która sprawiła, że spadły na ziemię. Czyżby stało się to za sprawą magii Eilistraee? Czy bogini już wtedy zaakceptowała Halisstrę?

Feliane czekała cierpliwie, z ręką wciąż wyciągniętą w jej stronę, gdy ona zmagala się z wątpliwościami. Całe ciało kapłanki otaczała srebrzysta poświata. Jej włosy ożyły skrzącymi się gwiazdami, jej uśmiech był jasny jak sierp księżycy. Bogini napelniła ją, przemieniła. Wpatrywała się w

Halisstrę z matczyną miłością, ponagając ją, by ją przyjęła.

Trzęsąc się, Halisstra uniosła ręce nad głowę, tak samo jak postacie namalowane na ścianach jaskini.

- Zgadzam się, Eilistraee - powiedziała. - Będę ci służyć.

Poczuła, że po policzku spływa jej łza i ze złością próbowała przekonać samą siebie, że to kropla wody z paproci - a potem uświadomiła sobie, że nie ma to znaczenia.

Feliane również płakała.

Kapłanka zaczęła śpiewać, a Halisstra poczuła, jak jej ciało robi się lżejsze. Dno jaskini oderwało się od jej stóp, gdy uniosła się w górę, przyciągnięta zaklęciem elfki. Przez zasłonę paproci wylot jaskini wydawał się zbyt wąski, żeby zdołała się przez niego przecisnąć, więc skrzyżowała ręce ciasno na piersi, starając się skurczyć. Gdy unosiła się w górę, mokre paprocie otarły się jej o twarz, zmuszając ją do zamknięcia oczu. Wszędzie wokół otworu stały kapłanki, unoszące ją w górę, przytulające ją, śpiewające.

„Wyrzeknij się ciemności, w światło wkroczyć bez obawy...”

Gdy Halisstra otworzyła oczy i podniosła wzrok, przez przerwę w chmurach zobaczyła księżyc w pełni. Twarz bogini uśmiechała się do niej, roniąc łzy radości.

- Eilistraee! - zawołała Halisstra. - Jestem twoja!

- Bogini przyjmuje cię wyszeptala jej do ucha Feliane. - Teraz musisz przygotować się do próby, jaką ci wyznaczyła.

* * *

Ryld zmarszczył brwi, zaintrygowany. Przyglądał się uważnie odciskom stóp w mokrym śniegu. Był wciąż na tropie zwierzęcia - był tego pewny - ale jego ślady nagle zaczęły wyglądać inaczej. W miejscu, gdzie bestia się zatrzymała, ślad bardziej przypominał odcisk bosej stopy drowa, ale przed każdym palcem widniały w śniegu głębokie rowki, które musiały być śladami pazurów. Ryldowi przypominały trochę ślady orka, ale od tego miejsca chód zwierzęcia stanowił zagadkę. Bestia poruszała się na dwóch nogach zamiast na czterech. Jednak rozstaw śladów wskazywał na bieg czworonoga.

Z krótkim mieczem w ręku Ryld ruszył dalej po śladach. Stworzenie próbowało ukryć swój trop idąc po skałach albo zwalonych pniach i brodząc strumykiem, ale Ryld podążał za nim bez trudu. Był przyzwyczajony do ścigania wrogów po nagich skałach podziemnych korytarzy i tuneli. Chociaż śnieg topniał, śledzenie w nim czyichkolwiek śladów było dziecinną igraszką.

W końcu zauważył głęboko w lesie niewielki domek. Zbudowana z nieociosanych bali jednoizbowa chatka przygarbiła się, jak gdyby miała się zaraz rozpaść. Drzwi wisiały krzywo na jednych przerdzewiałych zawiasach, a dach był gruby od mchu i większych liściastych roślin, które wyrastały z niego tu i ówdzie. Drewno na opał, kiedyś ułożone równo pod jedną ze ścian, leżało porozrzucane po ziemi, nakrapiane plamami porostów, a dziura w dachu znaczyła miejsce, gdzie kiedyś znajdował się komin. Chatka otoczona potłuczonymi butelkami i zardzewiałymi kociołkami, które najwidoczniej wyciągnęli ze środka padlinożercy, wyglądała na całkowicie opuszczoną.

Ale w środku coś się poruszało.

Ryld owinał się szczelniej piwafwi i podkraść bliżej między drzewami. Poczul pod butem coś miękkiego, a w nozdrza uderzył go zapach świeżych odchodów. Skrzywił się. Nawet w dzielnicach biedoty Menzoberranzan ludzie nie załatwiali potrzeb fizjologicznych tak blisko własnych domostw. Ktokolwiek tu mieszkał, niewiele się różnił od zwierzęcia, pomyślał fechmistrz, ze złością oskrobując but.

Podniósł wzrok w samą porę, żeby zobaczyć czarny kształt pędzący ku niemu od strony domu. Był to ten sam rodzaj zwierzęcia, jakie tropił - ale nie to samo zwierzę. Gdy bestia wbiła mu kły w nadgarstek prawej ręki, górę wziął instynkt wojownika.

Wolną ręką chwycił zwierzę za fałd luźnej skóry na karku i wykorzystując jego własny pęd, grzmotnął nim w drzewo. Oszołomione, zatoczyło się w bok, potrząsając głową.

Ryld zamachnął się, mierząc w szyję zwierza, ale ten okazał się szybszy, niż się spodziewał. Klinga wyrznęła w drzewo, a bestia odtoczyła się w bok.

Wyrywając miecz z pnia, Ryld natarł na stwora, który nagle stanął na tylnych łapach, wyciągając przednie w jednoznaczny geście poddania. Jego pysk poruszał się, wypowiadając słowa, które były na poły szczęknięciami, na poły mową.

- Czekaj! - wydyszał zwierz w dziwnie akcentowanym niskim drowim. - Przyjacielu.

Ryld zawahał się, ale nie schował miecza.

- Potrafisz mówić? - zapytał fehmistrz.

Stwór kiwnął ochoczo głową, a potem zamknął oczy, a jego ciało przebiegł dreszcz. Na jego futrze pojawiły się łyse placki, które zaczęły się rozszerzać, ukazując bladą skórę. Pysk skurczył się i skrócił. Nogi czworonoga przeobraziły się z cichym trzeszczeniem chrząstki, a łapy przekształciły w dłonie i stopy.

Kiedy transformacja dobiegła końca, tam, gdzie wcześniej stało zwierzę, stał teraz młody człowiek. Gdyby był drowem, Ryld dałby mu jakieś dwadzieścia lat, ale ludzie dojrzewali szybciej. Chłopak nie miał więcej niż dwanaście lat. Włosy miał czarne i zmierzwiłone, a dłonie i stopy brudne jak urwis z Ulic Smrodu.

- Co z ciebie za stworzenie? - zapytał Ryld.

Chłopiec wymówił jakieś słowo w jednym z języków Świata Ponad, którego Ryld nie rozpoznał. Widząc, że Ryld nie rozumie, przeszedł na niski drowi.

- Półczłowiek, półwilk - powiedział. - Jestem zmiennokształtny.

- Wilk?

- Porośnięte futrem zwierzę chodzące na czterech nogach - odparł człowiek.

Fehmistrz kiwnął głową.

- A gdzie drugi człowiek-wilk? - zapytał Ryld. - Ten szary.

Wciąż obserwował uważnie chatkę i otaczający ich las, wściekły na siebie, że przed chwilą stracił czujność.

- Oprócz mnie nie ma tu nikogo.

- Kłamca - warknął Ryld. Wysunął się do przodu, grożąc chłopcu mieczem. - Czy ten większy to twój rodzic? Czy dlatego próbujesz go chronić?

- Nie mam rodziców. Zostali zabici podczas polowania w roku, w którym się urodziłem - wyjaśnił chłopiec. Nie tylko się nie cofnął, ale mierzył Rylda gniewnym spojrzeniem, wykazując wyjątkową odwagę jak na zwykłego chłopca. - Zabili go twoi pobratymcy.

Ryld zastanowił się.

- Dlatego nauczyłeś się drowiego? Byłeś niewolnikiem?

- Mój dziadek był niewolnikiem, ale zdołał zbiec.

- Szary wilk? - zgadł Ryld. - To twój dziadek? Gdzie teraz jest?

- Nie ma go tu - odparł chłopiec, spoglądając w las naprzeciw chatki, ale zrobił to zbyt niedbale.

Spojrzenie to powiedziało Ryldowi wszystko. Kłamstwo było czyste jak lza.

Fehmistrz złapał chłopca za włosy.

- Rozumiem - powiedział. - Chodźmy z nim porozmawiać.

Na wpół zawłókł, na wpół zmusił chłopca do marszu w stronę kryjówki.

Zatrzymał się tuż przed drzwiami, przyłożył miecz do piersi wrywającego się chłopca i zawołał:

- Jeśli chcesz, żeby chłopak żył, pokaż się. Udziel mi pewnych informacji, a ja oszczędzę was obu.

Z wnętrza dobiegło tylko niskie stęknienie. Gdy przebrzmiało, chłopiec zaczął się wywijać, rozpaczliwie próbując się uwolnić. Ryld rzucił go na ziemię i grzmotnął butem w pierś. Uniósł miecz, zbyt wściekły, żeby troszczyć się o zdobycie informacji.

- Stój! - jęknął męski głos. - Powiem ci... co tylko... chcesz.

Ryld podniósł wzrok i zobaczył w drzwiach chatki okutanego kocem człowieka o siwych włosach i sięgającej piersi brodzie. Twarz miał wymizerowaną, a prawą łydkę posiniaczoną i spuchniętą prawie dwukrotnie. Stopa poniżej była zmasakrowana, jak gdyby została przebita kolcami, a potem wyrwana.

Chłopiec krzyknął coś do dziadka w języku, którego Ryld nie rozumiał, ale z jego gestów jasno wynikało, że namawia staruszka do ucieczki.

Siwowłosy mężczyzna wyglądał na kilkusetletniego starca, ale prawdopodobnie nie przekroczył jeszcze pięćdziesiątki. Spojrzał na swoją zakrwawioną stopę.

- Uciekać? - zapytał chłopca w drowim, najwyraźniej po to, żeby Ryld mógł go zrozumieć. - Jak? - Potem spojrzał Ryldowi w oczy i zapytał: - Co chcesz... wiedzieć?

- Kapłanki Eilistrae - odrzekł Ryld. - Czy mają świątynię w tych lasach?

Chłopiec nagle przestał się wyrywać i spojrzał na fehmistrza.

- Nie jesteś myśliwym? - zapytał.

Na twarzy starszego mężczyzny pojawił się posępny uśmiech.

- Nie jest. Inaczej nie pytałby o to. - Potem zwrócił się do Rylda: - Pozwól mojemu wnukowi odejść... a ja powiem ci, gdzie szukać świątyni.

Ryld zdjął stopę z piersi chłopaka, który natychmiast zerwał się na równe nogi. Stał niepewnie, nieco przygarbiony, jak gdyby rozważał czy nie zmienić się w wilka.

Siwowłosy mężczyzna zachichotał, a potem machnął na chłopca.

- Yarno, zostaw go. Widzę to w jego oczach. Jest wrogiem świątyni. A wróg naszych wrogów...

- Jest waszym przyjacielem - dokończył Ryld.

Stary człowiek kiwnął głową i zapytał:

- Masz jakąś magię uzdrawiającą... przyjacielu?

- Najpierw odpowiedz na moje pytania - powiedział Ryld. - A ja zobaczę czy cię uzdrowię.

Ku zaskoczeniu Rylda starzec zachichotał.

- Nie dla mnie - rzekł. Dla ciebie. Twój nadgarstek.

Ryld spojrział na miejsce, w które ugryzł go chłopiec. Siekacze przerwały skórę i po dłoni fechmistrza spływała strużka krwi.

- To tylko draśnięcie - powiedział.

Stary człowiek pokręcił głową.

- Powiedz mu, Yarno. On... nie wie.

- O co chodzi? - zapytał podejrzliwie Ryld.

- Jesteśmy wilkołakami - powiedział chłopiec. - Przez większość czasu zmieniamy postać, kiedy chcemy, ale w czasie pełni stajemy się wilkami czy tego chcemy, czy nie. Nie potrafimy się wtedy kontrolować. Atakujemy wszystkich. Nawet przyjaciół. Gdy budzimy się rano, nie wiemy co robiliśmy.

- Wasza rodzina jest przeklęta? - zapytał Ryld, nie pytając, czym jest pełnia.

- Przeklęta? Nie. - Powiedział starzec. - Schorowana. A nasza choroba przenosi się przez ugryzienie.

- Nazywają nas „potworami” - dodał Yarno urażonym szeptem. - Polują na nas.

Ryld kiwnął głową, rozumiejąc ból chłopca. Życie wilkołaka w lesie musiało przypominać życie w slumsach Menzoberranzan. Pamiętał własne dzieciństwo, przeżyte w ustawicznym strachu przed kolejną grupką pijanych arystokratów, którzy znajdowali przyjemność w rozbijaniu się po wąskich uliczkach Braerynu, rażeniu wrzeszczących nieszczęśników magicznymi gromami albo rąbaniu ich mieczem z grzbietu jaszczura. Potem zostawiali swoje ofiary, żeby wykrwawiły się na brudnych kamieniach.

Ten chłopiec, Yarno, wpatrywał się intensywnie w Rylda, a jego oczy były pełne tęsknego, nieukojonego żalu. Chłopiec był człowiekiem, ale patrząc mu w oczy, Ryld czuł się tak, jak gdyby patrzył w lustro. Otworzył usta i niemal wypowiedział to na głos: Na mnie też polowano. Rozumiem... Wtedy przerwał mu dziadek chłopca.

- Mam belladonnę - powiedział. - Rodzice Yarno posadzili ją w lesie w nadziei... że ocali ich syna. To był kiedyś ich dom. - Urwał, łapiąc oddech, po czym podjął: - Zioło przyprawi cię o mdłości, ale jeśli je zjesz... może nie zachorujesz.

Ryld kiwnął głową i schował miecz do pochwy.

- Powiedz mi, gdzie szukać świątyni, a ja spróbuję oczyścić twoją ranę i nastawić kości. Potem zastanowię się nad zjedzeniem belladonny.

ROZDZIAŁ 12

Valas obudził się, czując na lewym policzku dotyk czegoś miękkiego i śliskiego. Szarpnąwszy głową do tyłu, zobaczył, że to macka - jedna z czterech wyrastających z ciała ogromnego, podobnego do ryby stwora o trzech oczach wąskich jak szparki.

Wiosłując gwałtownie rękami, Valas rzucił się w tył i natrafił plecami na pręty klatki. Przed sobą widział aboletha, który leniwie wysuwał z klatki mackę. Cielsko stwora miało pół tuzina kroków długości i szeroki, rybi ogon. Gumowata skóra była zielononiebieska w szare plamy i pokryta grubą warstwą śluzu. Podbrzusze miał zielono-różowe, a w nim ogromną paszczę, która otwierała się i zamykała jak u ryby. Troje oczu - czerwonych i wąskich jak szparki - tworzyło jedną linię na czole. Macki, każda długości połowy ciała, wyrastały z jednego miejsca tuż za głową. Unosiły się leniwie na wodzie, zostawiając w niej smużki śluzu.

Valas czuł śluz na twarzy, tam, gdzie dotknęła go macka i czuł jego zapach, gdyż grudka zakrzepłej flegmy zatkała mu jedno z nozdrzy. Szybko wydmuchnął powietrze przez nos, gwałtownie ją wyrzucając.

Sprawdził broń i stwierdził, że ma wciąż w pochwach sztylety kukri. Szybkim rzutem oka upewnił się, że talizman ma wciąż przypięty do koszuli. Uspokojony, rozejrzał się po swoim więzieniu.

Klatka była wykonana z porządnego żelaza i nie miała żadnych widocznych drzwiczek. Jej podłoga spoczywała na dnie jeziora, na sięgającej pasa kępie morskoczynu, które przygniotła swoim ciężarem. Na zewnątrz klatki między falującymi łagodnie pasmami śmigły świecące rybki. W pewnej odległości widział stalagmity wznoszące się ku powierzchni wody, wysoko w górze. Boki tych skalnych formacji były podziurawione okrągłymi otworami, przez które przepływały abolethy. Valas uświadomił sobie, że stalagmity muszą być budowlami Zanhoriloch.

Aboleth nie szykował się do ataku, po prostu przyglądał mu się jak zwierzęciu w ogrodzie zoologicznym. Valas odezwał się do niego na migi, w nadziei, że zrozumie.

- *Dlaczego zostałem uwięziony?*

Odpowiedzi udzielił mu głos, który brzmiał jak bańki bulgoczące w wodzie:

- Wszedłeś na nasz teren.

Stwór przemówił w niskim wspólnym języku składającym się z prostych słów i wyrażen pochodzących z różnych języków Podmroku.

- Miałem powód, odparł Valas. Z płucami pełnymi wody zwiadowca nie mógł normalnie mówić. - Szukam czegoś. Okrętu z krwi i kości, zbudowanego przez demony.

- Jesteś głodny wiedzy.

- Tak. Widziałeś ten statek?

- Nie pochłonałem go.

Valas zmarszczył brwi, zbity z tropu. Śluz, który aboleth rozsmarował mu po twarzy, znów dostał mu się do lewej dziurki w nosie. Zacisnął tę drugą i wydmuchnął powietrze.

- Widziałeś okręt, ale go nie zjadłeś? zapytał.

Aboleth zafalował mackami, co mogło oznaczać irytację albo odpowiadać wzruszeniu ramion.

- Nie widziałem go. Nie pochłonałem też żadnej wiedzy o nim.

Pochłonałem? Valasowi nie spodobało się to określenie.

- Jak pochłaniacie wiedzę? - zapytał.

- Pochłaniamy naszych rodziców, kiedy się wylęgniemy.

- Zjadacie... zjadacie ich? - zapytał Valas. - Zjesz mnie?

- Ten przywilej nie należy do mnie - odparł aboleth. - Wiesz coś na temat tego statku?

Valas szybko potrząsnął głową i zaprzeczył z emfazą w języku migowym.

- *Nie. Powiedziano mi, że abolethy coś o nim wiedzą, więc przybyłem się dowiedzieć czy to prawda, czy plotka.*

- Skąd jesteś? - zapytał aboleth. - Jak się tu dostałeś?

Valas zastanawiał się chwilę nad odpowiedzią. Czy aboleth próbuje się dowiedzieć, czy przybył do jeziora Thoroot sam, czy może waży informacje zawarte w jego umyśle, zanim go pożre? Spróbował wymyślić odpowiedź, która nie sprawi, że wyda się łakomym kąskiem, jednocześnie oceniając szanse ucieczki. Fakt, że znalazł się w klatce i że aboleth nie pożarł go od razu, był obiecujący. Pomyślał, że może oszczędzono go dla innego aboletha, bardziej uprzywilejowanego.

Przynajmniej taką miał nadzieję. Kiedy aboleth oddali się, żeby zdać raport z wstępnego przesłuchania swoim przełożonym, będzie mógł użyć przyczepionego do koszuli amuletu w kształcie gwiazdki, żeby uciec.

- Jestem z Menzoberranzan, - powiedział. - Jestem żołnierzem w służbie jednego z domów. Matka opiekunka przysłała mnie tu za pomocą magii, żebym dowiedział się czegoś o statku demonów. Wkrótce użyje tego samego zaklęcia, żeby przywołać mnie z powrotem.

To wytłumaczy moje nagłe zniknięcie z klatki, pomyślał. I sprawi, że aboleth uzna próby odszukania mnie za daremne.

Znów zauważył, że dziurka od nosa wypełniła się śluzem, więc przedmuchał ją. Gwałtownie potarł twarz rękawem, ale tylko rozsmarował śluz jeszcze bardziej. Coraz bardziej zaniepokojony, przestał trzeć. Przed oczyma stanęła mu przypominająca drowa istota pasąca meduzy. Czy dzwoniło mu w lewym uchu? Przemógł pokusę dotknięcia go w obawie, że może już zaczęło odpadać.

- Nie wrócisz do swojego miasta - oznajmił aboleth.

Valas zadygotał, walcząc z okropnym uczuciem wzbierającym w żołądku.

- Czy zostanę niewolnikiem? Czy wasze miasto nie ma matki opiekunki - żadnej władczyni, do której mógłbym się odwołać?

Ciało aboletha zafalowało. Valas nie był pewny czy to oznaka irytacji, czy zadowolenia.

- Minęło już wiele przyplływów, odkąd Oothoon spotkała się z kimś z suchego ludu. Wśród swoich pobratymców jesteś tylko sługą i nie zasługujesz na jej uwagę. Co do twojego pytania, już jesteś niewolnikiem Oothoon. Kiedy transformacja dobiegnie końca, zaczniesz jej służyć.

Tym razem Valas dotknął ucha. Koniuszek małżowiny był nadal szpiczasty, ale z całą pewnością czuł w nim mrowienie, podobnie jak w lewej połowie twarzy, a także w lewej dłoni i stopie. Palce lewej dłoni wydały mu się lepkie. Usiłując je rozczapierzyć, odkrył, że palec wskazujący zaczyna się zlewać z palcem środkowym, a mały palec z palcem serdecznym. Pomiędzy dwoma zniekształconymi palcami rosła szara błona, która sięgała już do pierwszego knykcia.

- Ile będzie trwała transformacja? - zapytał, czując, że nie włada już lewą dłonią tak sprawnie jak kiedyś.

- Nie dłużej niż trzy boormy - odparł aboleth. - Gdy dobiegnie końca, wrócę, żeby cię wypuścić.

Potężnym machnięciem ogona odwrócił się i odpłynął.

Valas nie miał pojęcia, ile trwa boorm. Mógł trwać tyle, co jeden cykl Narbondelu w tym przypadku miał jeszcze czas, żeby wrócić do pozostałych, o ile zaklęcie Pharauna nie przestanie wcześniej działać. Boorm mógł też być krótki jak uderzenie serca. Wzdrygnął się, spoglądając na swoją lewą dłoń. Im szybciej zacznie, tym lepiej. Aboleth płynął szybko w kierunku miasta, nie oglądając się na niego.

Zwiadowca dotknął gwiazdki na piersi i poczuł znajome targnięcie magii. Znalazł się w wybranym miejscu - dobre sto kroków dalej - ale klatka przeniosła się wraz z nim. Wylądowała na świeżej kępie morskocyny, wzbijając sięgający kolan tuman pyłu i rozpraszając ławicę małych, przestraszonych rybek.

Czy dotknął klatki jakąś częścią ciała - czy dlatego prześliznęła się wraz z nim pomiędzy wymiarami? Klatka była za ciężka, żeby magia talizmanu mogła ją przenieść, ale było to jedyne rozwiązanie, jakie przychodziło mu do głowy.

Wiosłując rękami, znalazł się dokładnie na środku klatki i spróbował jeszcze raz - tym razem skacząc bliżej. Po raz kolejny klatka przeniosła się razem z nim.

Valas zmarszczył brwi. Klatka musiała mieć moc utrzymywania go w środku bez względu na to, gdzie się ruszył. Gdyby brosza była potężniejsza, mógłby pokonać jezioro krótkimi skokami, kierując się wzdłuż głównego prądu jeziora ku wodospadowi będącego jego źródłem. Ale moc broszy była ograniczona. Po dwóch następnych skokach takich jak ten pierwszy zapadnie w stan uśpienia na cały cykl.

Tymczasem śluz pozostawiony przez mackę rozpełzał mu się po twarzy i lewym ramieniu. Zacerpnął wody w płuca, a potem wydmuchnął ją nosem, oczyszczając nozdrza. Ile czasu jeszcze mu zostało? Przynajmniej umysł miał wciąż niezmacony i podejrzewał, że to jedyna rzecz, jaka mu pozostanie. Podobna do drowa istota udowodniła, że ma wolną wolę. Potrafiła ostrzec Valasa przed Zanhoriloch - choć na wiele mu się to nie zdało.

Pora wypróbować inny sposób, pomyślał zwiadowca.

Valas odpiął od koszuli kolejny magiczny przedmiot - krótką mithralową rurkę nie dłuższą od palca. Wiosłując lewą ręką - błona sięgała już do drugiego knykcia - stuknęła rurką w pręty klatki. W wodzie rozszedł się jasny, czysty dźwięk, ale nic się nie wydarzyło. Jeśli nawet w klatce znajdowały się drzwi, nie odpowiadały na magię dzwonka.

Wsuwając rurkę z powrotem do kieszeni, Valas sięgnął po ostatnią deskę ratunku - broszę, w której osadzony był matowy szary kamień otoczony kilkunastoma mniejszymi, nieoszlifowanymi klejnotami. Wykonana przez gnomów głębinowe brosza potrafiła spowić noszącą ją osobę iluzją, nadając jej taki wygląd, jaki tylko zapragnęła. Jej właściciel nie zostawał naprawdę przeistoczony, brosza nie miała też mocy tworzenia bardziej skomplikowanych iluzji - nie potrafiła sprawić, żeby drow wyglądał jak aboleth - ale pozwalała Valasowi na dokonanie drobnych zmian w swoim wyglądzie.

Przekręcił klejnot i poczuł, jak przechodzi go ciepły dreszcz. Gdy spojrział w dół, zobaczył błoniaste dłonie i stopy oraz zakończony płetwą ogon. Magia broszy zadziałała, nadając mu wygląd pasterza meduz.

Wszystko zależało od tego, czy jego domysły okażą się słuszne - liczył na to, że magia klatki zostanie zniweczona, gdy jego przemiana dobiegnie końca. Ruchem nóg odbił się do góry, modląc się w duchu, żeby wierzch klatki zniknął.

Z hukiem uderzył głową w pręty, przed oczyma zatańczyły mu gwiazdy. Krzywiąc się, opadł z powrotem na dno swojego więzienia.

To już koniec. Brosza była jego ostatnią nadzieją. Nawet iluzja gnomów głębinowych okazała się bezsilna w starciu z klatką, w której go uwięziono. Znalazł się w pułapce. Mógł tylko czekać, aż jego ciało dogoni stworzoną przed chwilą iluzję. Aż sam zmieni się w podobną do drowa istotę.

Nie pozwolę na to, pomyślał. Zasługuję na dobrą śmierć. Śmierć żołnierza. Nie to.

Wyrwał z pochwy jeden z kukri ten, który raził ofiarę magiczną energią. Magia nie zadziała, jeśli będzie trzymał sztylet w dłoni - zabezpieczenie przed przypadkowymi obrażeniami - ale jeśli wbije trzonek w ziemię, będzie mógł się nadziać na ustawione na sztorc ostrze. Sięgając w dół ku prętom tworzącym podłogę klatki, dziabnął nożem dno jeziora, ale podłoże okazało się za twarde. Klatka wylądowała na kamieniach. Musiał ją przenieść w inne miejsce.

Podpłynął w górę i spojrział w stronę miejsca, gdzie klatka spoczywała jeszcze chwilę wcześniej, ale zobaczył tylko falujące łagodnie morze wodorostów, a nie sprasowany spłachetek, którego się spodziewał. Czyżby klatka się obróciła? Nie, w oddali widział Zanhoriloch. Wycucie kierunku nie zawiodło go. Nie widział jednak ani miejsca, gdzie klatka stała przed chwilą, ani miejsca, gdzie stała, gdy się w niej ocknął. Było to dziwne; ciężar klatki powinien był zmiażdżyć morszczyzny.

A... tam.

Zauważył płaski kwadrat wodorostów w odległości trzydzieści kroków co nie miało żadnego sensu. Przecież przed chwilą patrzył w tamtą stronę. Czyżby śluz wszedł mu oczy, utrudniając widzenie? Nie. Wciąż widział tak samo wyraźnie jak zawsze.

Nagle odpowiedź stała się jasna - klatka była iluzją. Niewiarygodnie potężną iluzją, iluzją działającą na wszystkie zmysły. Pręty klatki były nie tylko widoczne, ale i prawdziwe w dotyku. Kiedy uderzył w nie dzwonkiem, ten zadzwonił - a przynajmniej tak mu się wydawało. Ale kiedy zamknął oczy, kiedy skoncentrował się tak mocno, że aż zabolalo, poczuł pod stopami skaliste podłoże. Wiosłując rękami, żeby się przy nim utrzymać, przesunął nogą wzdłuż dna - i nie napotkał żadnego oporu. Zamiast trafić stopą na pręty, przesunął nią po szorstkich, nagich kamieniach.

W skupieniu przesunął stopy po ziemi, dopóki nie napotkał oporu - pasma wodorostów. Ich dotyk prawie go zdekoncentrował, tak bardzo przypominał dotyk macki, która zostawiła na jego twarzy ohydny śluz. Wzdrygnąwszy się, sunął dalej, dopóki nie czuł morszczyków wszędzie wokół siebie. Dopiero wtedy otworzył oczy.

Udało mu się. Iluzoryczna klatka zniknęła. Był wolny.

Ale na jak długo? Nie był już w stanie operować normalnie lewą ręką. Miała już tylko dwa palce zrosnięte grubą błoną. Lewo ucho zrobiło się jakieś dziwne, podobnie jak lewe oko. Zaczynało się zamykać, a widziane przez nie kolory wydawały się inne niż zwykle. Dalsze potwierdzenie przemiany nadeszło, gdy zobaczył, jak coś białego odrywa się od niego i odpływa z prądem. Było to pasmo włosów z lewej strony czaszki.

Spojrzął na Zanhoriloch i zobaczył, że stwory zamieszkujące miasto są nadal zajęte swoimi sprawami i pływają pomiędzy wieżami stalagmitów, nieświadome jego ucieczki.

Wyglądało na to, że nikt nie podniósł alarmu i żaden z abolethów nie płynął w jego stronę. Poczł przyplłw radości, ale trwał on krótko. Zamarł, uświadamiając sobie, że nie uda mu się daleko uciec. Wkrótcę stanie się przypominającą drowa istotą, zmienioną na zawsze w oddychającego wodą stwora. Jezioro stanie się jego więzieniem.

Choć wiedział, że sprawa jest beznadziejna, bo żaden z jego towarzyszy nie dysponuje magią uzdrawiającą, zresztą pewnie i tak wezmą go za potwora i zamordują, przywiązał sztylet z powrotem do pochwy i zaczął płynąć pod prąd. Wykonał swój pierwszy obowiązek najemnika uciekł. Teraz zda towarzyszom raport, choć zawierał on niewiele oprócz ostrzeżenia, aby unikać Zanhoriloch za wszelką ceną.

Gdy zda już raport, poprosi jednego z towarzyszy, żeby go dobił. Jeśli odmówią, zrobi to sam.

ROZDZIAŁ 13

Andzrel Baenre, fehmistrz domu Baenre, stał w jaskini, wydając rozkazy podkomendnym. Kilkom tunelami łączącymi się z wielką pieczarą co chwilę przybiegali i wybiegali gońcy, przynoszący wieści o bitwie o dostęp do Menzoberranzan. Żołnierze domu Baenre bronili północnego wylotu jaskini Ablonsheira.

Z bocznego tunelu dobiegał przyciszony szcęk stali, miecze drowów uderzały o bojowe topory tanarukków. Oddział duergarów usiłował przedrzeć się korytarzem omijającym wylot jaskini, ale zaplątał się w sieci rzucone przez czarodzieja wchodzącego w skład sił Andzrela. Z ostatnich raportów wynikało, że pajęczyny się palą. Widocznie tanarukkowie - półorki, półdemony - spróbowali utorować sobie drogą ogniem poświęcając swoich krasnoludzkich sojuszników zaplątanych w lepkie sieci. W tunelu unosił się swąd spalonych włosów i mięsa.

W jaskiniach na wschód od miejsca, gdzie stał Andzrel, żołnierze Baenre zmusili grupę duergarów do wycofania się w obręb faerzress i ostrzeliwali ich z proc. Pokaz pirotechniczny, który nastąpił, był ponoć spektakularny, tak w każdym razie twierdzili procownicy, którzy go spowodowali, a którzy zostali oślepieni. Wojownicy Baenre czekający w załomach tunelu minęli ich właśnie, aby dobić oślepione szare krasnoludy.

Andzrel aż się palił do walki. Chciał skradać się wąskimi, krętymi korytarzami Mrocznego Władztwa z mieczem w ręku, walczyć z wrogiem twarzą w twarz w ciasnych tunelach. Zamiast tego tkwił na szczycie utraconego stalagmitu, wydając rozkazy żołnierzom biegnącym na pole bitwy, podczas gdy on musiał zostać w tyle. Próbował wyobrazić sobie, że jest pajakiem siedzącym na środku pajęczyny - wyczulonym na wibracje bitwy dochodzące ze wszystkich stron i odpowiadającym na nie ale na próżno. Chciał mieć pretekst, żeby dobyć miecza, na miłość Lolth, zetrzeć się z nieprzyjacielem w wielkiej bitwie, jaka miała miejsce pod Słupami Żalu, kiedy wyrwał zdrajcom zwycięstwo z gardła.

Ale obrona tuneli szła aż za dobrze. Ostrzeżone przez Triel matki opiekunki wysłały żołnierzy na południowy-wschód od miasta, zatrzymując pochód nieprzyjaciela. Wyglądało na to, że duergarowie się wycofali, zostawiając tanarukków samych. I choć Znękany Legion miał tysiąc żołnierzy, przedzieranie się armii przez te wąskie tunele przypominało przeciskanie melona przez szyjkę butelki. A jednak wciąż wysyłali naprzód nowe oddziały. Zupełnie jak gdyby oczekiwali, że tuneli nikt nie będzie bronił.

Wzdychając, Andzrel odbiegł myślami od walki. Jego wzrok padł na jedną ze smużek dymu, które od pewnego czasu napływały z tunelu z lewej. Wznosiła się stopniowo w górę, unoszona zaskakująco silnym prądem powietrza w kierunku wąskiej szczeliny biegnącej wzdłuż sklepienia. Potem wśliznęła się w rozpadlinę i zniknęła.

Za chwilę pojawiła się kolejna - o dziwnym kształcie i wąsach przypominających ręce i nogi. Ona też zniknęła w szczelinie. Potem pojawił się trzeci kłąb dymu, kłąb wybrzuszony z przodu, który wyglądał jak zmierzwiona...

Uświadamiając sobie nagle, co widzi, Andzrel krzyknął do stojącego obok młodszego oficera:

- Poruczniku! Ten dym... strzelać do niego!

Z szybkością będącą wynikiem surowych szkoleń i całkowitego posłuszeństwa porucznik uniósł ramię i wystrzelił z przyczepionej do nadgarstka kuszy we wskazanym kierunku. Zatruty bełt przeciął ze świstem powietrze, mknąc w stronę celu.

Zamiast przelecieć przez „dym” i uderzyć w skałę za nim, bełt wbił się z głuchym łoskotem w coś miękkiego. Chwilę później w powietrzu zmaterializował się tanarukk. Runął na ziemię, wymachując rękami i nogami, i upuszczając topór, który wylądował z brzękiem obok niego. Zginął, zanim grzmotnął o kamienie, uśmiercony jadowitą trucizną.

Porucznik natychmiast przeładował kuszę i przyjrzał się stropowi.

- Mistrzu Andzrelu - wychrypiał - skąd on się wziął?

Andzrel wbił wzrok w korytarz, którym przybył dwuwymiarowy tanarukk. Nie dostrzegł już żadnych smug „dymu”. Wyglądało na to, że trup zamykał pochód.

Niski i krępy, o wydatnej dolnej szczęce i zakrzywionych kłach, tanarukk miał na czole rogowy grzebień, który nadawał mu tępy, niemądry wygląd. Jednak wybieg, jakim posłużyli się on i jego towarzysze, aby wywieść drowy w pole, trudno było nazwać głupim.

- Ważniejsze pytanie brzmi, poruczniku, dokąd zmierzali tanarukkowie - powiedział Andzrel - i ile zdołało się prześliznąć obok nas. O ile dobrze pamiętam, ta szczelina prowadzi do głównej pieczary.

Z bocznego tunelu wybiegł goniec.

- Dobrze wieści, sir - wydyszał mężczyzna. - Nie dość, że ich zatrzymaliśmy... to jeszcze wygląda na to, że się wycofują. Prawie nikt już nie został.

Gdy Andzrel zaklął - zaskakując gońca, który zapewne oczekiwał pochwał - do komnaty wbiegło truchtem czoło kompanii domu Barrison Del'Armgo. Były to posiłki przysłane wreszcie przez drugi dom, dopiero gdy żołnierze Baenre zabezpieczyli tunele.

Andzrel zeskoczył ze złamanego stalagmitu i podszedł do dowodzącej kompanią kapitan, szczupłej drowki w adamantytowym pancerzu mającej białe włosy związane w kitę na czubku głowy.

- Kapitanie! - warknął, opuszczając zwykły ukłon należny oficerowi wyższemu rangą, a kapitan Barrison Del'Armgo, będąc kobietą, zdecydowanie przewyższała go szarżą. - Każ zawrócić swoim ludziom. Maszerujcie z powrotem do głównej pieczary.

Oczy kapitan błysnęły jeszcze głębszą czerwienią, a na policzki wypełził rumieniec gniewu. Zatrzymała się raptownie, a idący za nią żołnierze zrobili to samo.

- Kim, na Dziewięć Piekieł, wydaje ci się, że jesteś? - zapytała, mierząc go wściekłym spojrzeniem. - Może jesteś fechmistrzem domu Baenre, ale jesteś tyłko...

- Nie czas na kłótnie - powiedział Andzrel z napięciem w głosie, żarliwością nadrabiając niski wzrost. - Wróg prześliznął się obok nas i zaraz wkroczy do miasta. Dom Barrison Del'Armgo leży dokładnie na ich drodze. Czy twoja duma jest ważniejsza od twojego domu, kapitanie?

Kapitan zawahała się, ściskając miecz w rękę, a potem okręciła się na pięcie.

- W tył zwrot! - warknęła. - Wracamy do głównej pieczary. Podwoić tempo!

Jednak spojrzenie, jakie rzuciła Andzrelowi przez ramię, biegnąc za swoją kompanią, było ostre jak sztylet. Gdy bitwa z duergarami i tanarukkami zostanie rozstrzygnięta, czy to wygrana, czy przegrana, on będzie musiał stoczyć jeszcze jedną walkę.

Odwrócił się do porucznika Baenre i powiedział:

- Ty dowodzisz. Każ połowie naszej kompanii cofnąć się do głównej pieczary, a drugiej dalej pilnować tuneli.

Białe brwi porucznika uniosły się.

- A ty, sir? - zapytał. - Gdzie ty wtedy będziesz?

I zaraz, zdając sobie sprawę z własnej impertynencji, wbił wzrok w ziemię.

- Dopilnuję, żeby kapitan Barrison Del'Amigo wykonała swoje rozkazy - powiedział z uśmiechem. Dobył miecza. - I mam nadzieję, że dam tanarukkom posmakować tego.

* * *

Triel, w towarzystwie domowego czarodzieja i kapłanki służącej jej obecnie za osobistą strażniczkę, stała na balkonie otaczającym Wielki Kopic w miejscu, gdzie stalaktyty i stalagmit stykały się ze sobą. Z dołu, od podstawy płaskowyżu Qu'ellarz'orl, dochodził ich szcęk broni walczących. Grupa tanarukków prześliznęła się jakimś sposobem przez linię żołnierzy, których wysłała do tuneli i dotarła do lasu grzybów. Szerokie kapelusze zasłaniały widok, ale od czasu do czasu któraś z purchawek, trafiona mieczem lub toporem, wybuchała wypełniając powietrze chmurą świecących niebieskich zarodników.

Wśród walczących Triel rozpoznawała srebrne mundury własnych żołnierzy. Kompania domu Baenre pod wodzą Andzrela wraz z kompanią Barrisonów Del'Armgo powstrzymywały tanarukków przed wdarciem się w głąb głównej pieczary. Podczas gdy piesi raz po raz nacierali na tanarukków, usiłując zmusić ich do odwrotu, dwa szwadrony jezdnych atakowały wroga z flanki, mknąc na jaszczurach wzdłuż ścian.

Stopniowo przypierali nieprzyjaciół do ściany wielkiej jaskini. Ale kiedy Triel była już pewna, że wepchną ich do tunelu jak korek do butelki albo zmiążdżą, tanarukkowie broniący się przy wylocie tunelu rozstąpili się. Triel wychyliła się do przodu, spodziewając się zobaczyć generała tanarukków kroczącego pomiędzy szeregami swoich podkomendnych, ale widząc, co wyłania się z tunelu, zachichotała.

Był to jadeitowy pajak. Trzy razy wyższy od drowa magiczny konstrukt był jednym ze strażników strzegących wejść do Menzoberranzan. Wykonany z nasyczonego magią jadeitu poruszał się z płynną gracją. Był tyleż zniewalający w swym pięknie, co zabójczy.

- Teraz się zabawimy - powiedział pulchny czarodziej stojący obok Triel.
Triel kiwnęła tylko głową. Niespecjalnie się przejmowała Nauzhrorem, swoim kuzynem pierwszego stopnia. Został mianowany arcymagiem Menzoberranzan tylko dlatego, że Gromph zniknął, ale nosił szaty arcymaga z taką pychą, jak gdyby na nie zasłużył. Triel zamiast do niego, zwróciła się do Wilary, kapłanki stojącej po jej lewej ręce.
- Pająki nauczą ich bojaźni Lolth - zaśmiała się.
Wilara roześmiała się uprzejmie. Jej śmiech urwał się jednak raptownie, gdy jadeitowy pająk zamiast zaatakować tanarukków, ruszył utworzonym przez nich szpalerem.
- Co na Pajęczą Królową... - wyszeptała kapłanka.
Odpowiedź na swoje pytanie otrzymała chwilę później, gdy pająk runął na łeb na szyję na żołnierzy Baenre. Poderwawszy jednego z nich z ziemi, przeciął go na pół żuwaczkami. Potem upuścił obie połówki na ziemię i pobiegł dalej, po drodze tratując grzyby i żołnierzy.
- Lolth dopomóż - powiedział Nauzhror zduszonym głosem. - Zdołali przejąć kontrolę nad konstruktami.
Oszołomione drowy cofnęły się przed atakującym pająkiem. Kilku z nich padło przed nim plackiem, ale zostali potraktowani tak samo jak ten pierwszy.
Pająk parł nieugięcie naprzód i wkrótce na ziemi za nim leżały krwawe szczątki kilku drowów. Błyskawicznie uTORował sobie drogę między grzybami i żołnierzami, którą to lukę natychmiast wykorzystali tanarukowie.
- Atakujcie, do diabła! - krzyknęła Triel, gdy wrogowie rzucili się naprzód.
Oddział drowów był za daleko, żeby ją usłyszeć, ale na szczęście jeden z dowódców - zapewne Andzrel, sądząc po czarnej zbroi i płaszczu opanował panikę. Spadli na tanarukków ze wszystkich stron i szybko zamknęli lukę otwartą przez pająka. Lecz choć wrogowie zostali z powrotem przyparci do ściany jaskini, jadeitowy pająk kroczył dalej. Zostawiając za sobą walczących żołnierzy i las grzybów, zaczął się wspinać zboczem prowadzącym z Qu'ellarz' orlu do kompleksu pałacowego Baenre. Poruszał się szybko i wkrótce znalazł się przy barierze.
Zatrzymał się tuż za wysokim ogrodzeniem otaczającym cały kompleks, jak gdyby kontemlował magię płynącą w srebrnych pasmach bariery, po czym zwrócił się ku jednemu ze stalagmitów, do których przymocowane było ogrodzenie. Straż na balkonach patrzyła z konsternacją, jak wdrapuje się po kamiennym słupie tak łatwo, jak żywy pająk. Zatrzymał się tuż nad barierą, przeskoczył przez nią i ruszył w stronę serca kompleksu.
Triel zmrużyła oczy, widząc, dokąd zmierza. Jadeitowy pająk kierował się ku głównej budowli ogromnej, zwieńczonej kopułą świątyni Lolth.
Wilara sapnęła, gdy i do niej to dotarło.
- Ośmiela się zaatakować świątynię? - zawołała kapłanka.
Nauzhror, zerkając z ukosa na Triel, wybuchł złością stosowną w takiej sytuacji.
- Bezczelni! - pieklił się tymczasowy arcymag. - Oby zdusiły ich sieci Lolth!
Jego famulus, włochaty brązowy pająk wielkości pięści, przebiegł z jednego ramienia maga na drugie, zaniepokojony jego gwałtownym wybuchem.
Triel wydeła usta, nic nie mówiąc. Świątynia mogła być przedmiotem ataku, ale atak ten nie był głównym celem wroga. Pojedynczy jadeitowy pająk - a nawet ich tuzin - nie mógł wyrządzić poważnych szkód. Triel była pewna, że to najście ma być widoczną dla wszystkich demonstracją, że Lolth odwróciła się od swojego wybranego ludu. Pająka należało powstrzymać - ale ktokolwiek poważyłby się na to przed bramą budynku poświęconego Lolth, ściągnąłby na siebie gniew bogini.
Przynajmniej tak było kiedyś.
Triel pragnęła krzyknąć do Lolth, błagać boginię, żeby powiedziała jej, co robić, ale wiedziała, że odpowiedzią będzie milczenie. Matka opiekunka pierwszego domu była zdana wyłącznie na siebie a jeśli jadeitowy pająk nie zostanie powstrzymany, słabość Menzoberranzan stanie się dla wszystkich jasna jak słońce. Mężczyźni z domu Baenre, walczący tak mężnie, żeby odeprzeć wrogów, mogą stracić ducha walki. Jeśli dojdą do przekonania, że Triel i inne wysokie rangą drowki utraciły łaskę Lolth z powodu swoich przewinień albo, że bogini odwróciła się na zawsze od wszystkich drowów, mogą się nawet zwrócić przeciwko własnym matkom opiekunkom.
Nie może do tego dopuścić.
- Wróg zna nasz słaby punkt - powiedziała Triel pełnym napięcia głosem. - Muszą wierzyć, że

Lolth umilkła na zawsze i mają nadzieję, że stanie się to jasne dla wszystkich.

Stojąca obok Wilara zeszytywniała. A potem, ku zdumieniu matki opiekunki, zaprzeczyła jej.

- Nie - powiedziała kapłanka, potrząsając głową i długim warkoczem, który zafalował na jej placach jak wąż. - Bogini odpowie. Musi odpowiedzieć.

Żmije przy biczu Triel syknęły ze złością, ale Triel zignorowała je. W tej sytuacji mogła pozwolić Wilarze na szczerłość.

- Lolth może się jeszcze obudzić - powiedziała, starając się przekonać zarówno kapłankę, jak i samą siebie. - Moja siostra Quenthel jeszcze nie dała za wygraną, więc my też nie powinniśmy. Ale tymczasem musimy polegać na sobie. I innych rodzajach magii.

Odwróciła się do Nauzhrora i zapytała:

- Czy znasz zakłęcie, która zmienia kamień w ciało?

- Znam, matko opiekunko - odparł - ale wtedy posąg stanie się żywym pajakiem. Problem pozostaje nierozwiązany. Nie możemy go po prostu... zabić.

- Zgadza się - powiedziała Triel, odpinając od pasa jeden z futerałów na różdżki. - Ale zanim z nim skończymy, przestanie być pajakiem. - Wyciągnęła cienką żelazną różdżkę zakończoną kawałkiem bursztynu, w którym zatopione były szczątki zasuszonej ćmy. - Gdy tylko rzucisz zakłęcie, ja zmienię go w coś innego - coś wystarczająco dużego i na tyle niebezpiecznego, by zdołało przedrzeć się przez nasze szeregi. Coś, z czego zaatakowaniem nasi żołnierze nie będą mieli problemu.

Nauzhror uśmiechnął się.

- Podstępny plan, matko opiekunko. Godny samej Lolth.

Spojrząwszy w dół, Triel zobaczyła, że pajak dotarł już prawie do świątyni.

- Przestań mi schlebiać - rozkazała. - Natychmiast nas tam teleportuj.

Nauzhror wypowiedział słowa zaklęcia i moment później balkon jakby odskoczył w bok, gdy on i Triel precyzyjnie się między wymiarami. W mgnieniu oka znaleźli się przed bramą wielkiej świątyni. Dwa tuziny strażników, którzy miotali się zdezorientowani, westchnęło głośno na widok matki opiekunki, która nagle się przed nimi pojawiła. Niektórzy kłaniali się, inni wodzili wzrokiem od Triel do zbliżającego się szybko pajaka, którego kamienne odnóża stukwały na kamieniach jaskini.

Nauzhror, którego twarz zrobiła się szara na widok ogromnego kamiennego pajaka, zaczął skandować zakłęcie. Wskazał pajaka palcem, z którego wyprysnął wąski promień intensywnie czerwonego światła, ale ręka tak mu drżała, że promień zachybotał się i minął pajaka o kilka kroków.

Triel złapała rękę Nauzhrora i przytrzymała ją. Promień trafił stwora - i jadeit stał się ciałem. Triel aktywowała różdżkę.

Pajak przedzierzgnął się w postać, o której myślała: w dwunożne monstrum o potężnych mięśniach, ogromnych kleszczach i żuwaczkach oraz okrągłej, owadziej głowie. Jego ciało okrywały chitynowe płytki, a ze szczelin wokół głowy wyrastały czułki. Zaskoczony nagłą transformacją stwór zatrzymał się chwiejnie, machając dziko czułkami i kłapiąc żuwaczkami.

- Matko opiekunko - zawołał Nauzhror. - Brunatny kolos?

- Przekonujące, nieprawdaż? - zapytała Triel z kwaśnym uśmiechem. Odwróciła się do tuzina żołnierzy, którzy stali w pobliżu, gapiąc się na bestię i rozkazała: - Żołnierze domu Baenre, zostaliście omamieni iluzją. Brońcie mnie!

Żołnierze jak jeden mąż skoczyli naprzód z mieczami w garści. Przetransformowany posąg bronił się, żuwaczkami rozdzierając jednego żołnierza na pół i gładko odcinając głowę następnemu. Potem porucznik straży, drobny mężczyzna z włosami splecionymi w dwa warkocze założone za szpiczaste uszy, jednym skokiem znalazł się na środku drogi potwora. Nie nosił pancerza, a jego jedyną bronią była mała kusza przyczepiona do lewego nadgarstka. Wymierzył starannie w monstrum toczące się chwiejnie w jego stronę - stwór wciąż nie mógł złapać równowagi na dwóch nogach zamiast ośmiu - i wypalił.

Bełt trafił brunatnego kolosa w gardło w miejscu, gdzie stykały się dwie chitynowe płytki i wbił aż po pierzysko... po czym eksplodował magiczną energią. Po ciele kolosa przebiegły oślepiające smugi iskier, spopielając jego czułki niczym spalone włosy. Brunatny kolos zachwiał się, a potem zwałił na ziemię.

Porucznik, w którym Triel rozpoznała poniewczasie jednego ze swoich siostrzeńców, Vrellina, upadł przed nią na jedno kolano.

- Matko opiekunko - powiedział, nie podnosząc na nią oczu. - Nie rozpoznałem zagrożenia. Moje życie należy do ciebie.

Zamknął oczy i uniósł głowę, obnażając odsłonięty kark.

Triel roześmiała się.

Jej śmiech zdumiał Vrellina. Niepewnie podniósł na nią wzrok, choć nie spojrzął jej prosto w oczy. Vrellin był mężczyzną, który znał swoje miejsce.

- Matko opiekunko, czy naśmiewasz się ze mnie? - zapytał napiętym głosem. - Czy moje życie tak niewiele dla ciebie znaczy, że uważasz, iż nie warto mi go odbierać?

Triel rozpostarła palce i musnęła nimi głowę porucznika. Jej dotyk był lekki jak mgiełka.

- Za to, co zrobiłeś, poruczniku, bogini wynagrodzi cię - w tym życiu albo w następnym.

Wypowiadając te słowa, zadawała sobie pytanie, czy to prawda. Nagle jej wzrok przykuł jakiś blask w oddali, po przeciwnej stronie wielkiej jaskini: smugi bladoczerwonego światła, wylatujące łukiem w powietrze i opadające z powrotem w dół. Wydawały się pojawiać na tyłach jaskini Tier Breche, gdzieś pomiędzy Sorcere i Arach-Tinilith.

Zakłęła cicho, gdy dotarło do niej, skąd wylatują - z tunelu prowadzącego do Tier Breche spoza Menzoberranzan i czym jest źródło rozbłysków: garnce z magicznym ogniem, potrafiącym spopielić nawet skały, takie jak te, które zniszczyły Ched Nasad.

Bomby zapalające.

Menzoberranzan zostało zaatakowane z drugiej strony. A sądząc po pióropuszkach ognia zakwitających na budynkach bocznej jaskini, nieprzyjaciel odnosił zamierzony efekt, miotając bombami w trzy najszacowniejsze instytucje miasta: Sorcere, Melee-Magthere... i Arach-Tinilith, najświętszą ze świątyń Lolth.

Odrywając wzrok od Tier Breche, Triel spojrziała ku podstawie Qu'ellarz'orlu. Drowom udało się wreszcie zepchnąć tanarukków do tunelu. O stoczony bitwie świadczyło tylko kilka leżących na ziemi trupów.

- Niech ich Otchłań pochłonie - zakłęła pod nosem. - To był tylko zwód.

* * *

Aliisza wylegiwała się na pluszowym dywanie rzuconym na podłogę jaskini i sączyła wino z grzybów koronkowych. Kaanyr chodził tam i z powrotem po jaskini, która służyła mu za kwaterę połową. Zatrzymał się obok swojego „tronu” - ogromnego fotela zbitego z kości jego wrogów, ohydny sprzęt, który uparł się zabrać na wyprawę wojenną. Warcząc, przewrócił kopniakiem stojący koło niego kosz na węgle.

- Niech Otchłań pochłonie Nimora! - krzyknął, a jego twarz pałała ogniem. - Obiecał, że drowy pójdą w rozsypkę, że nie zdołają stworzyć spójnej obrony. A teraz moje wojsko utknęło i cała chwała przypadnie duergarom.

Rozżarzone do czerwoności węgle rozsypały się po dywanie, który zaczął się tlić. Aliisza podniosła jeden z nich i zaczęła się nim bawić. Jego żar łaskotał jej skórę.

- Więc dlaczego nie pomaszrujesz na północ i nie dołączysz do atakujących duergarów? - podsunęła, podkreślając pytanie wzruszeniem czarnych skrzydeł.

- Żeby drowy miały szansę zaatakować nas od tyłu na terenie, który jest im dobrze znany? - Vhok potrząsnął głową i dodał: - Twoja znajomość taktyki a raczej jej brak zdumiewa mnie. Czasem zastanawiam się, po czyjej właściwie jesteś stronie, Aliiszo.

Aliisza odstawiła kieliszek i wstała. Wspięła się na czubki palców i splotła dłonie za głową Kaanyra. Przyciągając ją do siebie, pocałowała go.

- Po twojej, ukochany Kaanyrze - wymruczała.

Półdemon przerwał pocałunek.

- Ten Nimor zaczyna mnie drażnić - zrzędził. - Obiecywał nam łupy zdobyte na szlachetnym domu i co? Nawet bez Lolth Menzoberranzan okazało się, jak ujął to trafnie Horgar, twardym kamieniem do zgryzienia. A jeśli Lolth nagle powróci...

Urwał i zamyślił się ze wzrokiem wbitym w jedno z ognisk, które wybuchały mu u stóp.

- Ta drużyna drowów, którą śledziłaś w Ched Nasad... - powiedział.

Aliisza była zajęta muskaniem ustami gorącej jak węgle szyi hegemonu.

- Mhm? - mruknęła.

- Dokąd się wybierali?

Aliisza nadąsała się, ale zapytała:

- A ma to jakieś znaczenie?
- Może - odparł Vhok. - I dlatego mam dla ciebie następne zadanie. Chcę, żebyś ich odszukała i, co ważniejsze, dowiedziała się, co knują. Jeśli mam rację, może powinniśmy przemyśleć nasz sojusz.

Aliisza przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się nie na myśl o zdradzie, o której napomknął Kaanyr, ale o ponownym spotkaniu z Pharaunem.

Był naprawdę uroczy.

ROZDZIAŁ 14

Gromph wpatrywał się z przerażeniem w illithida, czując, jak krew odpływa mu z twarzy. Gdyby nie był uwięziony w tej przeklętej przez bogów kuli, poradziłby sobie ze stworem bez najmniejszych problemów, rzucając na niego jakieś zabójcze zaklęcie, ale teraz znajdował się na jego łasce. Wiedział, że illithid usłyszy każdą przelotną myśl, jaka przejdzie mu przez głowę, tak wyraźnie, jak gdyby wypowiedział ją na głos. Żaden z jego sekretów ani sekretów Sorcere - nie był bezpieczny, jeśli nie postara się o nich nie myśleć, ale wysiłek ten sprawi tylko, że wypłyną na powierzchnię umysłu. Jedyną dobrą stroną całej tej sytuacji był fakt, że falujące łagodnie macki łupieżcy umysłów znajdowały się po drugiej stronie szkła. Illithid nie mógł osiągnąć ani zaatakować Grompha tak samo, jak Gromph nie mógł porazić go swoją magią.

Telepatyczna mowa łupieżcy umysłów była czymś zupełnie innym. Z łatwością przeniknęła przez sferę.

- Sorcere? Który to budynek?

W umyśle Grompha pojawił się ulotny obraz: rzeźbiona wieża Sorcere wznosząca się dumnie obok dwóch pozostałych przybytków Akademii - piramidy Melee-Magthere i opartej na ośmiu nogach świątyni Arach-Tinilith.

Gromph zaklął i szybko skupił myśli na czymś innym, ale było już za późno. Illithid podpłynął w górę, jego głowa przebiła powierzchnię jeziora. Spojrzał w prawo, ku północnemu krańcowi miasta, szukając pustymi oczyma pieczary łączącej się z główną jaskinią Menzoberranzan. Jego macki uniosły się nieznacznie, a usta zaczęły poruszać.

Illithida otoczył jasny rozbłysk magicznej energii i jezioro oraz wybrzeże zniknęły. Gromph uświadomił sobie z rezygnacją, że sprawy mają się jeszcze gorzej, niż myślał. Jego prześladowca nie był zwykłym illithidem, lecz czarodziejem.

Gromph natychmiast rozpoznał miejsce, w które przeniosło ich zaklęcie illithida. Znaleźli się w szerokiej jaskini prowadzącej z Mrocznego Władztwa do Tier Breche. Na ziemi leżeli wyczerpani duergarowie, wielu z nich było rannych. Inni, uzbrojeni w ogromne topory i wyszczerbione w walce tarcze, spieszyli tunelem ku Tier Breche, gdzie co chwilę błyskało od eksplodujących zaklęć.

Jeszcze inne szare krasnoludy uwijały się w wylocie tunelu, pospiesznie montując maszyny oblężnicze i zapory. Duergarowie pracowali bez wytchnienia, choć od czasu do czasu kula ognia, lodu lub skwierczącej elektryczności przelatywała nad wzniesionymi przez nich umocnieniami i uderzała z łoskotem w ziemię. O sile eksplozji świadczyły żarzące się jamy pełne stopionej skały i potrzaskane kamienie.

Gromph widział wszystko, ale nie słyszał krzyków duergarów kiwających głowami przybyłemu właśnie illithidowi, ani nie czuł zapachu siarczanych wybuchów. Kula zamykała go w świecie wypełnionym wyłącznie jego własnym oddechem, który nagle przyspieszył, gdy mag zdał sobie sprawę, że armia Gracklstugh nie tylko dotarła do Menzoberranzan, ale zdążyła się już umocnić w samym Tier Breche. Duergarowie atakowali trzy najsilniej ufortyfikowane budowle w mieście, jeśli nie liczyć arystokratycznych domów.

Z dłońmi przyciśniętymi do obłych ścian swojego więzienia, Gromph wyteżał wzrok, wypatrując jadeitowych pajaków, które powinny strzec tunelu. Nie było ich nigdzie widać.

- Służą teraz innemu panu, - powiedział illithid drwiąco. - Tak jak wkrótce drowy. Armia jest już wewnątrz Menzoberranzan.

Czyja armia? zastanawiał się Gromph. Na pewno nie illithidów, bo niosący go stwór powiedziałby „nasza armia Czyżby duergarowie z Gracklstugh dotarli do Menzoberranzan?

Odpowiedź nadeszła natychmiast.

- Owszem. Maszerują z nimi tanarukowie. Drowy nie oprą się ich połączonym siłom.

Gromph nie miał jak sprawdzić, czy to prawda. Gdyby tylko zdołał się wydostać z wnętrza kuli, mógłby odeprzeć atak wrogów przy użyciu swej magii. Lecz aby się uwolnić, musiał znaleźć czarodzieja znającego wymagane zaklęcie. I musiał się dostać do Sorcere - a konkretnie do swoich komnat, gdzie liczdrow rzucił czar więżący. Niestety, jedno i drugie znajdowało się po drugiej stronie zapory wzniesionej przez krasnoludy.

Gromph spojrział na illithida. Czy rzeczywiście?

Gromph specjalnie pozwolił tej myśli trwać.

W odpowiedzi pobrzmiwała arogancja.

- Oczywiście, że znam ten czar, ale dlaczego miałbym cię uwolnić? I tak poznam wszystkie twoje sekrety, to tylko kwestia czasu. Obedrę cię ze wspomnień, warstwa po warstwie, jak...

Illithid przerwał w pół słowa, spoglądając nagle na kogoś, kto się do nich zbliżał. Długie, fioletowe palce zacisnęły się wokół kuli. Illithid trzymał ją w obu dłoniach, ukrywając jej zawartość. Specjalnie potarł paluchami szkło, żeby rozsmarować po nim szlam, którym były uwalane. Gromph opadł na czworaki, gdy illithid opuścił dłoń z kulą do boku. Podczołgał się do przodu, żeby wyjrzeć przez jedyne czyste miejsce, jakie pozostało na powierzchni szkła.

Naprzeciw illithida stał jeden z duergarów. Jego twarz znajdowała się dokładnie na wysokości kuli. Podobnie jak inni przedstawiciele tej rasy krasnolud miał bladą skórę, zadarty nos, który wyglądał, jak gdyby został spłaszczony buzdyanem i był łysy. Miał na sobie szaroczarny strój barwy kamienia, ale nosił napierśnik z brązu tak lśniący i pozbawiony wgnieceń, że Gromph gotów był się założyć, że jest magiczny. W rękę trzymał wielki topór, którego żeleźca o podwójnym ostrzu mieniło się widmowym wzorem - najprawdopodobniej uwięzionymi duszami zabitych, jak zgadywał mag.

Szary krasnolud nie zadarł głowy, żeby porozmawiać z illithidem, jego wzrok zatrzymał się na wysokości pasa łupieżcy umysłów. Od czasu do czasu krasnolud zerkał na kulę, gwałtownymi gestami wskazując Tier Breche.

Gromph podniósł oczy i zobaczył, jak macki illithida falują, gdy potrząsa głową. Szary krasnolud, który widocznie myślał, że zwraca się do innego duergara, wskazał kulę.

Z szybkością, która zaskoczyła Grompha, illithid nachylił się nad krasnoludem. Jego cztery macki wystrzeliły do przodu, owijając się wokół jego twarzy. Krasnolud machnął toporem, ale potwór przewidział to i odbił cios zakłębieniem. Ciało duergara raptownie zeszywniało z toporem wzniesionym nad głową. Macki naprężyły się i głowa duergara wybuchła jak dojrziała purchawka. Jedna z macek rozluźniła uścisk i gdy trzy pozostałe przytrzymały głowę, zaczęła wybierać różowe kawałki mózgu i wpychać je do ust illithida. Gromph, którego zemdlilo na ten widok, odwrócił głowę.

Pozostali duergarowie odwracali się z mieszaniną przerażenia i zaskoczenia na twarzach. Jeden czy dwóch sięgnęło po broń, spojrzało w puste oczy illithida, a potem wszyscy nagle się uspokoiли. Gromph mógł sobie tylko wyobrazić, z jaką łatwością przychodzi illithidowi męczenie prostych umysłów oddziału krasnoludzkich żołnierzy. Był ciekaw, co takiego widzieli duergarowie, gdy patrzyli na illithida - najprawdopodobniej jednego z nich - który kazał im zapomnieć o martwym dowódcy ze strzaskaną czaszką i na wpółwyjedzonym mózgiem. Jeden za drugim, magicznie omamione krasnoludy wracały do swoich poprzednich zajęć.

Po skończonym posiłku illithid wyrwał topór z dłoni krasnoluda i pozwolił ciału osunąć się na ziemię.

- Teraz, - powiedział, - powiesz mi, jak dostać się do Sorcere.

Gromph przyglądał się wielkiemu toporowi. Było jasne, że illithidowi bardziej zależy na osobistych korzyściach niż na wojnie.

- Pragniesz magii, - przesłał.

- Tak, - odparł illithid.

- Chcesz dostać się do Sorcere przed duergarami.

- Tak, - potwierdził stwór.

Gromph uśmiechnął się.

- Chcesz wiedzieć czy do Sorcere prowadzi jakieś tylne wyjście, ale jeśli spróbujesz wydrzeć ze mnie siłą te informacje, zajmie ci to wiele czasu. Zanim je ze mnie wydobędziesz, duergarowie będą już w środku. Zostaną ci resztki, których nie zniszczą albo nie zrabują sami. Ale mogę zaproponować ci inne rozwiązanie. Pomóż mi wydostać się z tej kuli, a sowicie cię wynagrodzę. Chętnie podzielę się z tobą magią, jakiej pożądasz.

- Jaką magią?

- Przez wieki eksperymentów opracowałem potężne czary, których inni magowie i czarodzieje nawet nie są sobie jeszcze w stanie wyobrazić.

Gromph poczuł, jak magia sondująca illithida grzebie jeszcze głębiej w jego umyśle.

- Tych czarów nie ma już w mojej pamięci, - powiedział. - Znajdują się moich prywatnych komnatach w Sorcere. Tam.

Gromph skupił myśli na swoim gabinecie, na ogromnym biurku przytłaczającym pozbawione

okien pomieszczenie. Wykonane z polerowanej kości, miało kilka szuflad otwierających się na pozawymiarową przestrzeń. Front każdej szuflady był intarsjowany inną czaszką. Gromph wyobraził sobie, jak siedzi w swoim fotelu za biurkiem i sięga do jednej z nich, wkładając palce w oczodoły czaszki. Szuflada otwiera się, ukazując stojak z dwiema butelkami. Obie są wykonane z litego złota, w obu umieszczono szklaną szybkę w kształcie pieczęci, przez którą dochodzi ze środka blask. Obie pieczęcie reprezentuje w piśmie drowów to samo słowo: „pamiętać”.

- Co to? - zapytał illithid.

- Nazywam je „butelkami myśli”, - odparł Gromph. - Każda z nich zawiera potężne zaklęcie i wszystkie myśli, które doprowadziły do jego stworzenia. Zaklęcia tak potężne, że nawet ja nie ośmieliłem się ich użyć, ale tak wyjątkowe, że nie mogłem zaryzykować ich utraty. Aby uniknąć pokusy, stworzyłem te butelki, w których je trzymam. Każdy, kto spożyje ich zawartość, posiada nie tylko samo zaklęcie, ale pozna każdy etap procesu, który doprowadził do jego stworzenia.

- Kiedy znajduję się w Sorcere, zabiorę je, - oznajmił illithid.

- Musisz mnie najpierw uwolnić, - powiedział Gromph. - Szuflada otwiera się wyłącznie pod moim dotykiem.

Arcymag skupił myśli na eksperymencie, który przeprowadził, kiedy skonstruował i zaczarował biurko. Specjalnie zostawił drzwi gabinetu słabo strzeżone, a potem za pomocą magii jasnowidzącej obserwował, jak jego uczeń włamuje się do gabinetu i próbuje otworzyć biurko. Gdy tylko drow włożył palce w oczodoły, zeszywniał i spróbował wrzasnąć. Jednak z jego gardła dobyło się tylko ochryple skrzeczenie, a potem zaczął się psuć. Białe włosy wychodziły mu garściami z głowy, a oczy skurczyły się jak suszone grzyby i wypadły z oczodołów. Skóra pomarszczyła się, a potem popękała, ze szczelin wysypał się brązowy pył wyschnięta krew. Uczeń powoli osunął się na ziemię, kurcząc się, aż w miejscu, gdzie przed chwilą stał, została tylko sterta zakurzonych ubrań.

- Imponujące, - powiedział illithid.

- Dziękuję, - odparł Gromph.

Nad murem przeleciała łukiem kolejna kula ognista, lądując w pobliżu i rozrzucając wokoło grudki gorącej lawy. Płynna skała spłynęła z illithida jak woda po szkle. Łupieżca musiał się okryć czarem ochronnym.

- A więc umowa stoi? - zapytał Gromph. - Uwolnisz mnie, a ja dam ci w nagrodę butelki myśli?

- Musisz wskazać mi drogę do Sorcere, - powiedział illithid. - Chronią ją osłony, które uniemożliwiają dostanie się do środka za pomocą magii, prawda?

Gromph uśmiechnął się.

- Trafny domysł. Ale część budynku nie jest nimi chroniona, ponieważ istnieje we własnym pseudowymiarze to pionowy szyb prowadzący do mojego gabinetu. Gdybyś mógł nas do niego przenieść, pokażę ci, jak znaleźć drzwi.

- Pomyśl o nim, - rozkazał illithid.

Gromph pohamował rozdrażnienie.

- Oczywiście, - odpowiedział. - A... jak się nazywasz?

- Sluuguth.

Jeśli illithid nie skłamał, Gromph posiadał właśnie broń, którą mógł przeciwko niemu użyć. Łupieżca umysłów z pewnością też o tym wiedział, co oznaczało, że Sluuguth nie ma zamiaru zostawić go przy życiu. Wszystko to przemknęło mu przez myśl z szybkością błyskawicy - miał nadzieję, że zbyt szybko, by Sluuguth to zauważył - a potem skupił się na szybie. Czuł, jak Sluuguth zagląda mu mentalnie przez ramię, przyglądając się bardzo uważnie miejscu, w które mieli się zaraz przenieść.

Obok nich pojawił się krąg fioletowego światła. Sluuguth wszedł weń i moment później lewitowali już wewnątrz szybu, który wydawał się ciągnąć w nieskończoność w górę i w dół. Ściany miał z kompletnej ciemności, która wyglądała całkiem namacalnie. Gdyby Gromph nie był uwięziony wewnątrz kuli, w jego nozdrza wdarłby się wstrętny, ohydny smród pseudoplanu, fetor zdeformowanych stworów, które go zamieszkiwały.

- Gdzie drzwi? - zapytał Sluuguth.

Gromph wskazał plamę czerni, która wydawała się bardziej materialna od reszty i przesłał:

- Rozprosz magię, a potem pchnij.

Sluuguth postąpił zgodnie z poleceniem. Niewidoczne wcześniej runy roziskrzyły się, gdy diamentowy pył, którym były inkrustowane, rozbłysnął światłem. Kiedy światło zgasło, Sluuguth pchnął

drzwi, za którymi znajdował się gabinet Grompha.

W pokoju panował totalny chaos będący efektem walki Grompha z liczdrowem Dyrrem. Ogromne biurko stojące na środku pomieszczenia było w kilku miejscach podziurawione przez wirujące ostrza wyczarowane przez licza, a marmurowe płyty posadzki popękały w miejscach, gdzie Dyrre uderzył w nie laską. Jeden z regałów został doszczętnie zgruchotany, a zwoje, które z niego pospadały, podeptane. Na znak pogardy dla sztuki czarodziejskiej arcymaga, po uwięzieniu Grompha w kuli liczdrow zostawił je tam, gdzie leżały.

Gabinet wciąż oświetlały płonące wiecznym ogniem świece osadzone w naściennych obejmach z dłoni kościotrupów, a wyściełany pluszem fotel za biurkiem nie doznał większego uszczerbku podczas walki. Twardsze drewniane krzesło przeznaczone dla gości leżało na boku z rozszczępionymi nogami. Za nim znajdowały się drzwi z czarnego marmuru pokryte żarzącymi się srebrzyście runami.

Z jadeitowego golema, który walczył w obronie Grompha, zostało tylko odrąbane kamienne ramię, leżące samotnie w kącie.

Wciąż unosząc się wewnątrz szybu, Sluuguth wyciągnął rękę i wsunął koniuszek palca do komnaty. Jedna ze ścian gabinetu stanęła natychmiast w trójkącie płomieni, gdy niewidoczna pieczęć uwolniła z niej żywiołaka ognia. Jednak magia Sluugutha była szybsza. Z koniuszka palca illithida wystrzeliła błyskawica energii, która uderzyła w żywiołaka, unieruchamiając go. Żywiołak ognia zawisł, uwięziony od pasa w dół w ścianie, z ramionami wyciągniętymi nad głową. Tylko oczy mu się poruszały. Błysnęły ogniem, gdy Sluuguth wkroczył wreszcie do gabinetu.

- Nie ostrzegłeś mnie przed nim, - powiedział illilhid, wymachując mackami i wskazując zastygłego żywiołaka.

- Nie było takiej potrzeby, jak widać, - odrzekł Gromph. - Przejdźmy do interesów. Uwolnij mnie. Połóż kulę na fotelu za biurkiem.

Macki Sluugutha drżały, a na twarzy pojawił się grymas, który mógł być uśmiechem, gdy kładł kulę na wyściełanym siedzeniu fotela. Potem, bez dalszych ceregieli, zaczął rzucać zaklęcie. Jego dłonie o trzech palcach zaczęły wykonywać serię gestów Gromph miał wrażenie, że rozpoznaje część zaklęcia niweczącego uwięzienie, ale komponent somatyczny wydał mu się bardziej skomplikowany niż to konieczne i na arcymaga natarł ze wszystkich stron hałas rozsypujących się ścian kuli.

Przez chwilę wił się pomiędzy wymiarami, gdy jego ciało wyzwalało się z okowów wiążącej je magii, w uszach dzwoniło mu, jak gdyby był sercem dzwonu...

... i już siedział na krześle. Z triumfalnym błyskiem w oku zaczął podnosić palec, chcąc wykonać nim nieznaczny gest aktywujący drugą niewidzialną pieczęć w ścianie. Splecione elipsy wessał Sluugutha w dwuwymiarowe więzienie.

- Stój.

Gromph nie był w stanie kiwnąć palcem. Nie był sobie nawet w stanie wyobrazić, że nim porusza. Coś ścisnęło mu umysł w żelaznym uścisku, łamiąc jego wolę. Gromph wyczuwał obmierzłą obecność Sluugutha.

Nagle serce zabiło mu mocniej, gdy uświadomił sobie, co się musiało wydarzyć. Rzucając zaklęcie wyzwalające, illithid wplótł w nie drugi czar, który spowolnił ruchy arcymaga. Dzięki temu miał dość czasu, żeby rzucić na Grompha czar zniewalający umysł. Gromph siedział nieruchomo na krześle, czekając na następny rozkaz illithida. Gdyby mógł, zawyłby z rozpacz. Starał się nie myśleć o pieczęciach na ścianach. Pierwsza miała dać Sluuguthowi złudne poczucie bezpieczeństwa, po tym jak z łatwością pokona żywiołaka ognia. Druga miała uwięzić łupieżcę umysłów, gdy Gromph będzie już wolny. Ale starannie obmyślony plan arcymaga legł w gruzach, roztrzaskany jak odłamki kuli leżące na podłodze u jego stóp.

Sluuguth stanął za Gromphem i nachylił się nad jego ramieniem.

- Otwórz szufladę.

Gromph pochylił się, umieścił palce w oczodołach czaszki i pociągnął. Szuflada odsunęła się, ukazując dwie buteleczki myśli.

- Wyjmij je z szuflady, - rozkazał Sluuguth.

Gromph zrobił, jak mu kazano, stawiając obie butelki na biurku przed sobą. Zebrał się w sobie. Był pewny, że illithid, któremu nie zagrażała już magia ochronna biurka, uśmierci go teraz, a przynajmniej uwięzi.

Zamiast tego Sluuguth wydał mu następny rozkaz:

- Wybierz jedną z nich.

Palce Grompha zacisnęły się na stojącej bliżej butelce. Chwilę później, na rozkaz Sluugutha, rozwarły się i wybrały drugą buteleczkę.

- Wypij, - rozkazał Sluuguth.

Słyszając to, Gromph pojął, że także druga część jego planu o której nie zdołał widać nie myśleć również zawiodła.

Dziesiątki lat temu Gromph stworzył butelki myśli na wypadek, gdyby dostał się w niewolę istoty umiejącej czytać w myślach. Mówił prawdę, kiedy zapewniał, że nie ma pojęcia, co znajduje się w butelkach, ale pozostawił sobie w umyśle strzępek informacji pamięć, że w takiej sytuacji powinien ofiarować buteleczkę swojemu przeciwnikowi. Jednak fortel obrócił się przeciwko niemu. Cokolwiek znajdowało się w butelce, którą odkorkowywały jego zdradzieckie dłonie, miało spaść na samego arcymaga

Część umysłu Grompha wrzasnęła w proteście, ale cienki, uwięziony głosik pozostał bez echa. Powoli, nieodwołalnie, arcymag Menzoberranzan uniósł buteleczkę do ust i wychylił jej zawartość.

ROZDZIAŁ 15

Valas wiosłował rękami tuż obok burzliwego wiru u podstawy wodospadu, zachodząc w głowę, jak porozumieć się z resztą drużyny. W pełni przeobrażony, nie był już w stanie oddychać powietrzem. Jego dłonie i stopy zmieniły się w błoniaste łapy, a kość ogonowa wydłużyła w zakończony płetwą ogon. Kiedy wypadła mu już reszta włosów, skórę zwiadowcy porosła zielonoszara membrana, która wydzielala śluz chroniący go przed zimnem. Został uwięziony pod wodą i nie był w stanie wspiąć się z powrotem do tunelu, gdzie czekali towarzysze.

Przynajmniej wciąż miał przy sobie cały swój ekwipunek. Dotknął noszonego na biodrach grubego skórzanego pasa ze stalową sprzączką w kształcie głowy rothe. Może dzięki magicznej sile, jakiej mu przydawał, i zwielokrotnionej zwinności, jakiej udzielała mu magiczna kolczuga, zdoła wspiąć się na górę wewnątrz wodospadu, przeciwstawiając się jego potwornej sile. Ale gdy podpłynął do powierzchni, żeby mu się przyjrzeć, przypomniał sobie, że wodospad wylatuje z jaskini szerokim łukiem. Strumień spadającej wody był oddalony o dobre kilka kroków od urwiska zbyt daleko, by móc trzymać w niej głowę, jednocześnie wspinając się po skale.

Rozczarowany, opadł w dół ku dnu. Nie było wyjścia.

Wtedy przypomniał sobie o swoim magicznym plecaku.

Zrzucił go z ramion i przełożył sobie na pierś, zakładając pasy na odwrót i ściągając je mocno. Otworzył górną klapę. Do bezwymiarowej przestrzeni wewnątrz torby wlała się woda. Kiedy plecak był pełen miał pojemność odpowiadającą około trzydziestu bukłakom zamknął klapę. Wiele przedmiotów, które przechowywał w środku, zostanie zniszczona, ale było to poświęcenie, na które był gotów, skoro oznaczało przetrwanie.

Podpłynął dokładnie pod wodospad, walcząc z prądem potężnymi machnięciami ogona. Spadająca z góry woda grzmiała mu w uszach, ale w końcu zobaczył przed sobą wyraźniejszą plamę czerni - podstawę urwiska. Nurt grzotnął nim o skałę, zanim był gotowy, ale chwilę później znalazł punkt zaczepienia dla palców. Ku jego zaskoczeniu z ich końców wysunęły się pazury, które pomogły mu się przytrzymać. Wyteżając mięśnie, stawiał opór prądowi, który usiłował oderwać go od skalnej ściany. Zaczął się wspinać.

Im bliżej był powierzchni, tym mocniej odczuwał siłę wodospadu. Dwa razy pośliznął się i niewiele brakowało, a zostałyby porwany na dno jeziora, ale zdołał się utrzymać na jednej ręce. Młóćąc wodę ogonem, za każdym razem znów przywierał do skały urwiska. W końcu wynurzył głowę na powierzchnię.

Podciągnął się w górę, szukając na śliskiej skale punktów zaczepienia dla palców dłoni i stóp. Wspinając się, wstrzymywał oddech - a raczej zatrzymywał wodę w płucach. Gdy wreszcie nie mógł jej już dłużej utrzymać, wyrzucił ją ustami, co przypominało wymiotowanie, przynajmniej kiedy nie znajdował się już pod wodą, po czym otworzył klapę plecaka i zanurzył w nim głowę. Wziął głęboki wdech, a potem zamknął klapę i podjął wspinaczkę.

Stopniowo zbliżał się do wylotu tunelu. Gdy znalazł się kilka kroków pod nim, z góry wychylił się Pharaun. Mag musiał wykryć jego obecność w jakiś magiczny sposób normalnie nie był w stanie usłyszeć go poprzez grzmot wodospadu. Mag rzucił czar.

Valas w oczach Pharauna „potwór” wynurzający się z jeziora zamachał błoniastą łapą w desperackiej próbie obrony przed magicznym atakiem, który miał zaraz na niego spaść. Kręcąc głową, wskazał kukrisy wiszące w pochwach na jego biodrach.

Pharaun, nie zważając na to, dotknął oczu palcami wskazującymi, a potem strzepnął nimi, uwalniając zakłęcie. Zwiadowca poczuł na całym ciele mrowienie magicznej energii i zadrżał. Wbijając pazury jeszcze głębiej w szczeliny, których się trzymał, czekał na śmierć.

Stojący nad nim Pharaun zrobił wielkie oczy.

Unosząc dłoń, wykonał szybko kilka gestów.

- Valas! To ty. Co się stało?

Z westchnieniem, od którego woda pociekła mu po brodzie, Valas pojął, że jest ocalony. Pharaun rozpoznał go jednak po sztyletach kukri, a zakłęcie, które rzucił, pozwoliło mu spojrzeć poza zniekształconą postać zwiadowcy i potwierdzić jego tożsamość. Pokazał na migi jedno słowo

- *Zaczekaj* - i ponownie zanurzył głowę w plecaku.

Valas wspiął się do miejsca, gdzie kucnął Pharaun i wciągnął się na dno tunelu. Zsunąwszy się do

rzeki, uchwycił się kamienia, aby prąd nie zniósł go z powrotem do wodospadu.

Quenthel, Danifae i zwalisty Jeggred wciąż czekali na skraju rzeki. Żmije przy biczu Quenthel uniosły łby i zadrżały z niepokojem na widok Valasa, a Jeggred pociągnął nosem i obnażył kły, ale Pharaun wyjaśnił im, że podobny do drowa stwór jest w rzeczywistości ich towarzyszem. Danifae wpatrywała się w Valasa z nieskrywanym obrzydzeniem, wydymając lekko swoje idealne usteczka, a w końcu odwróciła się.

- I? - zapytała Quenthel. - Odnalazłeś okręt chaosu?

Valas potrząsnął głową. Opowiedział w języku migowym swoją historię, zanurzając głowę w wodzie za każdym razem, gdy potrzebował odetchnąć. Pharaun przysłuchiwał mu się uważnie, pochmurniejąc, gdy zwiadowca opowiadał o pojmaniu, i przytakując z aprobatą, gdy opisywał ucieczkę. Jednak wyraz twarzy Quenthel nie zmienił się ani trochę. Usta miała wciąż zaciśnięte, a jej oczy pałały.

Odwróciła się do Pharauna i powiedziała:

- Twój demon kłamał. Okrętu tu nie ma.

Pharaun uniósł brew.

- Mój demon?

- Nie posunęliśmy się nawet o krok do przodu - ciągnęła Quenthel. - Powinieneś być wypytać Belshazu o portale. Ta główniana bajeczka o okręcie chaosu była najwyraźniej kłamstwem mającym nas wywieść w pole.

- Wywieść w pole? - zapytał Pharaun, odpowiadając równie wściekłym spojrzeniem. - Jediną bramą w okolicy jest ta w twojej wyobraźni. I to ty wpadłaś na pomysł, żeby wezwać demona.

Valas nie patrzył magowi w oczy. Pharaun i Quenthel po raz kolejny byli bliscy skoczenia sobie do gardeł. Mistrz Sorcere schował rękę za plecy i na przemian to kurczył, to rozkurczał palce, gotów w każdej chwili rzucić zaklęcia. Jeggred przysiadł za plecami ciotki, gotowy rzucić się Pharaunowi do gardła, gdyby ten wykonał jakiś podejrzany ruch. Danifae założyła ramiona na piersi i patrzyła wyzywająco na czarodzieja, jednocześnie wycofując się z toru zaklęcia, które miał zamiar zaraz rzucić.

Zwiadowca, który miał już wyżej uszu niekończących się sporów, a i tak zdał już raport i był przygotowany na śmierć, wyrzwał płazem sztyletu w kamienne dno tunelu. Z ostrza, niczym fale rozchodzące się po wodzie po wrzuceniu do niej kamienia, trysnęły iskry, które zaskwierczały pod stopami Pharauna i Quenthel. Każde z nich odskoczyło w tył, a kapłanka natychmiast dobyła bicza.

- Bezczelny chłystku - warknęła.

Żmije strzyknęły jadem.

Valas widział, że ręka ją świerzbi, żeby go nim wychłostać.

- *Nie krępuj się*, - pokazał na migi. - *Tak będzie szybciej.*

Quenthel zmarszczyła brwi, zmieszana jego odpowiedzią, ale umysł Pharauna znów okazał się szybszy.

- To nie będzie konieczne, drogi najemniku - powiedział czarodziej. - Potrafię przywrócić ci twoją dawną, oddychającą powietrzem, postać.

Valas zamrugał, zupełnie zapominając o biczu.

- *Naprawdę?* - zapytał zwiadowca. - *Nie masz przecież zaklęć uzdrawiających.*

- To prawda, ale mogę...

Quenthel okręciła się niezgrabnie, bo niski strop zmusił ją do ukucnięcia - i zwróciła do maga:

- Nic nie możesz. I nic nie zrobisz. Valas wróci do jeziora i będzie dalej szukał okrętu.

- Zostanie pojmany, jeśli go tam odeślesz - zaprotestował Pharaun. - Nie ma się jak bronić. Tym razem aboleth go pożre.

Urwał i zamyślił się.

- Tak samo - podjął - jak pożarły tych wszystkich, którzy ośmielili się wkroczyć na ich teren. Łącznie z plugawcami, które przeżyły katastrofę statku. A jeśli pożarły któregoś z tych pomniejszych demonów i nabyły ich wspomnienia...

Quenthel wreszcie zrozumiała.

- Aboleth będzie wiedział, gdzie zatonął statek chaosu skończyła za niego. - Żmije przy biczu wily się niecierpliwie.

Pharaun odwrócił się do Valasa i zapytał:

- Jak nazywa się matriarchini miasta?

Używając języka migowego Valas przeliterował imię fonetycznie:

- *O-o-t-h-o-o-n.*

Pharaun skinął głową i spojrział na jezioro. Dla Valasa było jasne, o czym myśli mag. Pharaun miał zamiar spotkać się z matriarchinią osobiście, aby ją wy badać. Pharaun znał potężne zaklęcia, także takie, które osłonią go przed magią sondującą umysły. Zwiadowca był pewny, że mag da sobie radę, ale sam też tak wcześniej myślał.

A potem nastąpiła niespodzianka.

- Pójdę z tobą - oświadczyła Danifae.

Quenthel chciała już zaprotestować, ale zamiast tego rzuciła brance Melarnów długie, badawcze spojrzenie. Zerkając na niespokojne ruchy zmił, Valas odgadł, jakie pytanie nurtuje Quenthel.

Czy Danifae zaproponowała, że będzie mieć oko na Pharauna i dopilnuje, żeby pozostał wierny Quenthel, aby wkraść się z powrotem w jej łaski? A może kierował nią jakiś ukryty, bardziej egoistyczny motyw? W końcu nie miało to chyba znaczenia, bo Quenthel kiwnęła głową.

Valas schował głowę w plecaku, aby wziąć kolejny oddech, a potem zastukał w but maga.

- *Mówiłeś, że masz coś oprócz magii uzdrawiającej, co mogłoby mi pomóc,* - przypomniał Pharaunowi.

- Ach - westchnął Pharaun i kiwnął głową. Sięgnął do kieszeni piwafwi i wyciągnął z niej mały brązowy kokon. Roztarł go pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym i pozwolił resztkom opaść na głowę Valasa. Potem, wymachując dłońmi nad płatkami, które przyłgnęły do mokrej czaszki najemnika, zaczął recytować zaklęcie.

Uklęknął, pochylił się nad Valasem i wrzasnął mu do ucha:

- Wydech! Szybko!

Valas posłuchał i moment później, gdy zaklęcie zaczęło działać, jego ciałem targnęło potężne szarpnięcie. Ogon zniknął mu w pośladkach jak wąż wycofujący się do swojej kryjówki, sklezione palce rozdzieliły się, a błona zniknęła. Z czubka głowy wyrosły mu włosy, a w skórze rąk, nóg i piersi poczuł mrowienie, gdy okrywająca całe ciało błona zniknęła.

Zwiadowca kasłał gwałtownie, wypluwając z płuc resztki wody. Choć bolało, nie zwracał na to uwagi. Przepelniała go ulga. Pharaun przywrócił mu drowią postać jego ciało znów należało do niego.

Oprócz jednego drobnego szczegółu. Gdy spojrział na swoje dłonie, zauważył, że blizny znajdują się w innych miejscach niż poprzednio.

- Jakie zaklęcie - wycharczał, gramoląc się z rzeki - właśnie rzuciłeś?

Pharaun, wciąż klęcząc, skierował w niego następny czar, który nie wymagał już materialnych komponentów. Gdy skończył, ramiona obwisły mu ciężko i Valas zrozumiał, że rzucenie go kosztowało maga część siebie.

- Zaklęcie polimorfizacji - powiedział Pharaun. - Ukształtowałem twoje ciało tak, by przypominało twoje dawne ja. Dopóki coś nie rozproszy zaklęcia, rzecz jasna. Dziękuj losowi, że nie ma w pobliżu Rylda wymachującego tym swoim wielkim mieczem.

Valas, który wciąż stał po pierś w wodzie, rozczapierzył palce, aby podziwiać ich kształt.

- Dziękuję - powiedział na głos.

Spojrzał Pharaunowi w oczy, aby było jasne, że nie chodzi mu o nieobecność fechmistrza, lecz o obecność maga.

Pharaun kiwnął głową, a potem złożył Quenthel bezczelny ukłon.

- Za twoim pozwoleniem, pani, zacznę studiować potrzebne mi zaklęcia. Potem wyruszę wraz z Danifae do Zanhoriloch, aby porozmawiać z Oothoon.

ROZDZIAŁ 16

Ryld zadrzał, idąc przez las. Zapadała noc, a wraz z nią powietrze ochłodziło się. Jego piwafwi było wciąż wilgotne od deszczu, którym nasiąkło poprzedniej nocy, a cały dzień marszu nie wystarczył, żeby wyschło. Nad jego głową, ponad konarami drzew napierających na niego ze wszystkich stron, powłoka chmur przerwała się. Niebo miało kolor szarego fioleto, kolor starego siniaka.

Powietrze wokół niego pociemniało, gdy resztki światła słonecznego zgasły, ale po chwili zauważył, że znów robi się jaśniej. Choć do świtu zostało jeszcze dużo czasu, ciemność ustąpiła bladyszaremu światłu, które zalewało świat na powierzchni o zmierzchu i świcie. Ryld przystanął z zakłopotaniem i spojrzął w górę przez płataninę gałęzi.

Wschodził księżyc w pełni.

Gdy wyjrzał ponad czubki drzew, otoczony srebrzystą poświatą, Ryldowi przestało być nagle zimno. Poczul, że rumienią mu się policzki, a krew zaczyna szybciej krążyć w żyłach. Włoski na ramionach stanęły mu dęba, jak gdyby właśnie zadrzał, choć jednocześnie czuł się tak, jak gdyby miał gorączkę.

- Niech Lolth ma mnie w swojej opiece - wyszeptał zduszonym głosem, zerkając nerwowo na ślad po ukąszeniu na nadgarstku. - Ten smark rzeczywiście mnie zaraził.

Światło księżycy robiło się coraz jaśniejsze, a wraz z nim rósł niepokój fehmistrza. Przed oczyma latały mu czerwone plamy, w uszach słyszał dudnienie serca. Już teraz czuł, że traci panowanie nad sobą. Ubranie wydawało mu się ciasne, opinające i ciężkie. Rozchelstał je pod szyją, ledwo opanowując chęć zerwania go z siebie. Spojrzął dziko w otaczający go las, pragnąc zagłębić się weń i biec, biec, biec...

Usiłując zachować panowanie nad sobą, wcisnął rękę do kieszonki na piersi piwafwi i wyciągnął z niej gałązkę belladony, którą dostał od dziadka Yarno. Miała matowe ciemnozielone liście i kwiat w kształcie dzwonka. Ryld oderwał jeden liść, wepchnął go sobie do ust i zaczął przeżuwać. Poczul w ustach gorzki smak, a na języku suchość. Włożył do ust następny liść, potem kolejny, potem kwiatek... a potem wyrzucił nagą gałązkę.

Czekał.

Pragnienie, które odczuwał przed chwilą - pragnienie zerwania z siebie ubrania i pobiegnięcia w las zniknęło. Kręciło mu się w głowie. Spróbował zrobić krok do przodu, potknął się i prawie upadł. W ostatniej chwili przytrzymał się drzewa. Przez cały czas w lesie robiło się coraz jaśniej, księżycowy blask zalewał mu oczy. Coś złego działo się z jego oczyma.

Niezdarnie wyrwał miecz z pochwy i spojrzął w wypolerowaną powierzchnię klingi żrenice rozszerzyły mu się do tego stopnia, że czerwień tęczówki prawie zniknęła. Krzywiąc się opuścił miecz, stał tak przez chwilę, w końcu przypomniał sobie, że nie schował miecza do pochwy. Spróbował to zrobić, ale nie trafił, a zamiast tego wbił go sztychem w ziemię, zataczając się w bok. Tym razem nie zdołał złapać równowagi i upadł na wznak na rozmokłą ziemię obok miecza. Drzewa nad jego głową zdawały się bladymi szarymi cieniami, kołyszącymi się w przód i w tył, jak gdyby znajdowały się pod wodą.

Leżąc tak i patrząc na wirujący nad nim las, Ryld zastanawiał się czy umrze. Belladona powstrzymała przemianę w wilkołaka, ale jakim kosztem? Serce waliło mu w piersi jak młotem, a skóra wydawała się sucha i rozpalona. Spróbował zwilżyć wargi, ale nawet to okazało się zbyt wielkim wysiłkiem. Mógł tylko leżeć na plecach, z każdym oddechem wciągając w nozdrza zapach wilgotnej ziemi i przegniłych liści.

Oddech. Jedyna rzecz, którą był nadal w stanie kontrolować.

Ryld powrócił myślami do szkolenia, jakie odebrał w Melee-Magthere. Jedną z prób, jaką musieli przejść nowicjusze, było utrzymanie koncentracji w chwili fizycznej niewygody. Nowicjuszom rozkazano rozebrać się, usiąść ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczyma na posadzce sali ćwiczeń i skupić się na oddychaniu. Ryld sądził wówczas, że próba miała nauczyć ich siedzenia na zimnej posadzce, ale był w błędzie. Jeden z mistrzów przechadzał się między rzędami medytujących uczniów, upuszczając na ich skórę stonogi. Każdy z owadów miał długość palca i kąsał natychmiast po wylądowaniu, wstrzykując palący jak ogień jad w żyły uczniów. Ci nowicjusze, którzy krzyknęli albo stęknęli, dostawali mocnego kuksańca w głowę. Jeśli krzyknęli po raz drugi, uderzenie było jeszcze mocniejsze. Za trzecim razem kazano im opuścić Melee-Magthere i nigdy nie wracać.

Ryld jak przez mgłę usłyszał, że student za nim westchnął po raz trzeci. Część jego umysłu

przysłuchiwała się, gdy biedakowi kazano opuścić szkołę. Słyszał zdławione łkanie, z którym tamten wykonał polecenie. Ryld zmusił umysł do pograżenia się w jeszcze głębszej medytacji. Jednocześnie przygotowując na to, co miało zaraz nastąpić. Kiedy stonoga spadła mu na udo, nawet nie drgnął. Gdy wgryzła mu się w ciało, miał wrażenie, że ukłuto go rozżarzoną szpikulcem, ale mówił sobie, że musi zachować spokój, wdychać powietrze lewą dziurką od nosa, wydychać prawą, wdychać lewą, wydychać prawą...

Potem stonoga przebiegła mu przez pachwinę, łaskocząc go setką odnóży i poruszając głową na boki, jak gdyby szukała miejsca, w które ukąsi po raz drugi. W ciągu dwóch uderzeń serca Ryld prawie zapomniał jak oddychać. Poczł, że serce zaczyna mu walić w piersi, a instynkt każe zerwać się z ziemi i rzucić z siebie ohydny owada.

Wtedy przypomniał sobie swoje życie przed wstąpieniem do Melee-Magthere - życie na Ulicach Smrodu i pewną chwilę przed wieloma laty, kiedy szlachta wybrała się na polowanie. Miał wtedy tylko sześć lat, ale pamiętał, jak leżał tam, poparzony kulą ognistą, otoczony ze wszystkich stron zabitymi przez nią trupami. Aby przeżyć, musiał leżeć zupełnie nieruchomo i udawać martwego, podczas gdy myśliwi zbierali swoje trofea: zęby, uszy, a od czasu do czasu całą głowę. Ryld nauczył się wtedy kontrolować oddech, tak aby był płytki i wolny, niesłyszalny poprzez odgłos pił wznających się w ciało. Na szczęście szlachcice nie uznali żadnej części ciała małego, chuderlawego chłopca za wartą zachodu.

Przypomniał sobie tę próbę i odnalazł w sobie siłę, żeby zignorować łaskotanie stonogi i jej drugie bolesne ukąszenie. Kiedy próba dobiegła końca, mistrzowie kiwali głowami w niemym uznaniu dla siły woli Rylda i pięciu pozostałych uczniów, którzy zdali egzamin. Przez dziesięć następných dni Ryld prawie nie mógł chodzić. Leżąc w lesie, unoszony falami wojny toczony przez belladonnę i chorobę, Ryld wykorzystał to, czego nauczył się tamtego dnia. Skupiając się na oddechu, na wdychaniu powietrza, powolnym napełnianiu nim płuc i powolnym wydychaniu go, zdołał opanować oszalały puls. Wyciągnął gorączkę ze skóry, wyobrażając sobie, że odpływa z niego z każdym oddechem. Powoli jego ciało wróciło do normalnego stanu, a on zadygotał.

Jednak jego oczy wciąż widziały fantastyczne obrazy, jakie belladonna narzuciła światu. Drzewa wciąż były szarobiałe na tle nieba wysadzanego przeraźliwie jasnymi gwiazdami. Blask księżyca, za którym płynęły po niebie jeszcze jaśniejsze gwiazdy, był zbyt bolesny dla oczu. W lesie tańczyły chwiejne cienie. Jeden z nich wystąpił spośród pozostałych i przybrał postać kobiety.

- Halisstra... - szepnął Ryld, ale zaraz zobaczył, że się pomylił.

Kobieta była drowką, ale nie była Halisstrą Melarn. Była naga, a rozpuszczone białe włosy sięgały jej do ud. Gdy podeszła do Rylda, jego rozgorączkowane oczy dostrzegły, że okrywa ją poranna rosa. Całe jej ciało usiane było jej kropelkami, skrzącymi się jak gwiazdy na tle czarnego nieba jej skóry.

Stała nad nim przez chwilę, przyglądając mu się oczyma, które odbijały światło niczym bliźniacze sierpy księżyca. Potem dotknęła rękojeści miecza, który wbił przypadkiem w ziemię. Smukłe palce zatoczyły leniwe koło wokół owiniętej skórą rękojeści. Ryldowi wydawało się, że jej palce tańczą. Jej usta rozwarły się, ale zamiast mowy Ryld usłyszał dźwięki fletu. Melodia była jednocześnie przyjemna i surowa, jak gdyby flecistka nie mogła się zdecydować, którą z melodii zagrać i grała obie jednocześnie. Przez cały czas kobieta patrzyła Ryldowi głęboko w oczy, jak gdyby chciała wejrzeć mu w duszę. Jej dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza.

W lesie trzasnęła gałązka. Kobieta z zaskoczeniem podniosła wzrok w chwili, w której z zarośli wypadł czarny wilczek. Z wyszczerzonymi kłami, warcząc, skoczył jej do piersi. Gdy uderzył w nią, kobieta eksplodowała milionem pyłków księżycowego blasku. Wilk przeleciał przez nią, jak gdyby nigdy jej tam nie było. Patrząc, jak znów znika w lesie, Ryld doszedł do wniosku, że wszystko to było halucynacją. Kobieta, wilk... żadne z nich nie pojawiło się tu naprawdę.

Coś ciepłego i wilgotnego trąciło go za uchem. Był to nos. Potem ciepłe, kudłate ciało położyło się obok niego. Język oblizał mu policzek, a nad sobą zobaczył ciemne oczy.

Nie poruszył się i nic nie powiedział. Zamiast tego skupił się na oddychaniu, z każdym oddechem pozbywając się z organizmu resztek trucizny belladonny.

W końcu pograżył się w Zadumie. Kiedy znów był świadom tego, co dzieje się dookoła, był już dzień. Usłyszał skwierczenie i poczuł zapach piekącego się mięsa, a gdy przewrócił się na bok, zobaczył Yarno kucającego obok niewielkiego paleniska. Chłopak trzymał patyk, na który zostało nabite ciało jakiegoś małego czworonoga. Zwierzątko zostało wypatroszone, ale Ryld poznał je po ogonie. Był to szczur. Yarno uniósł patyk znad płomieni.

- Musisz się wzmocnić - powiedział. - Jedz.
Ryld usiadł, otrząsając się z letargu. Wstał i poruszał barkami, rękami i palcami. Wszystko działało jak należy - trucizna przestała krążyć w jego ciele. Ukucnął i przyjął szczura.
- Dziękuję - powiedział. - Nie jadłem szczura, odkąd byłem dzieckiem.
Yarno przyglądał mu się zmrużonymi oczyma. Ryld uświadomił sobie, że chłopak próbuje zdecydować, czy drow przypadkiem się z niego nie natrzęsa. Uśmiechnął się i wgrzył w osmalone mięso, żując je ze smakiem.
Yarno odrzucił do tyłu kosmyk czarnych włosów, który spadł mu na czoło i odpowiedział uśmiechem.
- Smaczne, prawda? - zapytał.
- Owszem - odparł Ryld, ocierając wierzchem dłoni uwalane tłuszczem kąciki ust.
Yarno wstał i przysypał ognisko ziemią, obracając się do niego plecami i grzebiąc brudną stopą jak pies.
- Dziadek czuje się już lepiej - powiedział.
- Moi mistrzowie dobrze mnie nauczyli - odparł Ryld. - A poza tym mam dużą praktykę w opatrywaniu ran. - Przyjrzał się smugom brudu na bladym, nagim ciele Yarno i dodał: - Pierwszą rzeczą, jaką należy zrobić, jest przemyć rany gorącą wodą, tak jak oczyściłem ranę twojego dziadka. Potem należy ją obwiązać czystą, wygotowaną szmatką. Pamiętaj o tym ta wiedza może ci kiedyś uratować życie.
- Będę pamiętał - powiedział chłopak.
Ryld zmarszczył nos z powątpiewaniem. Yarno wydawał się przyciągać brud jak rynsztok nieczystości. I miał pchły, o czym Ryld przekonał się z obrzydzeniem chwilę później, gdy poczuł ostre jak igła ukłucie w pierś. Wspomnienie śpiącego obok wilkołaka musiało być prawdziwe. Które jeszcze wspomnienia z ubiegłej nocy były prawdą, a które halucynacją?
- Ryld podniósł się i rozejrzał po ziemi. Oprócz śladów łap małego wilka i stóp bosego chłopca nie zauważył żadnych innych tropów.
- Yarno - zapytał - kiedy znalazłeś mnie zeszłej nocy, czy stała obok mnie kobieta?
Yarno wzruszył ramionami.
- Na co skoczyłeś?
Yarno wbił wzrok w ziemię.
- Nie pamiętam - odpowiedział w końcu, znów wzruszając ramionami. - Nigdy nie pamiętam.
Ryld kiwnął głową ze zrozumieniem. Doprowadzony do szału blaskiem księżyca w pełni chłopak nie panował nad tym, co robi, ani co myśli. Dziwne, że w takim razie odszukał Rylda i obronił go - żądza krwi powinna była go skłonić do rozszarpania mu gardła. Może odstraszył go zapach belladonny... ale dlaczego w takim razie Ryld pamiętał, że chłopiec leżał obok niego, grzejąc go w nocy własnym ciałem? Wyrwał z ziemi krótki miecz, oczyścił sztych z ziemi, po czym schował go do pochwy.
- Którędy do świątyni? - zapytał.
Yarno wskazał mu drogę, a potem spojrzał fehmistrzowi w oczy. Ryld uznałby jego spojrzenie za wyzwanie, gdyby chłopiec był wyszkolonym szermierzem.
- Co zrobisz, kiedy tam dotrzesz? - zapytał Yarno.
- Uratuję Halisstrę - odrzekł Ryld. - Zmrużył oczy i dodał: - Jeśli nadal żyje.
- A jeśli nie? - zapytał Yarno. - Zabijesz kapłanki, aby pomścić jej śmierć?
Ryld zastanawiał się chwilę, a potem uśmiechnął ponuro.
- Tyle, ile zdołam, zanim sam zostanę zamordowany - zapewnił.
- To dobrze - powiedział Yarno.
Chłopiec uniósł głowę, jak gdyby coś usłyszał. Popatrzył w kierunku, który przed chwilą wskazał.
Ryld też już słyszał: granie kilkunastu rogów myśliwskich, stłumione odległością, dochodzące od strony świątyni.
- Lepiej wróć - powiedział Yarno z oczyma rozszerzonymi strachem. - Dziadek mnie potrzebuje.
Chłopiec zmienił się w wilka i uciekł w las.
Ryld odwrócił się i pospieszył w przeciwną stronę - w stronę dźwięków. Gdy kluczył między drzewami, w pośpiechu rozgarniając ramionami gałęzie, w głowie kołatała mu tylko jedna myśl.
Halisstra przyznała się do zabójstwa jednej ze świątynnych kapłanek i z pewnością czekała ją kara za tę zbrodnię. Czy to ona była zwierzyną?

ROZDZIAŁ 17

Danifae podążyła za Pharaunem przez okrągły otwór w ścianie stalagmitu i korytarzem wijącym się spiralą ku górze. Woda, przez którą płynęli, była splugawiona śluzem prowadzącego ich aboletha. Danifae czuła jej smak przy każdym wdechu. Drugi aboleth płynął zaraz za nią, popędzając ją naprzód. Korytarz, którym płynęli, był różowoszary i lśniący jak powierzchnia perły. Wyrtyo w nim głębokie bruzdy, ukazujące ciemnoszary kamień pod spodem. Większość rowków układała się w spirale i faliste linie. Danifae patrzyła na nie, zastanawiając się, czy to rodzaj pisma. Potem przypomniało jej się, że abolethy nie potrzebowały tekstów pisanych. Cała wiedza, jaką posiadały, przechodziła na przyszłe pokolenia, gdy młode otaczały dorosłe osobniki i rozrywały je na strzępy.

Uśmiechnęła się smutno, żałując, że Lolth nie obdarzyła drowów zdolnością pochłaniania wiedzy w podobny sposób. Istniały jednak inne sposoby zdobywania potrzebnych informacji...

Korytarz mijał kilkoro okrągłych drzwi, a w końcu otwierał się na pomieszczenie, które musiało się znajdować w pobliżu rdzenia stalagmitu. Wpłynąwszy do środka, Danifae zatrzymała się obok Pharauna, pozwalając, by ciężar kolczugi ściągnął ją do pozycji stojącej na obłej podłodze. Aboleth, który za nią płynął, zawisł w wodzie tak blisko niej, że gdyby zechciał, mógłby ją dotknąć jedną z macek.

Zauważyła, że drugi aboleth zajął podobną pozycję po drugiej stronie Pharauna.

Na końcu komnaty, w niszy w ścianie, leżał aboleth, najprawdopodobniej Oothoon. Stwór spoczywał na czymś, co wyglądało jak kłęb gąbczastych morskich grzybków i od czasu do czasu odrywał z niego macką kawalek, który wpychał do umieszczonych na brzuchu ust. Jego niebieskozielona gumowata skóra była usiana białymi plamami słodkowodnych pąkli, a różowe podbrzusze miało ciemniejszy odcień niż podbrzusza stworów, które ich tu przyprowadziły. Danifae na próżno szukała jakichś wskazówek co do płci stwora. Przyszło jej do głowy, że istota może być jednocześnie samcem i samicą, choć pozostali nazywali Oothoon „matriarchinią”.

Poczuła łaskotanie w głębi czaszki i chwilę później wodę przeszył błysk magicznej energii. Łaskotanie ustąpiło, gdy zaczęło działać ochronne zaklęcie rzucone przez Pharauna. Danifae zerknęła na maga kątem oka i zobaczyła, że kiwa lekko głową. Jego przechwałki okazały się uzasadnione. Jego magia była wystarczająco silna, żeby uniemożliwić abolethom sondowanie ich umysłów.

Oothoon poruszyła się, unosząc lekko nad kłębem wodorostów. Kawalek czegoś, co było uwięzione pod jej cielskiem - wyglądał jak ochłap świeżego mięsa, ale pozostawiał w wodzie zieloną smugę zamiast czerwonej - zawirował, uniesiony prądem i opadł łagodnie na posadzkę. Mięso aboletha, stwierdziła Danifae, widząc upstrzoną plamkami skórę.

Nie przejmując się tym, Oothoon wysunęła w stronę Pharauna jedną z macek, która zawisła zaledwie na szerokość dłoni przed jego twarzą. Druga podpłynęła do Danifae.

Pharaun wsunął dłoń za plecy, gdzie Oothoon nie mogła jej zobaczyć.

- *Spokojnie*, powiedział na migi.

Danifae wpatrywała się w mackę, czując w otaczającej ją wodzie zapach i smak zjełczanego tłuszczu. W obawie, że nawet tak przelotny kontakt ze śluzem może ją przeobrazić, wstrzymała oddech, nie chcąc wciągać w płuca zmaconej wody. Po chwili Oothoon cofnęła mackę wiszącą przed Pharaunem, a potem, gdy Danifae zaczęła widzieć przed oczyma plamy i musiała odetchnąć, drugą. Troje oczu stwora zwęziło się w grymasie, który Danifae uznała za koci uśmiech.

- Co was tu sprowadza? - zapytała Oothoon głosem przypominającym głośny bulgot.

Danifae pozostawiła prowadzenie rozmowy Pharaunowi. Mag używał języka migowego drowów, który Oothoon wydawała się rozumieć. Matriarchini abolethów musiała swego czasu pożreć kilka drowów.

- *Wieki temu wasze miasto odwiedził okręt demonów, zaczął Pharaun. Po opuszczeniu Zanhoriloch wpadł w burzę i zagubił się na tym planie. Szukamy go.*

- *Dlaczego?*

- *Nasza przywódczyni, potężna kapłanka Lolth, chce go odnaleźć. Chce nim popłynąć do Otchłani, aby spotkać się ze swoją boginią.*

Danifae zerknęła kątem oka na Pharauna, a jej czoło zmarszczyło się. Quenthel wyraźnie zaznaczyła, że Pharaun ma nie wspominać ani o niej, ani o ich wyprawie. Czy mówił to wszystko, żeby zrobić kapłance na złość?

Nie, pomyślała Danifae, przyglądając się czarodziejowi spod zmrużonych powiek. Pharaun nie

był taki głupi. Coś knuł.

Oothoon znów odpowiedziała pytaniem:

- *Dlaczego wasza przywódczyni chce to zrobić?*

Pharaun przybrał strapioną minę i odparł:

- *Chce pochłonąć Lolth.*

Wszystkie cztery macki Oothoon zadrgały jednocześnie. Podobnie jak macki jej strażników. Były zaskoczone? A może rozbawione podobną zuchwałością? Danifae nie zastanawiała się nad tym zbyt długo. Wbiła wzrok w Pharauna, ciekawa, co teraz powie. Uchwycił jej spojrzenie i przetrzymał chwilę, dając jej do zrozumienia, żeby nic nie mówiła.

- *Wasza przywódczyni jest głupia* - powiedziała w końcu Oothoon. - *Jej bogini ją pożre.*

- *Nasza przywódczyni nie jest niedoświadczoną nowicjuską, lecz kapłanką najwyższej rangi*, odparł Pharaun. *Zna zaklęcie, która pozwala jej zabić boga. Każdego boga.*

Słyszając to bezczelne kłamstwo, Danifae z trudem zdołała zapanować nad wyrazem twarzy. Bez względu na to, jak szalony plan obmyślił Pharaun, nie chciała pokrzyżować mu szyków. Koniec końców, sprytnie poradził sobie z demonem Belshazu. Widocznie i tym razem miał w zanadrzu jakiś fortel.

- *Kim jest wasza przywódczyni?* - zapytała Oothoon.

Ale kiedy Pharaun zaczął literować słowo

- *Q-u-e-n-*

Danifae poczuła, że musi ostrzec maga.

- *Nie!* - pokazała na migi, udając, że wiosłuje rękami dla zachowania równowagi.

Mag literował dalej, jak gdyby niczego nie zauważył.

- *t-h-e-l.*

Quenthel - powiedział na głos aboleth, po czym mlasnął, jak gdyby sam dźwięk miał słodki smak. Troje oczu stwora zamrugało gwałtownie. - Nigdy o niej nie słyszałam.

- *Wcale mnie to nie dziwi*, odrzekł Pharaun. *Pochodzimy z miasta w Podmroku oddalonego wiele lig stąd.*

- *Menzoberranzan?*

Danifae podniosła na Oothoon zaskoczony wzrok i zapytała na migi:

- *Słyszałaś o nim?*

- *Ten, który uciekł z klatki, podał tę nazwę Jooran.*

- *A aboleth powiadomił cię o tym*, dokończył Pharaun, przerywając Danifae, zanim ta zdołała zadać matriarchini więcej pytań.

- *Tak. Znalazłam ją w umyśle Jooran, kiedy go zjadłam.*

Danifae zadrżała, zastanawiając się, czy Oothoon ma zwyczaj pożerać wszystkich, którzy znaleźli się w sali tronowej. Opuściła dłoń do morgenszterna noszonego przy pasie. Jeśli aboleth wyciągnie ku niej swe macki, użyje magii oręza do obrony przed nimi. Ale gdy to przemyślała, dłoń zsunęła jej się w dół. Fakt, że wpuszczono ich uzbrojonych do sali tronowej matriarchini abolethów nie rokował wielkich nadziei. Widocznie abolethy nie obawiały się magicznego oręza, a nawet magii Pharauna.

Danifae zadrżała z niepokoju. Czy wydostanie się stąd żywa? Uświadomiła sobie, że jej życie zależy od Pharauna i nienawidziła siebie za to.

Pharaun znów mówił coś na migi. Danifae była tak rozkojarzona, że zobaczyła tylko końcówkę wypowiedzi.

- *... powiesz nam, gdzie się znajduje, a my doprowadzimy do twojego spotkania z Quenthel*, powiedział mag.

Troje oczu matriarchini abolethów zamrugało gwałtownie.

- Po co? - zapytała.

Pharaun trącił butem kawałek mięsa aboletha, a potem podniósł wzrok.

- *Żeby ją zjeść*, powiedział bez ogródek.

Danifae zmrużyła oczy. Miała nadzieję, że Pharaun blefuje.

Macki Oothoon wiły się dziko.

- *Zjeść kapłankę, która jest dość potężna, by zabić boga?* - zagulgotała z rozbawieniem. - Drwisz sobie ze mnie.

- *Ani trochę*, odparł Pharaun. *Czary Quenthel są potężne, ale rzucenie każdego z nich zabiera dużo czasu. Jest słaba fizycznie - słaba jak każdy drow. Wiedząc o tym, zawsze ma przy sobie półdemoną, który*

ją chroni. Jeśli uda się ich rozdzielić - może jakimś podstępem - nie będzie w stanie się obronić. Magiczne przedmioty, jakie przy sobie nosi, nie mają większego znaczenia - jedynym niebezpiecznym orężem jest jej młot, który jest magiczny i potrafi razić z pewnej odległości oraz bicz o zmijowych rzemieniach, które są jadowite.

Danifae była oszołomiona zuchwalstwem Pharauna. Właśnie zdradził matriarchini wszystko, co potrzebowała wiedzieć, żeby pokonać Quenthel. Jedynym szczegółem, jaki zataił, był fakt, że Quenthel nie ma już dostępu do magii Lolth. Zarzucił przynętę, opowiadając o rzekomej mocy zabijania bogów i Oothoon zaczynała się ślinić na samą myśl o zdobyciu takiego zaklęcia. Najdziwniejsze było jednak to, że mag zrobił to wszystko w obecności Danifae. Czy zdawał sobie sprawę, że zdradzi go dla Quenthel - a może wręcz na to liczył? Być może kierowały nim jakieś głębsze motywy...

Danifae potrząsnęła głową. Odgadywanie zamiarów kogoś, kto przechytrzył demona, nie miało sensu. Wykonała dłonią krótki gest, dając znać, że chce pomówić z nim na osobności.

Pharaun zmarszczył brwi, a potem zwrócił się do Oothoon.

- *Zakłęcie podtrzymujące moją towarzyszkę słabnie, powiedział. Aby rzucić je ponownie, muszę przez chwilę potrzymać ją za rękę. Zakłęcie wyczaruje czarny obłoczek wokół naszych dłoni. Nie obawiajcie się, gdyż jest on nieszkodliwy. Czy mam twoje pozwolenie?*

Troje oczu aboletha zwężało się - był to bez wątpienia grymas, którego stwór nauczył się od drowów.

- Tak.

Dwoje strażników stężało, obserwując uważnie Pharauna, który ujął obie dłonie Danifae. Chwilę później wokół ich rąk pojawiła się kula ciemności na tyle duża, żeby je osłonić i Danifae przeszła na język palców. Uderzając nimi szybko o dłoń, wystukała słowa:

- *Naprawdę zamierzasz poświęcić Quenthel?*

- *Na szali leży los Menzoberranzan, odstukał Pharaun. Jestem pewien, że matka opiekunka Baenre uznałaby to za godną ofiarę. Na moim miejscu postąpiłaby tak samo.*

Danifae nie mogła się spierać z logiką jego słów. Zamiast tego zajęła się bardziej naglącą kwestią: jej własną osobą.

- *Prosisz mnie, żebym stanęła po twojej stronie. Zdradziła kapłankę wyznającą tę samą wiarę. Dlaczego miałabym to zrobić? Menzoberranzan nic mnie nie obchodzi.*

- *A Eryndlyn? zapytał Pharaun.*

- *Co z nią? odstukały palce branki.*

- *Chciałabyś tam kiedyś wrócić?*

Danifae zawahała się.

- *Byłem tam kilka razy, zastukał Pharaun. Bardzo dobrze znam plac otaczający Pięć Filarów. Mógłbym wysłać cię tam za pomocą prostej inkantacji.*

- *W Eryndlynie nic już na mnie nie czeka, odparła. Ani dom, ani rodzina.*

- *Więc dokąd?*

Danifae nie dała się zwieść.

- *Quenthel nigdy się na to nie zgodzi, wystukała. Nie po tym, jak straciła Halisstrę... i Rylda.*

- *Racja, wystukał Pharaun, kiwając głową. Ona nie, ale ja tak. Wciąż nie odpowiedziałas mi na pytanie, dokąd chcesz się udać, jeśli nie do Eryndlynu i z pewnością nie do Ched Nasad? Llacerellynu? Sschindylrynu?*

Danifae mimowolnie westchnęła. Sschindylryn słynęło z wielu portali i było przybranym domem najprawdopodobniej jedyne drowa w Podmroku, który był w stanie jej pomóc, który potrafił zniweczyć czar wiążący ją z Halisstrą. Gdyby Pharaun rzeczywiście mógł...

Widząc, że czarodziej bacznie przygląda się jej twarzy, opanowała się, zła na siebie, że zdradziła się ze swoimi myślami.

Na chwilę prawie mu uwierzyła, ale wiedziała, że nie powinna pozwalać sobie na marzenia. Doświadczenie podpowiadało jej, że obietnice, zwłaszcza te składane przez drowy, rzadko bywają dotrzymane.

Istniała jednak pewna szansa. Podczas upadku Ched Nasad Pharaun ryzykował życiem, żeby ją uratować. Danifae wciąż zachodziła w głowę, dlaczego. Co na tym zyskał? Może ocalenie jej było impulsem wpływającym z żądz. To uczucie mogło nim wciąż kierować.

Czyżby nadszedł moment przejścia na stronę Pharauna? Danifae zastanowiła się nad tym. Weszła

w sojusz z Quenthel, ponieważ poznanie losu Lolth dawało jej szansę na odzyskanie magii, a może nawet zyskanie specjalnych przywilejów u samej mrocznej bogini. Quenthel była najwyższej rangi drowką w Menzoberranzan, a skoro Danifae była już zmuszona komuś służyć, wołała służyć osobie o jak najwyższej pozycji. Bycie branką to jedno, a bycie służącą bezdomnej uciekinierki ze zrujnowanego miasta drugie. Przechodząc na służbę u Quenthel, związała Halisstrze ręce. Pierwsza córka domu Melarn mogła zabić swoją brankę, gdyby naszedł ją taki kaprys, ale odkąd ta została zabawką Quenthel, Halisstra odpowiadała za nią przed mistrzynią Arach-Tinilith.

Po tylu latach usłużnego kłaniania się i przytakiwania innym, Danifae mogła wreszcie wybrać własną drogę, mogła wreszcie działać ale nadal nie była wolna. Wciąż pętały ją Więzy. Wciąż czuła ten nierozzerwalny związek z Halisstrą Melarn.

Quenthel była potężną sojuszniczką i jeśli Danifae dobrze rozegra tę partię, może nawet skończyć jako prawa ręka kapłanki... o ile poszukiwania Lolth zakończą się powodzeniem. O czym, zważywszy na dotychczasowe porażki, Danifae nie była do końca przekonana.

Ale w Sschindylryn, jeśli sędziwy mag wciąż żył, mogła wreszcie odzyskać wolność. Wolność - do czego? Dokąd pójdzie? Nawet jeśli Eryndlyn nie spotkał taki sam los jak Ched Nasad, nie miała tam czego szukać. Mogła pójść do Menzoberranzan albo innego miasta, ale jako kto? Jako wolna drowka, ale bez żadnych powiązań, bez domu, który by ją chronił. Gdyby jednak miała sponsorkę, opiekunkę... kogoś takiego jak na przykład Quenthel Baenre... mogła znaleźć dom w Arach-Tinilith.

Danifae postanowiła działać ostrożnie, zaczynając od kłamstwa.

- *Zrobię to, wystukała. Quenthel niczego się ode mnie nie dowie. Ale najpierw upewnij się, że naprawdę wiesz, gdzie jest statek i czy nadal nadaje się do żeglowania.*

Pharaun uśmiechnął się i kiwnął lekko brodą w symbolicznym ukłonie. Potem rozproszył kulę ciemności, puścił dłoń Danifae i odwrócił się z powrotem do Oothoon.

- *A więc? zapytał. Czy zdecydowałaś się przyjąć moją propozycję?*

Matriarchini abolethów strzepnęła macką i powiedziała:

- *Daj mi Quenthel, a ja powiem ci, gdzie jest statek chaosu.*

Danifae uniosła brew. Widząc to, Pharaun kiwnął lekko głową. Widocznie uświadomił sobie właśnie to samo co ona - przybyli szukać okrętu, ale żadne z nich nie sprecyzowało, o jaki dokładnie okręt im chodzi. Istniała jednak szansa, że zrobił to Valas.

- *Opisz go, pokazał Pharaun. Przekonaj nas, że wiesz, o czym mówimy.*

Aboleth zamknął oczy, jak gdyby przywoływał odległe wspomnienie.

- Był zrobiony z kości i poruszał się po powierzchni jeziora. Zamieszkujące go stwory były podobne do was i wydawały się żywe, ale były blade, wzdęte i smakowały śmiercią... i owadami. Ten, którego pochłonęła ta-która-splodziła-moje- matki był pełen białych, wijących się stworzeń.

- *Larw, powiedział Pharaun, a na jego twarzy nie było nawet śladu obrzydzenia, które, czego Danifae była pewna, odmalowało się na jej własnej twarzyczce.*

- Tak. Nieprzyjemne doświadczenie, zwłaszcza kiedy jeden z tych stworów rozłożył się w jej żołądku na kwaśny opar. Ta-która-splodziła-moje-matki prawie umarła i z własnej woli nie zjadłaby już żadnego z tych stworzeń, nawet gdyby ich umysły kryły w sobie tajemnice samych bogów.

Danifae uczepliła się tej ważnej kwestii.

- *Kiedy twoja przodkini pożarła demona? zapytała. Kiedy statek pojawił się w waszym mieście - przed czy po tym, jak przepadł?*

- Po - odparła Oothoon. - Głupi stwór przyplłynął tu po tym, jak jego kapitan został pokonany.

- *Opisz kapitana, poprosił Pharaun.*

- Był to lądowy stwór o dwóch nogach do chodzenia i dwóch do trzymania - odparła Oothoon - oraz długim ogonie, który cały czas poruszał się jak pasmo wodorostów miotane prądem. Ciało miał bezwłose, z wyjątkiem pyska. Jego twarz przypominała pyszczek małego lądowego stworzenia, które biega po jaskiniach, węsząc przez cały czas.

- *Uridez, powiedział Pharaun, rzucając Danifae porozumiewawcze spojrzenie. To samo mówił Belshazu.*

- *Valas mógł wspomnieć o tym abolethowi, odpowiedziała szybko Danifae.*

Pharaun pokręcił głową.

- *Valas nie potrafi odróżnić jednego demona od drugiego. Nie rozpoznałby uridezu, nawet gdyby ten spojrział mu prosto w twarz, nie zapamiętałby też gatunku demona, który Belshazu wymienił jeden raz.*

Oothoon mówi prawdę. Jej przodkini rzeczywiście pożarła plugawca - a wraz z nim znajomość miejsca, w którym zatonął okręt.

- *Wiemy, że statek przepadł podczas burzy, zwrócił się do Oothoon. Czy został zniszczony?*

- *Kiedy plugawiec odpływał ze statku, ten był jeszcze cały - odparła Oothoon. - Sztorm unieruchomił go i zabił załogę, ale nie zniszczył samego statku.*

Danifae prychnęła. Jak matriarchini mogła im udzielić innej odpowiedzi po tym, jak Pharaun wyjawiał jej ich plan wydźwignięcia okrętu z dna i pożeglowania nim dalej.

- *A co z demonem? zapytał czarodziej.*

- *Jego też unieruchomił sztorm.*

Mag zastanawiał się chwilę, a potem skinął głową, wyraźnie zadowolony z odpowiedzi Oothoon.

- *Bardzo dobrze, pokazał na migi. Powiedz mi, gdzie szukać statku, a ja zaaranżuję twoje spotkanie z Quenthel.*

- *Nie - powiedziała Oothoon, mierząc go gniewnym spojrzeniem i przez jeden przerażający moment Danifae myślała, że targi się skończyły, że aboleth postanowił ich jednak pożreć. - Oddasz mi kapłankę i dopiero kiedy ją pożrę, powiem ci, gdzie szukać statku.*

Danifae prychnęła. Pat. Ale ku jej zdumieniu, Pharaun kiwnął głową.

- *Zgadzam się, powiedział do aboletha.*

Gdy Oothoon zagulgotała z radości, dwóch strażników wyprowadziło Pharauna i Danifae z komnaty. Audiencja dobiegła końca.

ROZDZIAŁ 18

Zawartość buteleczki zaskoczyła Grompha. Usłyszał bulgotanie cieczy, ale to, co poczuł na języku, przypominało drobny piasek. Gdy go przełknął, usta wypełnił mu dziwny smak i dziwna mieszanka starego, zasuszonego owada i ostrego posmaku zimnego bursztynu.

Wspomnienia wybuchły w jego umyśle z gwałtownością zarodników wyrzuconych z przejrzałego grzyba. Wśród nich było zaklęcie niewymagające użycia werbalnego komponentu, gdyż wystarczał sam somatyczny - akt połknięcia resztki zawartości buteleczki.

Wyczuwając, że coś poszło nie tak, illithid przyskoczył do maga, chcąc uderzyć go zdeformowaną ręką, ale było już za późno. Resztką zawartości buteleczki zsunęła się po języku Grompha i została połknięta, aktywując czar. Fala magicznej energii przetoczyła się przez pomieszczenie szybciej niż myśl, sprawiając, że Sluuguth zamarł z wytrzeszczonymi z wściekłości ślepiami i mackami unieruchomionymi w połowie ciosu o grubość palca od twarzy Grompha. Buteleczka myśli zawisła w powietrzu w miejscu, gdzie została przewrócona, a krasnoludzki topór przywłaszczony sobie przez illithida zastygł pomiędzy wyciągniętą ręką Sluugutha a ziemią. Upuścił go z zaskoczenia w chwili, w której myśli Grompha zdradziły mu, co się zaraz wydarzy.

Gromph wstał, opierając się dłonią o biurko, gdy komnata rozmazała mu się lekko w oczach. Poruszanie się poza czasem było zawsze nieco dezorientujące. Kręciło mu się w głowie, nie mógł złapać równowagi, jak gdyby świat był materialny, a on sam nie.

Gdy powróciły wspomnienia, wszystko stało się jasne.

Więc dlatego wymazałem wszystkie wspomnienia oprócz tego, że powinienem zaproponować butelki myśli istocie, która zawładnie moim umysłem, pomyślał arcymag.

Nie dlatego, że chciał skłonić ją do wypicia ich zawartości, ale ponieważ spodziewał się, iż ta odczyta jego myśli i na wszelki wypadek najpierw każe jemu napić się z jednej z nich.

Tak jak postąpił Sluuguth.

Gromph nie tracił jednak czasu na napawanie się własną przezornością. Musiał działać szybko. Zaklęcie zatrzymujące czas było potężne, ale krótkotrwałe. Działo zaledwie kilka uderzeń serca. Mag pochylił się i podniósł topór.

Szarpnął lekko - inercja sprawiła, że broń sprawiała wrażenie zatkniętej w błoto - chwycił drzewce mocno w obie dłonie i zamachnął się. Żeleźce weszło gładko w szyję illithida, przecinając ją jednym ciosem. Krew wezbrała na krawędzi rany, ale sama głowa nadal tkwiła na ramionach.

Gdy Gromph odłożył broń na biurko, zaklęcie przestało działać i czas skoczył naprzód. Krew rozbryzła się na ścianie, głowa Sluugutha odleciała od ciała, a illithid runął na ziemię. Chwilę później buteleczka myśli uderzyła w ścianę i spadła z brzękiem na posadzkę.

Spoglądając na magiczne ostrze topora, Gromph zobaczył, jak szalony wir wciąga duszę Sluugutha, która dołącza do pozostałych ofiar oręża. Twarz illithida wyjrzała ze zgrozą z żeleźca, wymachując mackami. Potem zbladła i znikła.

- Cóż za użyteczna broń - powiedział Gromph, odkładając krasnoludzki topór bojowy na bok. Zachichotał. - Może powinienem zawiesić go na ścianie na pamiątkę.

Uklęknął, recytując słowa zaklęcia i przesunął dłońmi nad ciałem illithida. Poczł mrowienie, gdy dłonie znalazły się nad wyrzuconą w bok dłonią stwora. Złoty sygnet na środkowym palcu Sluugutha był magiczny, nasycony zaklęciami ochronnymi. Zsunął go trupowi z palca i położył na biurku.

Znów poczuł mrowienie w dłoniach, gdy przesunął nimi nad wydłużonym skórzanym futerałem wiszącym u pasa Sluugutha. Gdy go otworzył, znalazł w środku tubę - wydrążoną w środku kość zamkniętą z obu stron drewnianą zatyczką - i potrząsnął nią. Usłyszał szelest papieru. Może zwoje? Zdecydował, że przestudiuje je później, gdy podejmie odpowiednie środki ostrożności.

Położył tubę obok sygnetu i kontynuował oględziny. Jedna z kieszeni szaty Sluugutha sprawiła, że poczuł mrowienie po raz trzeci. Gromph wyciągnął z niej długi na palec kawałek kwarcu, któremu nadano kształt graniastosłupa. W głębi kryształu tańczyły żółte iskierki.

Gromph widział już podobne przedmioty. Były to magiczne konstrukty elfów z powierzchni, które potrzebowały światła, aby poruszać się po Podmroku. Wymówił słowo w ich języku - elfy z powierzchni były bardzo przewidywalne i prawie zawsze używały tych samych słów-rozkazów - a pryzmat zgodnie z jego przewidywaniami rzucił przed siebie snop bladego światła przypominającego płomień świecy. Następane słowo zmieniło go w rażący, cienki jak różdżka promień intensywnie białego blasku, który

świeciłby na dużą odległość, gdyby nie natrafił na ścianę gabinetu arcy maga.

Mrużąc oczy przed oślepiającym światłem, Gromph wymówił trzecie słowo i jasność zniknęła. Pryzmat wyglądał tak jak poprzednio i był wciąż zimny jak kamień.

- Użyteczny drobiazg - powiedział mag, wsuwając go do kieszeni piwafwi. - Przyda się do odczytywania zwojów.

Prawie zakończył już poszukiwania, ale kiedy po raz ostatni przesunął dłońmi nad ciałem illithida, znów poczuł mrowienie. Coś było upchnięte głęboko w kieszeni, z której wyciągnął pryzmat. Wsunąwszy w nią dłoń, wydobyl srebrny łańcuszek, z którego zwisał płaski owal jadeitu. Rozpoznał go natychmiast.

- Więc tu zniknęły jadeitowe pająki - wymamrotał, chowając go do własnej kieszeni.

Gromph wstał, za pomocą magii uniósł głowę illithida z podłogi nie miał ochoty dotykać bezwładnych, cuchnących macek, skoro nie było to konieczne - i umieścił ją na piersi trupa. Potem wyciągnął z kieszeni piwafwi szczyptę pyłu i posypał nią ciało Sluugutha. Wyrecytował krótkie zaklęcie wskazał ciało palcem. W powietrzu rozległo się głośne skwierczenie, a z koniuszka palca maga wystrzelił promień zielonej energii. Przemknął nad trupem, podświetlając go iskrzącym się światłem. Moment później ze Sluugutha pozostała tylko smuga pyłu na podłodze.

Gromph przeszedł przez pokój i podniósł pustą buteleczkę. Jedna z jej ścianek była lekko wgnieciona, ale szybka w kształcie sigła była wciąż cała. Butelka nadawała się do ponownego użytku. Mag usunął wgniecenie zaklęciem naprawiającym, a potem postawił ją na biurku obok drugiej buteleczki i rzucił proste zaklęcie, które sprawiło, że krew rozbryźnięta na jego biurku zmieniła się w brunatny pył, który zdmuchnął. Ostrożnie umieścił zakorkowaną buteleczkę w szufladzie i podniósł tę odkorkowaną. Obrócił się do ściany i machnięciem palców uwolnił żywiołaka ognia unieruchomionego zaklęciem Sluugutha. Żywiołak wyleciał ze ściany z gniewnym rykiem, wypełniając pokój żarem.

- Gdzie on jest? - zapytał, rozplómieniając się i wykręcając na wszystkie strony w poszukiwaniu illithida. - Musi spłonąć.

- Illithida już nie ma - odparł Gromph.

Żywiołak z gniewu rozżarzył się do białości.

- Mówiłeś, że muszę tylko spalić intruza, aby odzyskać wolność - warknął. Wskazał osmalony sadzą punkt na ścianie, gdzie znajdowała się wcześniej magiczna pieczęć. Mam zatem wrócić w niewolę?

- Nie - powiedział Gromph, osłaniając twarz przez żarem. - Po prostu otrzymasz inne zadanie. Jeśli je wykonasz, będziesz mógł odejść. - Pokazał żywiołakowi butelkę myśli. - Za chwilę użyję tego magicznego przedmiotu. Kiedy skończę, przekażesz mi następujące informacje...

Kilka chwil później Gromph odkrył, że siedzi za swoim biurkiem, trzymając w dłoni zakorkowaną buteleczkę. Szuflada zawierająca identyczną butelkę była otwarta, a obok biurka unosił się w powietrzu żywiołak ognia. Gdy spojrział na ścianę, zobaczył, że pętająca żywiołaka pieczęć została uaktywniona. Do gabinetu musiał się wdrzeć jakiś intruz. Gromph rzucił szybko czar wykrywający, ale magia nie ujawniła obecności żadnej istoty, żywej ani nieumarłej. Kimkolwiek był intruz, on lub ona pozostawił na biurku złoty sygnet coś, co wyglądało jak tuba na zwoje - oraz imponujący topór bojowy oparty o bok biurka.

Gromph z niepokojem uświadomił sobie nagle, że ostatnią rzeczą, jaką pamięta, jest szklana kula, w której unosi się na powierzchni jeziora. Najwyraźniej udało mu się jakoś wrócić do Sorcere, trafić do swojego gabinetu i wyzwolić spod zaklęcia rzuconego przez licza. Ale jak?

Gromph wpatrywał się w trzymaną w dłoni złotą buteleczkę - jedną z buteleczek myśli. Odpowiedzi musiały się znajdować wewnątrz niej.

- Panie - odezwał się żywiołak ognia, skupiając na sobie jego uwagę.

Gromph podniósł wzrok.

- Armia Gracklstugh wraz z armią tanarukków atakują Menzoberranzan - oznajmił żywiołak, a przy każdym słowie jego usta oblizywał język ognia. - Duergarowie ustawili zaporę wewnątrz Tier Breche i atakują Sorcerry. Był wśród nich przynajmniej jeden illithid czarodziej o imieniu Sluuguth. Miał przy sobie jeden z amuletów kontrrolujących jadeitowe pająki. Pokonałeś go.

To powiedziawszy, żywiołak ognia wydał z siebie ryk triumfu. Niewidzialne magiczne więzy opadły z niego i stwór zniknął jak zdmuchnięta świeczka.

- Illithid - wyszeptał Gromph.

To dlatego trzymał w dłoni buteleczkę myśli. Coś mu się przypomniało. Stworzył ją - i drugą,

identyczną - na wypadek gdyby został pojmany przez łupieżcę umysłów. Jego plan polegał na zaofiarowaniu jej stworowi...

Więcej nie pamiętał.

Wzruszając ramionami, Gromph ostrożnie umieścił buteleczkę obok drugiej i zamknął szufladę.

- Ktoś zaatakował Sorcere? - mruknął. - Zobaczymy.

* * *

Gromph szedł w stronę balkonu, na którym stali dwaj jego uczniowie. Byli to Norulle, student piątego roku, który użył uroku na porost włosów, żeby zapuścić krasnoludzką brodę - niezbyt stosowne posunięcie, zważywszy na to, z kim walczyli - i Prath, student pierwszego roku, który nie przekroczył jeszcze czterdziestki i ze względu na krępą budowę ciała oraz okazałe mięśnie powinien był się znaleźć w Melee-Magthere. Obaj byli odwróceny plecami do korytarza, którym nadciągał Gromph i kryli się za widmowym obrazem skorupy żółwia wielkości stołowego blatu, który wisiał w powietrzu tuż przed balkonem.

Norulle wzdrygnął się, gdy na osłonę spadł grad strzał. Większość roztrzaskała się w drzazgi pod wpływem zaklęcia, ale jedna z nich skrzyła się magiczną energią. Przeszyła magiczną barierę i wbiła się w rękaw piwafwi Pratha. Nawet na nią nie patrząc, Prath wyrwał ją z ciała i odrzucił. Chwilę później z ręki pociekła strużka krwi. Młodzieniec strząsnął ją.

Chłopak powinien być żołnierzem, pomyślał Gromph.

Z zewnątrz dobiegały odgłosy bitwy: wywrzaskiwane przez duergarów rozkazy, skrzypienie naciąganych i zwalnianych katapult, skwierczący syk magicznej energii i gorączkowe inkantacje magów rzucających odwetowe zaklęcia z balkonów na górze i dole.

- Norulle, Prath, co się dzieje? - zapytał Gromph, wychodząc na balkon. - Gdzie wasi instruktorzy?

Zaskoczony Norulle obrócił się, ściskając w dłoni różdżkę.

- Mistrzu! - zawołał. - Wróciłeś!

We włosach i brodzie Norulle'a migotał diamentowy pył. Ktoś rzucił na niego potężne zaklęcie ochronne.

Na pytanie Grompha odpowiedział Prath.

- Leandran nie żyje. Dostał ognistym pociskiem.

- Wskazał miejsce w dalszej części balkonu - dymiący krater w kamiennej posadzce. Przez dziurę w środku krateru Gromph widział ziemię w dole. Ściana z tyłu była podziurawiona mniejszymi otworami, które też nadal dymiły. Każdy z nich był otoczony pierścieniem szronu. Dwaj studenci używali widocznie zaklęcia zimna, aby ugasić ogień. Po Leandranie, szkolnym mistrzu magii odpychań, pozostał tylko swąd spalonego ciała.

Uwagę Grompha przyciągnął jakiś gwizd. Spojrzał w bok w samą porę, żeby zobaczyć ogromny gliniany garniec lecący łukiem w stronę Sorcere i uderzający w bok stalagmitu kilkadziesiąt kroków dalej. Pocisk rozbił się, rozbryzgując na wszystkie strony płynny ogień. Płomienie rozpełzły się po skale, paląc wszystko, co stało im na drodze kamienne ściany, dekoracyjny łuk z kutego żelaza nad balkonem i sam balkon.

Postacie stojące na balkonie uciekły przed nadciągającą pożogą - jedna z nich trochę za wolno. Część zawartości garnca wylała się na piwafwi nieszczęśnika i powietrze rozdarły pełne bólu wrzaski. Urwały się chwilę później, gdy nadwątłony ogniem łuk z kutego żelaza runął w dół z głośnym piskiem metalu. Nad miejscem, gdzie był zamocowany, ściana wciąż się paliła, a płomienie wytrawiły wkrótce dziurę w kamieniu.

Gromph spojrział w kierunku, z którego nadleciała bomba zapalająca, na ochronną barierę wzniesioną przez duergarów, dokładnie naprzeciw tunelu prowadzącego z Mrocznego Władztwa do Tier Breche. Wyglądała na wykonaną z pociętych równo łodyg grzybów, ułożonych poziomo na sobie, ale była z pewnością magicznie wzmocniona. Gromy ciskane w nią przez czarodzieja stojącego na balkonie nad nimi odrywały z niej tylko drobne fragmenty, a grad wyczarowany tuż nad nią przez innego maga stopił się, zanim do niej dotarł. Jeszcze inny mag z Sorcere wysłał w stronę zaporę kwaśną chmurę. Żółtawy opar przeleciał nad blokadą i ruszył dalej w głąb tunelu. Jednak bariera pozostała nienaruszona, a wystrzelane z katapult gliniane garnce nadal wylatywały ze świstem w powietrze, by po zderzeniu z murami Sorcere wybuchnąć alchemicznym ogniem.

Arach-Tinilith nie było wcale w lepszej sytuacji. Ściany świątyni przypominającej kształtem pająka były również usiane pióropuszcami białych płomieni, a ziemia przed budynkiem usłana trupami. Wiele ciał było krępych i łysych, ale o wiele więcej należało do drowów. Żołnierze mrocznych elfów oddawali życie w obronie pieczary. Kapłanek nie było nigdzie widać. Tak jak ich bogini, ukryły się za murami z kamienia, pozostawiając walkę innym.

Schowany w głębi jaskini trzeci budynek Akademii - szkoła wojowników Melee-Magthere w kształcie piramidy - nie doznał żadnego uszczerbku. Wyglądało na to, że katapulty nie mają aż tak dalekiego zasięgu.

Norulle pochylił się nad balustradą, mierząc różdżką we wroga. Z jej koniuszka wystrzeliły grudki ognia wielkości ziarenek grochu, które rosły w miarę zbliżania się do zapor. Gdy doleciały do muru z bali, miały już kilka kroków średnicy. Lecz choć eksplodowały z rykiem, który słychać było nawet poprzez chaos bitwy, ściana wciąż tkwiła na swoim miejscu.

Gromph zmrużył oczy. Był w stanie zrozumieć pozorną nienaruszalność murów duergarowie, spodziewając się oblężenia, musieli przynieść ze sobą lekkie łodygi grzybów, a potem, kiedy zostały już ułożone, zamienili je w kamień. Nie rozumiał natomiast, dlaczego duergarowie schowani za zaporą byli wciąż w stanie obsługiwać katapulty, lekceważąc potworny żar ognistych kul Norulle'a i kwaśny obłok, który nad nimi przepłynął.

Przyglądał się, jak jeden ze starszych studentów pojawia się nagle na polu bitwy w dole, tuż przed duergarską blokadą i rzuca czar, którego uczył sam Gromph - wielki krzyk. Fala hałasu uderzyła w krasnoludzkie pozycje, aż zadrżały bale fortyfikacji.

Ale atak nie stracił nic ze swojego impetu. Ze szczelin w murze wciąż leciały strzały, jedna z nich trafiła studenta w brzuch w chwili, w której właśnie się teleportował.

- Mistrzu - krzyknął Prath, wreszcie ściągając na siebie uwagę Grompha, któremu dzwoniło w uszach. - Może powinniśmy wysłać przeciwko nim rój robactwa? Owady a może szczury?

Gromph miał już wyśmiać tę propozycję, ale nie zrobił tego.

- „Z ust nowicjusza” - zacytował zamiast tego znane powiedzenie i zachichotał.

Zmieszany Prath wpatrywał się w niego z błyskiem nadziei w oku.

- Czy zaproponowałem właściwy czar, mistrzu?

- Nie - odparł Gromph - ale podsunąłeś mi pewien pomysł. Walczcie dalej i nie wychylajcie się.

Arcymag wycofał się w głąb korytarza, którym niedawno przybiegł i zamknął oczy. Zlokalizowanie Kyorli zajęło mu tylko chwilę. Przelewając własną świadomość w umysł chowańca, poczuł, jak przebiera szybko nogami i porusza wąsikami, badając kamienie, po których biegnie szczurzyca.

- *Kyorli, przesłał mag. Gdzie jesteś?*

- *Biegnę. Biegnę szybko do Sorcere. Ale droga jest zamknięta!*

Przy odrobinie koncentracji Gromph był w stanie widzieć oczyma szczura. Kyorli biegła tunelem, klucząc w gąszczu poruszających się stóp. Stopy należały do duergarów, którzy pracowali parami, wynosząc z pola bitwy ciała poległych towarzyszy. Dwaj duergarowie, niosący ciało zabitego krasnoluda, wbiegli do bocznego tunelu.

- *Kyorli, rozkazał Gromph. Tamten tunel. Zajrzyj do środka.*

Kyorli podbiegła do wylotu tunelu i zajrzała do środka. Patrząc jej oczyma, Gromph zobaczył to, czego się spodziewał: duergara w szarej oponczy z kapturem, który trzymał w dłoni laskę z osadzonym na szczycie klejnotem. Przez środek kamienia biegło głębokie pęknięcie, symbol boga Laduguera. Kleryk stał naprzeciwko sterty ciał złożonych na podłodze tunelu, wymachując nad nimi laską. Chwilę później ciała zaczęły się poruszać. Martwi żołnierze, ożywieni makabrycznym pozorem życia, jak jeden mąż wstali i wyszli z tunelu.

- *Za nimi, rozkazał Gromph. Sprawdź, dokąd pójdą.*

Kyorli posłuchała, zachowując bezpieczną odległość. Nieumarli duergarowie maszerowali szeregami w stronę wylotu głównego tunelu. Po dotarciu na miejsce zajęli pozycje za barykadą, nie zważając na kolejną kwaśną chmurę, która spłynęła z jaskini w górze, pokrywając ich nieumarłą skórę bąblami.

Gromph musiał przyznać, że duergarowie są sprytni. Ponieważ kapłanki Lolth zostały pozbawione magii, zabrakło kogoś, kto potrafiłby zawrócić armię nieumarłych - albo przejąć nad nią kontrolę. Kiedy magiczny ogień spełni swoje zadanie, pomaszerują, niezatrzymywani przez nikogo, na Sorcere, Melee-

Magthere i Arach-Tinilith - a potem na samo Menzoberranzan. Jedyne mag na tyle potężny, żeby ich powstrzymać, był uwięziony pod miastem - a przynajmniej tak myśleli ich dowódcy.

Widok z oczu Kyorli zmienił się raptownie, gdy szurzyca musiała uskoczyć z drogi biegnącemu żołnierzowi.

- *Wystarczy, powiedział Gromph do chowańca. Znajdź sobie kryjówkę. Wkrótce będziesz mogła dołączyć do mnie w Sorcere.*

Powróciwszy świadomością do własnego ciała, Gromph wyszedł pewnie na balkon. Wyjął z kieszeni kawałek grawerowanej kości i wyciągnął dłoń do dwóch studentów, którzy obrócili się w jego stronę.

- Potrzebuję kawałka surowego mięsa - oznajmił.

Norulle rozejrzał się wokół.

- Ależ mistrzu, tu nie ma mięsa - powiedział.

Prath spojrzał Gromphowi w oczy i powoli skinął głową. Wyjął sztylet ukryty w rękawie piwafwi, położył lewą dłoń na balustradzie balkonu i odciął opuszkę małego palca. Podniósł skrwawiony ochłap i ignorując grymas obrzydzenia towarzysza podał go Gromphowi zdrową ręką.

Gromph uśmiechnął się.

- Dobra robota, uczniu - pochwalił chłopaka. - Daleko zajdziesz. Do którego domu należysz?

Prath uśmiechnął się pomimo bólu i przyciskając kikut odciętego palca do dłoni, aby zatamować krew, odparł:

- Z domu Baenre, mistrzu.

- Ach tak. - Gromph nie spotkał młodzieńca nigdy wcześniej. Musiał być dzieckiem najniższej rangą szlachcianki.

Prath nie był zbyt bystry - każdy inny student przywołałby zaklęciem jakieś stworzenie, zabił je i ofiarował Gromphowi jego ciało - ale był wierny. Gromph mógł to wykorzystać.

Rozsmarowując krew po kawałku kości, Gromph rzucił zaklęcie. Szybkim ruchem cisnął ją w stronę barykady, za którą ukrywali się duergarowie.

Potem krzyknął:

- Przerwać atak. Zwrot i do walki z duergarami!

Na mur z lodyg grzybów wciąż leciał grad zaklęć. Inni magowie dopiero po chwili zdali sobie sprawę, że krasnoludy przestały ich ostrzeliwać z katapult. Potem nieumarli żołnierze odwrócili się plecami do barykady. Nierównym, bezmyślnym krokiem pobiegli w głąb tunelu prowadzącego do Mrocznego Władztwa. Chwilę później w korytarzu rozległ się szczeł oręża, gdy zwarli się w śmiertelnej walce z żywymi wciąż towarzyszami.

Widząc to, wojownicy, którzy pozostali w Melee-Magthere, wypadli z piramidy. Runęli naprzód ze wzniesionymi mieczami, wdrapali się na barykadę i zaczęli niszczyć ją i katapulty. Inni podnosili bomby zapalające porzucone przez nieumarłych duergarów i ciskali nimi w głąb tunelu.

Gromph przyglądał się temu z ponurym uśmiechem. W końcu obrócił się i spojrzał na miasto w dole. Choć nieprzyjaciół zdobył i utracił przyczółek w Tier Brecht, Menzoberranzan wydawało się nietknięte przez wojnę. Stalaktyty i stalagmity szlacheckich posiadłości wciąż migotały, a pierścień magicznego ognia wspinał się po wielkiej iglicy Narbondelu. Gromph zmarszczył brwi, zastanawiając się, który z czarodziejów Baenre zapalał go pod jego nieobecność. Wyglądało na to, że wcale nie jest taki niezastąpiony. Będzie musiał pomówić o tym z Triel.

Potem, kiedy zda już raport matce opiekunce, spróbuje zakończyć oblężenie.

ROZDZIAŁ 19

Gdy dwanaście kapłanek uniosło rogi do ust, aby dać sygnał do nocnego polowania, Halisstra poczuła w całym ciele przypływ podniecenia. Zadrzała z zimna. Wiatr się wzmaczał, z nieba spadło kilka płatków śniegu. Podobnie jak pozostałe elfki nosiła wyłącznie srebrny łańcuch w pasie, na którym wisiał srebrny dysk z symbolem Eilistraee.

Odchylając głowę do tyłu, uniosła do ust myśliwski róg, który otrzymała, i spojrzała na księżyc. Wzięła głęboki wdech i zadęła, wydobywając z instrumentu przenikliwy ton. Wokół rozległy się nagłące, surowe dźwięki, gdy każdy z rogów odnalazł własną melodię, a potem wygrał ją w idealnej harmonii ze wszystkimi pozostałymi. Powietrze zadrzało i przez kilka uderzeń serca było zupełnie nieruchome. Potem wiatr znów zaczął wiać, poruszając gałęziami w górze.

Jak gdyby na sygnał otrzymany od bogini, Halisstra raptownie urwała dokładnie w tej samej chwili co pozostałe kobiety. Opuściła róg i patrzyła wyczekująco, jak główna łowczyni - Uluyara, drowka, która zabiła ubiegłej nocy trolla - wyrwa z ziemi miecz, wokół którego tańczyły jeszcze przed chwilą. Trzymając go prosto przed sobą, wysoka kapłanka powoli obróciła się w miejscu.

Tak jak Uluyara, Halisstra była uzbrojona wyłącznie w miecz, długi miecz Seyll. Zacisnęła dłoń na jego rękojeści, przykrywając wszystkie otwory oprócz jednego. Przez ten pojedynczy otwór zadął wiatr, wydając słaby, uporczywy dźwięk.

Feliane, która przez cały taniec trzymała się w pobliżu Halisstry, złowiła jej spojrzenie.

- Używaj go dobrze - powiedziała, kiwając głową. Aby przygotować się do dzisiejszego polowania księżycowa elfka znów zafarbowała skórę na czarno. Była zbyt drobna i wyglądała zbyt niewinnie, żeby z bliska można ją było wziąć za drowkę zwłaszcza, że miała brązowe włosy - ale trzymała miecz jak ktoś, kto umie nim władać.

- Na co polujemy? - szeptem zapytała Halisstra.

- Na wszystkie potwory, które za sprawą Eilistraee znajdują się na naszej drodze - odparła Feliane z tajemniczym uśmiechem.

Uluyara zaczęła wirować coraz szybciej. Jej miecz błyskał w księżycowym blasku, gdy zatoczyła trzy ciasne koła, raz, dwa, trzy... po czym zatrzymała się gwałtownie z rozedrganym ostrzem w ręku.

- Tędy! - krzyknęła.

Jak myśliwski jaszczur spuszczonej z łańcucha wbiegła pomiędzy drzewa.

Halisstrę ogarnęło podniecenie, gdy skoczyła w ślad za wysoką kapłanką. Wszystkie pozostałe kapłanki robiły to samo, a zaraz za sobą Halisstra widziała mknącą chyżo Feliane z roziskrzonymi zapałem oczyma. Pchana uczuciem będącym po części uniesieniem, po części żądzą polowania, Halisstra kluczyła między drzewami, przeskakując ośnieżone pnie drzew i kępy paproci, rozgarniając ramionami gałęzie, których igły kłuły jej skórę. Biegła za innymi i za nimi zagłębiła się na dno parowu. Przeszła płynący dołem szeroki strumień, rozbryzgując wodę i ślizgając się na oblodzonych kamieniach i zaraz potem wdrapywała się na przeciwny brzeg, starając się zachować równowagę podczas wspinaczki stromym zboczem z mieczem w jednej i rogiem w drugiej ręce.

Na górze zatrzymała się, niepewna, dokąd bieć. Przestała słyszeć pozostałe kapłanki w lesie przed sobą. Jedynym dźwiękiem były odgłosy wydawane przez Feliane wspinającą się zboczem za jej plecami. Potem usłyszała z prawej granie rogu.

- To Uluyara - sapnęła Feliane. - Znalazła go.

Halisstra nie pytała, co takiego znalazła wysoka kapłanka. Dysząc, pocąc się pomimo chłodu, zapuściła się głębiej w las, kierując w stronę, z której dochodziło granie rogu. Biegnąc, zauważyła z obrzydzeniem, że w przeciwieństwie do niej Feliane nie ma nawet przyspieszonego oddechu. Podobnie jak inne kapłanki Feliane była szybka i przyzwyczajona do biegania po śniegu. Halisstra, szlachcianka przywykła do życia w mieście, gdzie przechadzano się gładkimi ulicami i lewitowano z jednej alei na drugą, jeszcze nigdy nie musiała bieć i wspiąć się tak szybko i tak długo.

To musi być próba, o której mówiła Feliane, kiedy wyciągnęła mnie z jaskini, pomyślała Halisstra. Dlatego trzyma się z tyłu, obserwując każdy mój ruch.

Zdecydowana nie dać po sobie poznać, że jest zmęczona, świadoma, że może ją obserwować sama Eilistraee, Halisstra biegła przed siebie, ignorując ból, który ścisnął jej bok jak szczęki stonogi.

Księżyc dawał przynajmniej dość światła do biegania - Halisstrze, przyzwyczajonej do Podmroku, las wydawał się jaskrawo oświetlony. Ale drzewa miały grube pnie, a przerwy między nimi zarastały

zarośla i paprocie. Halisstra już dawno straciła z oczu wszystkie kapłanki oprócz Feliane. Kiedy róg Uluyary zagrał po raz drugi, tuż przed Halisstrą, jego bliskość zaskoczyła ją. Chwilę później przedarła się przez gęstwinę podejrzanie lepkich gałęzi i wypadła na skąpaną w księżycowym blasku polanę.

Zauważyła Uluyarę, która wciąż trzymała myśliwski róg przy ustach, ale nie widziała żadnej z pozostałych kapłanek. Nie słyszała ich też. Opuszczając róg, Uluyara wskazała przeciwny koniec polany, po czym wycofała się powoli między drzewa. Gałęzie zamknęły się za nią jak zasłona.

Halisstra popatrzyła we wskazanym kierunku, ale widziała tylko las.

Odwróciła się w stronę Feliane i zapytała:

- Co mam...

Urwała, odkrywając, że Feliane również zniknęła. Za plecami miała tylko szumiące na wietrze gałęzie drzew. Powiew znad polany, wiejący od strony wskazanej przez Uluyarę, niósł znajomy zapach piżma.

Obróciwszy się twarzą do przesieki, Halisstra uniosła miecz - w ostatniej chwili. Ku niej skradał się ogromny pająk, przynajmniej o połowę wyższy od niej. Jego szaroczarne cielsko stanowiło idealny kamuflaż w nakrapianym cętkami księżycowego światła lesie. W błyszczących czarnych ślepiach odbił się blask księżyca, gdy stwór stanął na tylnych odnóżach i rozwarł ociekające jadem szczęki.

Halisstra przez jedno uderzenie serca wpatrywała się niepewnie w pająka z drżącym mieczem w dłoni. Lata podporządkowania Lolth nakazywały jej rzucić broń na ziemię, ukorzyć się przed świętą istotą i oddać jej to, czego zażąda Lolth.

„Głodny pająk musi jeść” było jedną z pierwszych rzeczy, jakich nauczono ją po przyjęciu do nowicjatu w świątyni Lolth. „Oddaj mu się z radością, bo na końcu Lolth pożre nas wszystkich. Lepiej cierpieć męki ciała teraz niż narazić się później na gniew bogini”.

Lolth z pewnością ukarałaby kapłankę - zwłaszcza taką, która wzgardziła nią jak Halisstra - za tak poważne wykroczenie. Ale Lolth była martwa. A przynajmniej nie patrzyła.

Blask księżyca odbity w oczach pająka przypominał Halisstrze o czymś jeszcze: obserwowała ją Eilistraee. A przynajmniej było to możliwe. Halisstra uśmiechnęła się ponuro, gdy dotarło do niej, dlaczego Uluyara i Feliane zniknęły.

Pająk był jej próbą.

Gdy pająk rzucił się na nią, zamachnęła się mieczem z całej siły. Błyskając w świetle księżyca, miecz opisał idealny łuk, dokładnie na wysokości wylupiastych ślepi stwora. Ale zamiast wbić się w nie z wilgotnym mlaśnięciem, przeciął ze świstem powietrze i uderzył w ziemię. Pająk nagle zniknął. Wytracona z równowagi Halisstra poleciała do przodu. Zdołała wylądować na kolanach i podeprzeć się jedną ręką, z której wypuściła myśliwski róg. Chwilę później pająk znów się pojawił - dokładnie nad nią. Halisstra przewróciła się na plecy, zasłaniając ustawionym na sztorc mieczem, i pchnęła, mierząc w podbrzusze pająka. Tak jak za pierwszym razem stwór zniknął.

- Bogini dopomóż - jęknęła Halisstra. - Pająk fazowy.

Nie sposób było przewidzieć, gdzie się znowu pojawi, ale przynajmniej w tej chwili był bezpieczny na planie eterycznym.

Halisstra przetoczyła się szybko w bok po ośnieżonej ziemi, mając nadzieję, że wybór okaże się trafny i pająk przemknie w przeciwnym kierunku, przebiegając prosto przez nią swoimi eterycznymi odnóżami.

Miała szczęście. Pająk fazowy powrócił na plan materialny kilka kroków dalej, dzięki czemu zdążyła zerwać się na równe nogi. Potem znów ruszył na nią.

Halisstra stawiała mu czoła, wiedząc, że toczy walkę, której nie może wygrać, nawet magicznym mieczem Seyll. Wystarczy, że pająk weźmie ją na przetrzymanie, przenosząc się na plan eteryczny za każdym razem, gdy Halisstra zaatakuje, a potem odbiegnie pod osłoną niewidzialności, aby ukazać się chwilę później w zupełnie innym miejscu. Za którymś razem Halisstra wybierze źle i pająk znajdzie się za jej plecami. Niewidoczny, wstrzyknie jej śmiertelną truciznę i powoli wysysie z niej soki, pozostawiając suchą powłokę.

Było jednak coś, do czego mogła się uciec - magia bae'qeshel. Trzęsącym się lekko głosem zaczęła śpiewać. Pieśń powinna była zauroczyć pająka, przygwoździć zafascynowanego do ziemi, ale nic się nie wydarzyło. Pająk pojawił się, zaatakował, a potem znów zniknął, zmuszając Halisstrę do ciągłego obracania się i zastawiania mieczem. Przekląła pod nosem swój pech. Czy błędnie wymówiła któreś ze słów czy może pająki fazowe były odporne na tego typu zaklęcia?

Uchylając się po raz kolejny, pośliznęła się na ośnieżonej ziemi i upadła. Pająk nastąpił na jej miecz i Halisstra musiała przetoczyć się w bok, żeby uciec przed jego żuwaczkami. Kiedy pająk znów zniknął, skoczyła na równe nogi i poderwała miecz z ziemi. Ze zgrozą odkryła, że sztych klingi odłamał się, przez co broń nie nadawała już się już do pchnięć. Ale wciąż istniała nadzieja.

Pamiętając, jak za pomocą miecza Seyll wzmocniła zakłęcie, które straciło żądłaki na ziemię, szybko obróciła klingę i uniosła rękojeść do ust. Samo zakłęcie mogło nie wystarczyć do oszołomienia istoty tak wielkiej jak pająk fazowy, ale mogła przynajmniej spróbować. Jej palce odnalazły te same otwory co poprzednio i Halisstra dmuchnęła, mocno i długo, spodziewając się usłyszeć tę samą piskliwą nutę, ale nic się nie wydarzyło. Jedyńm dźwiękiem, jaki dobieła z zaimprovizowanego fletu, był mokry świst. Otwory musiało zatkać, brejowate błoto.

Pająk znów zaatakował i Halisstra odskoczyła ale tym razem jakoś niezdarnie. Z przerażeniem uświadomiła sobie, że jest zmęczona. Długi miecz wydawał się ciężki, jego rękojeść ślizgała się w spoconej dłoni. Gdy pająk znów się na nią rzucił, ledwo zdołała się przed nim uchylić. Żuwaczki potwora złapały i przytrzymały symbol Eilistraee, szarpiąc dyskiem i zaciskając łańcuch wokół talii Halistry. Potem pająk znów przeskoczył na plan eteryczny, a ona zatoczyła się w tył.

Gdyby tylko dysponowała nadal magią objawień, mogłaby spalić stwora kolumną ognia albo utrzymać na dystans murem wiatru. Ale zakłęcia te, podobnie jak uroki, które próbowała już rzucać, pewnie też na nic by się nie zdały. Nie wierzyła, że Lolth obdarzy jedną ze swoich kapłanek mocą zabicia jednego z jej ukochanych, pajączych dzieci.

Jednak Eilistraee zabiłaby pająka bez najmniejszych skrupułów. I jeśli bogini rzeczywiście przyglądała się bitwie tak samo jak robiły to z pewnością Uluyara i Feliane - mogła obdarzyć swoją świeżo upieczoną czcicielkę magią potrzebną jej do uratowania życia.

Pochłonięta tym odkryciem, tą nadzieją, Halisstra prawie przeoczyła pająka, który tym razem pojawił się na gałęzi nad nią i opuszczał się bezszelestnie w dół w linii prostej nad jej głową. Ostrzegło ją tylko leciutkie skrzypnięcie gałęzi.

W ostatniej chwili rzuciła się w bok. Przeczółgała się po ziemi na czworakach, ciągnąc za sobą miecz, i znów poderwała się na nogi.

Pająk, wyczuwając, że jest już zmęczona, niespiesznie szedł przez polanę w jej stronę. Na ziemię pomiędzy jego odnóżami ściekał jad, gdy zamykał i otwierał żuwaczki, nie mogąc się doczekać rychłego posiłku.

Wiedząc, że może to być jej jedyna szansa, Halisstra chwyciła oburącz rękojeść miecza Seyll i uniosła go nad głowę nie do zamachu, ale żeby wymierzyć nim w księżyc.

- Eilistraee, usłysz mnie! - zawołała. - Od tej nocy wyrzekam się Lolth i przysięgam pokornie ci służyć. Jeśli uznasz mnie za godną, zaklinam cię. Czy przyjmiesz mnie? Jeśli tak, daj mi magię, która pozwoli mi udowodnić prawdziwość moich słów poprzez zabicie tego pomiotu Lolth. Daj mi moc rzucania czarów w twoim imieniu i ku twej wiecznej chwale!

Jej słowa brzmiały z mocą i czystością pieśni współgrającej idealnie z jej sercem.

I otrzymała odpowiedź.

Zakłęcie, która zesłała jej Eilistraee, wyglądało jak płomienny słup Lolth, tyle że pionowa kolumna boskiej energii była srebrzyście biała i wydawała się spływać z samego księżycyca. Spadła na pająka w chwili, w której ten znajdował się zaledwie o krok od Halistry, otaczając go słupem oślepiająco jasnego światła, które nie wydawało najmniejszego dźwięku. W jednej chwili pająk stanął przed Halistrą dęba, młóćąc bezsilnie odnóżami magiczny ogień, który otoczył go migoczącymi białymi płomieniami, a w następnej leżał nieruchomo na ziemi, wybielony światłem księżycyca na kolor kości.

Wytrzeszczając oczy ze zdumienia, Halisstra trąciła martwego stwora ułamanym czubkiem miecza. Pająk, spopieleny błyskawicznie zimnym księżycowym ogniem, rozpadł się na kawałki, które rozkruszyły się, pozostawiając na ziemi warstwę popiołu układającą się w zarys jego sylwetki. Chwilę później rozwiął ją wiatr.

Wyczuwając, że ktoś się jej przygląda, Halisstra podniosła wzrok, spodziewając się ujrzeć Uluyarę albo Feliane. Zobaczyła jednak Rylda, który wpatrywał się w nią z przeciwnej strony polany. W obu dłoniach trzymał wielki miecz, ale sztych klingi był oparty o ziemię przed nim, jak gdyby fechtmistrz zapomniał, jak go używać. Oczy miał wytrzeszczone, usta otwarte i dyszał ciężko. Musiał biec. Po chwili odzyskał zdolność mówienia.

- Haliststro - wyszeptał. - Co ty zrobiłaś? Nie będziesz już mogła wrócić. Nigdy.

Halisstra spoglądała na Rylda przez polanę, na której przed chwilą zginął pająk, a jej sercem targały sprzeczne uczucia. Czuła irytację wywołaną faktem, że nie posłuchał jej i wrócił za nią, ale zarazem radość, że zależało mu na niej na tyle, aby to zrobić.

W końcu westchnęła i powiedziała:

- To prawda, Ryldzie, ale ty możesz wrócić. Wciąż masz wybór, wybór pomiędzy Podmrokiem i Lolth która najwyraźniej jest równie martwa jak ten pająk, a Eilistraee, która uśmiecha się do nas z góry. Co wybierzesz?

Ryld stał przez dłuższą chwilę w milczeniu, a potem uniósł wielki miecz i schował go do pochwy na plecach.

- Wybieram ciebie - powiedział, wpatrując się w Halisstrę. - Jeśli mnie zechcesz.

Zanim Halisstra zdążyła odpowiedzieć, z lasu wyłoniły się Uluyara i Feliane. Feliane uśmiechała się do Halisstry, a na jej twarzy malowała się niewymowna radość, ale Uluyara przyglądała się bacznie Ryldowi, jak gdyby obawiała się, że zaraz dobiedzie miecza.

- Jeśli Eilistraee cię zechce, będziesz wśród nas mile widzianym gościem - odezwała się Uluyara. - Jeśli nie, będziesz musiał odejść. - Na jej wargach igrał krzywy uśmiech. - Tym razem na zawsze.

Ryld kiwnął głową.

- Zrozumiałem.

Uluyara zwróciła się do Halisstry.

- Chodź, kapłanko - powiedziała. - Musisz się jeszcze wiele nauczyć. I wiele zrobić. To dopiero pierwsza z prób, jakie wyznaczyła ci bogini.

Halisstra ukloniła się przed swoją nową mistrzynią. Od tego wszystkiego kręciło jej się w głowie. Opuściła Ched Nasad jako bezdomna uciekiniarka w nadziei, że uda jej się dowiedzieć, czy jej bogini jest żywa czy martwa, tylko po to, by jej nadzieje rozbiły się o czarny kamienny monolit na drzwiach świątyni Lolth. Ale w obcych lasach Świata Ponad odnalazła coś, czego zupełnie się nie spodziewała: nowy dom i nową boginię. Halisstra wiedziała, że z wdzięczności będzie od tej nocy służyć wiernie Eilistraee. O cokolwiek bogini poprosi, Halisstra spełni jej żądanie.

Podniosła się z ukłonu i spojrzała w milczeniu na Rylda. Czy zrobi to samo? Czy też wkroczenie w światło Eilistraee okaże się dla niego zbyt ciężką próbą, stojącą w zbyt jaskrawej sprzeczności z zasadami, które zawsze wyznawał?

Tylko czas pokaże.

ROZDZIAŁ 20

Quenthel wpatrywała się z zadumą w pochylone w unizonym ukłonie plecy Danifae. Jeśli niższa kapłanka mówiła prawdę, Pharaun wreszcie zdecydował się na radykalne posunięcie. Po niekończącej się serii drobnych niesubordynacji ten irytujący mag wreszcie zdobył się na odwagę zadania zabójczego ciosu. Tyle że nie miał dość siły, aby zabić Quenthel samemu. Zamiast tego pozwolił ją uśmiercić abolethowi. W ten sposób będzie mógł z czystym sumieniem powiadomić matkę opiekunkę, że Quenthel zginęła z ręki innej, wrogiej rasy, usiłując wypełnić powierzoną jej misję.

Misję, którą wyraźnie chciał uczynić swoją, pozbawiając Quenthel należnej jej chwały.

Quenthel pogłaskała kręte ciała żmij, które zdrząły lekko, odczytując jej myśli.

- Mówi prawdę, - stwierdził Yngoth z wzrokiem wbitym w czubek pochylonej głowy Danifae. - Nie widzę powodów, dla których miałyby zmyślić podobną historię.

Ani ja, odparła w myślach Quenthel.

- Danifae jest twoją wierną służką, pani! - powiedziała K'Sothra, wijąc się z rozkoszy.

Quenthel westchnęła i pogłaskała łebek mniejszej żmii. K'Sothra była ładna, ale niezbyt bystra. Brała wszystko za dobrą monetę, zupełnie nie dostrzegając subtelnych niuansów oszustwa, które zwykle kryły się tuż pod powierzchnią tak jawnej zdrady. Ale tym razem naiwna żmija mogła mieć rację. Motywy kierujące Danifae wydawały się czyste jak kryształ kwarcu. Niższa rangą kapłanka mogła zyskać wszystko, zdradzając Quenthel plany Pharauna i nic w ten sposób nie traciła. Kiedy Lolth się przebudzi, Danifae bez wątpienia spróbuje zdobyć prominentną pozycję w Arach-Tinilith.

Quenthel przełożyła bicz do lewej dłoni, uśmiechając się, kiedy Danifae zdrzała, gdy żmije przesunęły się nad jej głową, i zwinęła palce prawej dłoni. Lekko przyłożyła ich czubki do pochylonej głowy branki.

- Zostaniesz nagrodzona - powiedziała. - A teraz odejdz. Wróc do Pharauna, zanim zacznie cię podejrzewać.

Danifae wstała z uśmiechem i odwróciła się do wyjścia z wąskiej jaskini. Jeggred, który przez cały czas w nim siedział, obserwując tunel prowadzący do pieczary, wysunął pazury bojowych ramion i zerknął przez ramię na Quenthel. Potrząsnęła lekko głową i Jeggred przykleił się do ściany, pozwalając Danifae przejść.

- Co z magiem? - warknął draegloth.

Quenthel zauważyła, że zjeżyły mu się włoski na karku. Przysłuchiwał się uważnie wszystkiemu, co mówiła Danifae, i był bliski jednego ze swoich ataków wściekłości. Wystarczyłoby jedno słowo Quenthel, żeby popędził tunelem do miejsca przy wodospadzie, gdzie Pharaun studiował swoje księgi.

- Sama się nim zajmę - powiedziała Quenthel. - Później.

Wciąż powarkując cicho, Jeggred przysiadł na ziemi i objął kolana mniejszymi ramionami. Czerwone ślepie draeglotha wbiły się w mrok, włoski na karku powoli się wygładziły.

Quenthel siedziała przez chwilę w milczeniu, zastanawiając się. Jaskinia, którą wybrała do Zadumy, była nie większa niż pokój służącej, ale miała wysoki strop kończący się wąską rozpadliną. Sącząca się z niej woda spływała po jednej ze ścian, tworząc kałużę u stóp kapłanki. Wypływała strumyczkiem przez otwór, w którym przysiadł Jeggred i wpadała do rzeki, której szum dobiegał ją z tunelu obok. Na wilgotnej ścianie obok niej rosła kępa okrągłych fluorescencyjnych grzybów, rzucających blade zielonkawe światło. Quenthel wyciągnęła rękę, wydłubała jeden z nich paznokciem, uwalniając skrzące się zarodniki, i spojrzała na żarzący się koniuszek palca.

Choć Pharaun był użyteczny, jego ostatnia zdrada przeważała szalę, czyniąc go zagrożeniem - zagrożeniem, które należało wyeliminować. Ale zabicie go nie było wcale takim prostym rozwiązaniem. Pharaun był potężnym czarodziejem i jednym z kluczowych rozgrywających w Akademii. Gdyby wydało się, że go zabiła, naraziłaby się na gniew patrona Pharauna, swojego brata Grompha. Siostra Quenthel, Triel, matka opiekunka domu Baenre, nie byłaby zachwycona koniecznością dokonania wyboru pomiędzy dwójką rodzeństwa, zwłaszcza że wszyscy byli osłabieni obojętnością Lolth. Własna matka opiekunka Pharauna, Miz'ri Mizzrym, nie znosiła maga, ale, bądź co bądź, był on wciąż mistrzem Sorcere i ważnym elementem skromnych zasobów domu Mizzrym - a dom Mizzrym był bliskim sojusznikiem pierwszego domu. Inni mistrzowie i czarodzieje z Sorcere też przyjęliby z niezadowolaniem utratę towarzysza zwłaszcza na tyle ważnego, by zostać członkiem ekspedycji. Zabicie Pharauna będzie rzeczywiście trudne, musiał jednak istnieć jakiś sposób...

Quenthel przemyślała to, co usłyszała od Danifae. Według branki aboleth miał wyjawić położenie okrętu chaosu dopiero po pożarciu potężnej kapłanki. Pharaun był widocznie gotów zaryzykować, że Oothoon nie zauważy, iż zaklęcia Quenthel są już bezużyteczne, i poda mu położenie statku, zanim odkryje oszustwo. A matriarchini abolethów najwyraźniej mu uwierzyła. Gdyby było inaczej, pożarłaby go natychmiast, aby zdobyć zaklęcia, które mag przechowywał we własnym umyśle.

- Powinnaś pobić go jego własną bronią, - podsunął Yngoth. - Zaproponuj Pharauna Oothoon w zamian za okręt.

- Łatwo powiedzieć, - odparła Quenthel. - Ale trudniej wykonać. Musiałbym spotkać się z Oothoon osobiście i przekonać ją, że nie warto mnie pożerać.

- Powiedz prawdę, - powiedział Zinda. - Twoje zaklęcia są bezużyteczne. Lolth umilkła, być może na zawsze. Może nie żyje.

- Nie! - krzyknęła Quenthel. - Lolth żyje!

Widząc ostre spojrzenie, jakie rzucił jej Jeggred, zamknęła usta.

Musi żyć, podjęła w milczeniu. Gdybym nie wierzyła, że wciąż żyje...

- No co? - warknął Yngoth, wyrывая Quenthel z rozpacz. - Poddalabyś się? Wybrałabyś śmierć? Jaki bóg przyjąłby twoją duszę?

Gniew sprawił, że odzyskała równowagę - nie znosiła, kiedy żmije zaglądały w jej najskrytsze lęki - i podzieliła się z nimi swoimi wątpliwościami.

- Nie. Nigdy. Ale jeśli ujawnię, co stało się Lolth, będę się targować ze słabszej pozycji. Matriarchini będzie wiedziała, że jestem bezsilna. Może nawet postanowi zaatakować drowy, tak jak zrobiły to inne rasy.

Hsiv włączył się do rozmowy z rozbawieniem w głosie. Pierwszy z demonów uwięzionych w jej biczu często pomagał jej skierować myśli na właściwy tor.

- Abolethy są wodną rasą, przypomniał jej. Nie mogą opuścić swojego jeziora.

- Wiem o tym, - odparła Quenthel, nie dbając o to, że żmije przejrzą jej kłamstwo. - Ale mogą powiedzieć o milczeniu Lolth innym rasom. Jeśli wieści o naszej słabości się rozniosą, będziemy skazani. Ched Nasad upadło, a Pharaun nie jest już w stanie nawiązać kontaktu z Gromphem. Z tego co wiemy, Menzoberranzan...

- Menzoberranzan leży daleko od jeziora Thoroot, - przypomniał jej łagodnie Hsiv. - A to rzadko uczęszczany region. Każdy, komu abolethy mogłyby zdradzić naszą tajemnicę, zaatakowałby jakieś bliższe drowie miasto.

Quenthel prawie go nie słyszała. Wszystkie obawy i wątpliwości, które tłumiała w sobie, odkąd drużyna uciekła z Ched Nasad, wybuchły nagle jak pająki wyskakujące z kokonu.

- Kiedy właśnie o to chodzi! - zawołała. - Kto wie, ile naszych miast zostało już zniszczonych albo ile jeszcze zostanie zniszczonych, zanim kryzys dobiegnie końca? Muszę odnaleźć Lolth, żeby powiedzieć jej, co się dzieje. Triel i pozostałe matki opiekunki zdały się na mnie, a ja nie jestem pewna... nie wiem jak...

- Zostaw to nam, - zasyczał Yngoth.

Quenthel nie słuchała.

- Los wszystkich drowich miast w Podmroku zależy ode mnie, - jęknęła. - Jest mi już wystarczająco ciężko bez Pharauna i jego głupich, małostkowych gier. Czy on nie zdaje sobie sprawy, o co gramy? Może dojść do zagłady całej naszej rasy!

- To prawda, - zgodził się Zinda.

Yngoth szybko uciszył syknieniem większą żmiję.

- Musisz się skupić na bieżących sprawach, - przypomniał Quenthel. - Musisz się dowiedzieć od Oothoon, gdzie jest okręt co będzie prostsze niż ci się wydaje. Wszystkie pionki zostały już rozstawione.

- Naprawdę? - zapytała Quenthel, zaskoczona jego słowami.

Yngoth to wysuwał, to chował język w węzowym odpowiedniku uśmiechu.

- Aby dowiedzieć się, gdzie jest okręt chaosu, Pharaun musi spotkać się z Oothoon po raz drugi. Jeśli będzie myślał, że zostałaś pożarta, jego czujność zostanie uśpiona. I to może go zgubić.

Quenthel, zmarszczyła brwi i przesłała:

- Nie rozumiem.

- Posłuchaj, a zrozumiesz, - ciągnął Yngoth. - Powiesz Oothoon, że Lolth nie żyje...

- Oothoon mi nie uwierzy, - przerwała Quenthel. - Sama w to nie wierzę.

- Twój pierścień uniemożliwi Oothoon słuchanie twoich myśli i wykrycie twoich kłamstw, - przypomniał jej Hsiv. - Wtedy, kiedy uzna, że nie warto cię pożerać, zaproponujesz jej pożarcie Pharauna. Powiesz jej, że jeśli poda ci położenie okrętu, przekonasz Pharauna, że zostałaś pożarta. Oszukany mag ochoczo popłynie w objęcia śmierci.

- Aboleth go pożre! - krzyknęła K'Sothra.

- I pozbędziesz się wreszcie Pharauna, - dodał Zinda. - W taki sposób, że nawet Triel nie będzie ci mogła nic zarzucić.

- Jak przekonam Pharauna, że jestem martwa? - zapytała Quenthel.

- Nie musisz, - odparł Yngoth. Obróciwszy się w stronę wylotu jaskini, wbił wzrok w Jeggreda. - On to zrobi. Zabierz ze sobą Jeggreda i nie mów mu nic o swoich planach. W ten sposób jego żal będzie jeszcze bardziej przekonujący. Dopilnuj, żeby wbił sobie do głowy, że w wypadku twojej śmierci nie wolno mu się mścić na abolethu. Musi przedostać się z powrotem do Pharauna i opowiedzieć mu, co się stało, tak aby pozostali zanieśli wieść o twojej śmierci do Menzoberranzan. Powiedz Jeggredowi, że musi mu się udać - za wszelką cenę inaczej życie jego pani pójdzie na marne.

Jak gdyby wyczuwając, że o nim mowa, Jeggred poruszył się niespokojnie i zerknął przez ramię. Zmrużył oczy, ale widząc ostry gest Quenthel znów zajął się obserwacją tunelu.

Tymczasem Quenthel z ulgą przyjęła rozwiązanie swojego dylematu - rozwiązanie, które wreszcie położy kres nieznośnym wybrykom Pharauna.

Wpatrując się niecierpliwie w Yngotha, zapytała:

- Jak mam uniknąć pożarcia przez aboletha?

Waż obnażył kły w groźnym uśmiechu.

- Wciąż masz swoją różdżkę, - odparł Yngoth.

Quenthel kiwnęła głową.

- I tę butelkę wina grzybowego, którą zachowałam.

- Tak, - odpowiedziała Quenthel. - Ale jak, na Otchłań, mam...

- Posłuchaj, - powtórzył Yngoth. - Wytłumaczę ci...

Quenthel chłonęła każde jego słowo. Kiedy Yngoth skończył, wargi kapłanki wykrzywił dziki uśmiech.

Może mi się udać, pomyślała do węża, wraz z myślą przesyłając falę podniecenia. Potem, bardziej ponuro, dodała: Musi się udać.

Pozostałe żmije, które milczały z szacunkiem, gdy Yngoth przedstawiał swój plan, teraz wily się niecierpliwie, nie mogąc się już doczekać wprowadzenia go w życie. Nawet Qorra, żmija, która prawie nigdy się nie odzywała, z trudnością panowała nad sobą.

- Ach! - powiedziała. - To dopiero będzie ubaw!

* * *

Jeggred czekał za progiem sali audiencyjnej, w której Quenthel rozmawiała z matriarchinią abolethów. Każdy mięsień jego ciała był napięty. Quenthel była tam sama, z dwoma abolethami. Pozwoliła jednemu ze stworów - temu, który nie był Oothoon zająć pozycję za swoimi plecami. Dlaczego?

Jeggredowi nie podobał się rozdęty rybi lud. Nie można mu było ufać. Choć nozdrza miał pełne wody, węszył zdradę. Spod zmrużonych powiek zerknął na trzeciego aboletha, któremu matriarchini poleciła wyjść, gdy Quenthel kazała draeglothowi zaczekać w korytarzu. Jeggreda aż świerbiło, żeby rozedrzeć, na strzępy gumowate ciało stwora i sprawdzić, czy w jego żyłach płynie czerwona krew. Wyobrażał to sobie... krew tworzącą w wodzie obłok. Byłby to prawdziwie uderzający do głowy posiłek - wdychać krew z każdym oddechem!

Jedna z długich macek pilnującego go aboletha podpłynęła do jego ramienia. Jeggred zamachnął się, wyrrywając w niej pazurami bruzdę.

Mrugając trojgiem oczu, aboleth wydał z siebie bulgoczący okrzyk i cofnął mackę. Nie zaatakował.

Słyszając w uszach dudnienie krwi, Jeggred gotował się do skoku, chcąc zadać mu śmierć. Ale kątem oka dostrzegł, że Quenthel odwróciła się w jego stronę. Coś do niego mówiła, gestykulując wściekle.

- Panuj nad sobą, - rozkazała. - Jesteśmy tu gośćmi.

Gdyby powiedział to mężczyzna, Jeggred warknąłby wyzywająco - a potem rozerwał go na strzępy. Zamiast tego uklonił się swojej pani.

- Jak rozkażesz, mistrzyni.

Migając, zerknął na ranionego aboletha. Mylił się co jego krwi. Była zielona i nie płynęła swobodnie, tylko sączyła się jak żywica.

Zadowolony, że głupi stwór nie ma zamiaru mu oddać, Jeggred skupił się z powrotem na Quenthel. Potrafił odczytać emocje kapłanki z jej postawy. To usztywnienie ramion oznaczało napięcie. A to ukradkowe zbliżenie dłoni do różdżki ostrożność - może nawet strach.

Jednak zmije przy biczu Quenthel unosiły się leniwie z prądem, całkowicie rozluźnione. One, nawet bardziej niż Jeggred, powinny były wyczuwać jej rosnące napięcie. Ale głupie stwory zapomniały o czujności. Quenthel popełniała błąd, zdając się do tego stopnia na spętane zaklęcie impy, które były niewiele lepsze od niewolników. Zamiast zaufać własnemu sercu, radziła się ich w każdej kwestii, co czyniło ją słabą.

Draeglothowi nie spodobała się ta myśl. Nie był pewien, co zrobić z podobnym pomysłem, pomysłem, że mistrzyni Arach-Tinilith, jego ciotka, siostra jego matki - matki opiekunki pierwszego domu Menzoberranzan, jest... słaba? Odepchnął tę myśl od siebie, ale szybko zastąpił ją narastający niepokój.

W jego gardle wezbrał niski pomruk - ciche gulgotanie wody - gdy przygotowywał się do skoku. Coś się zaraz wydarzy. Wparł się stopą w ścianę za plecami, żeby jednym odepchnięciem znaleźć się w komnacie i wystawił pazury.

Quenthel dobyte różdżki, obróciła się szybkim ruchem i wymierzyła z niej w aboletha za plecami. Z koniuszka różdżki wyleciała lepka grudka, która mknąc przez wodę robiła się coraz większa.

Jeggred chlasnął pazurami jednej łapy aboletha obok siebie i jednocześnie odepchnął się kopniakiem od ściany, ale odkrył, że głowa i ramiona uwięzły mu w jakiejś lepkiej masie. Quenthel chybiła, gdyż aboleth umknął szybko w bok. Klejąca gruda uderzyła w drzwi i kompletnie zablokowała przejście.

Rycząc z wściekłości, Jeggred obrócił się i zapał obiema nogami o ściany po obu stronach otworu. Napinając nieśnie ud i łydek, które prawie pękły z wysiłku, uwolnił głowę i ramiona. Lekceważąc ból wrywanych z czaszki włosów, smagnął lepką barierą bojowym ramieniem. Uwięzło.

A tymczasem w sali audiencyjnej Quenthel wycelowała jeszcze raz. Z różdżki wystrzeliła następna gruda, która trafiła strażnika prosto w paszczę, gdy jego zęby miały się już zamknąć na kapłance. Gulgocząc, aboleth spróbował wypluć lepką kulę, ale na próżno.

Aboleth, który został na korytarzu z Jeggredem, początkowo zamarł w bezruchu, ale zaraz potem zaatakował. Uniósł się nad draeglothem, otwierając paszczę, żeby go ugryźć. Jeggred przejechał mu pazurami wolnej łapy przez podbrzusze, pozostawiając głębokie bruzdy. Z ran wypłynęła zielona krew - dużo krwi - brukając wodę, którą oddychał Jeggred. Smakowała ohydnie, jak cuchnące wodorosty zupełnie inaczej niż sobie wyobrażał.

Aboleth odwrócił się i dał drapak, pomagając sobie machnięciami rybiego ogona. Jeggred warknął, wiedząc, że zapewne popłynął ściągając posiłki.

Wciąż starał się rozerwać lepką grudę blokującą wejście do sali audiencyjnej. Za każdym razem przeklejała mu się do niej łapa, ale i udawało mu się przerwać kilka pasm. Zwęszywszy prawdziwą krew, zaczął dyszeć, ale zaraz potem uświadomił sobie, że krew należy do niego. Łapę miał obdartą ze skóry do żywego mięsa.

Wewnątrz sali audiencyjnej Quenthel mierzyła w Oothoon z różdżki. Matriarchini abolethów wpatrywała się w nią przez chwilę, a potem wypadła z niszy. Z rozwartą paszczą pomknęła przez pomieszczenie.

Z jakiegoś powodu, którego Jeggred nie był w stanie zrozumieć, Quenthel miała problemy z aktywowaniem swojej różdżki. Dopiero w ostatniej chwili zdołała przywołać jej magię. W stronę Oothoon wystrzeliła lepka gruda - i chybiła. Gdy Quenthel z przerażeniem rzuciła się do tyłu, matriarchini dopadła ją i połknęła wysoką kapłankę w całości.

Przez chwilę Jeggred był w stanie tylko przyglądać się temu ze zgrozą. Jego pani zniknęła. Została pożarta. Zabita.

Ogarnęła go furia. Zaczął szarpać pętającą go lepką masę, nie zważając na obdzierane ze skóry

dłonie. Wciągając i wydmuchując wodę z płuc - a może wyrzygując ją i połykając z powrotem - rzucał się jak ryba w sieci.

Oothoon przez cały czas wpatrywała się w niego szyderczo, jedną macką gładząc wybrzuszony żołądek.

Lepka masa blokująca przejście darła się, ale nie chciała ustąpić. Szarpiąc łbem do tyłu i wrywając jeszcze więcej włosów przyklejonych do klejącej grudy, Jeggred zawył z wściekłości i smutku, ale w końcu odzyskał zmysły.

Pani była mądra, pomyślał. Przewidziała to.

I wydała mu rozkaz - ostateczny rozkaz, który musiał wykonać szybko, zanim ranny aboleth wróci z posiłkami.

Odrywając się od lepkiego przejścia, Jeggred popłynął najszybciej jak potrafił w dół korytarza, szukając drogi ucieczki.

ROZDZIAŁ 21

Pharaun słuchał obojętnie, gdy zdyszany Jeggred opowiadał swoją historię. Draegloth ociekał wodą i wciąż przestawiał się na oddychanie powietrzem. Wciągał w płuca wielkie, bulgoczące hausty, które można było uznać - gdyby nie wydawała ich istota spłodzona przez demona - za łkanie.

- Została pożarta - powiedział Jeggred ze zwieszoną nisko głową i obwisłymi bezwładnie ramionami. - Mistrzynie Quenthel nie żyje.

Pharaun spojrział zimno na draeglotha.

- Dzięki tobie.

W normalnych okolicznościach Jeggred rzuciłby się na maga, żądny jego krwi, ale teraz stał cicho jak rothe prowadzony na rzeź.

Danifae, stojąca w tunelu obok rzeki, spojrziała na Pharauna.

- Czy to w ogóle możliwe? - zapytała. - Nawet bez swoich zaklęć mistrzyni Quenthel powinna była pokonać aboletha. Sam jej pancerz i zaklęcia powinny ochronić ją...

- Powiedział, że połknął ją w całości - wtrącił Valas. - Nie zdążyła.

Słyszając brutalne słowa najemnika, Jeggred zwiesił ramiona jeszcze niżej. Ukucnąwszy, objął kolana drobniejszymi rękami i wbił pusty wzrok w rzekę.

Pharaun kiwnął głową. Słuchając opowieści Jeggreda o tym, co wydarzyło się w mieście abolethów, robił się coraz bardziej pewny, że draegloth naprawdę uważa swoją panią za martwą.

Danifae dotknęła lekko jego ramienia i zapytała:

- Co mamy teraz robić, mistrzu Pharaunie? Teraz ty dowodzisz - ty podejmujesz decyzję.

Pharaun zauważył, że mówiąc to, zerknęła na Valasa, jak gdyby sprawdzała, czy zwiadowca nie zakwestionuje dowództwa maga.

Valas, który też to zauważył, chrząknął, a potem wzruszył ramionami.

- Tak - powiedział, patrząc Pharaunowi w oczy. - Co teraz? Szukamy dalej okrętu chaosu, czy wracamy do Menzoberranzan?

Pharaun odpowiedział natychmiast.

- Wciąż obowiązują nas rozkazy matki opiekunki - odparł szybko - a mnie rozkazy arcymaga Menzoberranzan. Dopóki nie otrzymamy innych, kontynuujemy naszą wyprawę, aby dowiedzieć się, co przytrafiło się Lolth. A to oznacza odszukanie okrętu.

Danifae spojrziała mu w oczy i zapytała:

- Wszyscy?

Pharaun wbił w nią wzrok.

- Skoro nie dotrzymałaś swojej części umowy - powiedział powoli, obserwując jej reakcję - dlaczego miałbym dotrzymać mojej?

Oczy Danifae rozbłysły, branka straciła panowanie nad sobą.

- Obiecałeś! - warknęła.

Jeggred, wyczuwając zaistniałe nagle napięcie, podniósł oczy i mruknął cicho. Valas wodził wzrokiem od Pharauna do Danifae.

- Co obiecałeś? - zapytał najemnik.

Pharaun zignorował jego pytanie.

- Ty też coś obiecałaś - przypomniał Danifae ściszoneg głosem. Poglądził czytana wcześniej księgę czarów. - Kiedy wysłiznęłaś się, żeby pomówić z Quenthel, naprawdę myślałaś, że nie będę się wam przysłuchiwał?

Danifae zwinęła w pięści trzymane wzdłuż boków dłonie. Wyglądała, jakby miała zaraz tupnąć nogą i się odwrócić, ale po chwili rozluźniła palce. Wpatrywała się w niego twardo, jak gdyby usiłując odgadnąć jego myśli, a potem odrzuciła długie białe włosy na plecy i zrobiła nadąsaną minę.

- Od samego początku planowałam cię zdradzić - powiedziała. - Wiedziałaś, że dzięki temu Quenthel poczuje się pewniej. Nie spotkałaby się z Oothoon, gdybym...

Pharaun przerwał jej chrząknięciem. Wskazał głową Jeggreda, który sprężył się do skoku.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - warknął.

- Nic - skłamała gładko Danifae, uśmiechając się uwodzicielsko do draeglotha. - Pharaun próbował skłonić Oothoon, żeby powiedziała mu, gdzie jest statek chaosu, ale niczego się nie dowiedział. Wiedział, że Quenthel odniesie sukces tam, gdzie spotkała go porażka, więc był zazdrosny. Zamierzał

zdyskredytować swoją panią - powiedzieć waszej matce opiekunce, kiedy znów nawiąże kontakt z Menzoberranzan, że to on dowiedział się, gdzie jest statek, a nie Quenthel.

Jeggred zastanawiał się chwilę. Potem obnażył zęby w gniewnym grymasie.

- To byłoby kłamstwo - warknął, pojmując wreszcie. - Pharaun przedstawiłby panią w złym świetle.

Pharaun machnął lekceważąco ręką, aby ukryć gest aktywujący ochronne zaklęcie, jednocześnie szepcząc pod nosem inkantacją.

- Po co zaraz wpadać w złość - powiedział do Jeggreda. - To tylko... polityka. Zrobiłbyś to samo na moim miejscu. Jak każdy drow.

Jeggred, którego nie udało mu się wciąż udobruchać, warknął i wyrzucił go w pierś łapami bojowymi, ale zrobił to bez przekonania i nie wystawił pazurów. Ochronne zaklęcie rzucone przez Pharauna zamigotało słabo, z łatwością wchłaniając siłę uderzenia. Najgorszy był cuchnący oddech draeglotha, który dysząc, przez dłuższą chwilę wpatrywał się Pharaunowi w oczy, aby zmusić go do spuszczenia wzroku. Potem opadł z powrotem na cztery łapy i odwrócił się tyłem, obrażony.

Pharaun zauważył Valasa, który bezszelestnie znalazł się za plecami Jeggreda i właśnie chował kukri do pochwy. Czarodziej uniósł brew, po czym podziękował najemnikowi skinieniem głowy. Nie widział, ani nie słyszał, jak Valas dobywa bliźniaczych sztyletów, ale był zadowolony, że zwiadowca Bregan D'aerthe postanowił poprzeć jego, a nie Jeggreda.

- Co do propozycji, którą ci złożyłem - podjął Pharaun, zwracając się do Danifae - to jest ona wciąż aktualna. Chodzi tylko o to, że... nie powinnaś nas opuszczać w tej chwili. Ponieważ jest nas mniej, możesz mi być potrzebna.

Danifae stanęła z rękami na biodrach, w pozie kuszącej i wyzywającej zarazem.

Nie marnuje czasu, pomyślał Pharaun.

- Pozostaje pytanie - powiedziała - co teraz zrobimy?

- Spróbujemy wydobyć z Oothoon potrzebne nam informacje - odparł Pharaun, pochylając się, żeby włożyć księgę zaklęć do plecaka. - Albo raczej ja spróbuję. Wracam do Zanhoriloch. Tym razem sam.

- Oszalałeś? - zapytał Valas, kręcąc głową. - Oothoon połknie cię tak jak Quenthel. Co wtedy zrobimy?

Pharaun wzruszył ramionami.

- Wszystko, na co będziecie mieli ochotę. - Mrugnął do Danifae i dodał: - Co oznacza, że będziesz musiała pójść tam... dokąd zechcesz. Może twoja pani wróci po ciebie, a może nasz męzny najemnik cię odprowadzi. - Roześmiał się i pogłaskał plecak. - Nie martw się. Przygotowałem dla aboletha magiczną niespodziankę. Moje wspomnienia nie staną się własnością Oothoon.

Danifae wydeła na pokaz usteczka.

- Lepiej, żebyś miał rację.

* * *

Pharaun nie zwlekając przystąpił do przygotowań. Wciągnął na jedną dłoń skórzaną rękawicę, którą miał rzucić czar zaraz po przybyciu do Zanhoriloch, i upewnił się, że ma pod ręką wszystkie różdżki. Potem rzucił szybko dwa zaklęcia ochronne. Pierwsze miało ochronić go przed wszelkimi próbami opanowania jego umysłu przez aboletha. Drugie stworzyło osiem iluzji jego postaci, które powtarzały każdy jego ruch.

Dziewięciu Pharaunów kiwnęło głową na pożegnanie i uśmiechnęło się do salutującego im Valasa. Drugi od lewej prawdziwy Pharaun - rzucił zaklęcie umożliwiające oddychanie pod wodą. Potem wszedł do rzeki i gdy tylko zimna woda zamknęła mu się nad głową, wymówił słowo teleportujące go do sali audiencyjnej Oothoon.

Jego przybycie było dla matriarchini całkowitym zaskoczeniem. Oothoon odpoczywała w swojej niszy, podziwiając czarną perłę trzymaną koniuszkiem macki. Gdy Pharaun i jego ośmiu sobowtórów zmaterializowali się w komnacie, przeraziła się, a potem zacisnęła mackę wokół perły, przyciągając do siebie cenny kamień.

Drugi aboleth, pilnujący wejścia, znajdował się tuż za drzwiami w spiralnym korytarzu. Ze zdumieniem zamrugał trojgiem oczu, widząc dziewięciu drowów, którzy pojawili się zniemacka w sali audiencyjnej, ale zareagował z szybkością wytrawnego żołnierza. Potężnym machnięciem ogona odbił się i wpadł do komnaty. Jeden z iluzorycznych Pharaunów zniknął w rozbłysku magicznej energii, gdy aboleth rozszarpał go z szybkością i dzikością rekina.

Gdy strażnik szykował się do następnego ataku, Pharaun uniósł urękawiczoną dłoń i zacisnął ją, szybko rzucając drugą dłonią niemą ewokację. W wodzie pojawiła się ogromna dłoń o skórze czarnej jak heban. Z rozczapierzonymi palcami wpadła prosto na strażnika i owinęła się wokół niego. Nacisnęła mocniej, przyciskając mu macki do ciała. Strażnik, prawie oślepiiony palcem, który zasłonił mu dwoje oczu, zabalgotał z wściekłości i ugryzł wewnątrz dłoni przyciśnięte do znajdującego się na podbrzuszu pyska. Jednak dłoń była stworzona z magicznej energii, nie z ciała, więc wysiłki strażnika na nic się nie zdały. Aboleth miotał się bezradnie w mocnym uścisku, mącąc śluzem otaczającą go wodę.

Pharaun wykonał szybkie mentalne pchnięcie i dłoń wyniosła strażnika z komnaty i poniosła korytarzem.

Wszystko to wydarzyło się w ciągu kilku uderzeń serca. Natychmiast po odepchnięciu strażnika Pharaun odwrócił się a wraz z nimi jego lustrzane odbicia i rzucił potężne zaklęcie na Oothoon. Fala magicznej energii wzburzyła wodę wokół matriarchini i po chwili jej macki rozluźniły się. Zachowując ostrożność, przemówił do Oothoon na migi, sprawdzając efekt działania uroku. Jeśli zaklęcie zadziałało, będzie nie tyle skłonna, co chętna do rozmowy ze swoim „starym przyjacielem” Pharaunem.

- Przepraszam za tak nagłe najście, powiedział, ale chciałem się przekonać czy nasz plan się powiodł. Słyszałem, że Quenthel przyszła do ciebie i że ją pożarłaś. Czy dotrzymasz swojej części umowy i powiesz mi, gdzie jest statek chaosu?

Oothoon spojrzała na korytarz, gdzie nie było żadnych strażników, a potem znów na Pharauna.

- Twoja „kapłanka” nie miała żadnej magii.

Pharaun spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Rozumiem, że z jej wspomnień dowiedziałeś się, że Lolth jest... w tej chwili nieosiągalna, powiedział. - Jednak za jakiś czas bogini się przebudzi, a ty będziesz mogła zrobić użytek z zaklęć, które właśnie zdobyłaś.

- Nie pożarłam Quenthel. Nie była tego warta.

Pharaun zamrugał.

- Ale ten, który jej towarzyszył, wrócił do nas i twierdził, że ją pożarłaś. Widział, jak połykaś ją w całości.

- Czteroręki zobaczył to, co chciałam, żeby zobaczył - oznajmiła Oothoon, poruszając mackami i otwierając pysk, co Pharaun uznał za szeroki uśmiech.

Pharaun zastanowił się. Słyszał, że abolethy mają moc tworzenia iluzji. Wyglądało na to, że Oothoon skorzystała z tego talentu, aby omamić Jeggreda. Może nawet teraz mamiała zmysły Pharauna? Czyżby sala audiencyjna i korytarz nie były wcale takie puste, jak mu się wydawało?

Mag miał przy sobie słoiczek maści, która po wsmarowaniu w powieki i wymówieniu słów zaklęcia aktywującego natychmiast ujawniała prawdę, ale użycie jej oznaczało sięgnięcie do kieszeni piwafwi i zamknięcie na chwilę oczu. Jeśli w pobliżu znajdowali się spowici iluzją strażnicy, byłby to doskonały moment, żeby go obezwładnić.

Nie, zda się na zaklęcia, którymi zabezpieczył się do tej pory. Siedem zwierciadlanych odbić, które stworzył, nadal unosiło się w wodzie obok niego. W razie ataku z zaskoczenia prawdopodobieństwo, że to on zostanie zaatakowany, wynosiło tylko jeden do siedmiu.

Tymczasem Oothoon wyglądała na spokojną. Matriarchini abolethów leżała w swojej niszy, a jedyną oznaką niepokoju, jaką zdradzała, była perła przyciśnięta ochronnym gestem do podbrzusza. Oothoon nie przywołała strażników, którzy zastąpiliby tego obezwładnionego przez Pharauna, nie wykonywała też żadnych gwałtownych ruchów. Niepotrzebnie się martwił. Jego urok z pewnością zadziałał. Postanowił poddać ją próbie, zadając pytanie, na które nie odpowiedziałyby, nie będąc pod wpływem uroku.

- Gdzie jest teraz Quenthel? - zapytał.

- Wyruszyła na poszukiwanie statku chaosu.

- Powiedziałaś jej, gdzie jest?

Matriarchini po prostu wpatrywała się w niego, ale jej milczenie wystarczyło mu za odpowiedź.

Pharaun rozejrzał się szybko po komnacie i wreszcie dostrzegł brakujące elementy układanki. Otwór wejściowy był oklejony lepkimi nićmi, które wyglądały jak resztki poszarpanej pajęczyny. Zauważył też szyjkę butelki wystającą z wodorostów, na których spoczywał brzuch Oothoon. Nie wszystko, co widział Jeggred, było iluzją. Quenthel specjalnie użyła swojej różdżki, żeby utrzymać go po drugiej stronie drzwi. Później, gdy uzyskała od Oothoon potrzebne informacje, rozpuściła barierą

alkoholem.

Quenthel i Oothoon przy pomocy starannie przygotowanego i popartego iluzją fortelu wywiodły w pole Jeggreda - i Pharauna. Oothoon cały czas czekała na swoją nagrodę. Matriarchini wiedziała, że Pharaun, gdy tylko dowie się o „śmierci” Quenthel, wróci...

... i zostanie pożarty.

Pharaun podniósł rękę, żeby rzucić zaklęcie, ale zanim skończył inkantacją, perła trzymana przez Oothoon pojawiła się nagle tuż przed nim - przed prawdziwym magiem, a nie jego zwierciadlanym odbiciem. Matriarchini włożyła ją do ust i plunęła nią w maga, maskując ruch iluzją.

Perła uderzyła go w pierś i eksplodowała falą dźwięku, która wycisnęła mu wodą z płuc i zadzwoniła w uszach. Oszołomiony, nie mógł mówić ani kiwnąć palcem, obwisł samotnie w wodzie, gdyż jego sobowtóry rozproszyły się pod wpływem wybuchu. Choć kręciło mu się w głowie, był zbyt słaby i otumaniony, żeby się ruszyć, jakaś część jego umysłu była w stanie odnotować ironią losu. Miał zamiar omamić Oothoon zaklęciem, ale to matriarchini pokonała go tym samym rodzajem magii. To, co wziął za „perłą”, było niczym innym jak magicznym koralikiem mocy należącym do Quenthel.

Wyglądało na to, że Oothoon nie dała się jednak omamić jego urokiem. Nie zwiodły jej też jego zwierciadlane odbicia - iluzja, którą musiała przejrzeć, skoro plunęła koralikiem we właściwego Pharauna. Drażniła się z nim tylko, wiedząc, że wkrótce będzie bezbronny jak jaszczurka schwytana w sieć.

Wypluwając z niszy, Oothoon pomknęła w stronę wiszącego bezradnie Pharauna. Otworzyła szeroko pysk i wessała maga do środka. Wciąż oszołomiony wybuchem koralika, nie miał nawet siły krzyknąć, gdy szczęki zatrzasnęły się wokół niego. Otoczyła go ciemność, a ostre jak brzytwy zęby wgryzły mu się w ciało.

ROZDZIAŁ 22

Halisstra stała obok jednego z drzew trofeów z rękojeścią muzycznego miecza uniesioną do ust. Po tym jak zabiła fazowego pająka dwie noce temu kapłanki pozwoliły jej zatrzymać ułamany miecz, a także tarczę i kolczugę Seyll. Oddały jej też insygnia jej domu, które schowała do kieszeni, zamiast przypiąć do piwafwi oraz pozostałe pierścienie i magiczne przedmioty będące jej własnością. Zatrzymała również magiczną lirę, choć nie miała ochoty używać ani jej, ani innych przedmiotów pochodzących z Podmroku. Zamiast tego ćwiczyła grę na muzycznym mieczu, przebierając palcami po rękojeści i usiłując dostosować melodię do nastroju panującego wśród ośnieżonych drzew i sunących leniwie po niebie chmur, tak białych i zwiewnych jak włosy.

W pewnej odległości od niej, na pniu drzewa, siedział ze skrzyżowanymi nogami Ryld, ostrząc krótki miecz. Mrużył oczy w porannym słońcu, choć wybrał miejsce w głębokim cieniu. Siedział oparty plecami o duży gałąz, pod baldachimem zwieszających się nisko gałęzi, które prawie dotykały jego głowy. Widocznie wciąż nie wyzbył się niepokoju, jaki wzbudzała w nim otwarta przestrzeń, gdzie nad głową miał tylko niebo.

Po chwili arytmiczne szuranie jego oselki zaczęło jej działać na nerwy, zmuszając do opuszczenia miecza.

- Ryldzie - powiedziała z rozdrażnieniem. - Jeśli musisz już robić to tutaj, czy mógłbyś chociaż dostosować się do rytmu mojej muzyki?

Ryld podniósł z zaskoczeniem wzrok.

- Dobrze - powiedział. Wygramolił się spod zwisających gałęzi, wstał i schował krótki miecz z powrotem do pochwy. Obrzucając las ponurym spojrzeniem, zapytał: - Jak długo zamierzasz tu zostać?

- Dziesięć dni, miesiąc... rok, jeśli będzie to konieczne - odparła Halisstra. Dopóki nie nauczę się wszystkiego o kulcie Eilistraee.

- Masz na myśli i całe życie - powiedział kwaśno wojownik.

- Może - odrzekła Halisstra ze wzruszeniem ramion, a potem dodała: - Nikt nie zmusza cię, żebyś został. Możesz wrócić do Menzoberranzan, albo spróbować odnaleźć Quenthel i pozostałych a nawet pójść do samej Otchłani, jeśli zechcesz.

Ryld spojrział na nią z uporem.

- Chcę zostać z tobą.

Widząc wyraz jego oczu - człowiek mógłby to nazwać „miłością” - Halisstra ochłonęła trochę.

- Cieszę się - powiedziała. - I nie tylko ze względu na siebie, ale także na ciebie. Mroczna Panna przyjmie cię, jeśli tylko jej na to pozwolisz. Eilistraee pokaże ci radość, jakiej nigdy nie zaznałeś. My drowy zbyt długo przebywałyśmy w Podmroku i czas już, abyśmy zajęły należne nam miejsce pod słońcem - i broniły go, siłą naszych mieczy, jeśli będzie to konieczne.

Ryld nie odpowiedział. Zamiast tego spojrział na drzewo trofeów. Idąc za jego wzrokiem, Halisstra zobaczyła, że patrzy na głęboką, wyciosaną mieczem niszę, w której leżały, jedna na drugiej, dwie głowy. Były to czaszki, z których sterczały tylko rzadkie kępki czarnych włosów, a tej na górze wypadła szczęka. Sądząc po kształcie, należały do ludzi, choć usta i szczęka tej niższej wystawały nieco, a kły były nadmiernie rozwinięte. Ich widok wydawał się niepokoić zaprawionego w bojach wojownika, co było dziwne, jako że Ryld bez wątplenia napatrzył się w swojej karierze fechmistrza Melee-Magthere na znacznie ohydniejsze rzeczy.

Ryld oderwał wzrok od czaszek.

- Dlaczego Eilistraee? - zapytał. - Czemu nie... Kiaransalee czy Selvetarm? W czczeniu go mógłbym przynajmniej mieć jakiś udział. A może myślisz, że rycerza Lolth spotkał taki sam los jak jego panią?

- Selvetarm nadal strzeże Lolth - odparła Halisstra. - Vhaeraun nie pokonał go.

Ryld uniósł brwi.

- Skąd to wiesz?

- Zeszłej nocy Uluyara wprowadziła kapłanki w pieśń-zaklęcie. Wejrzały w głąb Otchłani i Uluyarze udało się spojrzeć na kamień zapieczętowany wejście do świątyni Lolth. Przed wejściem siedział Selvetarm w swojej pajęczej postaci, ranny, ale nadal uzbrojony w miecz i buzdygan. Może pokonał Vhaerauna, a może udało mu się odpędzić go na jakiś czas. Uluyara zdołała tylko rzucić okiem, zanim cała woda w kropielnicy się wygotowała.

Ryld zaklął pod nosem.

- Zeszłej nocy? - zapytał. - Więc stąd te wszystkie śpiewy. Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej?

Halisstra wzruszyła ramionami.

- A co by to zmieniło? - Nie zamierzasz chyba donieść o tym Quenthel, prawda?

Ryld uśmiechnął się do niej kwaśno.

- Nie mógłbym, nawet gdybym chciał - powiedział. - Nazwałaby mnie dezserterem i pozwoliła tym swoim żmijom zatopić we mnie kły. Byłbym martwy, zanim zdążyłbym wypowiedzieć choć jedno słowo na swoją obronę. Chciałbym tylko, żebyś informowała mnie o wszystkim. - Urwał, a potem zmarszczył brwi. - Skąd Uluyara wiedziała, że świątynia Lolth jest zabezpieczona?

- Powiedziała jej - odrzekła Halisstra. - Powiedziała jej o wszystkim. O naszej wyprawie do Otchłani, o milczeniu Lolth i bitwie pomiędzy Vhaeraunem i Selvetarmem... powiedziała jej nawet o upadku Ched Nasad. Wszystko.

Ryld pokiwał powoli głową.

- Nie powinno mnie to dziwić, zważywszy na twoje nawrócenie, ale dziwi. Wyjawienie tylu spraw kapłance, którą do niedawna zaliczyłybyś do swoich wrogów, wygląda mi na...

Uświadamiając sobie może, że rozmawia z kapłanką, spuścił wzrok. Gdy się wahał, nie wiedząc, jak zakończyć to zdanie albo nie chcąc tego zrobić, Halisstra odgadła resztę.

- Na zdradę? - zapytała. - Wiarołomstwo? Więc niech tak będzie. Lolth jest martwa lub wkrótce umrze.

- A ty sprzymierzyłaś się ze stroną, która twoim zdaniem odniesie zwycięstwo - powiedział Ryld. Kiwnął głową. - To chyba sensowne posunięcie.

Halisstra westchnęła, zastanawiając się, dlaczego Ryld nie potrafi tego pojąć.

- Tu nie chodzi o taktykę - powiedziała, próbując mu to wyjaśnić. - Eilistraee jest jedynym bóstwem mogącym dać drowom jakąś nadzieję. Ponieważ Lolth zniknęła, a jej kapłanki nie są w stanie się bronić, miasta Podmroku wkrótce upadną, jedno po drugim. Wkrótce setki, jeśli nie tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy drowów zaczną uchodzić z Podmroku, szukając schronienia. Kapłanki Eilistraee udzielą im. Pomogą wyprowadzić nasz lud na światło. Pokażą drowom, jak zająć należne im miejsce na świecie - nie tylko jak przeżyć, ale jak rozkwitnąć. Będziemy mogli odzyskać nasze dziedzictwo. Spójrz, ile już zrobiły Mroczne Panie Eilistraee, oczyszczając las z potworów, tak by znów nadawał się do życia. Tworzymy nowy dom w Świecie Ponad, dom, w którym drowy będą mogły żyć ze sobą w harmonii. Dom, którego będziemy bronić magią i mieczem. Czy można mieć szlachetniejszy cel?

Spoglądając znów na drzewo trofeów, Ryld mruknął coś pod nosem. Halisstrze wydawało się, że usłyszała „tak jak oczyściliście slumsy”, ale uznała, że się przesłyszała, bo nie miało to przecież sensu.

- Ryldzie - powiedziała powoli - jesteś pewien, że...

- *Cicho!* ostrzegł Ryld, przechodząc nagle na język migowy. *Słyszę w lesie jakieś glosy. Ludzkie glosy Zbliżają się w naszą stronę.*

Halisstra, zaniepokojona, sięgnęła po róg przy pasie. Czy powinna ostrzec inne kapłanki? W końcu właśnie po to wysłano ją na granicę terenów świątynnych aby stała na straży. Uluyara ostrzegła ją, że ludzie podróżnicy często zapuszczają się w głąb Lasu Velara - podróżnicy, którzy nie odróżniają kapłanek Eilistraee od drowów Podmroku. Ludzie zabijali wszystkie elfy o hebanowej skórze, jakie napotkali na swojej drodze.

Ale jeśli zadmie w róg, równocześnie ostrzeże ludzi, a byli już blisko. Lepiej ocenić sytuację z ukrycia i zająć się nimi samej, jeśli będzie to możliwe. Ryld pomoże jej i wprowadzi dodatkowo element zaskoczenia.

- *Ukryj się,* pokazała na migi. *Wyjdę im na spotkanie. Ty czekaj.*

Ryld kiwnął głową i wysunął z pochwy wielki miecz, jednocześnie narzucając na głowę kaptur piwafwi. Cofnął się pomiędzy gałęzie i stanął zupełnie nieruchomo, stając się jeszcze jednym cieniem. Tymczasem Halisstra wyśpiewała cicho zaklęcie, które uczyniło ją niewidzialną. Potem zaczęła z muzycznym mieczem w ręku.

Ludzie byli albo bardzo śmiali, albo bardzo głupi. Szli przez las ciężkimi, chrzęszczącymi w śniegu krokami, nie dbając o ściszenie głosów, które sprawiały wrażenie napiętych. Od czasu do czasu stękali, jak gdyby nieśli coś ciężkiego. Gdy minęli podstawę drzewa trofeów i wyszli z zarośli, Halisstra zobaczyła, że jest ich dwóch - dwóch ludzkich mężczyzn z toporami przewieszonymi przez plecy,

niosących na rozpostartym między sobą płaszczu ciało.

Ciało drowki.

I to nie pierwszej lepszej drowki, ale drowki noszącej symbol Eilistrae na zawieszonym na szyi łańcuszku i pęk miniaturowych mieczy wiszących przy pasie jak klucze.

- Kim jesteście? - zawołała Halisstra, rozprasając zakłęcie niewidzialności. - Co się stało tej kapłance?

Miecz Seyll trzymała w ręku - nie dlatego, że mężczyźni wyglądali groźnie, ale dlatego, że gdyby kapłanka wciąż żyła, mogła potrzebować magii uzdrawiającej, i to szybko. Podeszła bliżej i dotknęła gardła kobiety, ale było już zbyt późno na jakiegokolwiek zakłęcia. Skóra drowki była zimna, puls ustał. Jej zamknięte oczy nic już nie zobaczyła.

Obaj mężczyźni byli chudzi i muskularni, mieli jasne włosy i skórę ciemniejszą niż większość ludzi, co sugerowało, że mieli wśród przodków drowa. Starszy z nich pochylił przed nią głowę. Bardziej ukłonić się nie był w stanie, bo wciąż trzymał płaszcz zapadnięty pod ciężarem kapłanki. Kiedy Halisstra odpowiedziała skinieniem, mężczyźni ostrożnie opuścili swoje brzemię na pokrytą śniegiem ziemię.

- Jesteśmy z Velarsburga - oznajmił starszy. - Jestem drwal Rollim, a to mój syn Baeford. Pracowaliśmy przy wyrębie w pobliżu Skowyczących Wzgórz, kiedy usłyszeliśmy kobietę wołającą o pomoc. Poszliśmy za jej głosem spory kawałek przez las, więc musiało to być magiczne przesłanie, i znaleźliśmy Mroczną Panią przed jaskinią. Była bliska śmierci, oddech miała płytki i przyspieszony. Nie mogła mówić, ale wciąż mogła się posługiwać językiem migowym. Powiedziała, że została zaatakowana pod ziemią i musi wracać do świątyni.

Halisstra przyjrzała się martwej kapłance. Nie знаła jej, ale potrafiła odgadnąć jej powołanie po maleńkich mieczach wiszących u jej pasa. Była jedną z kapłanek, które podróżowały do Podmroku jako misjonarki, niosąc wiarę Eilistrae drowom mieszkającym pod ziemią. Miniaturowe miecze rozdawały wiernym, aby służyły im jako „klucze” zapewniające bezpieczne dotarcie do świątyni.

- Powiedziała wam, co ją zaatakowało? - zapytała Halisstra.

Rollim Spochmurniał.

- Nie „co”, pani, ale kto. Kiedy opowiadała o tym, co jej się przytrafiło, używała znaku „ona”. Znaku oznaczającego drowkę.

Halisstra wzdrygnęła się.

- Widzieliście jakieś ślady tej drugiej drowki? - zapytała.

- Nie - odparł Rollim. - Były tam tylko ślady stóp Mrocznej Pani, a my nie śmieliśmy wchodzić do jaskini. Ta druga nadal musi być pod ziemią.

- Została pchnięta nożem - mruknęła Halisstra, przyglądając się kapłance. - Typowe.

Za dwoma mężczyznami - obaj byli odwróceny plecami do miejsca, gdzie ukrył się Ryld - zobaczyła dwie ciemne dłonie migające:

- *Albo pozostawiona samej sobie.*

Choć twarz Rylda była zasłonięta kapturem piwafwi, Halisstra widziała, że uśmiecha się krzywo.

- Nie została pchnięta - sprostował Baeford. - Nie ma żadnych ran na ciele. - Spojrzał lękliwie na ciało kapłanki. - Musiała ją zabić magia.

Rollim przeciągnął zgrubiałą dłońią przez wilgotne od potu i upstrzone wiórami włosy.

- Gdyby to była zwykła rana, może coś byśmy wskórali mogliśmy nastawić złamaną kość albo zatamować ranę zadaną toporem. Ale to... - wzdrygnął się. - Umarła, kiedy kładliśmy ją na płaszczu.

Halisstra kiwnęła głową.

- Dobrze zrobiliście, przynosząc ją tutaj - powiedziała. - Jestem pewna, że kapłanki wynagrodzą was...

- Już to zrobiły - odparł Rollim. Pełnym czci gestem uniosł prawą rękę do góry, wnętrzem dłoni ku niebu, po czym opuścił ją wzdłuż ciała. - Gdyby nie Mroczne Panie, Baeford już by nie żył. Zachorował na ospę zaraz po urodzeniu, ale Eilistrae uleczyła go. - Spojrzał na martwą kapłankę, posepniejąc. - Gdybyśmy tylko mogli odplacić im za ich życzliwość.

Baeford, którego twarz rzeczywiście szpeciły dzioby po ospie, przestąpił nerwowo z nogi na nogę.

- Pani - zapytał - czy mamy zanieść ją do świętego kręgu?

Wyglądał tak, jak gdyby ponowne podniesienie ciała było ostatnią rzeczą, na jaką ma ochotę.

- Nie - odparła. - Ja ją zabiorę. Możecie odejść.

- Zaniesiesz ją sama? - zapytał Rollim, unosząc brwi.

Uklonił się spiesznie, widząc zmarszczone brwi Halisstry.

Wciąż nie podobało jej się, gdy mężczyźni kwestionowali jej autorytet.

- Jak sobie życzysz, pani - powiedział szybko Rollim. A potem zwrócił się do syna: - Chodź, Baefordzie. Zrobiliśmy, co w naszej mocy.

Gdy oddalili się, Ryld wysunął się cicho spomiędzy gałęzi.

- Mam za nimi pójść? - zapytał.

Halisstra potrząsnęła głową.

- Nie. Coś tu jest nie w porządku, ale choć ten młodszy to wyczuwał, nie wiedział, co to może być. Cokolwiek to jest, nie oni byli tego przyczyną.

Uklękła obok ciała i przekręciła je lekko w bok, żeby przyjrzeć się plecom kobiety. Tak jak powiedział Baeford, nie widać było żadnych obrażeń. Skóra kapłanki nie została nawet drażnięta, a buty i tunika były najzwyczajniej w świecie znoszone. Tak jak wszystkie kapłanki Eilistraee - zwłaszcza te wybierające się do Podmroku - drowka nosiła koszulkę kolczą. Jej ogniwa nie były uszkodzone, a miecz wciąż tkwił w pochwie.

Wiedziona impulsem, chwyciła za rękojeść i pociągnęła. Miecz gładko wysunął się z pochwy, ostrze miał ostre i czyste - gdyby ostatnio go używała, lepiłby się od krwi. Gdy nachyliła się nad ciałem martwej kobiety po raz drugi, żeby schować broń do pochwy, jej twarz znalazła się tuż nad jej twarzą. Wyczuwając słaby, acz kwaśny odór, pochyliła się niżej i powąchała. Zapach był charakterystyczną mieszanką siarkowych płomieni Otchłani i zgniłej pajęczyny.

Halisstra zaklęła cicho.

- Eilistraee, miej nas w swojej opiece.

- Co się stało? - zapytał Ryld z napięciem.

- Zabił ją yochlol - powiedziała Halisstra. - Czuję jego smród na jej skórze i włosach.

Błysnęło srebro, gdy Ryld dobył wielkiego miecza. Przyjął pozycję bojową, rozglądając się bystro po lesie.

- Myślisz, że za nią poszedł? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

- Wątpię.

Mówiąc to, Halisstra podważyła szczękę martwej kobiety. Usta kapłanki otworzyły się z łatwością. Umarła niedawno.

Tak jak podejrzewała, po otwarciu ust zapach wzmógł się. Yochlol musiał przybrać postać gazową i wpłynąć do płuc kapłanki, dławiąc ją i uniemożliwiając obronę mieczem czy zaklęciem. Co oznaczało, że yochlol zdołał się do niej zbliżyć - i to na tyle, żeby wziąć ją z zaskoczenia. Zrobił to albo za pomocą zaklęcia, którym nią zawładnął, albo stosując prosty wybieg polegający na przybraniu jednej ze swoich najbardziej niewinnych postaci - postaci drowki.

„Drowki”, która podała się za osobę pragnącą dołączyć do czcicielki Eilistraee, zgadywała Halisstra. Yochlol musiał bawić się kapłanką, napawając się w duchu swoją przebiegłością, gdy towarzyszył jej w drodze do jaskini prowadzącej do Świata Ponad. Potem uderzył.

- To nie był przypadkowy atak - uznała Halisstra. - Yochlol starannie wybrał ofiarę.

- Myślisz, że demona ktoś wezwał? - zapytał Ryld z ponurą miną. - Jeśli zrobiła to...

Wojownik nie dokończył pytania, ale nie musiał. Halisstra świetnie wiedziała, co ma na myśli. Yochlole były demonami służącymi Królowej Pajęczyny Demonów. Sługi Lolth mogły się pojawić na planie materialnym tylko wtedy, gdy wezwała je jedna z jej kapłanek. Było jednak możliwe, że jeden znajdował się na tym planie, gdy Lolth zamilkła i udało mu się wyzwolić spod władzy swojej pani.

Było też możliwe, że Lolth wróciła z miejsca, w które się udała, i że jej kapłanki znów mogły używać swoich zaklęć.

- Uluyara na pewno chciałaby o tym wiedzieć - powiedziała Halisstra. Stanęła obok płaszcz, na którym leżała kapłanka i chwyciła go za rogi. - Zanieśmy ciało do świątyni, natychmiast.

ROZDZIAŁ 23

Wiosłując rękami, żeby utrzymać się tuż pod powierzchnią jeziora, Quenthel czekała, aż zaklęcie pozwalające jej oddychać pod wodą przestanie działać. Kiedy poczuła napięcie i ciepło w płucach, wypłynęła z nich reszta wody z jeziora i wynurzyła głowę na powierzchnię. Potem, pływając w miejscu i kaszląc lekko, dotknęła broszy na piersi. Uniosła się łagodnie w pełne wodnego pyłu powietrze obok wodospadu w końcu znalazła się na poziomie tunelu.

Jeggred siedział w środku i z zadumą spoglądał na jezioro. Gdy ją zobaczył, wybałuszył oczy. Wydając z siebie skowyt radości, zerwał się na równe nogi i uderzył łbem w niski sufit, rozcinając sobie czoło. Nie zważając na krew spływającą po gęstych białych włosach, wybuchnął gromkim śmiechem.

- Mistrzynie! - szczechnął.

Quenthel wylądowała lekko na występie skalnym obok niego. Pochylając się nisko, wgramoliła się do tunelu. Jeggred skoczył naprzód z rozpostartymi szeroko ramionami, jak gdyby chciał ją objąć. Jej surowe spojrzenie i drganie żmij - ostudziło go trochę, więc tylko przywarł do ziemi u jej stóp. Nie śmiejąc jej dotknąć, ucałował zimny kamień pod jej stopami, łkając cicho.

Quenthel miała nadzieję, że Jeggred zapyta, jak udało jej się uciec abolethowi. Z rozkoszą opowiedziałaby mu, jak sprytnie go podeszła. Ale draegloth był na to zbyt przyziemny. Jego pani została pożarta, a teraz znów żyła. To mu wystarczało. To, i komfort psychiczny posiadania kogoś, kto znów mu rozkazywał.

Kurcząc palce jak pajak odnóza, dotknęła na chwilę jego ramienia i patrzyła, jak faluje mu grzywa, gdy wił się z rozkoszy. Potem zajęła się pilniejszymi sprawami.

- Gdzie pozostali? - zapytała.

Jeggred wskazał za siebie, w głąb tunelu.

- W drugiej jaskini. Tamtędy.

Pochylając się, żeby nie uderzyć w niski sufit, Quenthel ruszyła we wskazanym kierunku. Jeggred szedł za nią z pochyloną służalczo głową i wskazywał w milczeniu właściwą drogą za każdym razem gdy spoglądała na niego. Po chwili strop uniósł się i mogli iść wyprostowani. Wracali drogą, którą tu dotarli, wciąż trzymając się rzeki. Przed sobą Quenthel słyszała głosy, jeden męski, drugi nadąsany. Nadąsany musiał należeć do Danifae. Quenthel pamiętała, że gdzieś tu była duża pieczara. Po echu ich głosów odgadła, że stoją wewnątrz niej, rozmawiając.

- Dlaczego byłeś sam? - zapytała Quenthel Jeggreda. - Czy pozostali zostawili cię, kiedy Pharaun nie wrócił?

Kiedy Jeggred nie odpowiedział od razu, spojrzała na niego. Na twarzy draeglotha malowało się zmieszanie.

- Przecież czarodziej wrócił - powiedział.

Quenthel zgrzytnęła zębami poirytowana i poczuła, że żmije wiją się przy jej biodrze. Czasami jej siostrzeniec potrafił być strasznie tępy.

- Wiem, że wrócił z pierwszego spotkania z Oothoon - powiedziała. - Mówiłam o drugim...

Słyszając trzeci głos, głos, który rozpoznała, Quenthel zatrzymała się tak raptownie, że Jeggred wpadł na nią z tyłu. Była tak zaskoczona dźwiękiem tego głosu, że nawet nie przyszło jej do głowy, żeby wyciągnąć bicz zza pasa i wychłostać nim draeglotha za jego uchybienie. Zamiast tego zmełła w ustach przekleństwo, które ściągnęłoby na nią gniew Lolth, gdyby bogini mogła ją usłyszeć, po czym ruszyła naprzód, wspinając się wzniesieniem odbijającym od tunelu, którym płynęła rzeka, ku jaskini, z której dochodziły głosy.

Wejście do jaskini było wąskie i żeby dostać się do środka, Quenthel musiała się precyzyjnie przycisnąć obok stalagmitu w kształcie grzyba. Przez otwór zobaczyła Valasa i Danifae, którzy siedzieli na naturalnym występie skalnym, dzieląc się przypominającym ceglówkę bochenkiem sprasowanych grzybów. Zaraz potem w pewnej odległości od nich zobaczyła trzecią osobę, która trzymała przed jednym z oczu mały okrągły przedmiot, recytując słowa zaklęcia.

Słuch jej nie zawodził. Był to Pharaun, cały, zdrowy i bez jednego śladu zębów aboletha na ciele.

- O, mistrzyni - powiedział mistrz Sorcere, przerywając w połowie inkantację i opuszczając szklaną kulkę. - Właśnie rzucałem czar mający cię odszukać.

Quenthel zamarła z rozdziawionymi ustami w wejściu do jaskini. Nawet jej żmije przestały się zwijać i zeszytniały z zaskoczenia, wpatrując się w maga wytrzeszczonymi oczyma. Kiedy Valas i

Danifae podnieśli wzrok i zagapili się na nią, Quenthel uświadomiła sobie, jak niemądrze musi wyglądać. Pharaun schował kulkę do kieszeni piwafwi.

- Zastanawiasz się, dlaczego wciąż żyję - powiedział, odpowiadając na pytanie, którego nie śmiała zadać. - Odpowiedź jest prosta: zakłęcie ewentualności, które przygotowałem przed wyprawę do Zanhoriloch. Spodziewałem się czegoś w rodzaju fortelu, którym zwiodłaś aboletha, choć jestem zdziwiony, że byłaś gotowa rozstać się z jednym ze swoich koralików mocy. Spełnił on jednak swoje zadanie.

- Jakie zakłęcie ewentualności? - zapytała Quenthel, nadal nic nie rozumiejąc.

Valas, który szybko otrząsnął się z szoku, jakiego doznał na widok Quenthel, odgryzł kawałek bochenka i zaczął go przeżuwać. Danifae skoczyła na równe nogi i Zgramoliła się ze skalnego występu, dając głośno wyraz uldze i radości wywołanej faktem, że jej pani żyje. Quenthel wpatrywała się w Pharauna, ignorując młodszą kapłankę, która przed nią uklękła, i Jeggreda, który stał zaraz za nią, spoglądając jej przez ramię.

- Widzisz? - zamruczał Jeggred, dysząc jej w ucho gorącym oddechem. - Wrócił.

- Zanim teleportowałem się do Zanhoriloch, rzuciłem kilka czarów - wyjaśnił w końcu Pharaun. - Jednym z nich był zakłęcie ewentualności, które miało mnie teleportować z powrotem do tego tunelu, gdyby doszło do pewnej sytuacji. Konieczne warunki były proste i ściśle określone. Czar został aktywowany, gdy aboleth Oothoon, jak się okazało próbował mnie pożyć.

- Oothoon go zjadła? - zapytała K'Sothra.

- Milcz! - odpalił Yngoth. Potem wąż zwrócił się do Quenthel: - Powiedz mu, że się tego spodziewałaś, że liczyłaś na jego pomysłowość.

Quenthel uśmiechnęła się i powiedziała:

- Właśnie tego się po tobie spodziewałam, mistrzu Pharaunie. Jesteś naprawdę pomysłowy.

Pharaun odwzajemnił uśmiech, ale oczy miał zimne jak Quenthel. Spojrzenia, jakie wymienili, mówiły wyraźnie, że każde z nich tylko czeka na okazję, żeby wbić drugiemu nóż w plecy.

- Dziękuję - powiedział Pharaun, łykając fałszywy komplement. - Jesteś mądrzejsza... missstrzyni... niż myślałem. Wykazałaś się niezwykłym sprytem, uciekając abolethowi. Twoja „śmierć” była wybiegiem najwyższej próby. Masz umysł demona, gdy trzeba obmyślać fortele i chwala ci za to. Z pewnością zdołałaś wydobyć z Oothoon położenie statku w zamian za moje życie?

Quenthel zmarszczyła brwi. Czy mag wymieniając jej tytuł syknął specjalnie? Zupełnie jak gdyby podejrzewał, że pomysł należał do żmij. Co było tylko częściowo prawdą. Żmije podsunęły jej kilka pomysłów, to prawda, ale to Quenthel złożyła je w całość, dostrzegła wzór, w jaki się układały.

- Oczywiście, że to był twój pomysł, - łagodził Hsiv.

- Jesteśmy tylko sługami, - dodał Yngoth.

- Jesteś kapłanką wielkiej Pajęczej Królowej, a my chylimy czoła przed twoją mądrością, - powiedział Zinda.

Quenthel kiwnęła głową i z roztargnieniem pogłaskała łebek największej żmii.

K'Sothra okręciła się, żeby spojrzeć na Hsiva, i zaczęła:

- Ale...

- Milcz, - przerwał jej starszy wąż.

- Tak, milcz, - warknęła Quenthel, której znów nie udało się zapanować nad irytacją. - Ledwo słyszę własne myśli, kiedy gadacie wszyscy naraz.

Przebisnęła się do wnętrza jaskini, mając Jeggreda zaraz za plecami.

- Wiem, gdzie szukać statku chaosu - oznajmiła Pharaunowi i pozostałym. - Poszedł na dno w Jeziorze Cieni. - Odwróciła się do Valasa i zapytała: - Zakładam, że słyszałeś o nim?

Bregan D'aerthe przez chwilę przeżuwał chleb, co jeszcze bardziej rozdrażniło wysoką kapłankę przyzwyczajoną do szybszych odpowiedzi. Jej dłoń opadła na trzonek bicia i już miała go dobrać, grożąc mu, że wyciągnie z niego odpowiedź chłostą, kiedy wstał, ocierając usta z ostatnich okruszków. Dlaczego nie mógł być taki jak Danifae, która, co odnotowała z zadowoleniem, cofnęła się o parę kroków? Młodsza kapłanka została odpowiednio zastraszona przez żmije, które prawie tryskały jadem, chcąc znów zakosztować mięsa.

- To duże jezioro - powiedział zwiadowca, widocznie wyczuwając zniecierpliwienie wysokiej kapłanki - mniej więcej tej samej wielkości co Thoroot. Są połączone podziemną rzeką.

- Płynącą w którą stronę? - zapytała Quenthel.

- Ku jezioru Thoroot, z północnego zachodu.
- Jak daleko? - zapytał Pharaun.
- W mniej więcej tej samej odległości co Ognista Struga - odparł Valas. - Po powierzchni i tunelami to dziesięć dni marszu. Rzeką może być dłużej, zwłaszcza jeśli będziemy się poruszać pod prąd.
- Quenthel skinęła głową, zadowolona, że wreszcie do czegoś doszli.
- Obracając się do Pharauna, oznajmiła:
- Wyruszymy nad jezioro Cieni natychmiast. Przygotuj swoje zaklęcia umożliwiające oddychanie w wodzie.
- Pharaun uniósł brwi.
- Masz zamiar tam popłynąć?
- Oczywiście - odpowiedziała Quenthel.
- Nie da rady.
- Quenthel ścisnęła trzonek bicia tak mocno, że żmije strzyknęły jadem.
- Dlaczego? - wycedziła przez zaciśnięte zęby.
- Po pierwsze, jeśli wybierzemy drogę pod wodą, abolethy będą nas ścigać - powiedział czarodziej.
- Jesteśmy zbyt łakomym kąskiem, żeby dały za wygraną i skończy się tym, że przez całą drogę będziemy z nimi walczyć. Po drugie, jak już zauważył nasz dzielny zwiadowca, rzeka płynie z Jeziora Cieni do jeziora Thoroot, więc będziemy płynąć pod prąd. Podróż może trwać znacznie dłużej niż dziesięć dni, a po drodze nie będzie się gdzie zatrzymać, żebym mógł przestudiować ponownie moje zaklęcie. Kiedy jego moc się wyczerpie, potopimy się.
- Quenthel była wściekła, ale pomimo gniewu musiała przyznać, że mag ma rację.
- Dlaczego nie przyszło wam to do głowy? - zapytała gniewnie żmije.
- Nastąpił pojedynek na syki, w którym każda ze żmij rugała pozostałe za to, że nie dostrzegły tak oczywistego faktu.
- W końcu odpowiedział jej Hsiv:
- Przepraszamy, mistrzyni. To się więcej nie powtórzy.
- Valas odchrząknął.
- Do Jeziora Cieni prowadzi kilka dróg. Jeśli wybierzemy niewłaściwą, wychodzącą daleko od statku, może nas to kosztować wiele dni... a nawet dziesiątków dni. Czy Oothoon wspominała jeszcze o czymś, mistrzyni? O czymkolwiek, co mogłoby mi pomóc odnaleźć statek chaosu w tak wielkiej masie wody?
- Quenthel, wciąż mierząc Pharauna wściekłym spojrzeniem, pokręciła głową. Potem jednak przypomniała sobie uwagę rzuconą mimochodem przez matriarchinię.
- Tylko to - powiedziała - że w powietrzu nad jeziorem roiło się od nietoperzy. Stąd wzięła się nazwa jeziora od cieni, jakie rzucają na strop jaskini.
- To nie jest jedyny powód, mistrzyni. Występują tam pewne... anomalie - rzekł Valas. - Ponoć istnieje tam brama prowadząca na Plan Cieni. W każdym razie wiem, gdzie się to jezioro znajduje i znam dwie różne drogi, które tam prowadzą i są stosunkowo bezpieczne.
- Quenthel wreszcie najpierw się zastanowiła, a potem zadała pytanie.
- Co to za drogi?
- Jezioro łączy się z powierzchnią naturalnymi kominami w skale. Ta część Świata Ponad, która leży tuż nad nimi, słynie z chmur nietoperzy wylatujących każdej nocy z otworów w ziemi. Moglibyśmy opuścić się w dół jednym z kominów, ale to oznaczałoby powrót do Świata Ponad i podróż przez las.
- Quenthel rozważała tę możliwość, ale krótko. Nie miała zamiaru narażać się znów na mozolną wędrówkę przez śnieg w oślepiającym słońcu.
- Nie wrócimy na powierzchnię - zdecydowała.
- Mądrze, - szepnął jej do ucha Hsiv. - Wojownicy Jaelre z pewnością nadal nas szukają.
- Nie chcemy wpaść na wojowników Jaelre - wyjaśniła Valasowi Quenthel. - Zabili albo pojмали Ryllda Argitha, naszego najlepszego wojownika. Nie chcemy stracić kolejnego członka wyprawy.
- Valas zmrużył lekko oczy i Quenthel zadała sobie pytanie, czy nie kwestionuje w myślach jej rozkazu. Żeby przypomnieć mu, gdzie jego miejsce, dobyła bicia, ale trzymała go przy boku.
- Ha! - zarechotała K'Sothra. - To go ubodło.
- Valas zerknął na żmije.
- Jak rozkażesz, pani - zgodził się. - Zostaniemy w Podmroku. Ale w takim razie pozostaje nam

tylko jedna droga, a jest ona niebezpieczna.

- Mów dalej - ponagliła go kapłanka.

- Do jeziora prowadzi starożytny portal. Znajduje się cztery cykle drogi stąd, na północ przez kilka połączonych tuneli jaskiń. Portal został skonstruowany wieki temu, ale słyszałem z wiarygodnego źródła, że jest wciąż aktywny. Jednak dotarcie do niego może się okazać trudne.

Quenthel kiwnęła głową, niezrażona ponurym tonem zwiadowcy. W życiu nic nie było proste - tylko ci, którzy wzniesli się ponad trudności byli godni względów Lolth.

- Wybierzemy drogę przez portal - oznajmiła. - Pakujcie się, wszyscy. Wyruszamy natychmiast.

- Ten portal - powiedział wolno Pharaun. - Dlaczego tak trudno do niego dotrzeć?

- Leży dokładnie pod ruinami Myth Drannor. - Valas nie powiedział nic więcej, jak gdyby wystarczyło to za wyjaśnienie.

- Myth Drannor? - jęknął Pharaun. - Tylko nie to. Nie mam ochoty na kolejne spotkanie z beholderem.

- Tym razem to nie będzie beholder - powiedział Valas. - chyba dobrze się składa, skoro nie mamy już naszego „najlepszego wojownika”, który pokonałby go tak jak ostatnim razem.

- Więc co takiego? - zapytał czarodziej.

Valas wymamrotał coś zbyt cicho, żeby Quenthel dosłyszała, ale odpowiedź Pharauna była już wystarczająco głośna.

- Szkoda, że nasze pająki straciły swój jad - stwierdził, zerkając na Quenthel i Danifae.

Valas kiwnął ponuro głową.

Rozwścieczona tą jawną zniewagą, Quenthel dobyła bicz. Smagnęła nim powietrze, a zmije syknęły głośno, strzykając jadem na skalne podłoże, gdzie jeszcze przed chwilą klęczała Danifae.

- Masz odpowiadać mnie - warknęła. - Za twoje usługi, najemniku, zapłacił dom Baenre, nie Sorcere.

- Proszę o wybaczenie, pani - powiedział zwiadowca odpowiednio skruszonym głosem, kłaniając się głęboko. - Jak brzmiało twoje pytanie?

Pharaun odwrócił się gwałtownie, wykazując nagłe zainteresowanie pakowaniem czarodziejskich ksiąg do plecaka.

- Jakie stwory możemy napotkać? - podpowiedział Hsiv.

- Cisza! - zgromiła go Quenthel. - Sama potrafię zadawać pytania. - Potem dodała na głos: - Z czym będziemy walczyć tym razem?

Podnosząc głowę, Valas spojrzał jej w oczy.

- Z widmami - rzekł. - Dziesiątkami widm.

To ostudziło Quenthel. Widma były niebezpiecznymi istotami, mrocznymi i bezcielesnymi. Ich najłżejszy dotyk mógł w jednej chwili wyssać z żywej istoty wszystkie siły życiowe, których nie mogła jej przywrócić nawet magia uzdrawiająca. Te wysączone istoty same stawały się nieumarłymi karykaturami dawnych siebie, żywiącymi się własnymi pobratymcami. Nieliczne zwyczajne drowy widziały widmo nie mówiąc już o kilkudziesięciu i przeżyły to spotkanie.

A tym właśnie stała się Quenthel, zwyczajnym drowem. Gdyby Lolth nie umilkła, Quenthel mogłaby za pomocą magii odpędzić widma od siebie, przeganiając je jak wiatr chmury po niebie, ale bez niej była bezsilna jak każdy inny drow. Myśl o spotkaniu z kilkoma widmami w sytuacji, gdy nie była w stanie ich odpędzić, przyprawiała ją o drzenie.

Potem przypomniała sobie, że waży się los całej rasy drowów. Musiała znaleźć statek chaosu - była to jedyna szansa dostania się do Otchłani i odkrycia, co się stało z Lolth. A to oznaczało konieczność dotarcia do Jeziora Cieni. Potem, kiedy Lolth przywróci drowkom ich magię, Quenthel wróci triumfalnie do Menzoberranzan. Może nawet pozbędzie się Triel, aby zasiąść na tronie najpotężniejszego domu w mieście.

- Tak, - zasyczał Hsiv. - Urodziłaś się, aby rządzić. Musi ci się udać.

Ignorując go, Quenthel znów zwróciła się do Valasa.

- Powiedz mi coś więcej o tym portalu - rozkazała. - Skąd o nim wiesz?

- Usłyszałem o nim od pewnego rzezimieszka - odpowiedział Valas z lekkim ukłonem - dziwnego człowieka pochodzącego z Gracklstugh. Dowiedział się o skarbcu pod Myth Drannor, w którym ponoć elfy z powierzchni ukryły podczas Odwrotu swoje skarby. Znalazł sposób, aby dostać się tam z Podmroku, ale skarbiec był pusty - jeśli nie liczyć widm. Zabiły czterech jego towarzyszy i

niewiele brakowało, a zabiłyby i jego, ale uratował życie, skacząc w portal. Portal prowadził na wąską półkę skalną nad Jeziorem Cieni. Na szczęście miał pierścień umożliwiający lewitację, inaczej wciąż tkwiłby w jaskini.

Quenthel słuchała, kiwając głową.

- Czy widma ścigały go przez portal? - zapytała.

- Nie. Twierdził, że przepuszcza tylko żywe istoty.

Quenthel zastanawiała się chwilę, a potem zapytała:

- Czy zauważył coś, co mogło być statkiem chaosu?

Valas potrząsnął głową.

- Nic mi o tym nie wspominał. Ale jezioro Cieni jest szerokie - mierzy wszczegółoko - i głębokie. Jeśli statek zatonął, niczego nie byłoby widać.

- Ten opryszek mówił o „dziesiątkach” widm?

Valas kiwnął głową.

- Dokładnie tak się wyraził.

- Z pewnością przesadzał. Jakiej był rasy?

Valas zmarszczył brwi.

- Rzezimieszek? - zapytał. - Twierdził, że jest człowiekiem, choć nie był wyższy od duergara.

- Ludzie - prychnęła Quenthel. - Tchórzliwa rasa. Pewnie było tam wszystkiego mniej niż pół tuzina widm. Dzięki zaklęciom Pharauna i naszej magicznej broni z łatwością je pokonamy.

Valas otworzył usta może chciał zauważyć, że nawet pół tuzina widm to za dużo ale zaraz je zamknął.

Tymczasem Quenthel zrobiła w myślach szybki bilans. Valas, zwinny i szybki, będzie potrafił podkraść się od tyłu do widma i zabić go magicznym sztyletem. Pharaun dysponował arsenałem potężnych zaklęć ochronnych. Jeggred będzie osłaniał ją za wszelką cenę, rzucając się na widma, jeśli zajdzie taka potrzeba. I Danifae.

Quenthel zastanowiła się. Na co mogła im się właściwie przydać branka? O tak, płaszczyła się uroczo, gdy wyczuwała zagrożenie i była gotowa dostarczać rozkoszy, ale Quenthel czasem dostrzegła w jej oczach spojrzenie, które wcale jej się nie podobało. Wcale a wcale.

Mimo to Danifae była w razie potrzeby wprawna wojowniczką. Noszony przez nią morgensztern nie był dziecinną zabawką. Gdyby poświęcenie kogoś okazało się konieczne, można było zostawić ją widmom. Prawdę mówiąc, Quenthel wolałaby pozbyć się Pharauna, choć musiała przyznać, że jego doświadczenie w postępowaniu z demonami przyda się, kiedy wreszcie odnajdą statek chaosu.

Nie, musi dopilnować, żeby mag przeżył spotkanie z widmami. Co oznacza, że jeśli życie Danifae znajdzie się w niebezpieczeństwie, mag nie może próbować jej bronić.

- Poradzimy sobie z widmami - oświadczyła pozostałym. - Dotrzemy do portalu. - A potem, w myślach, tak że tylko jej zmię mogły ją usłyszeć, dodała: - A przynajmniej niektórzy z nas.

ROZDZIAŁ 24

Gromph szedł jednym z głównych korytarzy Sorcere, a zaraz za nim dreptała Kyorli i Prath uginający się pod ciężarem magicznych ksiąg, które Gromph zebrał w pośpiechu. Ponieważ duergarowie zostali wyparci z Tier Breche, a tunel zapieczętowany, większość studentów spieszyła na wezwanie swoich domów. Obładowani księgami czarów i magicznymi przyrządami uczniowie biegali korytarzem w różne strony, a za nimi pędziły na pajęczych odnóżach chodzące skrzynie.

Idący szybkim krokiem Gromph trzymał przy ustach krążek miedzianego drutu.

- Czarodzieje domu Baenre - zawołał przez magiczny drut. - Natychmiast dołączcie do mnie w komnacie jasnowidzenia.

Drut zabuczał, wysyłając przez palce Grompha falę mrowienia. Potem rozżarzył się matową czerwienią i skruszył. Strzepując z palców płatki miedzi, Gromph pchnął ciężkie podwoje komnaty jasnowidzenia i wkroczył do środka.

Podobnie jak w pozostałych częściach Sorcere, ściany przestronnej, okrągłej komnaty były obite taflami sprasowanego ołowiu i powleczone stiukami z krwi gorgony i magicznego pyłu. Na ich powierzchni wytłoczono runy, które następnie pociągnięto złotem, aby zapobiec niepożądanym najściom czy obserwacji. Żaden czarodziej, nawet najpotężniejszy, nie mógł się przez nie teleportować, ani sondować umysłów zebranych w sali uczniów i mistrzów.

Z komnaty można było jednak wyjrzeć na zewnątrz, a to dzięki ogromnej kryształowej kuli unoszącej się w powietrzu na środku pomieszczenia. Wewnątrz sfery zostało magicznie uwięzione oko orła utrzymanego tuż pod nią w połączanej klatce. Gdy Gromph i Prath weszli do środka, orzeł zatrzepotał skrzydłami i zaskrzeczał z podniecenia, mrugając jednym okiem. Kula nad nim obróciła się, zwracając ku dwóm drowom. Drugie oko orła, które wypełniało całe wnętrze kryształowej sfery, wbiło w nich żarłoczne spojrzenie.

A raczej w Kyorli. Klapiąc dziobem, orzeł znów zaskrzeczał i rzucił się na pręty klatki. Szczurzyca, drażniąc się z nim, usiadła na tylnych łapach nie dalej niż krok od klatki i zaczęła myć wąsiki, lekceważąc oszalałe trzepotanie skrzydłami.

- *Kyorli*, przesłań, rozkazał Gromph. *Chodź tutaj.*

Wykonując telepatyczne polecenie, Kyorli opadła na cztery łapy i podbiegła do swojego pana. Wspięła się szybko po jego piwafwi i usadowiła mu na ramieniu, łaskocząc go w ucho wąsami. Tymczasem Prath pochylił się, żeby położyć przyniesione księgi na podłodze.

- Orzeł jest głodny - zwrócił się do ucznia Gromph. - Znajdź mu surowe mięso, ale nie obcinaj już sobie koniuszków palców. Będą ci potrzebne.

Prath wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Pomyślałem, że będzie ci jeszcze potrzebne, arcymagu - powiedział, sięgając do jednej z sakw przewieszonych przez ramię. - Więc wracając z magazynu komponentów wstąpiłem do kuchni. Kucharz dał mi to.

Wyciągnął nawoskowaną szmatę, z której odwinął kawał mięsa wielkości pięści. Widząc, że Gromph kiwa głową z aprobatą, przysunął go do prętów klatki. Orzeł rzucił się żarłocznie na mięso, odrywając zakrzywionym dziobem zakrwawione kawałki, aż w końcu udało mu się wciągnąć do środka spory ochłap. Zajął się nim zadowolony i wkrótce z mięsa została tylko plama krwi na podłodze klatki.

Tymczasem Gromph witał wpadających do komnaty czarodziejów domu Baenre i wskazywał im miejsca na krzesłach otaczających kręgiem klatkę i szklaną kulę. Z zadowoleniem odnotował obecność Julianiego, mistrza wywołań. Nauczyciel uklonił się arcymagowi, dotykając piersi długimi, giętkimi palcami. Po nim pojawiła się para studentów dziesiątego roku. Grendan był przystojnym mężczyzną mającym wrodzony talent do tworzenia iluzji. Gromph był ciekaw, na ile jego wygląd jest rzeczywisty, a na ile wzmocniony magią, zwłaszcza że wokół studenta unosił się swąd przypalonych włosów. Sądząc po dziurach wypalonych w kapturze jego piwafwi, musiał zostać ochłapany zawartością jednej z krasnoludzkich bomb zapalających.

Jego towarzyszka, Noori, była równie piękna. Miała kształtne brwi, a jej białe włosy opadały na plecy miękkimi falami. Była wysoko urodzoną drowką, kuzynką Grompha i Triel, ale zrezygnowała z czczenia Lolth, aby wstąpić do Sorcere i studiować wieszczenie. Przypominając sobie o tym, Gromph zadał sobie pytanie czy Noori mogła mieć przed tylu laty przecucie, że Lolth upadnie. Bez wątpienia udawało jej się unikać niebezpieczeństw podczas ostatniej bitwy. Nie miała na sobie żadnych śladów

walki - nawet smużki sadzy.

Ostatnim magiem, który wszedł do komnaty, był Zoran, irytujący student drugiego roku, który na zajęciach zawsze dokonywał złych wyborów, używając magii w lekkomyślny, niestosowny sposób. Gromph wzdrygnął się na jego widok, zwłaszcza kiedy zauważył za pasem chłopaka różdżkę cudów. Zoran był drobny, nawet jak na mężczyznę, i miał cofnięty podbródek, co jeszcze bardziej podkreślała jego fryzura - włosy zebrane w kucyk na czubku głowy. Musiał zostać ranny w niedawnej bitwie. Gromph nie przypominał sobie, żeby przedtem utykał.

Gdy czwórka magów usiadła na krzesłach, czekając w ciszy na polecenia, Gromph otworzył jedno skrzydło drzwi komnaty jasnowidzenia i wyjrzał na korytarz. Widząc, że z żadnej ze stron nikt nie nadchodzi, powoli je zamknął.

- To już wszyscy? - zapytał Julaniego. - Nie ma już nikogo z naszego domu?
Mistrz wywołań potrząsnął głową.

- Tylko Nauzhror - powiedział - który przeprasza, że nie może się stawić. Jest zbyt... zajęty. Reszta nie żyje, albo jest ciężko ranna i została przeniesiona do Arach-Tinilith na leczenie.

Lekkie zmrużenie oczu Julaniego powiedziało Gromphowi, że on też wie, jak niewiele magii uzdrawiającej pozostało kapłankom.

Gromph westchnął. Zostało tak niewiele magów Baenre - i tylko jeden z nich był mistrzem. Rzucił na drzwi komnaty zakłęcie zamykające, gestem polecił Prathowi zająć miejsce, a potem sam usiadł na przypominającym tron krześle kontrolującym kryształową kulę.

- Zapraszam do przyjrzenia się naszym wrogom - zwrócił się do pozostałych czarodziejów. - Patrzcie.

Strzepnięciem palca sprawił, że niewidzialna dłoń trąciła kryształową kulę i oko skierowało się na południową ścianę. Ptak w klatce pod spodem ucichł i znieruchomiał ze zwiniętymi skrzydłami i szponami zaciśniętymi na drążku. Koncentrując się, Gromph spojrział okiem orła.

Ściany Sorcere wydawały się rozpylić, a chwilę później patrzył już na Arach-Tinilith. Jego przenikliwy wzrok ominął budynek w kształcie pająka i przebił ściany jaskini, skały, tunele, znowu skały... aż wreszcie spoczął na jaskini, w której stały cztery osoby. Jedną z nich był drow odziany w nienagannie skrojony szary strój. Obok niego stał demon znany, przynajmniej ze słyszenia, im wszystkim. Dwaj pozostali byli duergarami, przysadzistymi i siwymi. Jeden miał na twarzy bliźnięcą biegnącą przez cały policzek, drugi dzierżył w dłoni kamienne berło.

Zatrzymując oko na tej scenie, Gromph wycofał świadomość do własnego ciała. Postacie wewnątrz kryształowej kuli gestykulowały i rozmawiały gniewnymi głosami, sądząc po sposobie, w jaki duergar uderzał kamiennym berłem w dłoń, gdy półdemon nachylał się nad nim, szczerząc ostre, rekinie zęby we wściekłym grymasie. Drow odwracał się to do demona, to dwóch drowów, mówiąc coś szybko i wykonując uspokajające gesty.

Pozostali czarodzieje zamyśleni wpatrywali się w magiczną kulę.

- To przywódcy oblegającej nas armii? - zapytał Julani.

Oparł łokcie na poręczach krzesła, a pomiędzy złożonymi czubkami jego palców przebiegały gniewne iskry.

- Rozpoznaję księcia Horgara z Gracklstugh i jego ochroniarza, a to pewnie Kaanyr Vhok? - zapytał Grendan.

- We własnej osobie - potwierdziła Noori. - Tanarukowie atakujący nas od południa to jego Znękany Legion.

- Zostaje jeszcze jeden - rzekł Gromph.

- Ten w środku, drow - powiedział Prath, zaciskając pięści. - To Zhayemd, ten drań z domu Agrach Dyrr, który zdradził nas pod Słupami Żalu.

- Naprawdę nazywa się Nimor - rzekł Gromph. - Nimor Imphraezl.

- Jest czarodziejem? - zapytał Julani.

- Nie sędzę - odparł arcymag. - Choć otacza go silna aura magiczna. Myślę, że jest kimś więcej niż wydawałoby się na pierwszy rzut oka. I z pewnością ma wiele magicznych przedmiotów. Wyczuwam magiczną aurę wokół jego broni, kilku części odzienia, jego pierścieni...

Urwał na chwilę, przyglądając się dwóm noszonym przez mężczyznę pierścieniom. W jednym z nich rozpoznał przedmiot ochronny, ale drugi wąska czarna obrączka, która wydawała się równie niematerialna jak smuga cienia - był dość niezwykły. Gromph nigdy nie widział czegoś podobnego.

Nagle arcymag zrozumiał, co to musi być. Odkąd Triel powiedziała mu, że Nimor zdołał przemyścić skrytobójcę do wewnętrznych korytarzy wielkiego kopca domu Baenre, Gromph zachodził w głowę, jak mu się to udało.

Czarny pierścień na palcu Nimora musiał być magicznym przedmiotem umożliwiającym wędrowanie przez cienie. To czyniło go trudnym przeciwnikiem. Dobrze, że czarodzieje uderzali z daleka, pod osłoną niewidzialności. Inaczej Nimor mógł im po prostu zniknąć, wkraczając w cienie.

Potrząsając głową, Gromph ciągnął dalej:

- Nasza matka opiekunka dowiedziała się, że Nimor należy do organizacji o nazwie Jazred Chaulssin. Niestety, oprócz tej nazwy wiemy o niej niewiele więcej.

Zoran bawił się bezwiednie swoją różdżką, obracając ją w palcach.

- Znamy zatem jego imię. I co z tego? - zapytał bezczelnie.

Gromph oparł się pokusie usmażenia chłopaka tam, gdzie siedział.

- Imię to władza - powiedział, zwracając się do pozostałych. - Pomoże nam zdefiniować cel. Cel, który wydaje się scalać dwie nieprzyjacielskie armie. - Wskazał postaci w kryształowej kuli. Nie zaczęły się jeszcze bić, ale wciąż się klóciły. - Jeśli go usuniemy, sojusz rozpadnie się. Duergarowie i tanarukowie rzucają się sobie do gardeł, a Menzoberranzan odniesie zwycięstwo.

Julani spojrział na Grompha.

- Co w takim razie proponujesz, mistrzu?

- Zmasowany atak - odparł arcymag. - Wszyscy naraz rzucimy na niego nasze najbardziej zabójcze zaklęcia. Nimor z pewnością odeprze część z nich, ale część musi go osiągnąć.

Prath wstał z krzesła, zdejmując wieko noszonego przy boku futerału na różdżki.

- Czy teleportujemy się do jaskini? - zapytał.

Gromph gestem polecił porywczemu młodzieńcowi usiąść z powrotem.

- Nie będzie to konieczne - rzekł. - Możemy rzucać zaklęcia stąd.

Grendan uniósł idealnie wygiętą brew.

- Jak? - zapytał.

- Przez nią - powiedział Gromph, wskazując kryształową kulę - Nadałem jej... pewne dodatkowe właściwości, ale musicie obiecać mi, że zachowacie tę wiedzę w tajemnicy.

- Ach - westchnął Julani. - Więc dlatego wezwałeś tylko magów Baenre. - Przyłożył koniuszki zwiniętych palców do piersi nad sercem. - Niech strawi mnie jad Lolth, jeśli kiedykolwiek wyjawię to, co tu usłyszę.

Gromph spojrział po kolei na każdego z magów, którzy jeden po drugim kiwali głowami i składali przysięgę milczenia.

- Ta kula służy nie tylko do jasnowidzenia - oznajmił Gromph pozostałym czarodziejom. - Gdy zostanie nakierowana, można przez nią rzucać zaklęcia w wybrany cel, w tym przypadku w Nimora. Umożliwia rzucanie nie tylko zaklęć działających w zasięgu wzroku, ale także tych ograniczonych odległością. A więc, jakie są wasze najpotężniejsze zaklęcia?

Jeden po drugim, magowie opisywali zaklęcia, które mogą rzucić. Gromph odrzucił kilka sugestii i zaaprobował inne. Kiedy przyszła kolej na Noori, czarodziejka rozłożyła ręce.

- Nie wiem czy moje zaklęcia na coś się przydadzą - powiedziała pokornie. - To prawie wyłącznie wieszczenia.

Gromph uśmiechnął się.

- Wręcz przeciwnie, Noori, to ty dostarczysz nam najbardziej przydatnego zaklęcia. Aby użyć kryształowej kuli, musimy najpierw rzucić czar, który wskaże osobnika, którego chcemy zaatakować. To twoja rola. Rzuć, proszę, zaklęcie lokalizujące.

Z lekkim ukłonem, który nie do końca skrył jej uśmiech, Noori wstała. Wyciągnęła z kieszeni skrawek futra i przetarła nim powierzchnię szklanej kuli. Kula zbliżyła postać Nimora, tak że wypełniły ją w całości jego głowa i pierś.

Gdy Gromph skinął głową, czarodziejka wróciła na swoje miejsce. Arcymag zauważył, że Nimor powiódł za nią wzrokiem. Czyżby drow wyczuł, że ktoś go obserwuje i rozejrzał się, aby ustalić skąd? Nieważne, wkrótce będzie się uchylał przed ich zaklęciami.

Gromph wyciągnął z kieszeni piwafwi szczyptę soli i wyrzucił ją w powietrze przed sobą, recytując słowa prostego zaklęcia stwarzającego. Na szczycie klatki orła pojawiła się maleńka klepsydra, a piasek w górnym naczyniu zaczął się przesypywać w dół.

- Rzućcie swoje zaklęcia, kiedy spadnie ostatnie ziarnko - polecił pozostałym. - Dopilnujcie, żeby skończyć je dokładnie w tym samym momencie.

Upewniwszy się, że ma przy sobie wszystkie ochronne przedmioty i upchnąwszy Kyorli bezpiecznie w kieszeni, Gromph zaczął tkąć własne zaklęcie.

Wybrał czar nekromantyczny, jeden z najpotężniejszych w swoim arsenale. Powoli, nie spuszczać oka z klepsydry, wypowiadał ochryple słowa, których surowa moc drapała go w gardle, które zaczęło krwawić. Jak przez mgłę był świadomy czarów rzucanych przez pozostałych magów.

Julani trzymał obie dłonie przed sobą, z dwoma wskazującymi palcami rozwidłonymi w geście przyzywającym potężny grom, zaś Grendan ugniatał palcami powietrze, tworząc hipnotyczną falę mieniących się barw. Prath wybrał wezwanie magicznego pocisku słabe zaklęcie, ale najlepsze, na jakie stać było studenta pierwszego roku. Zoran natomiast rozparł się wygodnie w swoim krześle, a w kącikach jego ust igrał uśmiech. Gromph pragnął sprawić bezczelnemu młodzikowi magiczną chłostę, ale nie śmiał przerwać własnego zaklęcia. Klepsydra była już prawie pusta.

Gdy ostatnie ziarnko piasku spadło w dół, Gromph wymówił końcowe słowo swojego zaklęcia i usłyszał, że pozostali robią to samo. Jego palec wskazujący zmienił się na moment w kość szkieletu, a z koniuszka wystrzelił cienki promień bieli, który przeszył kryształową kulę, trafiając Nimora w pierś. W tej samej chwili z palców Julaniego wystrzeliła błyskawica, wypełniając powietrze hukami gromu i zapachem ozonu. Hipnotyczny wzór Brendana pomknął w stronę ofiary. Zoran twierdził, że rzuci zaklęcie, które obezwładni Nimora, przyprawiając go o niepohamowany atak śmiechu, ale zamiast tego wyciągnął różdżkę cudów. Z jej końca wyprysnął beużyteczny strumień klejnotów. Tymczasem trzy magiczne pociski wyczarowane przez Pratha zgodnie z oczekiwaniem Grompha odbiły się od jakiejś magicznej osłony otaczającej Nimora, nie czyniąc mu żadnej krzywdy.

Nie, odbiły się rykoszetem prosto w chłopca. Co było niemożliwe.

Gromph spróbował ostrzec pozostałych, ale zdołał tylko krzyknąć:

- Osłońcie się! Zaklęcia...

Jego własne zabójcze zaklęcie pomknęło ku arcymagowi. Trupio biały promień, zimny jak grób, uderzył go w pierś, dokładnie w to samo miejsce, w które miał trafić Nimora. Zaklęte piwafwi Grompha wchłonęło czar, ale kaptur, mankiety i rąbek natychmiast rozpadły się jak stary, zetlały materiał. Mimo to zaklęcie rzuciło nim w bok, jak gdyby dostał w głowę kopytem rothe. Wyleciał z krzesła i zwałił się na podłogę.

Padając, usłyszał stęknienie Pratha. Trzy magiczne pociski uderzyły w pierś chłopca, wyrwijając w niej trzy głębokie, krwawe dziury. W tej samej chwili bliźniacze gromy poraziły Julaniego, w niecałe uderzenie serca przeszły jego ciało i wybuchły z jego dłoni, stóp i głowy, zabijając go na miejscu. Grendan otworzył szeroko usta, gdy przed jego twarzą pojawił się w powietrzu hipnotyczny wzór. Siedzący obok niego Zoran wyrzucił w górę ręce, uderzony w pierś strumieniem klejnotów z własnej różdżki. Jeden z nich trafił go w głowę, wybijając z niej resztki rozsądku i młodzieniec upadł bez przytomności na ziemię.

Gromph uniósł głowę w samą porę, żeby zobaczyć, jak kryształowa kula robi się mlecznobiała. Spadła z hukiem na ziemię, przewracając klatkę orla i roztrzaskując się na dwoje. Wewnątrz klatki orzeł zaskrzeczał z bólu, gdy brakująca gałka oczna, rozszczepiona na dwoje i brocząc krwią, wróciła do oczodołu.

Gromph rozglądał się po poboju będącym efektem jego planu i był na siebie wściekły. Jego eksperyment okazał się tragiczny w skutkach dla domu Baenre. Julani nie żył, a Prath, sądząc po jego ciężkim, charczącym oddechu, wkrótce umrze, jeśli natychmiast nie otrzyma magicznej pomocy. Grendan będzie przez najbliższy czas śliniącym się idiotą, a Zoran... cóż, zasłużył sobie na utratę przytomności, rzucając tak cudaczny czar w godzinie próby. Noori nic się nie stało, ale potrafiła tylko wieszczyć. Poza tym była zbyt zajęta rozpaczaniem nad swoim kochankiem, aby móc się na coś przydać, nawet gdyby znała potężniejsze zaklęcia.

Gromph spodziewał się, że Nimora chronić będzie przed wrogimi zaklęciami jakaś magia, ale powinien był odbić tylko kilka z nich - nie wszystkie. I z pewnością nie te zaklęcia, jak na przykład hipnotyczny wzór, które były wycelowane w powietrze obok niego, a nie w niego samego. Zaklęcie albo przedmiot chroniący Nimora musiały powstać za sprawą unikalnego czaru - czaru wykraczającego poza zdolności większości śmiertelnych czarodziejów.

Gromph znał tylko jednego czarodzieja władającego tak potężną magią: liczdrowa Dyrra.

Rozluźniając się, Gromph z ulgą zobaczył, jak Kyorli, cała i zdrowa, wybiega mu z rękawa. Gdy podnosił się do pozycji siedzącej, coś ostrego wbiło mu się w biodro. Pomyślał, że to jeden z bezużytecznych klejnotów Zorana, ale uświadomił sobie, że to coś w kieszeni na biodrze piwafwi. Sięgnął do niej i ku swojemu zdumieniu odkrył pryzmat kwarcu. Wewnątrz pryzmatu tańczyły żółte iskierki jasne jak miniaturowe słońca, dowód uwięzionej w środku magii tworzącej światło.

Jak dostał się do jego kieszeni?

Wpatrywał się w niego z roztargnieniem, jednym uchem słuchając chrapliwego, bulgoczącego oddechu Pratha. Przez cały czas myślał intensywnie. Musi sam poradzić sobie z Nimorem - ale jak? Każdy czar wymierzony w dziwnego drowa musiał się zwrócić przeciwko temu, kto go rzucił - nawet zaklęcia wpływające na obszar, a nie na samego Nimora, nie mogły go uśmiercić. Musiał jednak mieć jakiś słaby punkt. Punkt, który pozornie wydawał się być jego największą siłą...

Wędrowanie przez cienie.

Zerkając na pryzmat, Gromph zaczął się uśmiechać. Ostrożnie wsunął go z powrotem do kieszeni. Ten niepozorny magiczny przedmiot, trywialny wytwór Krain Ponad, który miał służyć do tak prozaicznego celu jak oświetlanie mrocznych korytarzy, miał pozwolić im pozbyć się Nimora Imphraezla.

Bez konieczności rzucania żadnych czarów.

ROZDZIAŁ 25

Powietrze wypełnił chór niemal pięćdziesięciu głosów, gdy kapłanki Eilistraee siedzące wokół rdzawego głazu zaniosły się wieczorną pieśnią, oddając cześć swojej bogini. Halisstra siedziała wśród nich po jednej stronie krateru, który powstał, gdy wieki temu z nieba spadł w to miejsce głaz. Krater miał kształt misy, mierzył wszerek kilkadziesiąt kroków, a jego krawędzie wygładziła warstewka śniegu.

Wieczorna pieśń była formą dziękczynienia za las, który je żywił, za słońce, które zachodziło za drzewa, wypełniając niebo różowawym światłem, za księżyc, który rozświetlał ciemności, przypominając drowom, że nawet w nocy bogini wciąż czuwa nad swoimi dziećmi i za ziemię pod stopami, która dawała im żelazo potrzebne do wykuwania mieczy.

- Z głębin mrocznej ziemi i w płomienie białe - śpiewała Halisstra razem z innymi kapłankami - hartuję swe serce w imię Eilistraee.

Choć wieczorna pieśń była radosna, tej nocy pobrzmiwał w niej gniew. Na wieść o śmierci siostry zabitej przez yochlola kapłanki z całego lasu zebrały się, aby oddać cześć poległej kobiecie. Z lasu wylaniało się coraz więcej kapłanek, które włączały się do kręgu. Ubrane w kolczugi i z tarczami w dłoni, siadały obok pozostałych ze skrzyżowanymi nogami i nagimi mieczami na kolanach i śpiewały.

Gdy skończyły, Uluyara wstała i zeszła w dół zbocza do głazu. Położyła na nim lewą dłoń, a trzymany w prawej ręce miecz wzniosła ku niebu, przyzywając boginię.

- Eilistraee, wysłuchaj mnie - zawołała. - Śmierć Breeny zostanie pomszczona. Wytropimy sługi Pajęczej Królowej i uśmiercimy je. Mroczna Pani, daj nam siłę.

Kapłanki jak jeden mąż uniosły swoje miecze do góry i krzyknęły:

- Na pieśń i miecz!

Halisstra zbyt późno dołączyła do nich, wyciągając własny miecz ku niebu. Zerknęła nerwowo na kapłanki po swoich obu stronach, niepokojąc się, że uznają jej opieszałość za oznakę braku wiary, albo popatrzą krzywo na brakujący sztych miecza. Ale kapłanki, całkowicie pochłonięte obrzędem, spoglądały wzdłuż swoich kling w niebo.

- Mogą próbować uciekać po powierzchni, mogą próbować skryć się w mrocznych głębinach Lolth, i tak ich znajdziemy - ciągnęła Uluyara, a ogień w jej czerwonych oczach dorównywał płomiennej czerwieni zachodzącego słońca. - Zemścimy się i będziemy tańczyć z radością, gdy upadną. Pani Tańca, daj nam siłę!

Halisstra była gotowa.

- Na pieśń i miecz! - zakrzyknęła, wyrzucając miecz w powietrze równocześnie z innymi.

- Przedrzemy się przez sieć ich kłamstw i zdrady i zniszczymy wszystkich, którzy przeszkadzają mrocznym dzieciom zając należne im miejsce w świetle - ciągnęła Uluyara. - Srebrzystowłosa Pani, daj nam siłę!

- Na pieśń i miecz! - odkrzyknęły kapłanki.

Potem wszystkie razem wstały, a Halisstra szybko do nich dołączyła.

- Lolth zostanie pokonana! - zawołała Uluyara. Klinga jej miecza lśniła zimnym, białym światłem. - Eilistraee, daj nam siłę!

- Na pieśń i miecz! - krzyknęły kapłanki, wznosząc miecze po raz czwarty i ostatni. Potem odwróciły je i wbiły w ziemię, krzycząc: - Lolth musi umrzeć!

Halisstra wykrzyczała pierwszą odpowiedź razem z innymi kapłankami, ale była zaskoczona, gdy wbiły miecze w ziemię, zamiast wyciągnąć je w górę. Uderzenie serca za pozostałymi wbiła muzyczny miecz Seyll w ziemię, z całej siły wpychając stępione ostrze w glebę.

- Lolth musi umrzeć! - krzyknęła, zdając sobie nagle sprawę, że jej głos jest osamotniony w ciszy, która nagle zapadła.

Podniosła oczy i odkryła, że wszystkie na nią patrzą - zwłaszcza Uluyara. Wysoka kapłanka wbiła sztych swojego miecza nie w ziemię, lecz w głaz. Przez chwilę kamień przypominał Halisstrze zabitego pająka, czerwone smugi rdzy przywodziły na myśl krew. Gdy Uluyara odrzuciła do tyłu włosy, srebrzysty blask rzucany przez klingę jej miecza odbił się w nich, przez co roziskrzyły się księżycowym blaskiem. Skinęła na Halisstrę.

Postanawiając po chwili wahania zostawić miecz tam, gdzie wbiła go w ziemię, Halisstra podeszła do wysokiej kapłanki. Uluyara wyciągnęła do niej rękę, a gdy dziewczyna podała jej dłoń, położyła ją na rękojeści miecza wbitego w głaz.

- Ta kapłanka zajmuje specjalne miejsce w sercu Eilistraee, choć dopiero niedawno wyrzekła się Królowej Pająków - powiedziała Uluyara do pozostałych. - Niech Pani Tańca pobłogosławi ją i poprowadzi jej miecz. Eilistraee, daj jej siłę.

Halisstra, z dłonią wilgotną od potu, wymówiła rytualną odpowiedź:

- Na pieśń i miecz.

Gdy to powiedziała, trzymany przez nią miecz zadrżał lekko. A potem, jak gdyby sam z siebie, wsunął się głębiej w kamień. Halisstra, wciąż trzymając rękojeść, wepchnęła ją jeszcze głębiej, aż rękojeść stuknęła o kamień z głuchym brzękiem.

- Na pieśń i miecz! - zakrzyknęła reszta kapłanek.

Potem jednocześnie wybuchły pieśnią, wywijając mieczami nad głową. Chwilę później tańczyły w kręgu wokół wielkiego głazu.

Halisstra, wciąż ściskając mocno miecz, poczuła, jak Uluyara kładzie rękę na jej dłoniach.

- Chodź - powiedziała wysoka kapłanka. - Przyłącz się do tańca. Kiedy skończymy, będę chciała coś z tobą omówić.

Halisstra skinęła głową i pozwoliła się poprowadzić w wir tańczących. Po drodze wyrwała z ziemi miecz Seyll i zamachała nim nad głową. Gdy poruszała się z gracją pomiędzy pozostałymi, błyskając mieczem, czuła, że Eilistraee spogląda na nią z góry. Nie na taniec, ale właśnie na nią. Zdumiona, uświadomiła sobie, że bogini ma wobec niej jakiś plan o doniosłym znaczeniu. Czy stanie na wysokości zadania? Ona, która tak jak yochlol podstępnie zdradziła jedną z kapłanek Eilistraee?

Tańcząc, czuła na sobie jeszcze jedną parę oczu. Nie należały do bogini, lecz do śmiertelnika. Omiotła wzrokiem drzewa okalające krater, szukając znajomej plamy zbyt głębokiego cienia, błysku bieli oznaczającego śledzące ją oczy. W końcu je znalazła, wysoko w gałęziach i wiedziała, że w tym miejscu lewituje Ryld.

Widząc go - a raczej ledwo uchwytnie oznaki jego obecności - Halisstra poczuła w sercu zimno. Mężczyznom nie wolno było obserwować wieczornego rytuału. Śledzenie obrzędu o takim ładunku emocjonalnym musiało prowadzić do nieszczęścia. W każdej chwili któraś z kapłanek mogła zauważyć fehmistrza i ukarać za to wykroczenie, czyniąc go ślepym, głuchym albo niemową. Z tego co Halisstra wiedziała, mogła go ukarać sama Eilistraee, rażąc go swoim zimnym ogniem, który zabił fazowego pająka.

Takie ponure myśli wypełniły jej umysł, gdy tańczyła wraz z innymi kapłankami po okręgu, na chwilę odwracając się do Rylda plecami i tracąc go z oczu. Gdy znów znalazła się po drugiej stronie krateru, rzuciła okiem na miejsce, gdzie się ukrył - ostrożnie, żeby nie ściągnąć na niego uwagi pozostałych kapłanek.

Ryld zniknął.

* * *

Zbliżając się do chatki, w której zakwaterowano ich z Halisstrą, Ryld był tak zamyślony, że z początku nie zareagował na słaby zapach piżma, który uderzył go w nozdrza, gdy wiatr się zmienił. Myślami był przy tańcu, który obserwował z ukrycia, i nawróceniu Halisstry, ciałem i duszą, na wiarę w boginię, która skazywała ją na wieczne życie w Świecie Ponad. Dopiero w ostatniej chwili, gdy plama cienia w zaroślach po jego prawej ręce nagle się poruszyła, odskoczył w tył. Zanim dobył Rozpruwacza z pochwy na plecach, na ścieżkę przed nim wyskoczył czarny wilk, zastępując mu drogę. Ale zamiast zaatakować, przekrzywił głowę w bok i wyszczerzył zęby, wywalając jęzor na wierzch. Jego ciałem targnęła fala, pod którą się zachwiał. Ryld usłyszał trzeszczenie chrząstki i zwierzę przedzierzgnęło się w umorusanego chłopca.

- Gdyby wiatr się nie zmienił, podszedłbym cię - powiedział Yarno.

Ryld uśmiechnął się z aprobatą i schował miecz. Potem, słysząc kobiece głosy w lesie za plecami, rzucił chłopcu chmurne spojrzenie.

- Nie powinno cię tu być - powiedział. - Jeśli kapłanki znajdą cię w swoim świętym gaju...

Chłopak zmrużył oczy i zapytał:

- Ile zdołałeś zabić?

Ryld dopiero po chwili zrozumiał, o co pyta. Studenci w Melee-Magthere często zadawali mu to pytanie - pytanie, na które nigdy nie odpowiadał. „Dumny pająk wpada we własną sieć” mawiał, przypominając im, że ukrywana waleczność jest bronią samą w sobie. Ale Yarno pytał o kapłanki, co

przypomniało mu o przysiędze, którą złożył chłopcu.

- Nie zabiły Halisstry - powiedział.

Chłopiec podrapał się po uchu.

- Uratowałeś ją? - zapytał. - Więc co tu jeszcze...

Słyszając kroki na ścieżce, Ryld spróbował przegonić chłopca.

- Uciekaj - rozkazał fehmistrz. - Szybko. Jeśli cię tu znajdą...

Widząc, jak Yarno tężeje, Ryld obrócił się, dobywając znów Rozpruwacza. Zalała go fala ulgi, gdy zobaczył, że to tylko Halisstra - kapłanka, z którą rozmawiała, musiała skrócić w inną ścieżkę. Zatrzymała się raptownie na widok Yarno i zmarszczyła brwi, a Ryld jęknął, zdając sobie sprawę, co się dzieje. Kątem oka dostrzegł, że chłopiec z powrotem zmienia się w wilka, co było najgorszą rzeczą, jaką mógł w tej chwili zrobić. Gdyby zachował ludzką postać, Ryld mógłby powiedzieć, że jest wygnańcem, ale...

- Potwór! - sapnęła Halisstra.

W tej samej chwili Yarno rzucił się na nią. Na szczęście Ryld był szybszy. Upuszczając Rozpruwacza, chwycił wilkołaka za tylne łapy i grzmotnął nim o ziemię.

- Przestań - stęknął Ryld przez zaciśnięte zęby. Yarno wił mu się w ramionach, szczerząc kły w groźnym grymasie i starając się capnąć Halisstrę. - To pani Melarn. Ta, którą przyszedłem tu ocalić.

Tymczasem Halisstra wyrwała zza pasa róg i uniosła go do ust. Wciąż przytrzymując wrywającego się Yarno, Ryld zwinął się jak węgorz i podciął drowce nogi.

Halisstra upadła, upuszczając róg. Rzuciła się w jego stronę.

- Nie dmij w niego! - zawołał Ryld.

Halisstra podniosła róg i wycofała się poza zasięg nóg fehmistrza, mierząc go groźnym spojrzeniem.

- Oszalałeś? - zapytała, zrywając się z ziemi. - To zmiennokształtny.

Znów uniosła róg do ust.

- Nic ci nie robi - wycedził Ryld. Aby to udowodnić, puścił Yarno i skoczył na równe nogi. - Uciekaj! - rozkazał. - Ale już!

Nie czekając, aż Yarno posłucha, Ryld obrócił się do Halisstry i chwycił ją za ramię, odpychając jej róg od ust.

Yarno przez chwilę stał dysząc i wodził wzrokiem od Rylda do Halisstry. Potem ostatni raz warknął na kapłankę i skoczył w zarośla.

Halisstra wyrwała ramię z uścisku Rylda i wpatrywała się w niego ze złością. W jej spojrzeniu czał się cień nieufności.

- Wiedziałeś, że ten chłopiec... jest wilkołakiem?

- Yarno jest niegroźny - powiedział Ryld, chowając Rozpruwacza. - Pozwól mu odejść.

- Jest potworem. Eilistraee rozkazała nam oczyścić las z takich szkodników jak on.

Ryld wzdrygnął się.

- To chłopiec - westchnął. - Tylko chłopiec.

Halisstra potrząsnęła głową, nie rozumiejąc.

- W takim razie dlaczego obchodzi cię jego los?

Ryld otworzył usta, próbując znaleźć właściwe słowa.

- Bo on... - zawahał się fehmistrz, zmieszany. - Przypomina mi siebie w tym wieku.

- Jak to możliwe? Jesteś drowem, a on... - Halisstra urwała, nie wiedząc, jak nazwać chłopca.

- Jest „wilkołakiem” - podsunął Ryld. - I jest ścigany. I przerażony. Tak jak ja kiedyś.

Halisstra przez kilka uderzeń serca patrzyła mu w oczy i Ryld pomyślał, że zrozumiała. Potem uniosła róg.

- Może wygląda jak chłopiec, ale jest potworem - powiedziała stanowczo.

- A ty jesteś pierwszą córką - odparł Ryld, łapiąc ją za rękę. - Zawsze jedną z łowczyń, nigdy zwierzyną. Nigdy nie musiałaś żyć na Ulicach Smrodu.

Halisstra popatrzyła na niego, a on uświadomił sobie, że może nie wiedzieć, czym są Ulice Smrodu.

- Ale pochodzisz ze szlachetnego domu - powiedziała. - Prawda?

- Nie mam domu - odpowiedział Ryld. - Nigdy nie miałem.

Westchnął, zastanawiając się, co robi. Czy naprawdę chciał wystąpić przeciwko Halisstrze -

kobiecie, którą kochał - wstawiając się za chłopcem, którego dopiero co poznał? Za wilkołakiem? Co z niego za drow?

Drow, który pamięta, co to znaczy być małym, przerażonym chłopcem.

Puścił rękę Halisstry.

- Wezwij łowczynię, jeśli musisz - powiedział. - Ale wiedz, że jeśli to zrobisz, odejdę.

Halisstra otworzyła usta.

- Kazesz mi wybierać pomiędzy sobą - powiedziała - a moim świętym obowiązkiem wobec bogini.

- Kaze ci wybierać między tym co słuszne, a co nie.

- Dziwne słowa jak na drowa. - Wbiła wzrok w rozświetlony księżycem las, ważąc róg w dłoni.

Potem, powoli, opuściła go.

Czując ulgę, Ryld wziął dłoń Halisstry i ukłonił się głęboko, muskając jej wierzch ustami.

- Dziękuję ci - powiedział.

Halisstra wyrwała mu rękę i przez jeden straszliwy moment Ryld myślał, że zostanie ukarany, ale zamiast tego Halisstra ujęła go za brodę i pocałowała namiętnie. Objęła go ramionami, przyciągając do siebie.

Zamykając oczy, Ryld poczuł, jak muska ustami jego ucho i usłyszał szept tak cichy, że miał pewność, że nie był przeznaczony dla niego.

- Wybacz mi, Eilistraee. Kocham go.

Potem, ująwszy go za rękę, poprowadziła go do starożytnych ruin, które kapłanki wyznaczyły im na schronienie.

Gdy tylko znaleźli się w środku, znów go pocałowała. Wpiła się ustami w jego usta z gwałtownością, jakiej u siebie nie znała. Całowali się wcześniej, to prawda, ale nie tak. Przed tą nocą pozwalała mu tylko na niewinne muśnięcia warg. Posłuszny mężczyzna, jakim był, nie śmiał prosić o więcej. Ale ten pocałunek... tego rodzaju pocałunków pełne były jego fantazje. Oddał go chętnie, ledwie panując nad gwałtowną, palącą żądzą, która groziła pochłonięciem go bez reszty.

- Pragnę cię - powiedziała Halisstra, przerywając pocałunek tylko po to, by wydyszeć te słowa. - Chcę cię mieć. Tutaj. Teraz.

Słyszając to, Ryld poczuł, że zupełnie przestaje nad sobą panować. Oddychając szybko - co się stało z wyuczonym kontrolowaniem oddechu? - zsunął Rozpruwacza z pleców i odrzucił na bok, a potem zaczął gwałtownie zdejmować zbroję.

Halisstra ściągała własny pancerz i ubranie. Potem znów go całowała, jedną rękę przyciskając mu do tyłu głowy, a drugą obejmując ciasno w pasie, co jeszcze bardziej utrudniało rozbieranie. Przez jeden rozpaczliwy moment Ryld wyobraził sobie, że jest muchą zaplątaną w pajęczą sieć. Ramiona drowki oplatały go ciasno, przyciągając bliżej, pożerając ustami. Jej zęby wgryzły mu się namiętnie w kark, potem pierś, potem twarde mięśnie brzucha i jeszcze dalej.

Na kilka długich, oszałamiających chwil Ryld odrzucił głowę do tyłu i wpatrywał się pustym wzrokiem w obwisły strop zrujnowanego budynku. Nie był w pełni świadomy szorstkiej posadzki biegnącej na spotkanie jego pleców i krawędzi naramiennika wbijającej mu się rozkosznie w ramię.

Halisstra była na nim. Przez chwilę jej włosy wyglądały jak poprzetykane srebrem, gdy odrzuciła je na plecy, a Ryldowi przypomniała się kobieta, która ukazała mu się w gorączkowym śnie wywołanym belladonną. Iskry księżycowego światła spadły na niego i wybuchły mu w głowie, wymazując wszystko inne.

Dużo później Halisstra dotknęła jego ramienia i wyszeptała:

- Ryld? Jesteś pogrążony w Zadumie? Chciałam porozmawiać z tobą o czymś.

Otworzył oczy. Ton Halisstry powiedział mu, że to, co zaraz powie, wcale mu się nie spodoba. Głos miała oficjalny i stanowczy, przywodzący na myśl ton głosu kapłanki zwracającej się do mężczyzny. Spiał się w sobie, czekając na ostrą reprimendę, która musiała nastąpić. Musiała go zauważyć, kiedy obserwował świętą pieśń i taniec i miała zamiar go za to ukarać.

- Wracam do Podmroku - oznajmiła. - Mam zamiar odnaleźć Quenthel Baenre i pozostałych, i dołączyć do ich wyprawy.

Zdumiony, choć starał się tego nie okazać na wypadek, gdyby była to jakaś próba, spojrzął jej głęboko w oczy. Jej twarz, tak jak jego własna, miała zupełnie neutralny wyraz. Nie, niezupełnie. Coś błyszczało w jej oczach - coś więcej niż odbite światło gwiazd. Echo namiętności, którą dzielili.

- Dlaczego? - zapytał.

Halisstra wyraźnie się rozluźniła.

- Uluyara mnie o to poprosiła. Kapłanki Eilistraee muszą wiedzieć czy Lolth rzeczywiście nie żyje. Ta informacja ma istotne znaczenie dla ich sprawy, a tylko ja mogę ją dla nich zdobyć.

Ryld kiwnął głową. Ta część jego umysłu, która należała do wojownika, uznawała mądrość rozkazu Uluyary. Halisstra doskonale nadawała się na szpiega. Ponadto była tylko szeregową kapłanką Eilistraee. Jeśli Quenthel ją zabije, nikt nie będzie za nią tęsknił. Wystąpienie zdradzieckiej kapłanki przeciwko Lolth nie będzie mieć większych konsekwencji. Jednak w głębi duszy gotował się ze złości na Uluyarę, która tak łatwo chciała poświęcić Halisstrę.

- Nie proszę cię, żebyś poszedł ze mną - powiedziała Halisstra.

Uświadamiając sobie, że dał po sobie poznać, że jest zły - i że Halisstra błędnie to odczytała - powiedział jej, co go trapi.

- Jedno mało potknięcie, a Quenthel zabije cię z szybkością atakującej zmił.

- Jestem gotowa podjąć to ryzyko.

- A ja nie - rzekł. - I dlatego pójdę z tobą.

Halisstra dotknęła jego policzka.

- Dziękuję - wyszeptła.

* * *

Później, kiedy Ryld osunął się w Zadumę, Halisstra usiadła, przyglądając mu się. Fechmistrz siedział ze skrzyżowanymi nogami i zamkniętymi oczyma. Ręce trzymał na pochwie Rozpruwacza, ale poza tym wyglądał jak pokonany wojownik, którego zbroja i oręż walają się po podłodze.

Wzdychając, Halisstra oparła się plecami o mur i sama pogrążyła się w Zadumie. Mięśnie miała już rozluźnione, więc minęła tylko chwila, nim ogarnęła ją znajoma fala wspomnień.

Unosiła się wraz z nimi, obserwując obojętnie, jak jej umysł przeskakuje od jednego do drugiego jak kamień odbijający się od powierzchni wody. Wspomnienia pierwszego dnia służby w świątyni domu Melarn, kiedy za karę za źle wypowiedziane słowa modlitwy nauczycielka obila jej dłonie pałką tak, że zaczęły krwawić. I satysfakcji, jaką poczuła następnego dnia, gdy wezwano ją do prowadzenia modlitwy, co zrobiła tak doskonale, że zasłużyła na przelotny uśmiech kapłanki, która ją ukarała. A także wspomnienia wyścigów, jakie urządzały w dzieciństwie z siostrą ulicami Ched Nasad i przerażającego upadku po tym, jak Jawil wypchnęła ją przez krawędź ulicy po przegranym wyścigu. Uratowała ją tylko umożliwiająca lewitację brosza z insygniami domu, którą pożyczyła od ciotki. Później Jawil twierdziła, że od samego początku wiedziała, że Halisstra ma insygnia.

Te stare, często odwiedzane wspomnienia zderzały się z nowymi, świeższymi, jakby czystszyimi. Wspomnieniem nocy, kiedy została wyniesiona z jaskini i przyjęta przez kapłanki Eilistraee. Wspomnieniem dzikiej radości, jaką czuła po pokonaniu fazowego pajaka. Jej umysł zahaczył nawet o zupełnie nowe wspomnienia, które właśnie odcisnęły swe piętno na jej duszy.

Wszyscy mężczyźni, z którymi do tej pory sypiała, byli chętni, ale tuż pod powierzchnią ich żądzycy wyczuwała strach. Może dlatego, że wiedzieli, iż bierze ich kapłanka Lolth i obawiali się, że Halisstra, tak jak pajęczyce, które uważała za święte, może ich zabić i odrzucić. Kiedy zaczęła całować Rylda, zauważyła w nim ulotny ślad tej obawy, ale potem strach zniknął. W którymś momencie fechmistrz poddał się - nie strachowi, nawet nie Halisstrze, ale czemuś większemu. To nie ona go wzięła. To on jej się oddał.

Uświadomiwszy to sobie, powróciła myślami do innych niedawnych wspomnień. Jedno z nich, nieprzyjemne i natarczywe, wysunęło się naprzód: Seyll. A raczej jej śmierć z rąk Halisstry. Rzecz dziwna, obraz był zniekształcony. Wspomnienie Seyll, umierającej, broczącej z boku krwią barwiącą na czerwono wodę strumienia, w którym leżała, nałożyło się na obraz Seyll na chwilę przed śmiercią, kiedy kapłanka odwróciła się i wyciągnęła do Halisstry obie ręce, aby pomóc jej przejść przez strumień. W fałszywym wspomnieniu Seyll wyciągała ręce do Halisstry i mówiła coś, choć w rzeczywistości leżała tak nieruchomo, że Halisstra uznała ją za martwą. Słowa też się nie zgadzały - nie były to słowa nadziei, które wypowiedziała po tym, jak Halisstra wywlokła jej „ciało” ze strumienia i zaczęła obdzierać je z pancerza i broni. Wydawało jej się, że to wiadomość, pilna wiadomość.

Wciąż pogrążona w Zadumie, nachyliła się, żeby je usłyszeć.

- Będziesz potrzebować miecza, - wyszeptła Seyll.

Halisstra, wciąż z zamkniętymi oczyma, pomacała podłogę obok siebie i natrafiła palcami na

miecz o złamanym sztychu, schowany w pochwie.

- Mam go - wyszeptwała na głos.

W sennym wspomnieniu Seyll potrząsnęła głową.

- Nie tego. - Na jej wargi wystąpiły krwawe bańki. - Tylko Księżycowym Ostrzem zdołasz ją pokonać.

- Kogo? - zapytała Halisstra. Nie...

- Zagubiło się na Zimnych Polach, - przerwała jej Seyll chrapliwym głosem, a jej oddech stał się nierówny. Była bliska śmierci, ledwo mówiła. - Nosiła go kapłanka... i została zabita. Teraz ma je... robal. Halisstra niedosłyszała: czy Seyll powiedziała „robal” czy „żmij”? Uznała, że musiało chodzić o żmija. Smoki sływały z zamiłowania do skarbów - a zwłaszcza magicznego oręża. A sądząc po szacunku, z jakim Seyll wymówiła słowa „Księżycowe Ostrze”, miecz musiał być magiczny.

Seyll nadal coś mówiła - tak cicho, że Halisstra ledwo ją słyszała.

- Znajdź Księżycowe Ostrze... i użyj go... by ją pokonać.

- Kogo mam pokonać? - zawołała Halisstra.

Obok niej rozległ się jakiś szelest. Wyrwana z Zadumy, otworzyła oczy i zobaczyła Rylda przygotowanego do skoku z Rozpruwaczem w dłoni. Rozejrzał się szybko po ciemnym pomieszczeniu, a potem spojrzał na Halisstrę, unosząc brwi w niemym pytaniu.

- To nic takiego - powiedziała. - Byłam w Zadumie. To był tylko sen.

Ryld rozluźnił się i wsunął wielki miecz do pochwy. Nie spuszczał z niej wzroku i Halisstra przypomniała sobie, że jest naga. Fehmistrz nie odwrócił z szacunkiem oczu, jak to mieli w zwyczaju mężczyźni. Zamiast tego uniósł brwi po raz drugi, a w jego oczach błysnął płomień.

Halisstra potrząsnęła głową.

- Później - powiedziała. - Muszę pomówić o czymś z Uluyarą.

Zerwała się na równe nogi, ubrała pospiesznie, a potem rozplynęła w ciemnościach.

ROZDZIAŁ 26

Gromph podszedł do kapitana, który z rękami założonymi na poczerniałej płytowej zbroi z mithralu obserwował w milczeniu pole bitwy. W oczach Andzrela widać było błysk zadowolenia, gdy obejmował wzrokiem stratowany las grzybów i trupy tanarukków zaścielające ziemię jak powalone lodygi.

- Zaciągnij ciała do zagród - polecił fechmistrz Baenre żołnierzom, którzy przeszukiwali poległych tanarukków. - Nakarmimy nimi jaszczury.

Mówiąc to, wytarł miecz z krwi kawałkiem szmaty. Przyjrzał się ostrzu, uśmiechnął, po czym wepchnął z powrotem do pochwy przy pasie.

- Jeszcze bym go nie odkładał - powiedział Gromph. - Będzie ci potrzebny.

Andzrel odwrócił się zaskoczony.

- Arcymagu! - zawołał. - Gdzie na Otchłani się podziewałeś?

- Nie tak głęboko jak w Otchłani, ale niewiele brakowało - uciał arcymag. - Opowiem ci o tym później. - Rozejrzał się wokoło. - Jak stoją sprawy?

- Wszystko pod kontrolą - oznajmił Andzrel. Wskazał wylot tunelu w ścianie wielkiej jaskini. Przed nią piętrzył się stos tanarukków. - Wyparliśmy wroga w głąb Mrocznego Władztwa. Wycofują się z miasta i przegrupowują. A Tier Breche?

- Na razie spokojnie - odparł Gromph. - Tam też wróg został odparty, a podejście dobrze zabezpieczone. Przypuszczam, że duergarowie w końcu się gdzieś zbiorą, połączą z resztą oddziałów i wznowią oblężenie w jakimś innym miejscu. Ale zanim do tego dojdzie, będę potrzebował twojej pomocy.

- Czy ma to coś wspólnego z wywozem trupów?

Gromph pokręcił głową.

Andzrel wyszczerzył zęby.

- Mów, o co chodzi.

Arcymag spojrział na jedno z leżących w pobliżu ciał. Półork, półdemon, tanarukk był krępy potworem pokrytym łatami szorstkiej sierści i łuską przypominającą świerzb. Spod skróconego ryja wystawała wydatna szczeka, a kły nachodzące na górną wargę były żółte i poszczerbione. Niskie, spłaszczone czoło nadawało mu niemądry wygląd, który podkreślało puste, martwe spojrzenie czerwonych oczu.

- Muszę się przedostać przez linię wroga - zaczął Gromph. - I będę potrzebował eskorty. Raczej żołnierza niż maga. - Trącił martwego tanarukka stopą. - Powiedz mi, Andzrelu, czy zostałeś kiedykolwiek poddany polimorfizacji?

- Raz - odpowiedział Andzrel. - Lata temu, w jaszczura. Był to żart zadufanego w sobie parweniusza, który uznał, że siodłając mnie i ujeżdżając nauczy mnie, gdzie moje miejsce. Po tym, jak go ugryzłem, nie wydawało mu się to już takie śmieszne, więc przywrócił mi dawną postać.

Gromph uśmiechnął się. Dobrze pamiętał dzień, kiedy Nauzhror wszedł utykając do Sorcere i zażądał poduszki, żeby móc usiąść. Twierdził, że to „wypadek podczas jazdy”, dopóki jeden ze studentów nie przeniknął magicznym wzrokiem jego szaty i nie odkrył na jego pośladku rany po ugryzieniu. Po tym incydencie napuszony młodzieniec stał się obiektem wielu niewybrednych żartów.

- Spróbuję nie dawać ci powodów do używania kłów - powiedział Gromph z udawaną powagą.

* * *

Tanarukowie wycofywali się bezładnie tunelami, warcząc i kłapiąc na siebie paszczami za każdym razem, gdy zwężenie ścian zmuszało ich do stłoczenia się. Słysząc było szczęk rynsztunku, zapach krwi rannych, którzy zostali zepchnięci na bok i porzuceni na śmierć oraz krzyki sierżantów, którzy próbowali zaprowadzić jakiś porządek w tym chaosie.

Dwaj tanarukowie powłóczyli nogami za resztą, próbując nie wpaść w przepychającą się masę, unikając prowokacji i nie dając do niej powodów. Jeden miał bardziej wydatne czoło niż jego towarzysze i sztywne jak szczecina kępy białych włosów. Drugi był szerszy w barach i ubrany w kolczugę, która wydawała się nieco sztywna. Żeleźce jego topora było uwalane krwią. Białowłosa musiał gdzieś zgubić broń i niósł w jednej dłoni skrawek futra - pewnie czyjś skalp. Pociągnął towarzysza w boczny tunel,

schodząc z drogi maszerującej hordzie, po czym wyszeptał zaklęcie, jednocześnie skręcając futro w dłoni. Wskazał głową wąską szczelinę po lewej.

- Jest gdzieś tam - powiedział Gromph. - A przynajmniej był jeszcze chwilę temu. Znow go zgubiłem.

- Gdzie on cały czas znika? - zapytał poirytowany Andzrel.

Od pochylonej postawy tanarukka zaczynały go boleć plecy. Marzył o zakończeniu misji i powrocie do drowiej postaci. Poza tym ciało tanarukka śmierdziało. Za to Gromph nie miał podobnych problemów. Do zmiany własnego wyglądu użył zwidu. Gdyby rzucił na siebie zaklęcie polimorfizacji, wszystkie materialne komponenty potrzebne mu do korzystania z magii - jak skrawek futra psa gończego - zmieniłyby się w przedmioty bardziej odpowiednie dla tanarukka.

A przynajmniej tak powiedział Andzrelowi. Fehmistrz Baenre podejrzewał jednak, że Gromph nie miał ochoty znosić smrodu potu tanarukka na własnej skórze.

- Nie wiem, co knuje Nimor - odparł Gromph. - Może zdaje raport swoim panom. Ale wciąż wraca w to miejsce. Musi je dobrze znać.

Wymknąwszy się pozostałym tanarukkom, dwójka drowów wcisnęła się w wąski tunel. Biegł on jakiś czas prosto, a potem wznosił się ku małej jaskini, u wylotu której stał na straży duergar. Szary krasnolud uniósł topór, gdy para tanaruków zbliżyła się do niego.

- Mamy pilną wiadomość do drowa Nimora - powiedział Gromph, naśladując niski, chrapliwy głos tanarukka.

- Doprawdy? - prychnął duergar. - Tak jak każdy cholerny tanarukk służący w nędznej armii Vhoka. Lorda Nimora nie ma.

Gromph zignorował zaczepkę.

- Jest tutaj - powiedział skrzywiony arcymag. - Czuję jego zapach.

- Nie, nie ma - odparł duergar, marszcząc brwi. - Wracajcie do swojego oddziału.

Andzrel zwinął dłoń w kulak i podsunął ją krasnoludowi pod nos.

- Wiemy, że tu jest - warknął. - Przepuść nas.

Duergar nagle urósł i zmężniał, aż stał się o połowę wyższy od zmienionego w tanarukka Andzrela. Ścisnął w garści drzewce topora, który zamigotał magiczną energią.

- Nie zmuszajcie mnie do użycia go - ostrzegł olbrzymi krasnolud.

- Nimor chciałby usłyszeć tę wiadomość - nalegał Gromph. - Powiedz mu, że to od szpiega, którego wysłał do Menzoberranzan.

- Jakiego szpiega?

- Sluugutha - odparł drugi tanarukk.

Twarz krasnoluda przybrała jaśniejszy odcień szarości.

- Aa... illithida.

Gromph zmarszczył brwi.

- Sluuguth nie lubi, kiedy przetrzymuje się jego posłańców - warknął. Wyciągnął z kieszeni kawałek srebrnego łańcuszka. Z jego końca zwisał owalny jodeit. - Kazał nam przynieść to jak najszybciej Nimorowi - powiedział. - Twierdził, że to ważne.

Duergar wreszcie skinął głową. Kurcząc się do swojego normalnego wzrostu, odsunął się na bok.

- Wchodź - zwrócił się do Grompha, ale podniósł rękę, gdy Andzrel spróbował wejść za nim i dodał: - Ale ty musisz zostawić broń na zewnątrz.

Gromph i Andzrel wymienili spojrzenia. To będzie problem. Gdy tylko Andzrel wypuści z rąk swój „topór bojowy”, zaklęcie przestanie działać i topór zmieni się z powrotem w drowi miecz.

- Sam przekażę wiadomość - powiedział do feh mistrza Gromph. - Ty zaczekaj tutaj... aż skończę.

Andzrel kiwnął głową.

Gromph wszedł do jaskini. Gdy znalazł się już w środku, zobaczył, że jest to raczej naturalny komin o wysokim stropie. Na samej górze znajdowała się skalna półka, na której ukucnął z zamkniętymi oczyma Nimor, najwyraźniej pogrążony w Zadumie. Skrytobójca przybrał niezwykłą pozycję z ramionami przyciągniętymi do piersi i pięściami dotykającymi skulonych barków. Przypominał Gromphowi śpiącego nietoperza odwróconego do góry nogami.

Zastanawiając się czy Nimor też jest spowity iluzją, Gromph sięgnął do kieszeni po mały kamienny słoiczek. Miał już wziąć na palec odrobinę jego zawartości, kiedy oczy Nimora otworzyły się. Natychmiast wpiły się w owal jodeitu obracający się łagodnie na końcu łańcuszka trzymanego w ręku

przez Grompha. Magia amuletu była wciąż potężna, choć jodeitowy pajak, nad którym sprawował kiedyś kontrolę, obrócił się w kupę gruzu na rozkaz Grompha, zanim on i Andzrel wyruszyli w głąb Mrocznego Władztwa.

Nimor zrobił krok poza półkę i lewitując, zaczął opadać w dół.

Gromph wyciągnął dłoń z kieszeni, rezygnując z rzucenia zaklęcia. Nie miał czasu na prawdziwe widzenie, musiał być w każdej chwili gotowy na obronę przed magicznym atakiem.

- Skąd to masz, żołnierzu? - zapytał Nimor, lądując lekko na ziemi obok Grompha.

Gromph uśmiechnął się do siebie. Iluzja działała.

- Od Sluugutha - odpowiedział, podnosząc jodeitowy amulet.

Jednocześnie włożył rękę do kieszeni i ostrożnie uchwycił ukryty w niej przedmiot - pryzmat - za końcówkę wystającą z naoliwionej pochwy, którą specjalnie w tym celu sporządził. Zanim wyruszył na poszukiwanie Nimora, dokonał w pryzmacie pewnych zmian, wplatając nowe zaklęcia w magię, jaką już zawierał.

- Sluuguth był zajęty i nie mógł przynieść amuletu sam, więc przysłał mnie - ciągnął Gromph.

Nimor miał już sięgnąć po srebrny łańcuszek, ale coś go powstrzymało.

Przyjrzał się Gromphowi nieufnie.

- Czym był zajęty?

- Czarodziejem, którego złapał lord Dyr - tym z domu Baenre. Uciekł z kuli.

- Gromph? - Nimor machnął lekceważąco ręką. - Stare wieści. Gromph nie żyje.

Gromph potrząsnął gwałtownie głową.

- To nieprawda. Sluuguth mówi, że knuje coś, co może zaszkodzić naszej armii. Chodzi o jakieś zaklęcie.

- Gdzie on jest? - zapytał Nimor.

Gromph podrapał się po szczecinie porastającej mu głowę i zmarszczył brwi. Na szczęście nie musiał udawać, że wygląda głupio - iluzja tanarukka w zupełności wystarczała.

- Kto? Sluuguth... czy Gromph?

Nimor zmrużył gniewnie oczy.

- Gromph.

- A... tak. Sluuguth kazał ci to pokazać, panie - odparł arcymag, jak gdyby właśnie coś sobie przypomniał.

To mówiąc, wyjął rękę z kieszeni. Pryzmat wysunął się z naoliwionej pochwy, a potem z kieszeni tak, że magiczny klej, którym został pokryty, nie przykleił się w żadnym miejscu do materiału.

Jak na razie wszystko idzie zgodnie z planem, pomyślał Gromph.

Nimor zerknął na pryzmat.

- Co to? - zapytał.

Gromph nie pomylił się. Nimor, jak większość drowów, nie znał się na magicznych przedmiotach Świata Ponad.

- To przedmiot służący do jasnowidzenia - wyjaśnił. - Można w nim zobaczyć Grompha.

Nimor założył ręce na piersi i powiedział:

- Ty w niego zajrzyj. Powiedz mi, gdzie teraz jest.

I znów wszystko szło zgodnie z planem. Mag wziął pod uwagę podejrzliwą naturę drowa. Spojrzał w pryzmat, nachylając go w różne strony.

- Nic nie widzę - powiedział. Nagle przytrzymał go w jednym miejscu. - O, tam jest... ale czy Gromph jest szkieletem czy drowem ze szczurem na ramieniu?

Nimor wyciągnął rękę po pryzmat.

- Pokaż mi to.

Nadeszła właściwa chwila. Gdy palce Nimora dotknęły pryzmatu, Gromph puścił trzymany koniec i rzucił okrywającą go iluzję, ujawniając swoją tożsamość.

- Andzrel! Teraz! - krzyknął.

Za plecami Gromph usłyszał łupnięcie i stęknięcie - to Andzrel powalił strzegącego wejścia duergara. Chwilę później Nimor cofał się z wytrzeszczonymi oczyma, machając jedną ręką, żeby uwolnić się od pryzmatu przyklepionego do niej magicznym klejem, a drugą dobywając rapiera. Do jaskini wpadł Andzrel z uniesionym wysoko toporem bojowym. Nieprzyzwyczajony do postaci tanarukka, machał nim niezdarnie, ale i tak wyglądał przerażająco.

Nimor, widząc, że został osaczony, zrobił właśnie to, czego spodziewał się po nim Gromph. Wkroczył w cienie.

Ale w chwili, w której zaczął się prześlizgiwać na Plan Cieni ze wzgardliwym uśmiechem na ustach, wyzwolone zostało zaklęcie ewentualności wplecione w pryzmat. Ono z kolei aktywowało moc pryzmatu, sprawiając, że rozbłysnął oślepiającym światłem. Na chwilę w jaskini zrobiło się tak jasno, jak gdyby teleportowało się do niej słońce Świata Ponad, zalewając ściany najintensywniejszym światłem, jakiego Gromph kiedykolwiek doświadczył. Nimor wydał z siebie wrzask będący jednocześnie skowytym bólu i rykiem wściekłości. Potem światło i głos Nimora zniknęły.

Gromph usłyszał świst klingi i brzęk metalu uderzającego o skałę, gdy topór Andzrela rozplątał powietrze w miejscu, gdzie stał przed chwilą Nimor. Nic nie widząc, mrugając powiekami, żeby pozbyć się powidoku oślepiającego rozbłysku, Gromph macał rękami powietrze wokół siebie. Jego wyciągnięte ramiona niczego nie napotkały. Nimor musiał uciec na Plan Cieni.

- Andzrel? - zawołał Gromph. - Widzisz coś? Gdzie jest Nimor?

Ktoś zbliżył się do niego. Jego ramienia dotknęła sękata dłoń.

- Niezbyt dobrze - odezwał się tuż obok niego głos fehmistrza. - Ale zaczynam odzyskiwać zdolność widzenia w ciemnościach. Nimor znikł. A ty?

Z oczu Grompha ciekły łzy. Miał kłopot z zobaczeniem Andzrela - z zobaczeniem czegokolwiek.

- Jestem wciąż oślepiiony. Ten rozbłysk światła miał na mnie większy wpływ niż na ciebie - może dlatego, że magia osłaniająca Nimora uznała czar w pryzmacie za mój i skierowała go przeciwko mnie. Nieważne. Przywrócenie mi wzroku nie powinno być trudne.

Gromph dotknął palcem jednego, potem drugiego oka i rzucił zaklęcie, które powinno było rozproszyć ślepotę, lecz choć poczuł łaskotanie magii pod powiekami, wzrok nie powrócił. Nie widział nic w mrocznej jaskini, tak jak każda istota ze Świata Ponad.

I to go martwiło. Ponieważ kapłanki Lolth nie potrafiły nawiązać kontaktu ze swoją boginią, zdobycie zaklęcia przywracającego wzrok będzie trudne.

- Więc gdzie jest teraz Nimor? - zapytał Andzrel.

- Na Planie Cieni - odparł Gromph. - A ty wiesz, co to oznacza.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo - przyznał Andzrel. - Przepraszam, arcymagu.

Gromph zachichotał.

- Oznacza to, że tam utknął. Aby zakończyć wędrówkę poprzez cienie, Nimor potrzebuje albo plamy cienia - jeśli jest w Świecie Ponad albo ciemności, w którą może wkroczyć. Głębokiej ciemności. Z przyklejonym do dłoni pryzmatem świecącym jak słońce szybko jej nie odnajdzie.

- Jeden pionek zbity - stwierdził Andzrel z satysfakcją. - Co teraz?

- Wracamy do Menzoberranzan. Ty poprowadzisz, a ja pójdę za tobą.

* * *

Gromph stał u podstawy Narbondelu, dotykając jedną dłonią zimnego kamienia naturalnej kolumny. W oczach Kyorli wydawała się ogromna. Szczurzyca spoglądała na pociemniały słup z ramienia Grompha, łaskocząc go wąsikami w ucho. Zza pleców słyszał mamroczonego do siebie Nauzhrora. Młodszy czarodziej zrzekł się szat arcymaga z wielką niechęcią i nalegał, by być obecnym przy rytuale zapalania. Jak pajak wyczuwał, że Gromph ma jakiś słaby punkt - choć jeszcze nie odkrył, co nim jest.

Odwracając się twarzą do słupa, Gromph uniósł obie ręce nad głowę. Skandując słowa zaklęcia poczuł znajomy przypływ mocy. Kiedy magia sięgnęła zenitu, uderzył obiema dłońmi w Narbondel, kierując w niego magię. Zimny kamień rozżarzył się pod jego dotykiem i w powietrzu rozległo się cicho skwierczenie. Jak płomień wspinające się po płonącej kotarze, magiczny żar i światło zaczęły się powoli wznosić w górę Narbondelu. Gromph nie widział tego na własne oczy, ale przez oczy Kyorli widział zniekształconą wersję, krąg światła syjący iskrami wszystkich kolorów, od najgłębszej czerwieni po najjaśniejszy fiolet, który wznosił się powoli po czarnej skale. Piękny widok - widok mający obudzić nadzieję w tych, którzy odpierali ataki wroga w Mrocznym Władztwie, kiedy powrócą już z tuneli.

Gromph na pamięć odwrócił się w stronę domu Agrach Dyrr.

- Widzisz to, liczdrowie? - wyszeptał. - Uciekłem z twojego więzienia. Wkrótce przyjdę po ciebie.

Później Gromph siedział w swoim gabinecie w Sorcere, bębniąc palcami po blacie biurka. Kyorli

siedziała mu na ramieniu. Gromph wciąż potrzebował oczu szczurzy. Wypił eliksir, który powinien był przywrócić mu wzrok, ale widział tylko cienie i zamazane kształty. Czyżby to kombinacja jego własnego zaklęcia trwałości i magii osłaniającej Nimora dokonała takich zniszczeń? Z czasem znajdzie odpowiedź na to pytanie, ale przy dwóch armiach czających się na obrzeżach Menzoberranzan czas był luksusem, na który nie było go stać.

Łaskotanie karku ostrzegło go, że ktoś go obserwuje, co powinno być niemożliwie w magicznie strzeżonych ścianach jego gabinetu. Źródłem łaskotania wydawał się być powieszony na ścianie topór pozostawiony przez goszczącego u niego illithida. Przez chwilę zastanawiał się czy obserwatorem nie jest jedna z uwięzionych w nim dusz, ale kiedy poprosił Kyorli, żeby na niego spojrzała, nie zobaczył żadnego poruszenia, żadnej twarzy na żeleźcu.

Gdy obracał się z powrotem, usłyszał znenacka szept znajomego głosu - głosu jedyne go drowa, któremu zezwolił na przeniknięcie osłon gabinetu.

- *Zmierzamy do Jeziora Cieni*, - szeptał w jego umyśle głos Pharauna. - *Aboleth twierdził, że zatonął tam okręt chaosu z uridezu. Popłyniemy nim do Otchłani i prześlągamy ją osobiście.*

Licząca dwadzieścia słów wiadomość znajdowała się dokładnie na granicy pojemności zaklęcia przesyłającego, którego Pharaun używał do kontaktowania się z Gromphem. Arcymag siedział w milczeniu, zastanawiając się nad odpowiedzią. Powinna być równie zwięzła... i treściwa.

- *Musicie się spieszyć. Potrzebujemy Lolth. Duergarowie i tanarukowie oblegają miasto. Liczdrow Dyrr zdradził.* - Gromph urwał, po czym dodał zgryźliwie: - *Uridezu? Życzę powodzenia.*

Wrażenie bycia obserwowanym zniknęło, pozostawiając Grompha samego w gabinecie. Powoli pokręcił głową, zastanawiając się czy był to ostatni raz, gdy rozmawiał z Pharaunem.

ROZDZIAŁ 27

Uluyara słuchała w milczeniu, gdy Halisstra opisywała to, co widziała podczas Zadumy. Kiedy skończyła, Uluyara wyszeptała krótką modlitwę, po czym z czcią uniosła rękę ku nocnemu niebu. Opuściwszy ją, wbiła w Halisstrę twarde spojrzenie czerwonych oczu, w których odbijało się światło księżyca.

- Zaginione przez te wszystkie lata - powiedziała. - Nasze najlepsze wieszczki, złączone w pieśni-zaklęciu, nie mogły odnaleźć Księżycowego Ostrza, a teraz nowicjuszka uważa, że zdoła dokonać tego, co im się nie udało.

Halisstra, której nie spodobał się ton głosu Uluyary, zjeżyła się.

- Powtarzam tylko słowa Seyll - odparowała. - To nie była halucynacja. Jestem pewna, że to jej duch przemówił do mnie. Myślę, że próbowała mi przekazać, że będę musiała zmierzyć się w walce z Quenthel Baenre, i że będę potrzebować Księżycowego Ostrza czymkolwiek jest aby ją pokonać.

Uluyara patrzyła Halisstrze w oczy, jak gdyby ważyła jej słowa.

- Jeśli to wymówka, aby odwlec spotkanie z dawnymi towarzyszami - powiedziała Uluyara - mogłaś wybrać coś mniej dramatycznego niż poszukiwania Księżycowego Ostrza. Wolałabym, żebyś była ze mną szczerą i po prostu powiedziała mi, że nie jesteś jeszcze gotowa. Jeśli zmieniłaś zdanie, albo się boisz...

- Boję się? Jak śmiesz! Jestem pierwszą córką szlacheckiego domu! - warknęła Halisstra.

Potem przypomniała sobie, z kim rozmawia, a także, że jej dom już nie istnieje i rzuciła się na ziemię u stóp Uluyary.

- Przepraszam, Mroczna Pani - wyszeptała, oczekując w napięciu smagnięcia, które spadłoby niechybnie na jej plecy, gdyby odezwała się tak śmiało do wysokiej kapłanki Lolth. - Należałam do wysokiego domu i nie przywykłam do kwestionowania mojej odwagi. Dawno temu nauczono mnie skrywać strach i nie okazywać go w żadnej sytuacji. Zapewniam cię, że się nie boję i nie zmyślam. Nie wiem nawet, czym jest Księżycowe Ostrze. Oświeć mnie, proszę.

Uluyara westchnęła.

- Wstań, kapłanko. - Gdy Halisstra wstała, podjęła: - Dzisiejszy dzień był trudny dla nas obu. To ja przywiodłam Brennę ku światłu. Była dla mnie jak córka. Jej śmierć...

Umilkła i zapatrzyła się w ciemny las. Ze strony, w którą spoglądała, dobiegały głosy śpiewających kobiet, głosy trzech kapłanek, które składały ciało Brenny na marach wysoko ponad poszyciem lasu, gdzie zostanie skąpane w łzach księżyca. Tren żałobny wydawał się unosić na wietrze, towarzyszył mu czysty zapach świeżego śniegu.

W końcu Uluyara oderwała wzrok od ściany lasu i zaczęła swoją opowieść.

- Księżycowe Ostrze zostało wykute wieki temu, po tym jak Eilistraee wyrwała z nieba kamyk i rzuciła go na ziemię. Zanim dotknął ziemi, urósł do rozmiarów głazu i żarzył się tak jasno, jak piec hutniczy. Był tak gorący, że dało się do niego podejść tylko pod osłoną zaklęcia. Głaz ronił metal, księżycowy metal, bo stamtąd pochodził. Jeśli popatrzysz na księżyc, zobaczysz dziurę. To miejsce, z którego Eilistraee utoczyła kamyk.

Halisstra spojrzała na księżyc, który właśnie wzniosł się nad korony drzew. Jego powierzchnia była usiana dziesiątkami ciemnych, okrągłych otworów. Patrzyła, zastanawiając się, który to.

- Tam - powiedziała Uluyara, wskazując. - Mniejszy otwór wewnątrz większego, ciemniejszego. Widzisz, jak reszta większego otworu tworzy sierp?

Halisstra zamknęła jedno oko i spojrzała wzdłuż ramienia Uluyary, po czym kiwnęła twierdząco głową.

- Księżycowy metal uroniony przez głaz został zebrany i przekuty na miecz o ostrzu w kształcie sierpa - podjęła Uluyara. - Przy każdym rozgrzaniu, przy każdym uderzeniu młota w kowadło, przy każdym studzeniu, w ostrze wplataną zaklęcia. Uczyniono je świętym, by tym ostrzej przeciwstawiało się złu. Uczyniono je szybkim jak myśl, by potrafiło zadawać dwa ciosy na każdy cios przeciwnika. Zostało zaklęte blaskiem księżyca, tak jak mój miecz, aby mogło rozplatać pancerz, a nawet skałę, jak gdyby to było ciało. Dzięki błogosławieństwu Eilistraee może nawet odpędzać złą magię, otaczając tego, kto je dzierży, ochronnym kręgiem. Ostatnie zaklęcie, jakie nałożono na Księżycowe Ostrze - ciągnęła Uluyara - jest chyba najpotężniejsze. Jeśli ręka dzierżącej je kapłanki jest silna, a cios celny, ostrze odrąbie głowę każdej istocie.

Uluyara urwała, a jej oczy wpiły się głęboko w oczy Halisstry.

- Każdej istocie - powtórzyła. - Drowowi, demonowi... a nawet bogini.

Halisstra nagle zrozumiała.

- Więc to próbowała mi powiedzieć Seyll - wyszeptła. - Mam użyć Księżycowego Ostrza nie po to, żeby zabić Quenthel Baenre, ale samą Lolth.

Uluyara wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę, zanim powiedziała:

- Choć brzmi to nieprawdopodobnie, tak właśnie jest.

- Ale ja... Ale ona...

Przytłoczona ogromem tego zadania, Halisstra nie była nawet w stanie zaprotestować. Ona, Halisstra, była kapłanka Lolth, która dopiero niedawno znalazła się w świetle Eilistraee, miała uśmiercić najpotężniejsze bóstwo drowów? Mieczem? Sam pomysł był niedorzeczny. A nawet śmieszny. Widziała na własne oczy pojedynki bogów, kiedy Vhaeraun i Selvetarm zmierzyli się ze sobą przed świątynią Lolth w Pajęczynie Demonów. Żaden z obecnych śmiertelników, nawet Pharaun, nie zdołałby wpłynąć na przebieg walki, nawet gdyby chciał. Ale Eilistraee musiała wiedzieć, co robi - musiała wybrać Halisstrę z jakiegoś powodu.

Ale Halisstra nie potrafiła zrozumieć dlaczego. Znała tylko garstkę zaklęć bae'qeshel - najprostsze czary uzdrawiające - i wciąż usiłowała nauczyć się od nowa zaklęć, którymi kiedyś obdarzała ją Lolth, a które Eilistraee objawiała jej teraz w nowej postaci. Była jak ktoś, kto został złożony chorobą i powoli uczył się znowu chodzić. A Eilistraee oczekiwała, że będzie nie tylko chodzić, ale biegać. A nawet latać. Tak jak powiedziała Uluyara - to niemożliwe.

A może jednak? Lolth może jeszcze żyła, ale była bierna i obojętna. Kiedy Halisstra bluźniła przeciwko niej, nic się nie stało. Nawet zabicie fazowego pająka poprzez wezwanie księżycowego ognia Eilistraee nie ściągnęło na nią gniewu bogini. Yochlole, służki Lolth, zabiły jedną z kapłanek Eilistraee, ale nie było żadnych bezpośrednich znaków od samej bogini. Uluyara wywieszczyła, że świątynia Lolth jest wciąż zapieczętowana ogromnym czarnym kamieniem. Kamieniem, który przypominał twarz i miał szyję.

Szyję z kamienia - materiału, który Księżycowe Ostrze rozpląta równie łatwo jak zwykła klinga ciała. Jednym celnym ciosem Księżycowego Ostrza głowa może zostać odrąbana.

O ile cios zada jedna z czcicielki Eilistraee.

Czy w ten sposób naprawdę uśmierci Lolth?

Halisstra potrząsnęła głową.

- Dlaczego ja? - zapytała Uluyarę. - Eilistraee mogła znaleźć bardziej godną kapłankę. Na przykład ciebie.

- Ale to nie ja zostałam wybrana - odparła Uluyara. Potem po chwili zastanowienia dodała. - Ty, ze wszystkich, które czczą Eilistraee, jesteś wyjątkowa z tego prostego powodu, że tylko tobie mogą zaufać Quenthel Baenre i pozostali. Jeśli uda im się dotrzeć do władztwa Lolth, a ty będziesz wśród nich, będziesz mogła zakończyć mroczne rządy Pajęcej Bogini i uwolnić jej dzieci z oplatających je sieci, które ograbiają je z ich dziedzictwa.

- Jeśli taka jest rzeczywiście wola Eilistraee, spróbuję - powiedziała powoli Halisstra. Potem uświadomiła sobie, że musi jeszcze zrobić pierwszy krok, zanim podejmie się tego monumentalnego zadania. - Seyll powiedziała, że Księżycowe Ostrze zagubiło się na Zimnych Polach. Gdzie to jest?

- Jakies trzy dni marszu na południowy wschód stąd, na skraju wielkiego lasu - powiedziała Uluyara. - To niebezpieczne miejsce. Wieki temu miała tam miejsce wielka bitwa, a wyzwolona podczas niej plugawa magia wciąż przenika Pola. Duchy poległych żołnierzy wciąż je nawiedzają, a najbardziej niebezpieczne są zimą. Kiedy powietrze staje się zimne jak grób, powstają, by znów walczyć i porywają wszystko, co stanie im na drodze.

Halisstra, jeszcze raz przebiegając myślą wiadomość Seyll, słuchała tylko jednym uchem.

- Czy na Zimnych Polach mieszka smok? - zapytała, przypominając sobie ostrzeżenie przed zmijem.

Uluyara wzruszyła ramionami.

- Nigdy go tam nie widziano, ale to możliwe. Podobno w bitwie brały udział smoki. Ich magiczny oddech spalił Zimne Pola i ziemia do dziś pozostaje jałowa. Jeden z nich może tam mieć swoje leże.

- W jaki sposób utraciłyście Księżycowe Ostrze? - zapytała Halisstra. - Seyll powiedziała, że miecz nosiła „ona”. Kto? Kapłanka?

Uluyara spojrziała na nią dziwnie. Patrzyła na nią, jak gdyby nagle coś sobie uświadomiła - coś ważnego związanego z jej osobą.

- Ta, która nosiła Księżycowe Ostrze, była kapłanką najwyższej rangi - powiedziała. - Jedną z Tancerek Miecza. Pochodziła z tego samego miasta, co ty. Z Ched Nasad.

Halisstra kiwnęła głową. Zaskoczyła ją wiadomość, że ktoś z jej miasta też trafił do świątyni.

- Do jakiego domu należała? - zapytała Halisstra.

- Domu Melarn.

Halisstra zamrugwała.

- Jak miała na imię?

- Mathira.

Halisstra zmarszczyła brwi. Początkowo nie rozpoznała tego imienia - a potem pojawiło się wspomnienie z dzieciństwa. Wspomnienie dnia, kiedy zauważyła, że jedno z popiersi w wielkiej galerii domu Melarn zostało „zniszczone”. Ktoś zatarł dłutem kamienne rysy twarzy i imię wyryte w podstawie, ale tak niestarannie, że wciąż można było odczytać pierwszą literę: M. Kiedy Halisstra zauważyła szkodę, zapytała matkę, czyje to popiersie i dlaczego zostało zniszczone. Odpowiedzią był siarczysty policzek - policzek tak mocny, że rozciął Halisstrze górną wargę. Wciąż pamiętała swoje zaskoczenie - i smak własnej krwi. Nauczyło ją to, że niektórych pytań nie należy zadawać.

Przez co jeszcze bardziej zapragnęła poznać odpowiedź. I tak wiele lat później, kiedy została kapłanką, użyła jednego z zaklęć otrzymywanych od Lolth, aby zaspokoić swoją ciekawość. Pod wpływem magii zaklęcia imię na zniszczonym popiersiu rozbłysło jasno, ukazując napis „Mathira”. Dyskretne śledztwo pozwoliło jej dotrzeć do strzępków informacji o kobiecie, która popadła w niełaskę i została zmuszona do ucieczki z Ched Nasad dziesięć lat przed narodzinami Halisstry. Halisstra nie zdołała jednak odkryć, jakiej zdrady się dopuściła. W końcu, nie będąc w stanie dowiedzieć się niczego więcej o rodzinnym skandalu, zaprzestała dalszych dociekań.

- A więc - powiedziała Halisstra półgłosem - Mathira uciekła z Ched Nasad, ponieważ nawróciła się na wiarę w Eilistraee.

- I przybyła tutaj - dokończyła za nią Uluyara. - Zdobywała coraz wyższą pozycję wśród wiernych, aż została Tancerką Miecza. To ona była kapłanką, która zaniósła Księżycowe Ostrze na Zimne Pola i straciła je.

I to Halisstra miała je odnaleźć i użyć zgodnie z zamysłem Eilistraee, aby zabić Lolth.

To nie mógł być zwykły zbieg okoliczności. Halisstra widziała na każdym kroku rękę Eilistraee. Kto inny oprócz bogini mógł wpływać na życie śmiertelników w tak subtelny sposób, tkając plan obejmujący całe stulecia? Halisstra była pewna, że jeśli spróbuje się wycofać, Eilistraee znajdzie sposób, żeby sprowadzić ją z powrotem na wyznaczoną jej ścieżkę.

Ta myśl przeraziła ją. I równocześnie dała nadzieję, że może jej się udać. Musiała zaufać bogini - choć zaufanie było czymś, czego właśnie się uczyła i wciąż przychodziło jej to z trudem.

Pozostawało jednak jeszcze jedno pytanie.

- Jak odnajdę Księżycowe Ostrze?

Uluyara spojrziała na księżyc i przez dłuższą chwilę nie odzywała się. Potem wolno zaczęła mówić.

- Posiadasz magię, której my nie mamy. - nazwała ją „magią mrocznej pieśni”. Może właśnie ona jest potrzebna, aby Księżycowe Ostrze znów ujrzało światło.

Halisstra kiwnęła głową.

- Jest taki czar, którego uczyłam się, zanim opuściłam... zanim Ched Nasad zostało zburzone. Bardka, która mnie go nauczyła, twierdziła, że mogę nim zlokalizować każdy przedmiot, który jestem sobie w stanie zwizualizować. Jeśli uda mi się go rzucić, może pozwoli mi odnaleźć Księżycowe Ostrze. O ile powiecie mi, gdzie powinnam rozpocząć poszukiwania. Gdzie zniknęła Mathira?

- Ostatni raz widziano ją w Dolinie Radła - odparła Uluyara. - Stamtąd miała wyruszyć na południe do Doliny Blizny, a potem na Most Czarnych Piór. Nie mogła zaginać, podróżując tak uczęszczaną trasą, uznałyśmy więc, że musiała z niej zboczyć. Miała pilną sprawę do załatwienia, więc może dlatego wybrała krótszą drogę - podróż do mostu w linii prostej przez Zimne Pola, zamiast okrążyć je drogą.

Halisstra już myślała, jak najlepiej wykorzystać zaklęcie. Pojedzie do Doliny Radła, skieruje się w stronę Pierzastych Wodospadów i pomaszeruje prosto przed siebie, rzucając zaklęcie co sto kroków, bo taki miało zasięg.

- Jak duże są Zimne Pola? - zapytała Halisstra, wyobrażając sobie powierzchnię wielkości dużej jaskini.
- Niestety, najszersze są z północnego wschodu na południowy zachód - powiedziała Uluyara. - To otwarta przestrzeń, nie więcej niż dwa dni marszu równym tempem. Ale nie będzie ci łatwo. Będziesz miała szczęście, jeśli dotrzesz na drugi koniec żywa. I jeszcze większe, jeśli duchy zamieszkujące to ponure miejsce nie doprowadzą cię do obłądu, na długo zanim je opuścisz.
- Czy żadna z kapłanek nie będzie mi towarzyszyć? - zapytała Halisstra.
- Większość wyruszyła już na poszukiwania yochlola, który zabił Breenę. Te, które zostały, muszą się zająć innymi, równie pilnymi sprawami. Nie wiem czy dam sobie bez nich radę.
Halisstra zmrużyła oczy.
- Nie wierzysz, że je znajdę?
- Nie o to chodzi, dziecko - odpowiedziała miękko Uluyara. - Po prostu niektóre podróże należy odbyć samemu. - Jej wzrok podążył ku czubkom drzew. Śpiew umilkł. Ciało Breeny zostało złożone na spoczynek.
Nocne powietrze było zimne, ale Halisstra czuła, że zaczyna w niej płonąć ogień.
- Odnajdę Księżycowe Ostrze - przysięgła. - Sama. Nie potrzebuję niczyjej pomocy.
Odwróciła się i weszła w las, odwrócona plecami do schronienia dzielonego z Ryldem. Uluyara mogła w nią nie wierzyć, ale był ktoś większy, kto pokładał w niej zaufanie.
Eilistraee.

ROZDZIAŁ 28

Valas czekał z kukrisami w dłoniach na końcu tunelu, który Pharaun wydrążył przed chwilą w skale za pomocą magii. Idealnie gładki i nieco owalny, był trochę za niski, żeby zwiadowca mógł się w nim wyprostować na swoją pełną wysokość. Stał ze skulonymi ramionami, dotykając włosami ciepłego od magii kamienia.

Pharaun, stojący krok za nim, recytował cicho zaklęcie, trzymając między palcem wskazującym a kciukiem drobne ziarenka stanowiące jego materialny komponent. Przez te cztery dni, które zajęło im dotarcie do części Podmroku leżącej pod Myth Drannor, mag zdążył się dobrze przygotować. Rzucił już to samo zaklęcie kilka razy, przedłużając tunel o kolejne sto kroków. Jeśli rzezimieszek, który opowiedział Valasowi o portalu, nie pomylił się w swoich obliczeniach, odległość pomiędzy korytarzem, w którym stali, a skarbcem, do którego chcieli dotrzeć, wynosiła mniej więcej tyle. Następne zaklęcie powinno otworzyć im drogę do jego wnętrza.

Gdy Pharaun dokończył zaklęcie i cisnął ziarnami w ścianę na końcu tunelu, wskazując ją palcem, Valas napiął mięśnie. Skala przed nim zamigotała, a potem rozplynęła się przed palcem Pharauna, ukazując w odległości dziesięciu kroków dużą komnatę. Tunelem napłynęło ku nim zatęchłe powietrze, niosące zapach kurzu i rozkładającego się ciała.

Cicho jak pajak, Valas podkraśl się do przodu i zajrzał do starożytnego skarbcza. Zgodnie z opisem rzezimieszka był ogromny. Okrągła komnata, mierząca sto pięćdziesiąt kroków wszerek i pięćdziesiąt kroków wżwyż, miała sklepiony strop wyłożony misternymi mozaikami. Wykonane z polerowanych kamyków - częściowo kamieni półszlachetnych - przedstawiały kilka elfich bóstw z mieczami w ręku i strzałami nałożonymi na cięciwy. Fragmenty mozaiki podpadały miejscami, wypchnięte przez korzenie drzew wrastające z góry przez strop. Na ziemi leżały kawałki kamieni i grudki ziemi. Bogowie, którzy pozostali na mozaikach, spoglądali srogo na pomieszczenie w dole, jak gdyby gniewał ich jego opłakany stan.

Na poziomie posadzki - jakieś pięć kroków poniżej tunelu, w którym przycisnął się Valas - znajdowało się troje drzwi osadzonych w równych odległościach od siebie. Drzwi tuż pod Valasem i te po jego prawej ręce wyglądały na wyrwane z zawiasów. To nimi dostali się do środka opryszek i jego towarzysze po przejściu przez najeżony zasadzkami korytarz. Jednak Quenthel - a raczej Pharaun, który wyperswadował jej delikatnie ten pomysł - roztropnie zdecydowała nie korzystać z tej drogi.

Valas zaglądał do mrocznego pomieszczenia, wyciągając słuch. W środku nie widać było widm, ale nie było w tym nic niezwykłego. Widma potrafiły przenikać przez ściany i mogły się pojawić w każdej chwili. Nie widać też było nigdzie ciał towarzyszy opryszka. To też nie było dziwne. Zapewne powstali z martwych jako upiory, opuścili komnatę wyważonymi drzwiami w poszukiwaniu świeżego mięsa i zostali poszatkwani przez ukryte ostrza w korytarzu. Ich smród wciąż unosił się w powietrzu... czy na pewno?

Spoglądając znów na sklepienie, Valas zauważył w płataninie zaglądających do pomieszczenia korzeni czaszkę. Skarbiec musiał się znajdować pod cmentarzem. Elfy zamieszkujące powierzchnię były znane z sadzenia drzew na grobach swoich zmarłych. Nic dziwnego, że gnijące trupy złożone tuż nad sufitem przyciągały w to miejsce widma.

Pharaun stanął za plecami Valasa i zajrzał do skarbcza.

- *Widzisz coś?* zapytał na migi mistrz Sorcere.

Przekładając oba sztylety do jednej dłoni, Valas potrząsnął głową i odparł:

- *Nie widzę nigdzie widm ani portalu.*

- *Jeśli tu jest, wkrótce go zobaczysz,* odpowiedział Pharaun.

Czarodziej zaczął szeptać słowa zaklęcia. Przesunął w powietrzu dłonią skierowaną wnętrzem w stronę pomieszczenia. Po chwili na środku komnaty pojawił się żarzący się bladym fioletem krąg.

- *Tam,* wskazał mag.

Valas zanotował w pamięci to miejsce, a potem znów zajął się obserwacją pomieszczenia i czekał. Ponieważ magia poruszyła powietrze w komnacie, widma mogły się pojawić lada chwila. Zakładając, rzecz jasna, że opryszek mówił prawdę.

Człowieczek twierdził, że w skarbcu wciąż kryją się skarby, o czym Valas nie powiedział towarzyszom, żeby nie odrywać ich od celu ich misji, ale pomieszczenie było puste. Może kłamstwem była też opowieść o widmach. Ani nagle pojawienie się magicznie wydrążonego tunelu w ścianie

skarbcza, ani rzucone przez Pharauna zaklęcie nie wyciągnęło ich z ukrycia. Nawet jeśli widma nawiedzały kiedyś to miejsce, gdzie bogowie spoglądali groźnie w kamiennym milczeniu, wyglądało na to, że je opuściły.

Ale to nie oznaczało, że Valas nie zachowa środków ostrożności. Na szyi zwiadowcy wisiał na cienkim złotym łańcuszku wykonany przez elfy amulet w kształcie złotego słońca. Valas wyciągnął go zza pancerza i pocałował, po czym zwiesił luźno na piersi, lekceważąc uniesione brwi Pharauna. Jeśli pojawią się widma, amulet go ochroni.

Przynajmniej przez jakiś czas.

- *Ty i pozostali powinniście wpaść tam biegiem, pokazal na migi. Jeśli się rozpędzicie i skoczycie, powinniście dolewitować do portalu bez dotykania czegokolwiek w pomieszczeniu. Ja skoczę za pomocą mojego amuletu. Jeśli dopisze nam szczęście, widma - jeśli w ogóle tu są nawet nie zauważą naszej obecności.*

- *Zapomniałeś, że Danifae nie potrafi lewitować,* powiedział Pharaun.

Valas jęknął cicho. Czy tylko on był zdolny do taktycznego myślenia?

- *Użyj jednego ze swoich zaklęć - tego, które pozwala skakać jak pchła. Dotrze do portalu w dwóch albo trzech skokach.* Urwał, a potem dodał: *Dopilnuj, żeby była ostatnia. Będzie najbardziej niezdarna - jeśli są tam widma, to hałas, jakiego narobi, je ściągnie.*

Pharaun spochmurniał, ale nic nie powiedział. Zamiast tego podniósł dłoń do ust i wskazał drugi koniec tunelu, gdzie czekali Quenthel, Danifae i Jeggred.

- Jesteśmy na miejscu - wyszeptał, a zaklęcie zaniósło jego szept do uszu Quenthel. - Portal wygląda na niestrzeżony i aktywny. Chodźcie szybko, ale bądźcie cicho.

Valas, wciąż obserwujący uważnie pomieszczenie w dole, usłyszał szcęk rymsztunku dobiegający z końca tunelu - to Danifae i Quenthel zbliżały się w ich stronę - i cichutkie stukanie długich pazurów Jeggreda na kamieniach. Zacisnął zęby, modląc się, by jego towarzysze nauczyli się cenić wartość poruszania się po cichu i to jak najszybciej. Potem stukanie umilkło i usłyszał niski pomruk.

Tracąc cierpliwość, Valas obrócił się z przekleństwem na ustach. Zobaczył Quenthel prowadzącą pozostałych korytarzem. Danifae szła zaraz za nią, ale Jeggred został kilka kroków w tyle i spoglądał przez ramię, nadal warcząc.

- *Pani!* pokazał gniewnie Valas. *Powiedz Jeggredowi, żeby...*

Zanim skończył, ciszę rozdarł dziki ryk. Jeggred pomknął tunelem w przeciwną stronę, wznosząc swój okrzyk bojowy. W następnej chwili Valas zobaczył, co było powodem ataku draegloth.

Dwa powykręcane stwory będące niegdyś drowami, o pazurach długich jak szpony Jeggreda i paszczach pełnych ostrych jak szpileczki zębów, podkładały się do nich z tyłu. Przegniłe odzienie wisiało na nich w strzępach, a włosy stanowiły splątana masę zlepioną brudem. W ich oczach płonęła złość, z jaką wszystkie nieumarłe istoty patrzają na żywych. W przeciwieństwie do drowów, za którymi szły, upiory poruszały się całkowicie bezszelestnie. Widząc, że zostały zauważone, pobiegły naprzód na spotkanie draeglotha.

Jeggred wpadł prosto na pierwszego upiora, jednym potężnym machnięciem bojowego ramienia grzmotnął nim o ścianę, obalając na ziemię, po czym rozplątał mu brzuch szponami stopy. Gdy w powietrzu rozszedł się przenikliwy odór śmierci i zgnilizny, drugi upiór przemknął pod ramieniem draeglotha i w przelocie klepnął go w pierś. Jeggred jęknął, przycisnął do piersi jedną z mniejszych rąk Valas po raz pierwszy widział, jak na głos daje wyraz bólowi - i zatoczył się lekko. Jednak chwilę później doszedł do siebie. Rycząc wściekle, chwycił bojową łapą twarz stwora i szarpnął gwałtownie, odrywając głowę od szyi.

Pierwszy upiór wciąż się ruszał, czołgając się zaciekle za Jeggredem i wlokąc za sobą przegniłe wnętrzności. Zanim go osiągnął, rzuciła się ku niemu Danifae z morgenszternem w dłoni. W niskim tunelu nie miała miejsca, żeby wziąć porządny zamach, ale zdołała wykonać krótki cios skierowany w dół. Kolczasta kula morgenszterna wyrznęła upiora w głowę w eksplozji magicznych iskier, wypełniając powietrze ostrym zapachem ozonu. Upiór padł plackiem i znieruchomiał.

Pharaun wpatrywał się w Danifae, nie kryjąc podziwu. W dłoni trzymał skórzaną sakiewkę, którą wyciągnął z kieszeni, gdy upiory zaatakowały.

- Dobra robota - powiedział, wkładając ją z powrotem do kieszeni piwafwi.

Quenthel spojrzała za Danifae.

- Jest ich więcej? - zapytała Jeggreda.

Zdyszany Jeggred obracał głowę na boki, węsząc w poszukiwaniu dodatkowych wrogów. Gdy jego pierś wznosiła się i opadała, Valas zauważył ranę zadaną mu przez upiora. Była nieco głębsza od draśnięcia, ale sprawiała, że Jeggred charczał przy każdym oddechu. Po chwili draegloth potrząsnął łbem.

- Nie - stwierdził. - Tylko te dwa.

Valas odchrząknął.

- Upiory są najmniejszym z naszych zmartwień - przypomniał pozostałym. - Musimy ruszać dalej. Portal jest tuż przed nami, na środku skarbcza, jakieś siedemdziesiąt pięć kroków w głąb pomieszczenia. Pharaun oznaczył go zaklęciem. Szybko, po jednej osobie. Weźcie rozbieg, odbijcie się z końca tunelu i lewitujcie w dół. Nie dotykajcie niczego w komnacie. Ty pierwsza, Quenthel, potem Jeggred, gdy Pharaun będzie rzucał zaklęcie na Danifae. Potem Pharaun, a za nim Danifae. Ja skoczę ostatni.

To powiedziawszy, przylgnął płasko do ściany i kiwnął na pozostałych. Jednocześnie po raz ostatni rozejrzał się po skarbcu, szukając jakichś oznak poruszenia na wypadek, gdyby widma znalazły się w środku, gdy byli odwróceny do komnaty plecami.

Widm nie było.

Quenthel przysunęła się bliżej, żeby zajrzeć do pomieszczenia, a potem, narodziwszy się w milczeniu ze swoimi żmijami, kiwnęła głową. Cofnęła się w głąb korytarza, a potem przemknęła obok Valasa i wyskoczyła w powietrze. Uderzenie serca później Jeggred pobiegł za nią, wymachując ramionami.

Gdy para lewitowała przez puste pomieszczenie w stronę portalu, Valas spojrzał na sklepienie. Czy bogowie na mozaikach nie spoglądali na nich groźniej niż jeszcze kilka minut temu? Wpatrywał się w nich przez chwilę, ale w końcu uznał, że tylko mu się wydawało. Tymczasem Quenthel zignorowała jego polecenie i unosiła się nad portalem. Jeggred, unoszący się w powietrzu obok niej, z konsternacją wodził wzrokiem od swojej pani do portalu.

Valas odwrócił się, żeby ostrzec Pharauna, że coś ich zatrzymało, ale mag właśnie kończył rzucać zaklęcie na Danifae, zaciśniętym w palcach przedmiotem kreśląc nad każdym z jej kolan niewidzialny symbol. Gdy skończył, uśmiechnął się do niej zachęcająco, po czym obrócił się i minął pędem Valasa, wskakując do skarbcza.

Lewitując, zatrzymał się tuż nad Quenthel i Jeggredem, wściekłymi gestami dając im do zrozumienia, żeby wkroczyli w portal. Ale Quenthel potrząsnęła głową.

- Najpierw ty - rozkazała.

Pharaun, lewitując w powietrzu, założył ramiona na piersi.

- Chodź, Danifae! - krzyknął. - Czekamy na ciebie.

Valas pokręcił głową. Utarczka z upiorami była już i tak wystarczająco głośna, żeby obudzić nieumarłego, a przez te wszystkie krzyki nawet nie usłyszą, jeśli jakiś rzeczywiście się zbliży. Niecierpliwie skinął na Danifae.

Gdy sprężyła się do skoku na krawędzi tunelu, zauważył, że jej nogi są połączone stawami inaczej niż zwykle. Skoczyła, jednym susem pokonując połowę odległości dzielącej ją od portalu. Wyglądała na pewną siebie i miała już wylądować na pustej posadzce, ale gdy dzielił ją od niej zaledwie jeden krok, nagle potknęła się i przechyliła w bok. Valas usłyszał odgłos przypominający osypywanie się kamyków. Danifae wylądowała na czworakach - ale nie na podłodze. Wyglądała, jak gdyby upadła na coś, co utrzymywało ją w odległości wyciągniętego ramienia od ziemi. Coś niewidzialnego albo spowitego iluzją. Coś, co się przesunęło.

Pharaun też zauważył jej potknięcie. Wsunął jedną dłoń do kieszeni piwafwi i chwilę później rozsmarowywał coś na powiekach, skandując zaklęcie. Gdy Danifae próbowała się podnieść na poruszającej się powierzchni i znów rozległ się odgłos spadających kamyków, Pharaun wytrzeszczył oczy.

- Danifae! - krzyknął. - Stoisz na przegniłej skrzyni, z której wysypują się klejnoty, ale co ważniejsze, tuż obok ciebie, po prawej, leży różdżka. Złap ją!

Quenthel poderwała głowę i zapytała:

- Różdżka?

Danifae zaczęła macać rękami niewidzialną stertę, na której stała. A tymczasem Valasa ogarniał coraz większy niepokój. Ktoś, albo coś, obserwowało ich. Jeszcze raz zerknął na sufit.

Zwiadowca zorientował się, że intuicja go nie zawiodła. Oczy bogów w mozaice wyglądały inaczej. Jeszcze przed chwilą były to matowe, płaskie kamienie, a teraz zaczęły płonąć jak rozżarzone

węgle.

A potem zamrugały.

- Jasny gwint - zaklął pod nosem zwiadowca. A potem, gdy dwie pary rozżarzonych oczu oderwały się od sklepienia i spłynęły w dół, krzyknął: - Pharaun! Quenthel! Nad wami widma!

Jegged zareagował pierwszy. Chwyciwszy Quenthel za ramiona, pchnął ją w stronę posadzki. Jej stopy dotknęły portalu i kapłanka zniknęła. Potem draegloth obrócił się i spróbował potraktować w ten sam sposób Pharauna, ale mag wywinął mu się i wymierzył mu kopniaka. Siła uderzenia wepchnęła draeglotha w portal i on też zniknął.

Valas chrząknął. Zachowanie Jeggedra było zbyt opanowane - i pozbawione szacunku - by mogło być czymkolwiek innym niż wypełnieniem rozkazów Quenthel. Najwidoczniej wysoka kapłanka zawczasu pouczyła go, co robić w razie ataku widm, a jej taktyka miała uzasadnione podstawy. Ona i Pharaun mieli kluczowe znaczenie dla powodzenia misji, ale innych można było poświęcić. Jednak Pharaun wiedział co się zaraz stanie i postanowił, mądrze lub nie, zostać i walczyć.

Mag wyrwał z kieszeni sakiewkę, po którą sięgał wcześniej. Ruchem szybkim jak atak żmii wyciągnął z niej szczyptę diamentowego pyłu i wyrzucił go w powietrze. Gdy para widm runęła na niego - ich pozycję zdradzały tylko płomienne czerwone oczy - Pharaun wykrzyknął inkantację. Nie mogąc się już zatrzymać, dwa upiory wpadły w chmurę diamentowego pyłu i zawyły. Pusty, pełen bólu skowyt sprawił, że włoski na karku Valasa zjeżyły się. Oczy widm zgasły, gdy potężne zaklęcie zdmuchnęło nekromantyczną siłę, która podtrzymywała ich istnienie.

Niestety, tak jak ostrzegwał zwiadowca, było ich więcej. Od sklepienia oderwały się dziesiątki czerwonych punkcików, które zaczęły spadać w dół jak drobne węgielki osypujące się parami z płonącego budynku.

Widząc to, Pharaun przeniósł wzrok z widm na Danifae. Jego myśli były wyraźnie wypisane na twarzy. Czy powinien ratować własną skórę i uciec przez portal, czy zostać i chronić brankę?

Czarodziej zaczął opadać w stronę portalu, ale zatrzymał się raptownie i wbił w coś wzrok - nie w Danifae, tylko w coś leżącego u jej stóp. Zamiast uciekać, sięgnął do sakiewki po kolejną szczyptę pyłu. Mało brakowało, a moment wahania przypląciłyby życiem. Jedno z widm niezauważenie opadło w dół za jego plecami i z pustym grobowym śmiechem przemknęło przez ciało czarodzieja. Gdy rozżarzone czerwone oczy wyjrzały z piersi Pharauna, mistrz Sorcere zadygotał, a jego twarz okryła trupia bledność. Trzy następne widma leciały z morderczymi zamiarami w stronę Danifae. Branka wzniosła morgenszterna do ciosu i wparła się nogami w ziemię, choć musiała wiedzieć, że nic jej z tego nie przyjdzie. Magiczna broń mogła unieszkodliwić jednego upiornego nieumarłego, ale dwa pozostałe niemal z pewnością zabiją ją uderzenie serca później.

Działając całkowicie instynktownie, Valas dotknął przypiętej do piersi dziewięcioramiennej gwiazdki i przeszedł pomiędzy wymiarami. Zmaterializował się obok Danifae w chwili, w której kula morgenszterna przemknęła mu ze świstem obok głowy, trafiając widmo w deszczu iskier. Oręż nie napotkał żadnego oporu i drowka zachwiała się.

Korzystając z okazji, dwa pozostałe widma zaatakowały. Jednak zanim zdążyły osiągnąć Danifae, Valas wyskoczył w powietrze, wykorzystując właściwości magicznych butów. Z rozpostartymi szeroko ramionami wbił w widma sztychy sztyletów. Tak jak buzdygan Danifae, ostrza przeszły na wylot przez ciała widm. Kukri w jego prawej ręce eksplodował magiczną energią, ale ten w lewej rozdarł tylko przypominające mgłę ciało nieumarłego.

Nie będąc w stanie zapobiec zderzeniu, Valas poczuł, jak obie jego ręce wchodzą w widma. Przeszedł go dreszcz i zwiadowca upadł na ziemię, prawie nie kontrolując upadku i potykając się na niewidzialnych, osypujących się klejnotach. Myślał, że serce mu stanie, gdy ból, który zmroził go do szpiku kości, podszedł aż do piersi. A potem ustąpił, pochłonięty przez noszony na szyi amulet, który nagle stał się jakby cięższy.

Odpędziwszy widma od Danifae, spodziewał się, że branka spróbuje uciec. Była chyba na tyle inteligentna, by zdawać sobie sprawę, że Pharaun nie czekał na nią, tylko na różdżkę, którą tylko on potrafił dostrzec. Trzy następne widma były już prawie przy nich, a z każdą chwilą ze stropu wyłaniały się nowe. Ale zamiast uciekać w stronę portalu, Danifae opadła na kolana i zaczęła macać ziemię.

- Oślaniaj mnie - warknęła do Valasa, nawet nie podnosząc głowy.

Valas zastanowił się przez uderzenie serca - branka czy nie, Danifae była kapłanką Lolth i jej słowo było dla niego rozkazem - po czym potrząsnął głową.

- Nie ma czasu! - ryknął. - Skacz!

Uchylając się w ostatniej chwili przed pikującym widmem, przywołał magię amuletu-gwiazdki i po raz drugi przeszedł między wymiarami, wypadając tuż obok portalu. Zatrzymał się tam wystarczająco długo, żeby zobaczyć, jak Danifae spotyka taki sam los jak Pharauna. Jej twarz zrobiła się szara jak papier, gdy widma przemknęły przez jej ciało. Tymczasem Pharaun zdążył unieszkodliwić kolejne widmo swoim pyłem, opróżniając do końca sakiewkę.

Spoglądając na widmo zstępujące przez płataninę odsłoniętych korzeni, Valas nagle coś sobie uświadomił. Powierzchnia nie mogła się znajdować dalej niż kilka kroków nad stropem. Wskazał sklepienie jednym ze sztyletów - patrosząc przelatujące nisko widmo i krzyknął do Pharauna:

- Nad nami jest dzień - wykorzystaj to!

- Ach! - zawołał mag, w mig chwytając, w czym rzecz.

Wsunął dłoń do kieszeni. Wyrzucając w powietrze garstkę nasionek, wykrzyczał zaklęcie. W tej samej chwili sześć widm zanurkowało w jego stronę, a cztery kolejne, błyskając ślepiami, w stronę Valasa. Nagle, jak korek wyciągnięty z butelki z winem, kawałek sklepienia zniknął, gdy zaklęcie wydrążyło w nim tunel. Do skarbcu wpadło światło dzienne. Valasowi przemknęły tuż przed twarzą czerwone ślepia - i zniknęły. Mrużąc oczy, oślepiiony jaskrawym snopem światła, rozejrzał się po skarbcu. Widma, przepędzone światłem słonecznym, zniknęły.

Zamknął oczy i westchnął głęboko z ulgą. Potem spojrzął na słoneczny amulet. Metal stracił swój jasnozłocisty połysk. Stał się matowoszary. Wszystkie promienie zwiwały bezwładnie.

Valas schował amulet pod tunikę. Spełnił swój obowiązek.

Podobnie jak zwiadowca.

- Znikam - powiedział do Pharauna i Danifae. - Wy możecie zostać i napychać kieszenie skarbami.

Popatrzył na podłogę i zauważył, że magia powlekająca portal zbladła. Nieważne, pamiętał, gdzie się znajduje. Kiedy wkroczył w bramę, Pharaun, skarbiec i Danifae, która podniosła się z ziemi i patrzyła na niego oczyma płonącymi wścieklej niż ślepia widm, wszystko to zniknęło.

Powietrze wokół Valasa stało się chłodniejsze i wilgotniejsze, co było miłą odmianą po przytłaczającej atmosferze śmierci i kurzu. Przed sobą wyczuwał ogromną przestrzeń, a za plecami kamienną ścianę. Potrząsając głową, aby otrząsnąć się z oszołomienia spowodowanego przejściem przez portal, zobaczył Quenthel i Jeggreda stojących w pobliżu na wąskiej skalnej półce zapaskudzonej odchodami nietoperzy. Daleko w dole rozciągało się, jak okiem sięgnąć, ogromne, mroczne jezioro, podświetlone promieniami zimowego słońca wpadającymi przez szczeliny w skale. Sklepienie jaskini znajdowało się wysoko w górze, ale nawet z pewnej odległości Valas widział tysiące nietoperzy, które spały przyczepione do stropu. Kiedy zapadnie zmierzch, zaroi się od nich w powietrzu.

- Gdzie Pharaun? - zapytała natarczywie Quenthel, potwierdzając jego wcześniejsze przypuszczenie, że on i Danifae stanowią dla niej wyłącznie karmę dla widm.

Tymczasem Jeggred wachał powierzchnią skały, dźgając ją palcem.

- Nie możemy wrócić - warknął. - Pharaun nie poszedł za nami, a my nie możemy wrócić.

- Pharaun jest wciąż w skarbcu - powiedział Valas.

Żmije przy biczu Quenthel zmierzyły go złowrogim spojrzeniem.

- Zostawiłeś go? - warknęła Quenthel.

- Czemu nie? Widma zostały pokonane i to nie dzięki wam - mruknął Valas, po czym zdał sobie sprawę, że mówi na głos.

Robiąc krok do tyłu, spuścił wzrok, ale reprimenda, której się spodziewał, nie nastąpiła. Bicz Quenthel wciąż tkwił za jej pasem, a uwagą wysokiej kapłanki zaprzętała całkowicie ściana za jego plecami. Całe jej ciało zastygło w napięciu, gdy, wpatrując się w milczeniu w ścianę, czekała na maga, jak gdyby chciała siłą woli sprawić, że z niej wyjdzie.

Kilka minut później Pharaun spełnił jej prośbę, wyłaniając się z portalu razem z Danifae, której nogi znów wyglądały normalnie, jako że zaklęcie przestało już działać.

Jeggred warknął cicho na maga, ale Quenthel uciszyła go krótkim machnięciem ręki, zauważając przedmiot trzymany przez Danifae. Niewyrobionemu oku Valasa wydał się on rozwidloną gałązką powleczoną srebrem, ale Quenthel rozpoznała go od razu.

- Różdzka lokalizacji - powiedziała, wyciągając rękę w niemym żądaniu.

- W rzeczy samej, mistrzyni - powiedziała Danifae z obojętnym wyrazem twarzy. - Musieli ją zgubić opryszkowie, którzy byli w skarbcu przed nami.

Podala różdżkę Quenthel, pochylając głowę.

Quenthel pogłaskała włosy Danifae gestem, który Valas, gdyby nie znał tak dobrze wysokiej kapłanki, mógłby wziąć za oznakę czułości.

- Wreszcie udowodniłaś swoją przydatność. To znacznie ułatwi odnalezienie statku chaosu.

Quenthel była tak skupiona na różdżce, że przeoczyła coś, co zauważył Valas - wyraz twarzy Pharauna. Mistrz Sorcere znów coś knuł. Nie chcąc wiedzieć, o co chodzi, ani nie interesując się tym, zwiadowca odwrócił się i spojrział z zadumą na jezioro. Potem zobaczył coś w oddali i zeszywniał.

- Co to? - zapytał Pharaun, wpatrując się w tę samą stronę. - Kolejne widma?

Valas potrząsnął głową i wskazał odległy punkt, gdzie nietoperze śmigły jak szalone nad wzburzoną wodą.

- Coś obudziło nietoperze... coś dużego. I zbliża się w naszą stronę.

ROZDZIAŁ 29

Ryld człapał otwartą, nagą równiną śladem Halisstry. Zabroniła mu sobie towarzyszyć, twierdząc, że musi sama wyruszyć na poszukiwania Księżycowego Ostrza, ale nie zabroniła mu za sobą pójść. A przynajmniej nie dosłownie.

Dlatego też pożegnał się z nią, kiedy opuszczała świątynię Eilistrae i wyruszył jej śladem, gdy tylko zniknęła mu z oczu. Przez trzy dni podróży przez las trzymał się blisko niej, ale kiedy wyszła na Zimne Pola, był zmuszony zostać w tyle i podążać za nią tylko pod osłoną ciemności. Nawet w magicznym piwafwi nie miał się jak ukryć w pełnym słońcu na płaskiej, łysej równinie.

Drogowskazem były mu ledwie widoczne ślady Halisstry: puste miejsce na pokrytej szronem ziemi, gdzie leżał wcześniej kopnięty kamyk, łata mchu zdrapana ze skały, wydrążony kawałek kości, który został niedawno przewrócony, bo przemarznięta ziemia oblepiająca go od spodu była wciąż świeża. Odrzuciwszy czubkiem buta na bok fragment czaszki, fechmistrz zapatrzył się na ponury krajobraz, szukając Halisstry. Jak okiem sięgnąć skuta mrozem ziemia była usiana kruszejącymi fragmentami kości, przerdzewiałymi ostrzami lanc, umbami tarcz i kawałkami kolczug tak zardzewiałymi, że ogniwa zbiły się w jednolitą masę. Jak gdyby szczątki wojowników, którzy walczyli tu wieki temu, zostały zasiane w nadziei, że pewnego dnia znów powstaną. Jednak nic tu nie rosło, tylko na tych skałach, które nie zostały stopione na żużel przez ogniasty oddech smoków, widać było słabe ślady porostów.

Zerwał się przeraźliwie zimny wiatr, który targał połami jego piwafwi niczym duchy zmarłych. Drżąc, wbił spojrzenie w mrok, szukając Halisstry. Wciąż musiała być daleko z przodu, bo jej nie widział. Zaczął się zastanawiać czy nie pochłonęła jej ziemia, tak jak tych poległych wojowników, po czym zorientował się, że zaczynają mu puszczać nerwy. Taka była specyfika tego miejsca. Połączenie gnijących trupów pod nogami i bezkresu nieba nad głową sprawiało, że czuł się bezbronny, odsłonięty. Jeśli martwi rzeczywiście przemierzali tę jałową krainę, nie było tu miejsca, gdzie mógłby przyjąć ich atak - żadnej ściany jaskini, o którą mógłby się oprzeć plecami.

Przeciągnął dłonią po czubku głowy - krótko przycięte włosy odrosły i niedługo znów będzie trzeba je skrócić - i ruszył dalej, przeczesując wzrokiem ziemię w poszukiwaniu śladów Halisstry. Jednak po kilku krokach zatrzymał się. Tam, w pewnej odległości przed nim w kierunku, w którym zmierzała Halisstra - czy ktoś się poruszył?

Nie ktoś - coś. Postać zdecydowanie przypominała drowa, ale wyglądała, jak gdyby brakowało jej dolnej połowy. Ryld wyraźnie widział głowę, barki i ramiona odcinające się na tle jaśniejszej plamy na horyzoncie, gdzie za chmurami wschodził księżyc, ale poniżej pasa widział tylko smugę ciemnej mgły, zwijającej się na wietrze jak dym ze zgaszonej świeczki. Nie musiał jednak widzieć nóg, żeby ustalić, w jakim kierunku porusza się postać. Mknęła żwawo naprzód, zatrzymując się od czasu do czasu, żeby nachylić się nisko nad ziemią. Ryld wzdrygnął się, uświadamiając sobie, że postać też śledzi Halisstrę.

Wyciągnął Rozpruwacza z pochwy na plecach i pobiegł naprzód. Ziemia rozmazała mu się pod stopami, gdy magiczne buty nadały mu kilkakrotnie większą szybkość niż ta, z jaką normalnie biegał. Próby podkradnięcia się na tej nagiej równinie były daremne. Tylko szybkość mogła przeważać szalę na jego korzyść. Szybkość i magia wielkiego miecza trzymanego w dłoni.

Chwilę później był już na tyle blisko istoty, by widzieć ją wyraźnie. Stwór był kiedyś człowiekiem. Nosił na kolczudze żołnierską kurtkę ozdobioną stylizowanym drzewem i zdobiony srebrny hełm z białą, spływającą mu na ramiona kitą, oznaką rangi oficera. Hełm lśnił w blasku księżyca, a ogniwa kolczugi pobrzękiwały. Przynajmniej część istoty była cielesna, choć Ryld wątpił, by można ją było zranić zwykłą bronią. Był wdzięczny za posiadanie Rozpruwacza. Wplecione w miecz zaklęcia wyrównywały jego szanse.

Od stwora dzieliło go jeszcze dwadzieścia kroków - a biegł z szybkością szarżującego rothe - gdy usłyszał ciche mamrotanie. Nie był w stanie zrozumieć poszczególnych słów, ale zawarte w nich uczucia sprawiły, że się zachwiał. Poczł się tak, jak gdyby wpadł w sięgającą mu do piersi sadzawkę. Fale rozczarowania, żalu i utraty rozbijały się jedna za drugą o jego pierś, sprawiając, że zwolnił i potykając się, zaczął iść wolnym krokiem.

Nieumarły oficer zatrzymał się i powoli obrócił. Był to człowiek, mężczyzna z ciemnym wąsem zasłaniającym usta o opadających kącikach i o oczach naznaczonych smutkiem. Każdy aspekt wyglądu zjawy wył z rozpoczy, od obwisłych ramion po apatyczny sposób, w jaki trzymała sztylet.

Sztylet, który miała wbity w pierś aż po rękojęść.

Gdy nieumarły oficer spojrział Ryldowi w oczy, przyptyw emocji załamał się nad głową fehmistrza, pograżając go w rozpacz. Wraz z nim pojawił się głos - telepatyczny głos, bo oficer wciąż mamrotał pod nosem, a ruchy jego warg nie pokrywały się ze słowami wbijającymi się w umysł Rylda.

- *To koniec, jęczał głos. Nasza armia została pokonana. Mieliśmy obowiązek umrzeć, broniąc lorda Velara, jednak jako nieliczni nie polegliśmy. Nie możemy wrócić do niego okryci niesławą. Pozostaje nam tylko jedno wyjście - tylko jedna ścieżka wiedzie ku honorowi. Musimy zająć miejsce obok tych, którzy już polegli. Tak jak oni musimy umrzeć.*

Jego słowa odbijały się echem w umyśle Rylda.

- *Umrzeć... umrzeć... umrzeć. Musimy umrzeć. Musimy zająć nasze miejsce obok pozostałych. To twój obowiązek. Musisz umrzeć...*

Przygwożdżony do ziemi intensywnością rozkazu, Ryld spróbował go wykonać. Obrócił Rozpruwacza, trzymając go za klingę i opierając rękojeścią o ziemię pomiędzy stopami. Musiał się tylko pochylić do przodu i jego męka się skończy. Odzyska honor, wiszący w strzępach tak jak sztandary jego poległej armii.

Opuściwszy głowę, Ryld wpatrywał się w swoje dłonie i sztych trzymanego między nimi miecza. Pochylił się do przodu, aż magicznie ostry sztych przebił napierśnik i ukłuł go w pierś. Poczł na sobie aprobujący wzrok swojego dowódcy. Musiał tylko upaść w dół całym ciężarem ciała, a porażka armii lorda Velara... Wzrok Rylda zatrzymał się na pierścieniu na palcu lewej dłoni. Mały, wijący się smok musiał stanowić jakieś insygnia. Armie lorda Velara pokonały smoki - co robi na jego palcu pierścień w kształcie jednej z tych plugawych bestii? Coś tu się wyraźnie nie zgadzało...

Nie... pierścień był jedyną rzeczą, która się zgadzała. Oznaczał mistrza Melee-Magthere i pozwolił mu odzyskać świadomość.

Nie był oficerem w armii, która została pokonana wiele wieków przed jego urodzeniem. Był Ryldem Argithem, fehmistrzem Melee-Magthere, mieszkańcem Menzoberranzan.

Kręcąc gwałtownie głową, Ryld zrzucił z siebie resztki magicznego przymusu. Pozwolił Rozpruwaczowi wypaść z rąk i dobył krótkiego miecza - broni przeznaczonej do walki z takim właśnie wrogiem. Fehmistrz skoczył naprzód, zatapiając go w piersi nieumarłego oficera.

Jego ostrze napotkało opór, zupełnie jak gdyby wbił je w prawdziwą kolczugę i żywe ciało, a cios zrobił swoje. Widząc miecz zatopiony w sercu obok własnego sztyletu, nieumarły oficer jęknął. Ryld wyrwał krótki miecz i odskoczył poza zasięg zjawy.

Z nakłucia w piersi nieumarłego oficera trysnęła wstęga ciemnej mgły. Przypominająca dym substancja stanowiąca dolną połowę jego ciała zaczęła wirować. W ciągu kilku uderzeń serca jego brzuch, pierś, ramiona i szyja rozpląły się w ciemnej mgle.

Ostatnia zniknęła głowa. Znikając, usta nieumarłego oficera ułożyły się w uśmiech, a oczy rozbłyły.

- *Dziękuję, - wyszeptał.*

Uderzenie serca później zniknęło.

Dygocząc, Ryld wpatrywał się w miecz trzymany w ręku. Ostrze było nieskazitelnie czyste - zatopienie go w piersi oficera nie zbrukało klingi. Rozejrzał się ostrożnie dookoła, sprawdzając czy w pobliżu nie ma innych plugawych istot. Nie widząc żadnej, wsunął miecz do pochwy, a potem podniósł Rozpruwacza i też go schował. Ruszył w dalszą drogę po śladach Halisstry.

Im szybciej znajdzie miecz, którego szuka i opuści Zimne Pola, pomyślał fehmistrz, tym lepiej.

* * *

Halisstra ukucnęła, wyczerpana na ziemi. Pod jej stopami zaskrzypiała warstewka śniegu, który spadł zaraz po wschodzie księżycy. Szukała już całą noc i cały dzień - i część następnej nocy - bez chwili wytchnienia. Kilka razy próbowała rzucić zaklęcie, które miało jej pomóc zlokalizować Księżycowe Ostrze, lecz choć była pewna, że dobrze zapamiętała słowa pieśni, mogła trochę fałszować. Albo to, albo mroczna pieśń wciąż znajdowała się poza zasięgiem zaklęcia. Nie czuła żadnej mrowiącej pewności, która zaprowadziłaby ją do szukanego przedmiotu. Czuła wyłącznie zimny wiatr smagający bez ustanku posępną równinę.

Siedziała w ciemności, wpatrując się w przedmiot wyciągnięty właśnie z kieszeni piwafwi: medalion jej domu. Kiedy nawróciła się na wiarę w Eilistraee, postanowiła odrzucić go tak, jak resztę

swojej przeszłości, ale coś kazało jej się zawahać. Brosza była, bądź co bądź, magiczna, i umożliwiała jej lewitację, ale było jeszcze coś. Wyczuwała, że łączy ją nie tylko z przeszłością, ale również przyszłością. Odłożywszy broszę na zaśnieżoną ziemię, wyjęła z pochwy miecz Seyll i uniosła jego rękojeść do ust. Jak brzmiała ta melodia? Czuła się dziwnie, wygrywając melodię bae'qeshel na instrumencie wykutym dla kapłanki Pani Tańca... a może nie? Czy wyniesienie umiejętności i talentów Podmroku do Świata Ponad nie było celem, do którego dążyła Eilistraee?

Na jakiś czas skupiła się na pracy palców, próbując różnych tonacji i przerywając od czasu do czasu, aby ogrzać dłonie chuchaniem. Choć starała się skoncentrować, jej myśli odpływały dokądś, a powieki ciążyły. Po ponad półtora cyklu nieustannych prób rozpaczliwie potrzebowała odpoczynku, jaki mogła jej zapewnić Zaduma. Marzyła, by się w niej pogrześć, osunąć się między wspomnienia, aż ukoją ją, ale nie mogła przerwać poszukiwań. Choć była wyczerpana, musiała opanować zakłęcie, zanim odpocznie. Ale przenikliwie zimny wiatr wydawał się porywać nuty i ciskać je w noc, rozrzucając jej próby jak martwe liście na wietrze.

Opuściwszy miecz, Halisstra wbiła wzrok w kawałki kości i przerdzewiałego metalu, które wystawały ze śniegu wszędzie wokół niej. Wieki temu jakaś armia stanęła naprzeciw wroga, który był sprzymierzony ze smokami. Wiedząc, że niemal na pewno zostaną pokonani, żołnierze ci mężnie stanęli do boju i zostali zabici.

Wieki później, na prośbę martwej kapłanki, Halisstra miała stanąć do jeszcze bardziej nierównej walki. Było szaleństwem myśleć, że uda jej się pokonać boginię. Nawet uzbrojona w Księżycowe Ostrze - o ile zdoła je odnaleźć - Halisstra z pewnością zostanie pokonana. Potęga Lolth była niewyobrażalnie wielka i wszechogarniająca. Nikt nie mógł wymknąć się z jej sieci zniszczenia i zemsty. Głupotą było myśleć, że może choćby spróbować. Może lepiej będzie, jeśli nie znajdzie Księżycowego Ostrza.

Nagle Halisstra poczuła, że ktoś zagląda jej przez ramię. Ktoś, czyj oddech dochodził w cichych, zimnych sapaniach. Przerazona, skoczyła na równe nogi z mieczem w ręku. Obróciła się, ale nie zobaczyła nikogo. Szybko wyśpiewała zakłęcie pozwalające jej widzieć niewidzialne istoty. Kilka płatków śniegu nabrało ostrości, gdy powietrze roziskrzyło się magicznym blaskiem, ale nikogo nie zobaczyła. Wtedy tuż przed nią zmaterializowała się widmowa istota.

Była to drowka, ale potwornie oszpecona. Długie białe włosy oblepiały posklejanymi pasmami czaszkę podziurawioną głębokimi dziobami. Twarz miała straszliwie poparzoną. Tam, gdzie był kiedyś nos, ziała teraz dziura, brakowało też oczu. Skóra na twarzy i odsłoniętych partiach rąk i nóg była pokryta bąblami. Jej pierś osłaniała na szczęście kolczuga, ale metalowe ogniwa były skorodowane i porozszczepiane, jak gdyby ktoś wrzucił pancerz do jeziora kwasu.

Halisstra z bijącym sercem ścisnęła mocniej rękojeść miecza, żałując gorzko, że nie ma lepszej broni. Jednak widmowa postać nie czyniła żadnych wrogich gestów. Zamiast tego schyliła się i podniosła coś z ziemi: broszę Halisstry. Gdy się pochylała, medalion wiszący jej u pasa na metalowym łańcuszku zakotyłał się. Tak jak kolczuga medalion był poczerniały i powgniatany, ale Halisstra dojrzały nikły ślad wyrytego na nim wzoru - symbolu Eilistraee.

Halisstra spojrzała na przerdzewiałą pochwę u boku postaci - pochwę zakrzywioną jak sierp księżycy. Powoli opuściła miecz.

- Jesteś Mathira Melarn - wyszeptwała.
Duch skinął głową.
- Szukam Księżycowego Ostrza - oznajmiła. - Pomożesz mi?
Postać raz jeszcze kiwnęła głową, powoli i żałośnie.
- Gdzie ono jest? - zapytała Halisstra.

Duch otworzył usta, ale wydobył się z nich tylko charczący jęk. Nie miała języka. Wypalił go kwas, który strawił resztę jej ciała. Żmij, który ją pożarł, musiał być czarnym smokiem. Halisstra wzdrygnęła się na myśl o męce, o jaką przyprawiła kapłankę jego ślina tuż przed śmiercią.

- Potrafisz śpiewać? - zapytała Halisstra.

W odpowiedzi duch upuścił na ziemię jej medalion i uniosł dłonie, które były bryłami podziurawionego mięsa o palcach spalonych do kostnych pieńków. Potem obrócił się sztywno, jak gdyby rany wciąż sprawiały mu ból i jedną ręką wykonał gest, którego znaczenie było wystarczająco jasne: Chodź.

Halisstra zerknęła na swoje insygnia i zauważyła, że brosza poczerniała i pogięła się pod dotykiem ducha. Nie chcąc jej dotykać, zostawiła ją tam, gdzie leżała i ruszyła za zjawą.

ROZDZIAŁ 30

Gdy Ryld zobaczył metalowy przedmiot wyglądający spod śniegu, pomyślał, że to jeszcze jeden kawałek żelastwa tkwiący tu od czasów bitwy. Zardzewiała i pokryta czarnymi plamami brosza wyglądała na bardzo starą. Potem jego uwagę przykuł jej kształt. Szybko pochylił się, żeby ją podnieść, ale wzdygnął się, czując pieczenie. Trzymając broszę za brzegi, powąchał ją i wyczuł kwaśny odór. Kwas?

Obrócenie broszy potwierdziło jego przypuszczenia. Tylko jej fragmenty wyglądały staro. Zatrask z tyłu nie był uszkodzony, a metal miejscami wciąż jasno błyszczał. Nie leżała tu od czasów bitwy.

Przyjrzał się jej uważniej, próbując stwierdzić, co przedstawia wyryty z przodu wzór. Gdy jego domysły potwierdziły się, zadrżał.

To była brosza Halisstry - insygnia szlachetnej córki domu Melarn. Coś musiało ją zaskoczyć na tej chłostanej wiatrem równinie. Czy broszę miała przyczepioną do piwafwi? Jeśli tak, mogła zostać ranna gdy to, co postarzyło metal, uderzyło w nią.

Po uważnym zbadaniu ziemi Ryld nie zauważył żadnych śladów walki. Dwa głębokie ślady stóp i wgniecenie pozostawione przez rąbek płaszcza znaczyły miejsce, gdzie Halisstra ukucnęła na chwilę, a płatanina nakładających się na siebie śladów wskazywała miejsce, gdzie obróciła się gwałtownie, ale w śniegu nie było żadnych innych tropów.

Może atak nastąpił z góry? Ryld wyobraził sobie czarnego smoka spadającego z góry na Halisstrę, rażącego ją swoim kwaśnym oddechem i zadygotał. Ale nie, to nie mogła być właściwa odpowiedź. Jeśli nie liczyć śladów Halisstry, śnieg był nienaruszony. Trzepoczące skrzydła czarnego smoka wzbilyby go w górę, a oddech zostawiłby na śniegu znaki.

To duch - może podobny do oficera napotkanego przez fechmistrza - albo inna bezcielesna istota musiała wystraszyć Halisstrę. Cokolwiek to było, wyglądało na to, że tylko zniszczyło jej broszę. Halisstra oddaliła się stąd szybkim krokiem prosto na południe. Ślad, który zostawiła, był zwyczajny i niczym się nie wyróżniał.

Nie... niezupełnie. O krok od śladów Halisstry zauważył w śniegu nieregularną linię wgłębień, jak gdyby coś nań pociekło - ale nie krew, stwierdził z ulgą, gdy pochylił się, by się im przyjrzeć. Nigdzie nie było widać czerwieni, a kropelki były bardzo małe. Pochylił się jeszcze niżej i pociągnął nosem, wychwytyjąc ten sam słaby, kwaśny zapach. Ostrożnie dotknął jedno z zagłębień zgrubiałym palcem, przytrzymał go chwilę i cofnął, gdy poczuł ukłucie.

Kwas.

Wycierając palec, zastanowił się. Jeśli Halisstra natknęła się na nieprzyjaznego ducha, miał on dziwny sposób manifestowania swojej obecności. Ryld spotkał kiedyś ducha, który wszędzie, gdzie poszedł, zostawiał na ziemi plamy krwi - ducha człowieka, któremu poderżnięto gardło. Czyżby zjawa napotkana przez Halisstrę - zakładając, że tak rzeczywiście było - zginęła od kwasu?

Cokolwiek zostało na ziemi ślady kropelek, Halisstra poszła za nim. W niektórych miejscach odciski jej stóp nakładały się na zagłębienia. Ryld ponuro ruszył jej śladem.

Po pięciuset krokach Ryld zauważył czarną, ziejącą dziurę w ośnieżonej ziemi. Szeroki na trzy kroki otwór wyglądał, jak gdyby został wybity z góry. Otaczały go kamienie i sypka ziemia. Ślady Halisstry dochodziły do krawędzi jamy, zatrzymywały się, a potem ruszały dalej, jak gdyby zeszła w głąb. Ślady kropelek też prowadziły na skraj dziury.

Dobytując Rozpruwacza, Ryld podkrał się do przodu. Jama schodziła pod ziemię pod łagodnym kątem. Wytarty śnieg wskazywał miejsce, gdzie Halisstra zeszła w dół zbocza, ale kropelki kończyły się na brzegu jamy. Coś, co przyprowadziło ją tutaj, nie weszło do środka.

Ukucnąwszy na skraju tunelu, fechmistrz podważył czubkiem miecza gruz rozrzucony wokół jego wylotu. Ziemia była zamrożona na kość. Otwór powstał jakiś czas temu.

Nadstawił ucha, nasłuchując, ale nawet jeśli Halisstra poruszała się gdzieś tam w ciemnościach, nie sposób było jej usłyszeć poprzez zawodzenie wichury. Znow zaczął padać śnieg. Lekkie jak piórko płatki spadały mu na głowę i topniały, spływając strużkami lodowatej wody po karku. Było mu zimno mimo tego, że miał na sobie watowaną tunikę, a naramienniki skrzypiały przy każdym ruchu rąk. Tunel stanowił przynajmniej osłonę przed wiatrem i śniegiem.

Przeqramoliwszy się nad krawędzią otworu, zaczął ostrożnie schodzić w dół. Ziemia była śliska

od szronu przez pierwszych kilkanaście kroków, ale potem tunel rozszerzał się, a jego podłoże stawało suche. Gdy wzrok fehmistrza przyzwyczał się do panujących pod ziemią ciemności, zobaczył, że tunel się rozwidla. Jedna odnoga prowadziła w lewo, druga prosto w dół.

Wiedząc, że Halisstra może lewitować tylko dzięki swojej broszy, Ryld wybrał lewą odnogę. Po kilku krokach odkrył z ulgą sześć kamyków ułożonych na ziemi tak, by tworzyły trójkąt wskazujący wyjście z tunelu. Halisstra rzeczywiście poszła tą drogą - i zostawiła znak, który miał pomóc jej się stąd wydostać.

Ryld szedł jakiś czas szybkim krokiem, mniej więcej w poziomie, ale nie w linii prostej. Tunel wił się i zataczał łagodne półkola, które często się przecinały. Przy każdym takim skrzyżowaniu Ryld przystawał i po uważnych poszukiwaniach odnajdywał trójkąt z kamyków. Dzięki śladom Halisstry posuwał się szybko naprzód.

W końcu za jednym z zakrętów korytarz wyszedł na prostą i biegł przed siebie przez prawie tysiąc kroków, kończąc się gwałtownie stromym spadkiem w dół. Tu Ryld przystanął. Starał się ustalić, co mogło zostawić taki kręty tunel. Widział kiedyś, jak Pharaun przy pomocy zaklęcia wydrążył tunel w skale, ale powstały w ten sposób korytarz był prosty jak strzała i owalny, a jego kamienne ściany były wypolerowane na wysoki połysk. Tunel, którym szedł za Halisstrą, był owalny, ale bardziej szorstki, w ścianach trafiały się od czasu do czasu wnęki, jak gdyby coś wygryzło ich fragment, a dno było zasypane luźnymi kamieniami. Kiedy schylił się, żeby zbadać jeden z nich, zobaczył, że są okrągłe jak kamienie w rzece, ale poczerniałe. Wśród nich trafiały się kawałki metalu - szczątki zbroi z pola bitwy na górze, które wyglądały tak, jak gdyby wrzucono je do bębna polerującego pełnego kwasu zamiast wody. Ich krawędzie były gładkie, jednak sam metal był pełen wgłębień i kruszył się, gdy Ryld na nim stanął.

Ryld wstał i mocniej ścisnął Rozpruwacza w garści. Korytarz nie powstał za sprawą magii. Wydrążyła go w skale żywa istota.

Modlił się, by była to starożytna droga, ale wiszący w powietrzu zapach kwasu świadczył o czymś zgoła przeciwnym. Fakt, że zapach stawał się coraz mocniejszy, nie wróżył dobrze. I jeśli jego domysły co do stwora, który wydrążył tunel, były słuszne, Halisstra nie powinna stawiać mu czoła sama.

Ryld zaczął schodzić ostrożnie w dół zbocza. Z początku poruszał się powoli, świadomy, że każdy fałszywy krok może wywołać lawinę drobnych kamyków i ostrzec przed nim stwora, ale w połowie drogi usłyszał słaby dźwięk - kobiecy śpiew. Serce zabiło mu szybciej, gdy rozpoznał głos Halisstry. Rzuciła jedno ze swoich zaklęć *bae'qeshel*, ale dlaczego? Czy przygotowywała się do tego, co miało dopiero nastąpić, czy coś ją zaatakowało? Ponuro pospieszył naprzód, nie zważając na to, że stopy ślizgają mu się na coraz bardziej stromej skarpie.

Przed nim tunel otwierał się na większą przestrzeń, jaskinię, która wyglądała tak, jak gdyby została utworzona przez tunel zawracający kilka razy pod rząd, gdy stwór wił sobie legowisko. Fragment dna, który widział Ryld, był usiany kałużami, a zapach kwasu przybrał na sile.

Chwilę później zszedł prawie na sam dół i przekonał się, że miał rację. W przeciwnym końcu jaskini leżał ogromny purpurowy robak, większy nawet, niż Ryld się spodziewał - bestia miała około trzydziestu kroków długości. Zwinięty jak wąż, miał podniesioną głowę i szeroko rozwartą paszczę, w której tkwiły ociekające kwasem kły wielkości sztyletów. Halisstra stała tuż przed nim, plecami do Rylda, trzymając miecz w dłoni i poskramiając potwora wzrokiem. Zaklęcie, które wyśpiewywała, wydawało się działać. Robak kołysał się w rytm melodii, a jego małe oczka były wbite w drowkę. Rylda ogarnął głęboki podziw. Halisstra była ucieleśnieniem pożądanых cech mrocznej elfki: silna i nieustraszona, zdolna poradzić sobie z każdym zagrożeniem.

Nie chcąc przeszkodzić jej w rzucaniu czaru, Ryld zatrzymał się u podnóża skarpy. Zdołał to zrobić zupełnie bezszelestnie, ale kiedy wchodził do jaskini, noga ugięła mu się w kostce, gdy osłabiony kwasem kamień skruszył mu się pod stopą. Stopa osunęła się do kałuży kwasu - na szczęście chronił ją skórzany but - ale cichy plusk ostrzegł Halisstrę, że nie jest już w jaskini sama. Obróciła szybko głowę - żeby zobaczyć kto to i przez jej twarz przemknął grymas zaskoczenia. Ani na chwilę nie przestała śpiewać, ale chwilowa utrata kontaktu wzrokowego z purpurowym robalem sprawiła, że czar przysł. Targając głową z boku na bok i bryzgając kwasem na wszystkie strony, robak zrzucił z siebie urok. A potem uderzył. Nurkując w dół z szeroko rozwartą paszczą, stwór spadł na Halisstrę. Ledwo zdążyła unieść miecz do góry, gdy jej głowa i ramiona zniknęły w pysku potwora.

Ryld skoczył naprzód, wrzeszcząc, aby ściągnąć na siebie uwagę stwora. Zobaczył ułamany sztych miecza sterczący pod kątem z policzka robala, tuż pod okiem, ale stwór wyraźnie nic sobie nie

ROZDZIAŁ 31

Pharaun patrzył w kierunku wskazanym przez Valasa i wreszcie dostrzegł, co zaniepokoiło najemnika. Daleko w głębi Jeziora Cieni powierzchnię mącił sztorm. Woda tworzyła ogromny wir, jak gdyby sphywała w dół odpływu. Nad wirami obracała się trąba wodna, która musiała mieć ze sto kroków wysokości. Jej wierzch obijał się o strop, za każdym razem płosząc stada nietoperzy.

Cyklon wciąż znajdował się w pewnej odległości od nich, ale zbliżał się szybko. Pharaun oszacował jego postępek, gdy przechodził przez jeden ze snopów światła, i ustalił, że zbliża się z szybkością rothe pędzącego pełnym galopem. Już słyszał niski szum wirującej wody. Nie miał żadnych wątpliwości, że burza jest magiczna. Czy zawsze tu szalała - czy coś ją wywołało? Może użycie portalu?

Pozostali też ją zauważyli. Quenthel wpatrywała się w burzę z zaciśniętymi zębami, zmija u jej pasa kołysały się łagodnie. Jeggred obracał głowę na boki, wciągając w nozdrza wilgotne powietrze. Danifae rzuciła okiem na sztorm, a potem kątem zerknęła po kolei na Quenthel, Valasa i Jeggreda. Pharaun zauważył, na czym zatrzymał się jej wzrok: na noszonych przez każde z nich amuletach, które umożliwiały im lewitację przez jeden z otworów w sklepieniu albo - w przypadku Valasa - przejście pomiędzy wymiarami, aby uciec przed burzą.

Łowiąc jej spojrzenie, Pharaun podniósł rękę w uspokajającym geście i pokazał na migi:

- Zaczekaj.

Potem zwrócił się do Valasa:

- Czy opryszek, który opowiedział ci o portalu, wspominał coś o tym?

Valas pokręcił głową.

- Nie został tu długo. Gdy tylko znalazł się w jaskini, lewitował prosto w górę i wydostał się na zewnątrz. - Mówiąc to, spojrzał na najbliższy wypełniony słońcem otwór w stropie, jak gdyby mierzył odległość do niego. Potem westchnął z rezygnacją i wbił ponury wzrok w nadciągający sztorm.

Tymczasem Quenthel zajęła się różdżką znaną przez Danifae w skarbcu i eksperymentowała z różnymi rozkazami. Jeggred, który przysiadł obok niej, pociągnął ją łapą za rękaw, mamrocząc coś i został uderzony na odlew za przeszkadzanie swojej pani. Draegloth padł plackiem u stóp kapłanki, kając się z łkaniem. Quenthel zignorowała go i dalej próbowała znaleźć słowo aktywujące różdżkę.

Pharaun przewrócił oczyma. W tej chwili sztorm był pilniejszą kwestią niż odszukanie okrętu chaosu, ale mamrotanie Quenthel działało mu na nerwy.

- To prawdopodobnie słowo w języku duergarów - powiedział. - Spróbuj „skarby” albo „szukaj” albo coś w tym rodzaju. I obróć różdżkę - musisz ją trzymać za rozwidlony koniec żeby działała.

Żmija Quenthel zasyczała z irytacją, ale ona posłuchała rady maga, obróciła różdżkę i przeszła na gardłowy język duergarów. Burza była coraz bliżej. Jej szum zrobił się na tyle głośny, że musieli mówić lekko podniesionym głosem, a wiatr mierzwił Pharaunowi włosy.

Danifae poruszyła się nerwowo.

- Jeśli będziemy tu stać, kiedy trąba uderzy, rozgniecie nas na skałach - powiedziała.

- Albo się potopimy - mruknął Valas, spoglądając w dół na fale, które zaczynały się już rozbijać o brzeg urwiska.

- Zapominacie o moim zaklęciu teleportującym - przypomniał Pharaun. - Jedna szybka inkantacja i znajdziemy się z powrotem w Świecie Ponad. Pytanie brzmi, dokąd chcemy się udać?

Valas spojrzał spod zmrużonych powiek na kłębiącą się mgłę, która docierała już do skalnej półki.

- Za chwilę każde miejsce będzie lepsze niż to - stwierdził zwiadowca.

Stojąca obok niego Quenthel wydała okrzyk zadowolenia, gdy różdżka ożyła w jej dłoniach. Jej koniec drżał i podskakiwał jak głowa jaszczura, który zwietrzył krew, a w powietrzu rozległo się głośne zawodzenie. Gdy Quenthel zakreśliła różdżką szeroki, poziomy łuk, zawodzenie podniosło się, potem opadło a potem znów się podniosło, gdy skierowała różdżkę prosto na trąbę wodną.

Sztorm zbliżał się, wypełniając powietrze pianą wodną i jeszcze głośniejszym rykiem.

- Tam! - krzyknęła z uniesieniem kapłanka. - Statek chaosu znajduje się wewnątrz wiru!

Pharaun wbił wzrok w cyklon.

- Tak - powiedział. - Teraz go widzę.

I rzeczywiście coś tam było - zamazany, ciemny kształt w oku cyklonu. Wysokiej kapłance wreszcie udało się coś zrobić jak należy. Belshazu powiedział im, że okręt przepadł w „straszliwej burzy” i właśnie na nią patrzyli, na burzę, która szalała od wieków.

Statek chaosu mógł być cały, gdy ocalały demon odpływał z niego, ale po wiekach bycia miotanym wiatrem i zalewanym wodą wydawało się mało prawdopodobne, że będzie wciąż nietknięty. Sztorm nie natarł na nich jeszcze z całą siłą, ale wiatr już targał piwafwi Pharauna i zalewał ich pianą. Już na granicy burzy czuli się tak, jak gdyby ktoś raz po raz oblewał ich wiadrami wody. Pharaun owinał się szczelniej piwafwi, upewniając się, czy przykrywa plecak, w którym trzymał magiczne księgi.

- Musimy zajrzeć do wnętrza wiru - krzyknęła Quenthel, nie zważając na krople deszczu padające jej na twarz.

- A jak zamierzasz to zrobić? -- zapytał Pharaun. - Wbić pazury w skałę i czekać, tak jak Jeggred, a potem skoczyć w oko cyklonu?

Ku jego zaskoczeniu Quenthel pokiwała energicznie głową.

- Tak - odparła. - Valas może to zrobić.

Najemnik zrobił wielkie oczy.

- Rozprosz zakłęcie polimorfizacji - krzyknęła Quenthel. - Valas może podpłynąć do wiru i zajrzeć do środka.

Brwi Valasa podjechały jeszcze wyżej.

- Podpłynąć? - zaprotestował, wpatrując się w wirującą gwałtownie wodę. - Do tego?

Założył ramiona na piersi, lekceważąc gniewne drżenie zmij Quenthel, gdy dobyła bicia. Jego wzrok, którego po raz pierwszy nie spuścił pod jej wściekłym spojrzeniem, mówił wszystko. Woli umrzeć od jej bicia niż podjąć się tej samobójczej misji.

Danifae chwyciła Pharauna za ramię.

- Tracimy czas - wyszeptała. - Zostawmy tu tych głupców. Rzuć zakłęcie teleportujące.

Pharaun uwolnił ramię, narażając się na gniewne spojrzenie branki i sięgnął do kieszeni piwafwi. Wyciągnął z niej ostatnią szczyptę ziarenek, które ścisnął mocno między kciukiem a palcem wskazującym, uważając, żeby nie porwał ich wicher. Przecisnął się przed pozostałych i doszedł do miejsca na końcu wąskiej półki, które uznał za ścianę znajdującą się za portalem.

- Mam lepszy pomysł - zwrócił się do wszystkich.

Wypuszczając nasionka, wykrzyczał słowa zakłęcia i dźgnął skałę palcem. W ścianie otworzył się tunel biegnący pod kątem w stronę, w którą wiatr porwał nasiona. Czarodziej wszedł do środka i skinął na pozostałych, żeby do niego dołączyli.

Nie musiał ich ponaglać. Burza już do nich dotarła, targając włosy i piwafwi, i zalewając ich strugami wody. Potykając się na śliskim występie, pospiesznie wbiegli do środka. Quenthel i Jeggred odepchnęli Danifae na bok, przez co pośliznęła się na rozmokłym w wodzie nietoperzym guanie. Pharaun wyciągnął rękę, żeby ją podtrzymać, ale Valas był szybszy. Chwycił ją za ramię i pchnął do wnętrza tunelu.

Pharaun rzucił jej przepaszające spojrzenie, ale Danifae zignorowała go. Wzdychając, nakazał pozostałym cofnąć się w głąb korytarza, a sam wyciągnął swój szklany stożek. Kierując go w stronę otwartego wylotu tunelu, szybko rzucił następny czar. Ze stożka wyleciał podmuch przeraźliwie zimnego powietrza, zmieniając wodę wpadającą do tunelu w kulki gradu. W skalną półkę na zewnątrz uderzyła ściana wody i natychmiast zmieniła się w tafłę lodu, zamykając tunel. Pharaun podtrzymał zakłęcie jeszcze chwilę, dopóki ściana lodu nie zrobiła się dostatecznie gruba, po czym opuścił dłoń.

Obróciwszy się do Quenthel, uklonił się, po czym wyciągnął rękę w stronę lodowego korka.

- Czy zechcesz wejść na platformę widokową, pani? - zapytał. - Zapewniam, że statek chaosu wkrótce się pojawi.

Quenthel wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, jak gdyby próbowała zdecydować czy się z niej nie naigrywa. Żmije przy jej biczu kłapały pyskami, a potem uspokoiły się. Z nosem w górze minęła Pharauna i wbiła wzrok w tafłę lodu, nachylając się w różne strony, żeby zobaczyć coś przez wodę rozbijającą się z drugiej strony. Powietrze w tunelu było przeraźliwie zimne i oddech wysokiej kapłanki zamieniał się w parę. Zadrżała w przemoczonym ubraniu. Mimo to wpatrywała się uważnie w wir - a potem zeszytniała.

Pozostali stłoczyli się wokół niej. Nawet Jeggred przysiadł na ziemi i spoglądał zza jej nóg.

- Ta postać - zawołała Quenthel zduszonym głosem. - Co to takiego?

Pharaun nachylił się do przodu, żeby lepiej widzieć. Tafla lodu, przez którą patrzył, była gruba jak połowa długości jego ramienia, a za nią wirowała trąba wodna, mająca w tym miejscu kilka kroków grubości i pełna kłębiącej się piany. W samym oku cyklonu widział niewyraźnie obracający się kształt.

Postać przypominała drowa, miała głowę, ręce i nogi, ale również ogon przypominający bicz i była dwa razy wyższa od najwyższej drowki. Wydawała się naga i miała bladą skórę. Pharaun pomyślał, że miota się na wirze, orząc powietrze wokół siebie szerokimi machnięciami pazurów, ale potem uświadomił sobie, że postać kręci się w miejscu. Wyglądało na to, że została unieruchomiona przez magię, zaklęcie, które musiało zostać rzucone wieki temu.

Stojąca obok niego Danifae westchnęła.

- Uridezu - wydusiła z siebie branka.

Pharaun kiwnął głową.

- I okręt! - zawołał Valas, wspinając się na palce, żeby móc spojrzeć w dół poza krawędź półki i pokazując palcem.

Pharaun popatrzył tam, gdzie trąba stykała się z wirami. Okręt rzeczywiście się tam znajdował - jego kadłub tkwił mocno w wodzie tworzącej wewnętrzną ścianę wiru, a maszty skierowane były w stronę oka cyklonu. Trudno było dostrzec szczegóły przez ścianę lodu i piany smagającej ją z zewnątrz, ale Pharaun zobaczył dość, żeby mieć pewność, iż jest to rzeczywiście statek chaosu.

Kadłub miał kolor kości, podobnie jak trzy maszty, z których zwisały strzępy żagli.

Quenthel roześmiała się, przerywając pełną napięcia ciszę.

- Udało mi się! - powiedziała. - Okręt chaosu należy do mnie. - Odwróciła się raptownie do Pharauna. - Przygotuj zaklęcie pętające.

- Demon już wygląda na „spętanego” - zauważył Pharaun, wskazując ruchem głowy scenę rozgrywającą się za szklaną taflą. - Choć w niekonwencjonalny sposób. Zgaduję, że został związany czarem tymczasowego zastoju - czarem potężnym, który będę musiał przełamać, kiedy już spętam go własnym zaklęciem. Pozostaje jeszcze drobna kwestia burzy.

Quenthel odrzuciła z twarzy mokre włosy, po czym spojrzała posępnie na statek chaosu wciąż obracający się wewnątrz wiru.

- Nigdzie się stąd nie teleportujemy - oświadczyła z niebezpiecznym błyskiem w oku. - Nie, kiedy jesteśmy już tak blisko.

- Nie - westchnął Pharaun. - Chyba nie. Ale jeśli mam być szczery, nie jestem pewny, co teraz zrobić. Burza jest bez wątpienia magiczna. Jeśli powstała za sprawą zaklęcia, inkantacja była potężna i permanentna. Nawet ja nie zdołałbym zapanować nad taką masą wody, co oznacza, że żadne rzucone przeze mnie zaklęcie nie zdoła rozproszyć burzy.

Valas podrapał się po głowie i zapytał zamyślonym tonem:

- Czy zdołamy wypłynąć okrętem z burzy?

- Może - odparł Pharaun, myśląc na głos. - A raczej uridezu by zdołał. Ale zakładając nawet, że uda mi się rozproszyć czar, który sprawił, że demon zastygł w czasie, pozostaje kwestia nagięcia go do mojej woli.

- To proste - burknęła Quenthel. - Wyciągnij demona swoją chwytającą dłoń.

Pharaun westchnął. Zaklęcie, które zaproponowała Quenthel, nie będzie potrzebne. Samo zaklęcie wiążące ściągnie demona na pokład. Problem stanowił sam okręt. Pharaun wyobrażał sobie, że osiadł na brzegu albo spoczywa spokojnie na dnie jeziora, a nie tkwi na wpółzanurzony w wodzie, chłostany wiatrem i wodą. Namalowanie pentagramu na jego pokładzie będzie niemożliwe.

Narysowanie magicznego diagramu nie było konieczne, ale alternatywne sposoby też nastęrczały wiele trudności. Mógł sporządzić wizerunek demona w miniaturze, na pergaminie albo w postaci posążka. To ostatnie było całkiem proste - miał воск i opał w magicznych kieszeniach - ale gdy tylko postawi posążek na pokładzie, pierwsza fala zmyje go za burtę. I jak, na milczącą Królową Pająków, zdobędzie kawałek łańcucha?

Wtedy przypomniał sobie amulet, który ocalił Valasa przed widmami. Jego łańcuszek, wyblakły na kolor ołowiu z jak najbardziej odpowiedniego materiału, wciąż wisiał na szyi zwiadowcy.

Pharaun wskazał głową amulet i zapytał:

- Mam rację, twierdząc, że twój amulet przestał już działać?

Valas zmarszczył brwi z niepokojem, ale kiwnął głową.

- Czy mogę w takim razie dostać łańcuszek, na którym wisi? - zapytał mag, wyciągając rękę.

Valas posłuchał, ale postarał się zsunąć go z łańcuszka tak, aby pozostawał ukryty pod tuniką. Pharaun domyślał się, dlaczego. Sądząc po jego kształcie, został wykonany przez elfy zamieszkujące powierzchnię. I to nie pierwsze lepsze, ale wyznawców Labelasa Enoretha, Pana Długowieczności.

Gdyby Quenthel zauważyła, że zwiadowca go nosi, wpadłaby w bezgraniczną wściekłość. Wolałaby, żeby widma zabiły jej cennego sojusznika, niż przyznać, że amulet wykonany przez „słonecznych” jest czymkolwiek innym niż obrazą boską.

Gdy Valas podawał łańcuszek Pharaunowi, Danifae nachyliła się do ściany lodu, wydychając w mroźnym powietrzu kłęby pary.

- Ostrożnie - ostrzegł Pharaun. - Nie dotykaj lodu językiem.

Spojrzała na niego z pogardą, po czym wskazała burzę ruchem brody.

- Jeśli zamierzasz spętać demona, lepiej bierz się do roboty - powiedziała. - Wir zaczyna się oddalać.

Kiwając głową, Pharaun ukucnął i rozpoczął przygotowania. Z kieszeni piwafwi wyjął bryłę pszczelego wosku kupioną wiele miesięcy temu w Menzoberranzan od handlarza ze Świata Ponad oraz czarny opal wielkości małego paznokcia poprzecinany czerwonymi żyłkami. Ogrzał wosk, ugniatając go palcami, po czym urobił miękką bryłkę, lepiąc z niej nogi, ręce, ogon i pysk demona uridezu. Posążek był prymitywny, ale musiał wystarczyć. Po otwarciu mu piersi paznokciem mag wepchnął do środka opal, po czym zakleił ranę. Owinął łańcuszek wokół jednej z nóg figurki i zabezpieczył, łącząc ze sobą dwa ogniwa.

- Gotowe - oznajmił, wskazując z satysfakcją łańcuch wznający się lekko w kostkę woskowej figurki. - To powinno go utrzymać wystarczająco długo, żebyśmy zdążyli się dostać do Otchłani.

ROZDZIAŁ 32

Gdy pysk robala zamknął się wokół niej, Halisstra zacisnęła powieki. Krzyknęła, gdy fala kwasu rozbryznęła jej się na odsłoniętych częściach ciała - twarzy, szyi i dłoniach - ale pożałowała tego, bo smród kwasu wdarł się jej w nozdrza. Strumyczki kwasu pociekły jej po włosach i karku, parząc pierś i plecy po dostaniu się pod kolczugę i watowaną tunikę.

Uczepiwszy się rękojeści miecza Seyll, starała się stawić opór falującej, ssącej sile robala, który usiłował ją przełknąć. Zdołała zaprzeć się nogami o jego dolną szczękę, ale kiedy spróbowała otworzyć mu paszczę, ześliznęły jej się buty. Robal połknął ją, wyrrywając jej z rąk rękojeść miecza.

Gdy mięśnie gardła robala zacisnęły się, przesuwając ją w dół przetyku, Halisstra zaczęła się modlić. Otwarcie płonących warg oznaczało przełknięcie kwasu, co tylko z wielokrotność jej mękę, więc modliła się w duchu, żarliwie, błagając Eilistrae o pomoc. Choć czuła, jak jej skóra pokrywa się bąblami, nie próbowała rzucać zaklęcia uzdrawiającego - mogło tylko odwlec nieuniknione a zamiast tego prosiła o coś, co pomoże jej uciec.

Robal miotał się na wszystkie strony, gwałtownie wyginając Halisstrę to w jedną, to w drugą. Słyszała głuche, stłumione odgłosy, które musiały być ciosami miecza Rylda, ale potem potwór zwinął się raptownie i uderzenia ustały. Jego ruch wycisnął Halisstrze całe powietrze z płuc - a ona nie śmiała oddychać. Zamiast tego wyciągnęła rękę w dół, szorując nią o uwalaną kwasem kolczugę, aby dotknąć amuletu zawieszonoego u pasa obok pustej pochwy.

- Eilistrae, - modliła się. - Pomóż mi. Ześlij mi broń.

Coś dzgnęło ją w głowę, coś twardego i gładkiego. Chwyciwszy to coś, Halisstra zorientowała się, że to rękojeść miecza najwidoczniej broń jakiejś nieszczęsnej ofiary robala. Nie marnowała czasu na zastanawianie się nad tym. Wbijając łokieć w pulsującą ścianę żołądka, wycelowała sztych i wbiła go w ciało robala. A potem zaczęła piłować.

Całe jej ciało było pokryte kwasem. Soki trawienne robala wsączyły jej się pod pancerz i ubranie, docierając do skóry. Czuła wyskakujące bąble i kwas zalewający uszkodzoną skórę przy każdym ruchu. Z sercem wyrrywającym się z piersi z braku powietrza, piłowała rozpaczliwie krótkimi szarpnięciami, bo ściany żołądka ograniczały jej swobodę ruchów. Przed oczyma tańczyły jej czerwone plamy, ale wciąż piłowała. Albo wydostanie się stąd, albo umrze.

Ściana żołądka przed Halisstrą ustąpiła. Pchana falą kwasu, wypadła przez rozdarcie w boku robala, upuszczając miecz. Przez chwilę leżała na twardych kamieniach, robiąc głębokie, poszarpane wdechy i patrząc, jak robal miota się po dnie jaskini. Stwór był ranny w kilku miejscach, głębokie nacięcia zadał z pewnością wielki miecz Rylda. Gdy zadygotał po raz ostatni i zdechł, Halisstra wytoczyła się słabo z kałuży kwasu.

- Ryld - jęknęła, widząc fehmistrza.

Gdy jej otępiały z bólu umysł odnotował, że drow leży na plecach na dnie jaskini, siłą woli podniosła się do pozycji siedzącej, prawie mdlejąc z bólu, gdy ciężka kolczuga otarła się o poparzone kwasem ciało.

- Ryld - powiedziała łamiącym się głosem. - Ryld!

Pierś fehmistrza wciąż wznosiła się i opadała pod napierśnikiem, ale oddech miał płytki. Tuż pod krawędzią napierśnika jego tunika była rozdarta, a po okrągłej plamie krwi poznała, że to rana od ukłucia. Robal wstrzyknął mu swój jad.

Potrzebował jej magii, i to szybko, ale nie mogła mu pomóc, dopóki nie uzdrowiła siebie. Liczył się czas, użyła więc magii bae'qeshel, mrocznej pieśni, od której zasklepiły się jej rany. Najgorszy ból zelżał, choć powrócił, nieco słabszy, chwilę później, gdy kwas, który wsiąkł jej w ubranie, znów zaczął jej się wżerać w skórę. Najszybciej jak potrafiła zdjęła kolczugę i ściągnęła przemoczoną tunikę i buty. Tunika zsunęła się z łatwością, odrywając się mokrymi, przegniłymi płatami. Rozbierając się, zauważyła, że zakłęcie zszyło z powrotem skórę, ale pozostawiło na niej wzór nakładających się na siebie śladów po oparzeniach. Prerażona ich widokiem, uniosła dłoń do twarzy, ale zaraz ją opuściła, słysząc słaby jęk Rylda. Nie miała czasu na próżność.

Podczołgawszy się do niego po podłodze, położyła dłoń w miejscu rany i poczuła, jak przez ciało pod nasiąkniętą krwią tuniką przechodzi dreszcz. Zamknęła oczy i zaczęła recytować modlitwę.

- Eilistrae, pomóż mu. Zatrzymaj truciznę krążącą w jego żyłach. Daj mu jeszcze trochę czasu, aby żył.

Podniosła wolną rękę, wyobrażając sobie, że znajduje się na zewnątrz, pod pogodnym niebem, wyciągając ręce do księżyca. Gdy poczuła znajome mrowienie, opuściła rękę, kładąc ją na dłoni przykrywającej ranę Rylda. Poczuła przypływ magicznej energii przepływającej przez nią do Rylda - energii chłodnej i jasnej jak księżyc. W końcu wypłynęła z niej cała, a ona zadrżała, nagle zziębnięta i wyczerpana.

Halisstra uklękła, z niepokojem obserwując powolny, mozolny oddech Rylda i zastanawiając się, czy zaklęcie zadziałało. Uluyara miała rację - szaleństwem było myśleć, że uda jej się odszukać Księżycowe Ostrze, skoro połączone wysiłki wyznawczyń Eilistrae nic nie dały. Zastanawiała się, czy zjawą, która zaprowadziła ją do nory robala, była rzeczywiście Mathirą Melarn. Był to raczej złośliwy duch pragnący sprowadzić na innych taką samą potworną śmierć, jaka przypadła mu w udziale. Jak rothe prowadzony na rzeź poszła za nim na skraj jamy potwora, a potem weszła do środka, choć zrozumiała, że spotka tam purpurowego robala, a nie smoka. Ślepa wiara kazała jej wierzyć, że znajdzie Księżycowe Ostrze w norze robala.

Jeśli tam było, nie widziała go. Zanim Ryld ją wystraszył, przerywając działanie uroku, zdążyła się dobrze przyjrzeć dnu jaskini. Kazała nawet robalowi przesunąć się na boki, żeby móc zajrzeć pod jego sploty.

Niczego nie zauważyła.

Wzdychając, spojrzała na Rylda. Próbując wypełnić misję, prawie straciła życie. To była w stanie zrozumieć. Jako drowka, dawna służebnica Lolth, przywykła do tego, że wymaga się podobnego poświęcenia od niej i wszystkich wokół niej. Bogini pochłaniała swoich wiernych jak muchy i odrzucała ich wyssane ścierwa. Ale Halisstra spodziewała się po Eilistrae czegoś więcej. Trochę litości - jeśli nie dla niej, to dla niewinnych, takich jak Ryld. Nie spodziewała się, że jej misja będzie go kosztować życie. Wtedy zauważyła drobną zmianę. Twarz Rylda, która jeszcze przed chwilą robiła się coraz bledsza, nagle wydała jej się ciemniejsza, mniej szara. Widziała, że jego oddech robi się bardziej równomierny, choć wciąż był wilgotny i szybki. Zaklęcie zadziałało - wciąż była nadzieja.

- Eilistrae, wybac mi - wyszeptała szybko. - Wybac, że zwątpiłam w twą litość.

Ukucnąwszy, wsunęła jedną rękę pod jego barki, a drugą pod biodra, zamierzając go nieść, jeśli będzie taka potrzeba, aż na powierzchnię, a potem przez Zimne Pola do najbliższego miasteczka. Z wołą Eilistrae odszuka jedną z kapłanek - kogoś, kto zna czar, który usunie z jego ciała resztki trucizny - zanim zaklęcie spowalniające działanie jadu przestanie działać.

Kiedy zaczęła go podnosić, Ryld otworzył oczy. Przez chwilę wyglądał na zmieszanego, ale po chwili w jego oczach pojawiło się zrozumienie.

- Halisstra - wychrypiał. - Czy to naprawdę ty?

Początkowo myślała, że jest wciąż oszołomiony trucizną.

Potem sposób, w jaki się w nią wpatrywał, uświadomił jej, że naprawdę jej nie rozpoznaje. Dotknęła swojej twarzy i stwierdziła, że jest pokryta nakładającymi się na siebie bliznami. Drżącą dłonią sięgnęła wyżej i odkryła, że wypadła jej większość włosów. Zostało tylko kilka porwanych pasm. Magia bae'qeshel zamknęła rany spowodowane oparzeniami, ale pozostawiła okropne blizny.

Powiedziała sobie, że nie wolno jej się tym przejmować - kapłanki z pewnością będą znały zaklęcie, które wygładzi jej skórę i zwróci włosy. Musi się skupić na wydostaniu stąd Rylda.

- To ja, Ryldzie - powiedziała. - Myślisz, że dasz radę iść? Inaczej będę musiała cię nieść przez Zimne Pola.

- Mogę chodzić... jeśli pomożesz mi wstać - wydusił. Potem rozejrzał się dookoła. - Gdzie jest Rozpruwacz?

Gdy jad przestał płynąć w jego żyłach, Ryld zdołał podnieść się na czworaki. Wciąż się trząsł, ale wyglądał na silniejszego niż jeszcze przed chwilą. Halisstra wiedziała, że prędzej poświęci rękę lub nogę niż zostawi tu swój magiczny wielki miecz, ale wciąż był słaby.

- Ja go znajdę - powiedziała. - Ty zostań tutaj i oszczędzaj siły.

Ostrożnie podeszła do robala, obawiając się, że może jeszcze żyć. Jego ciało było jednak nieruchome, zwinięte w luźną płataninę. Otworzyła mu paszczę, wyrwała z policzka miecz Seyll i poczekała, aż z otworów na palce w rękojeści wypłynie kwas. Potem rozejrzała się za Rozpruwaczem.

Wielki miecz leżał w pobliżu miejsca, gdzie Halisstra wycięła otwór w brzuchu robala, jego rękojeść sterczała spod jego splotów. Pochyliła się, wyrwała go... i zauważyła coś wystającego z rany. Był to miecz, którym wyrąbała sobie drogę ucieczki. Jego klinga była jasna i nie przeżarta rdzą - musiał

być magiczny, skoro nie skorodował w kwasie - i zakrzywiona. Zakrzywiona.

Halisstra uzmysłowiła sobie, czym musi być.

To było Księżycowe Ostrze.

Z oczyma rozszerzonymi nabożną czcią, lekceważąc kwas parzący podeszwy jej bosych stóp, podniosła miecz, po czym wycofała się z kałuży kwasu. Jego rękojeść powinna być lepka od soków trawiennych robala, ale skórzany uchwyt był suchy i czysty, co było kolejnym dowodem magiczności oręza. Cała klinga była inkrustowana srebrem nadającym metalowi połysk, Inkrustacja układała się w słowa w języku drowów, które zaczęły się lekko żarzyć, gdy Halisstra wzięła miecz do ręki.

Ryld, który podniósł się chwiejnie na nogi, podszedł bliżej, a Halisstra odczytała inskrypcję na głos.

- „Niech w twym sercu prawda i światło zagości, a nie zawiodę cię” - wyrecytowała. Jej brwi uniosły się z powątpiewaniem. - Nawet w Otchłani? - wyszeptwała.

Gdy podniosła oczy, zobaczyła, że Ryld wpatruje się w nią.

- Więc po to jest ci potrzebne Księżycowe Ostrze - powiedział cicho. - Żeby spróbować zabić Lolth? - Potrząsnął głową. - Nawet Vhaeraunowi się to nie udało. Jak chcesz dokonać czegoś, czego nie dokonał bóg?

- Nie wiem - odparła szczerze Halisstra.

Część jej osoby czuła się zmanipulowana - choć robił prawie ją pozał, czuła się tak, jak gdyby Księżycowe Ostrze po prostu wpadło jej w dłoń. To budziło w niej niepokój, ostrożność. Ale jednocześnie jakaś jej część czuła uniesienie. Może była tylko pionkiem na planszy savy, którym poruszała niewidzialna dłoń, ale ta dłoń należała do bogini. Eilistraee, na dobre i na złe, zainteresowała się jej osobą, czego Lolth nigdy nie zrobiła. Ta myśl napelniła Halisstrę uderzającą do głowy dumą.

- Eilistraee czuwa nade mną - powiedziała do Rylda. - Czuję się tak, jak gdyby to wszystko zostało ustalone z góry, i mam poczucie, że powinnam przynajmniej spróbować pójść ścieżką wyznaczoną mi przez boginię. Jeśli uda mi się zabić Lolth, będziemy przynajmniej wolni od jej lepkich sieci. Wszyscy. Drowy będą mogły wyjść na światło, nie obawiając się jej kary.

- A jeśli ci się nie uda... - zaczął Ryld, a potem zakasłał słabo.

Halisstra wzięła go za rękę i pomogła mu zachować równowagę. Nie mieli czasu na cczą gadaninę. Nie gdy działanie trucizny zostało tylko chwilowo powstrzymane.

- Masz jakieś zapasowe ubrania? - zapytała.

Wskazał głową leżący na ziemi plecak.

- Tam. Tunikę i buty.

- To dobrze.

Tunika i buty stanowiły mizerną ochronę przez porywistymi wiatrami Świata Ponad, ale wiedziała, że może użyć swoich zaklęć - nawet jeśli oszczędnie - aby ziąb nie doskwierał jej przez jakiś czas. Wydobyła ubranie, założyła je, pomogła Ryldowi wsunąć Rozpruwacza do pochwy, przyczepiła Księżycowe Ostrze i miecz Seyll do plecaka i zarzuciła go na plecy.

- Chodź - powiedziała, zakładając sobie jedną rękę Rylda na ramiona. - Im szybciej znajdziesz się w świątyni, tym większe szanse, że dożyjesz mojej śmierci, gdy będę próbowała zabić boginię.

ROZDZIAŁ 33

- Gotowi? - zapytał Pharaun, podnosząc wzrok znad okręgu narysowanego na podłodze tunelu. W trzymanej przez niego sakiewce została tylko szczypta sproszkowanego bursztynu - dość, by dokończyć koło, w którym stali przyciśnięci do siebie Quenthel i Jeggred. Quenthel głąskała splątaną grzywę Jeggreda uspokajającym gestem.

Valas i Danifae stali na zewnątrz kręgu, w takiej odległości, by woda ściekająca z ich przemoczonych piwafwi nie zniszczyła wzoru. Ponieważ nie rozporządzali magią lewitacji, nie mogli wylądować bezpiecznie na miotanej burzą statku i mieli zostać w tunelu.

- No dalej - powiedziała Quenthel, koncentrując się na zadaniu do wykonania. - Rzucaj zakłęcie.

Pharaun stanął w kręgu obok niej, uważając, by poła jego piwafwi nie rozsypała proszku, a potem pochylił się, żeby wysypać ostatnią szczyptę dopełniającą wzór na ziemi. Wstał i popatrzył przez tafle lodu na okręt chaosu, notując w pamięci pozycję górnego pokładu.

- Faer z 'hind! - zawołał.

Gdy zakłęcie zadziało, kamienne dno tunelu zniknęło mu spod stóp. Chwilę później on, Quenthel i Jeggred spadali przez powietrze na pokład gwałtownie podskakującego okrętu. Czarodziej przerwał upadek aktywując lewitację, ale szczypiąca w oczy woda utrudniała mu zobaczenie czegokolwiek. Mierzył w punkt znajdujący się parę kroków nad pokładem, co było jedyną rozsądną opcją, gdy statek gwałtownie podnosił się i opadał, przechylając jednocześnie pod ostrym kątem, ale gdy nie miał nic pod stopami, groziło mu wyrzucenie w oko cyklonu. Wymachiwał ramionami, starając się odnaleźć stopami pokład w strugach zalewającej go wody. Wiatr targał kapturem jego piwafwi, prawie go dusząc. Porwany podmuchem wiatru, uderzył w maszt, tracąc oddech. Rozpaczliwie uchwycił się pierwszej lepszej rzeczy pod ręką - jednej z lin.

Lina zgniotła się, gdy zacisnął na niej dłonie. Wewnątrz niej było coś miękkiego, wilgotnego i ciepłego. Chwilę później, gdy coś przez nią przepłynęło, Pharaun uświadomił sobie, że lina nie jest zrobiona ze sznura, ale z kawałka jelita. Wydał wargi, mając nadzieję, że nie pęknie. Nie uśmiechało mu się zostanie obryzganym jej zawartością.

Zaparł się jedną nogą o podstawę masztu, drugą o przechylony pokład i spojrzał w górę. Jeggred i Quenthel zatrzymali się kilka kroków nad nim. Draegloth złapał się masztu i obejmował go obojgiem bojowych ramion. Sztywny jak posąg, z mięśniami napiętymi jak postronki, z łatwością stawiał opór wichurze targającej mu grzywę. Quenthel uczepliła się jego pleców, podtrzymywana przez jego mniejsze ramiona.

Quenthel patrzyła w dół na Pharauna, a jej włosy wiły się na wietrze jak żmije rzucające się wściekle przy jej biczu. Krzyknęła coś, wskazując ruchem głowy demona unoszącego się w oku cyklonu, wysoko nad masztem, którego się uczepliła.

Pharaun nie miał pojęcia, co mówi kapłanka, ale jasne było, że sprawa jest pilna.

Wparłszy się mocno nogami w podkład, puścił linę lewą ręką i sięgnął do kieszeni po gałązkę, którą zebrał pajęczynę wiele dni temu. Wskazując pokład statku, wyskandował zakłęcie.

Z gałązki wystrzeliła sieć włókien, które uderzyły w pokład. Kilka porwała wyjąca wichura, ale większość przyczepiła się do desek. Utworzyły na pokładzie lepką plamę barwy kości, plamę, która stopniowo robiła się coraz grubsza, w miarę jak gałązka wypluwała kolejne pasma pajęczyny. Kiedy czar przestał działać, masa pajęczynych nici miała prawie pół kroku grubości i tworzyła owal przypominający kokon.

Puszczając gałązkę, którą natychmiast porwał wiatr, Pharaun wyłowił z kieszeni grudkę smoły i wepchnął ją sobie do ust. Przełknął gumowatą masę, dławiąc się lekko, gdy pajęczne włoski zatopione w smole połaskotały go w tył gardła, po czym zwinął palce w kształt pajaka i lekko puknął się opuszkami w pierś. Jego dłonie natychmiast zrobiły się lepkie - na tyle, by przylepić się do przemoczonego piwafwi, gdy odgarnął je do tyłu.

Ostrożnie, wciąż trzymając się liny z jelita, czarodziej odsunął jedną stopę od masztu i poczuł, jak but przylepia mu się do desek. Potem, idąc powoli i dotykając jedną dłonią nachylonego pokładu, dotarł do płataniny pajęczynych nici.

Wyprostowanie się było niemożliwe - statek był pochylony pod ostrym kątem i zataczał oszalałe koła wokół wnętrza wiru, z połową kadłuba zanurzoną w wodzie i masztami skierowanymi w stronę oka cyklonu. Pokład drżał pod stopami Pharauna jak żywa istota, wirując dookoła, deski trzeszczały jak chór

nieumarłych. Czarodziej usłyszał dźwięk, który zabrzmiał jak przesuwanie się jakiegoś ciężaru w przestrzeni pod jego stopami, ale było w tym dźwięku jeszcze coś, choć nie wiedział co.

Zmuszony do stania pod kątem, od którego bolały go kolana i kostki u nóg, mag walczył o zachowanie równowagi. Upadek zniweczyłby wszystko. Tymczasem wiatr wyjący w linach nad głową zawodził upiornie, a miarowe łopotanie poszarpanych żagli brzmiało jak zakłócone bicie serca.

Pharaun otworzył sakiewkę zawieszoną na szyi. Posążek wewnątrz niej nadspodziewanie dobrze zniósł szarpanie wiatru. Tylko ogon lekko się wygiął. Kawałek łańcuszka otrzymany od Valasa był wciąż owinięty mocno wokół kostki demona, a znajdująca się na jego końcu szpilka tkwiła na swoim miejscu.

Spiesząc się, Pharaun sięgnął w dół, prawie wpadając w pajęczynę, gdy podrzucony falą statek wierzgnął i dopiero w ostatniej chwili odzyskał równowagę, po czym zanurzył stopy figurki w zewnętrznej części pajęczyny, przyklejając ją do pokładu. Potem ostrożnie wbił szpilkę w pokład. Wsunęła się w białe jak kość deski, jak gdyby wchodziła w kawałek mokrej kredy.

Pharaun rozpoczął zakłęcie pętające. Wpatrując się w demona wiszącego wysoko nad masztem, skandował słowa zakłęcia z rękami wzniesionymi nad głową. Jego kciuki i palce wskazujące tworzyły splatające się koła. Powoli zaczął opuszczać dłonie w stronę pokładu i zachichotał z radości, widząc, że demon zaczyna opadać coraz niżej. Przymuszony zakłęciem, został ściągnięty poniżej czubka masztu, do poziomu, gdzie uczepili się go Quenthel i Jeggred i w końcu do miejsca, gdzie stał Pharaun. Wciąż targany podmuchami gwałtownego wiatru demon wydawał się rosnąć i robić coraz groźniejszy, ale był to tylko efekt otaczającej go bezbożnej aury. W rzeczywistości był tylko nieco większy od Pharauna. Był jednak mocno umięśniony, miał u rąk i nóg szpony przypominające poźółkłe sztylety i ogon, który wydawał się dość potężny, by mógł złamać nim stalagmit na pół. Jego twarz przypominała szczurzy pysk, a skórę miał nakrapianą, o chorobliwym odcieniu szarości. Gdy znalazł się na wysokości wzroku Pharauna, prowadzony ruchami rąk maga w stronę posążka przyczepionego do pokładu, czarodziej zauważył, że w jednej z jego małżowin usznych wygryziony jest półokrąg. Rana jątrzyła się, a z przegniłego mięsa wystawał nieruchomy robak kolejna ofiara zakłęcia, które uwięziło demona w czasie.

Kucając, Pharaun dotknął posążka, po czym rozwarł palce tworzące splatające się okręgi. Gdy rozerwał symboliczny łańcuch, opał eksplodował w rozbłysku wielobarwnej magicznej energii, topiąc posążek.

Pharaun został na chwilę oślepiiony, ale słodki zapach stopionego wosku powiedział mu, że zakłęcie zadziałało. Mrugając powiekami, wbił wzrok w stojącego przed nim demona, którego kostka była przymocowana do pokładu cienkim ołowianym łańcuszkiem. Demon był wciąż zatrzymany w czasie, ale jego oczy płonęły wściekłością. Pomimo wiążącego go czaru zastoju demon wydawał się wiedzieć, że został spętany.

Pharaun skinął na Quenthel i Jeggreda, żeby dołączyli do niego. Gdy Quenthel, wciąż uczepiona pleców draegloth, kiwnęła głową, ten posłuchał. Zeskoczył z masztu i uczepił się opadającego stromo pokładu, wbijając łapy w lepką masę pajęczych nici. Pharaun natychmiast rzucił kolejne zakłęcie, wyrzucając w powietrze szczyptę sproszkowanego diamentu. Kopuła mocy odcięła ich od burzy, otaczając całą trójkę i demona upragnioną ciszą. Fontanny wody zalewały niewidzialną barierę i spływały po niej strumieniami, ale wewnątrz panowała cisza.

Quenthel zeszła się z pleców Jeggreda, ale nadal trzymała się jego grzywy, żeby zachować równowagę na unoszącym się i opadającym pokładzie. Spojrzała na demona, marszcząc nos, a zmije u jej bicza smakowały drgającymi językami otaczające go powietrze. Choć jego ciało znajdowało się w zastoju, demon wciąż śmierdział siarką i zgnilizną.

- Jest mały - zauważyła z drwiną. - Nawet Jeggred dałby mu radę.

Draegloth, oplątany pajęczyną aż po łokcie, chrząknął na znak zgody.

- Niech jego rozmiary was nie zmylą - ostrzegł Pharaun, marszcząc nos, gdyż oddech Jeggreda był prawie równie paskudny jak smród demona. - Jedno ugryzienie tych ostrych zębów i zostaniecie sparaliżowani.

Quenthel spróbowała cofnąć się o krok, ale szarpnięcie statku sprawiło, że jej stopa wylądowała w lepkiej sieci. Upadła w bok, młóćąc rękami powietrze. Rozłożyła się jak długa na grubszej warstwie pajęczyny i natychmiast wybuchła stłumionym stekiem przekleństw.

- Rozprosz to! - warknęła, usiłując się podnieść z pochyłego pokładu, ale tylko zaplątywała się jeszcze bardziej. - Natychmiast to rozprosz.

Jej zmije też przyklepiły się do sieci i z frustracji strzykały w siebie jadem. Jeggred próbował

pomóc swej pani, ale nie mógł uwolnić łap. Rozdrażniony draegloth warknął na Pharauna.

Mag z wysiłkiem zdołał zapanować nad wesołością. Niedobrze byłoby się roześmiać, zwłaszcza w obecności najeżonego Jeggreda, choć widok kapłanki Pajęczej Królowej schwytej w sieć był jednak komiczny. Zamiast tego schylił głowę w ukłonie.

- Jak sobie życzysz, pani. Ale będziesz musiała przyczepić się do pokładu w jakiś inny sposób, inaczej się z niego zsuniesz. Jeśli pozwolisz, spróbuję coś wymyślić.

Wyciągnął drugą grudkę smoły i przełamał gumowatą substancję na pół. Jeden kawałek podał Quenthel, a drugi Jeggredowi, a kiedy je połknęli, rzucił czar pozwalający im przyczepiać się do wszystkiego jak pająki - nawet do zalanej wodą pokładu. Potem sprawił, że sieć zniknęła.

Podnosząc się z ziemi z twarzą purpurową z hamowanej wściekłości, Quenthel rozejrzała się po statku.

- Nie widzę żadnych ust - warknęła. - Belshazu kłamał.

- Nie byłbym wcale zdziwiony - powiedział sucho Pharaun.

Rzeczywiście, rozejrzawszy się po pokładzie, stwierdził, że Quenthel ma chyba rację. Pokład statku był płaską połącią białych jak kość desek, pozbawioną kabiny i jakichkolwiek wzniesień. Ograniczały go relingi chroniące załogę przed wypadnięciem za burtę, ale jedyną rzeczą wystającą ponad jego ponurą płaszczyznę, oprócz trzech masztów o postrzępionych, połatanych żaglach, był rumpel na rufie statku. Nie widząc żadnych luków, zadał sobie pytanie czy statek ma ładownię, czy też jego kadłub zbudowany jest z litej kości. Przed chwilą słyszał jakiś przytłumiony odgłos, który mógł być przesuwającym się ładunkiem, ale prawdopodobnie były to tylko odgłosy burzy.

- Będziemy musieli zapytać uridezu gdzie są usta - powiedział. - Miejmy nadzieję, że uda mi się rozproszyć zastój.

To powiedziawszy, zabrał się do dzieła. Rozproszenia magii były jednymi z pierwszych zaklęć, jakie czarodzieje poznawali w Sorcere, a szybka inkantacja i krótki gest wystarczały, by rozproszyć proste czary. Ale zastój był trudny do rozproszenia. Tylko najpotężniejsi czarodzieje potrafili go rzucić. To, że demona więził właśnie taki czar, było wyraźnie widać. Gdy Pharaun zajrzał do jego otwartego pyska, zobaczył czerwone, niebieskie i zielone plamki na jego języku - warstewkę sproszkowanych klejnotów, które aktywowały zaklęcie.

Potrzebny był jakiś silniejszy czar rozpraszający - ściśle skupiony, żeby nie zniweczył zaklęcia pętającego. Pharaun wziął głęboki oddech i rozpoczął inkantację.

Quenthel musiała zauważyć niepokój w jego oczach, bo dobytek bicia. Obok niej Jeggred bezwiednie drapał pazurem uszczelnienie pokładu, wydłubując spomiędzy desek kawałki czarnej, skrzepłej krwi.

Mag wyciągnął palec, na którym nosił magiczny sygnet, i dotknął demona między oczyma. Pierścień rozbłysnął jasnym srebrem, gdy symbol Sorcere uaktywnił się, dodając zaklęciu swej mocy.

Gdy rozproszenie zaczęło działać, ciało demona przebiegł dreszcz. Pharaun gwałtownie cofnął rękę do tyłu. Quenthel i Jeggred też stężeli, ale przez, kilka długich chwil nic się nie wydarzyło. Słysząc było jedynie stłumione uderzenie fal o kopułę, która nadal utrzymywała żywioły na wodzy, i słabe, zaciekawione posykiwania żmij.

Pharaun wzdychając, potrząsnął głową. Rozproszenie nie zadziałało.

- Spróbuj jeszcze raz - rozkazała Quenthel.

- To nic nie da - odparł czarodziej, robiąc krok do przodu, żeby przyjrzeć się demonowi z bliska. - Mag, który zatrzymał demona w czasie, musiał być niezwykle potężny.

Odpowiadając Quenthel, odwrócił się do niej połową ciała, ale kątem oka dostrzegł, że demon mrugnął i to ocaliło mu życie. Z wrzaskiem nagromadzonej od wieków wściekłości demon skoczył naprzód, usiłując rozplatać mu pazurami gardło. Pharaun rzucił się w tył, ale jego buty były przyczepione do pokładu. Upadł na plecy, uderzając się w głowę. Zamrugał oczami, w których stały mu gwiazdy i zdołał skupić wzrok w samą porę, żeby zobaczyć demona w najwyższym punkcie skoku. Wciąż oszołomiony uderzeniem w głowę zastanawiał się, dlaczego się od niego oddała, ale zaraz uświadomił sobie, że upadając wyskoczył z butów i zsuwał się teraz gwałtownie po pochyłym pokładzie. W tej samej chwili demon zatrzymał się gwałtownie w powietrzu, po czym runął twarzą w dół prosto w miejsce, gdzie przed chwilą leżał mag.

Pharaun uświadomił sobie, że powalił go łańcuch w kostce.

Dotarło też do niego, że wciąż zsuwa się po pochyłym pokładzie. Plasnął lepkimi dłońmi o

pokład, zatrzymując się tuż przed granicą kopuły mocy. Tymczasem demon zerwał się na równe nogi i rzucił na cienki łańcuch przytrzymujący go w kostce, gryząc go pożółkłym kłami.

Quenthel cofnęła się o krok z biczem w dłoni i niezdecydowanym wyrazem twarzy. Potem zachichotała ponuro.

Demon przerwał przegryzanie łańcucha, żeby spojrzeć na nią spode łba.

- Ośmielasz się śmiać? - zapytał głosem piskliwym jak skręcające się łańcuchy, wybałuszając ślepią. - Nakarmię tobą paszczę.

Pharaun usiadł, rozcierając ciemię.

- Właśnie o tym chcieliśmy z tobą porozmawiać - powiedział do demona. - Usta statku. Powiedz nam, gdzie...

Nie zdążył dokończyć. Zjeżony Jeggred, który usłyszał, że obrażono jego panią, wybrał ten właśnie moment, żeby skoczyć naprzód. Wyjąc z wściekłości, zaczął okładać demona bojowymi łapami, zostawiając głębokie bruzdy na jego piersi i udach.

Pharaun zerwał się na równe nogi - na szczęście bosa stopy wciąż lepiły mu się pod wpływem poprzedniego zaklęcia.

- Jeggred, przestań! - krzyknął. - On właśnie tego chce!

Już wiedział, do czego zmierza demon - uridezu cofnął się przed atakiem Jeggreda ruchem, który odsłonił jego spętaną nogę. Demon nie mógł sam zerwać ani usunąć łańcucha wiążącego go w kostce, ale niedbałe machnięcie pazurów Jeggreda mogło wystarczyć...

Tym razem Quenthel zareagowała natychmiast. Machnęła biczem, mierząc nie w demona, który zapewne był i tak nie czuły najad jej żmij, ale w Jeggreda. Węże kłapnęły zębami o grubość dłoni od jego nagich pleców, opryskując mu grzywę jadem.

- Jeggred! - wrzasnęła. - Zostaw go.

Draegloth obejrzał się przez ramię, nagle zdając sobie sprawę, że jego pani jest wściekła. Natychmiast przycupnął na pokładzie, lekceważąc bolesny kopniak wymierzony mu przez demona.

Demon, któremu pokrzyżowano szyki, ukucnął, ruszając wąsami.

Pharaun wspiął się po stromym pokładzie.

- A teraz, demonie - powiedział mistrz Sorcere - wracamy do mojego pytania o usta statku. Chcę wiedzieć, gdzie są, i czym należy je nakarmić, aby statek popłynął. Wyprowadzisz nas z tego wiru i popłyniesz na Plan Cieni.

- A wy uwolnicie mnie? - zapytał demon, mrugając zażawionymi oczami.

- Tak - skłamał Pharaun. - Gdy tylko dotrzemy do Otchłani.

Demon zastrzygł wąsami.

- Usta znajdują się w brzuchu statku - powiedział.

- W ładowni? - zapytał Pharaun.

Demon kiwnął głową.

- Jak się do niej dostaniemy?

- Użyj jej różdżki - powiedział demon, wskazując palcem rozwidloną różdżkę za pasem Quenthel. - Luk jest ukryty w magiczny sposób, ale różdżka go wam wskaże.

Pharaun zmrużył oczy. Nie spodobał mu się chytry błysk w oku demona. Różdżkę lokalizacji łatwo było poznać po charakterystycznym kształcie, ale demon zachowywał się tak, jak gdyby chciał, żeby to Quenthel jej użyła. Czyżby miała jakąś dodatkową właściwość, którą przegapił - coś, co demon chciał obrócić na swoją korzyść?

- Chwileczkę, Quenthel - powiedział. - Użyjemy mojej różdżki.

Sięgnął do wąskiego futerału przy pasie, wyciągnął z niego jedną ze swoich czterech różdżek i machnął nią powoli przed sobą, równoległe do pokładu. Ukryty wcześniej luk nagle stał się widoczny, gdy jego krawędzie rozjarzyły się słabym purpurowym blaskiem. Kółko otwierające luk było wtopione w klapę i znajdowało się na poziomie pokładu. Kiwając głową, Pharaun schował różdżkę z powrotem do futerału.

Quenthel zaśmiała się i sięgnęła do klapy, ale zatrzymała się, gdy jej żmije syknęły ostrzegawczo. Spojrzała na Pharauna, otworzyła usta, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

Zamiast tego obróciła się do Jeggreda i rozkazała:

- Otwórz luk.

Draegloth pochylił się posłusznie.

- Jegfred, zaczekaj - warknął Pharaun.

Mag nie kochał draeglotha, ale nie dowierzał demonowi. Machnięciem ręki polecił Jegfredowi się cofnąć i skinął na demona, by sam otworzył luk. Znajdował się na samej granicy zasięgu uridezu. Wyciągnąwszy się, demon był w stanie zaczepić palce o zasuwę.

- *Bądźcie gotowi*, pokazał na migi pozostałym za plecami demona, sięgając po inną różdżkę. *Coś stamtąd wyjdzie.*

Miał rację. Gdy tylko demon podniósł klapę, wypadła spod niej zgraja szczurów, piszcząc i kwiląc. I to nie zwykłych szczurów, ale wychudzonych, na wółprzegniłych karykatur żywych istot - stado maleńkich nieumarłych.

Z szybkością będącą efektem wieloletniej praktyki Pharaun wypalił z różdżki. Wystrzelił z niej piorun, który przemknął po pokładzie i z prawie tuzina szczurów zostało tylko spalone mięso i poczerniałe kości.

Quenthel i Jegfred zareagowali równie szybko. Quenthel chłostała szczury szybkimi smagnięciami bata, a Jegfred przygniatał je do pokładu potężnymi machnięciami bojowych łap.

Pharaun zachichotał, spopielając ostatnie z nich swoją różdżką. Czy to wszystko, na co było stać demona wezwać kilka nieumarłych szczurów?

Śmiech zamarł mu w gardle. Spodziewał się wymyślnego wybiegu, godnego mistrza savy i poczuł się nieco rozczarowany, gdy demon wysłał przeciwko nim gromadę nieumarłych szczurów. Ale zaraz uświadomił sobie, jaki jest prawdziwy plan demona - tak prosty, że udało mu się wywieść go w pole. Atak nieumarłych szczurów miał tylko uśpić ich czujność. Wystarczyło, żeby przeżył tylko jeden z gryzoni. Prawdziwym celem zwierzątka, którym kierował za pomocą telepatii jego demoniczny pan, był łańcuszek.

Miękki ołowiany łańcuszek.

Chwilę później ostre zęby szczura przegryzły łańcuch i demon był wolny. Okręcając się w miejscu, machnął ogonem raz, przewracając Jegfreda, który przeleciał przez pokład, kopułę mocy i wpadł we wzburzone morze, a potem drugi, posyłając Quenthel w ślad za draeglothem.

Obrócił się w stronę Pharauna, poruszając wąsami.

- Czarodzieju - pisnął. - Jesteś mój.

Pharaun nie odpowiedział, wsuwając wolną dłoń do kieszeni i wyciągając z niej rękawicę. Gdy demon obnażył kły, a potem skoczył mu do gardła, mag podziękował w duchu za frontalny atak zamiast użycia magii - dzięki temu miał czas na rzucenie zaklęcia.

Demony były naprawdę przewidywalne.

Czasami.

ROZDZIAŁ 34

Gdy przed nimi ukazał się wylot tunelu, Ryld stracił resztki nadziei. Na zboczach prowadzącym na powierzchnię leżał śnieg po kostki, a ogromne białe płatki padały tak gęsto, że nie widać było dalej niż na kilka kroków. Jak on i Halisstra mieli wydostać się z Zimnych Pól w tej zamieci? Nie mogąc się kierować żadnymi punktami orientacyjnymi, będą się błąkać w kółko, aż w końcu pokona ich zimno.

Ale to była drobnostka w porównaniu z faktem, że Ryld zaczynał już być zmęczony. Insignia jego domu pozwalały mu lewitować, tak że Halisstra mogła go holować w powietrzu jak dziecinny pływak, ale koncentracja potrzebna do podtrzymania magii broszy męczyła go. Obniżając ją, opadł łagodnie na ziemię i popatrzył na śnieg wpadający do tunelu.

Halisstra zadrżała, uświadamiając mu, jak nieodpowiednio jest ubrana na taki przenikliwy ziąb.

- Masz jakieś zaklęcia, które ochronią cię przed zimnem? - zapytał.

Kiwnęła głowę i odparła:

- Eilistraee da mi zaklęcie, które pozwoli mi wytrzymać zimno, ale...

- Ale co?

Halisstra westchnęła.

- Działa bardzo krótko. Będę musiała rzucić je ponownie - kilka razy - żeby było mi ciepło aż do samego skraju Zimnych Pól. A to oznacza, że nie będę mogła rzucić ponownie zaklęcia, które utrzymuje cię przy życiu.

- Więc zostaw mnie.

Spojrzenie, jakie posłała mu Halisstra, mówiło samo za siebie.

- Ile mam czasu? - zapytał, zamiast się spierać.

- Zaklęcie, które na ciebie rzuciłam, powinno działać przynajmniej do końca nocy do wschodu słońca - powiedziała. - Do tego czasu będę korzystać z magii oszczędnie i liczyć na to, że później ogrzeję się w słońcu. Powinno mi jej starczyć, żeby spowolnić jad po raz drugi. Jeśli ból się pogorszy, natychmiast daj mi znać. Czas trwania zaklęcia nie jest ściśle określony. Jego działanie może ustać nagle, bez ostrzeżenia. Jeśli jad powróci z pełną siłą do twojego ciała, szok może cię zabić. Im mniej razy będę musiała powtarzać zaklęcie, tym lepiej.

Ryld kiwnął głową.

Halisstra zadrżała, po czym dodała.

- Chodźmy. Będzie mi cieplej, kiedy będę się ruszać.

Ryld znów zaczął lewitować. Świeży śnieg zaskrzypiał pod butami Halisstry, gdy ciągnąc fechmistrza za sobą wdrapała się po zboczach na otwartą równinę, a potem przeszła w trucht.

Już po kilkunastu krokach Ryld przestał widzieć jamę robala za ich plecami. Przed sobą mieli gruby woal padającego śniegu, który ukrywał krajobraz przed ich wzrokiem. Na niebie nie widać było gwiazd ani księżyca. Niebo było zaciągnięte ponurymi szarymi chmurami. Grube płatki padały na ogoloną czaszkę fechmistrza, topiły się i znów zamarzały.

Przez pewien czas szybkie tempo, jakie narzuciła sobie Halisstra, nie pozwalało jej zmarznąć. Ale kiedy śnieg zaczął jej sięgać łydek, zaczęła się trząść. Biegła dalej, dopóki nie zaczęła szczekać zębami, wtedy wreszcie stanęła i wyszeptwała krótką modlitwę do Eilistraee. W przeraźliwie zimnym powietrzu jej oddech zamieniał się w kłęby pary. Kiedy skończyła, oddychała lżej. Stopniowo przestała się trząść.

Tak jak się spodziewała, łagodzące efekty zaklęcia nie trwały długo. Była w stanie posuwać się naprzód jeszcze przez jakiś czas, choć głęboki śnieg sprawił, że szła, zamiast biec, ale wkrótce znów zaczęła się trząść. Kiedy uniosła dłoń do ust, żeby na nią chuchnąć, Ryld zauważył ze zgrozą, że opuszki jej palców zsiniały. Elfy z powierzchni miały na to specjalne słowo - ukąszenia mrozu. Ryld zaczynał rozumieć, dlaczego wybrały takie dziwne określenie. Jego własne palce u rąk i nóg oraz koniec nosa były obolałe, jakby obgryzały je niewidzialne stworzenia.

- To zaklęcie nie starcza na zbyt długo - zauważył.

- Nie - zgodziła się Halisstra, znów zaczynając szczekać zębami. - Nie starcza.

Ryld wpatrywał się spod zmrużonych powiek w syjący gęsto śnieg tworzący ze wszystkich stron grube zasłony. Choć niebo robiło się jaśniejsze, nie widział już szczątków pobojowiska zaśmiecających ziemię, bo zniknęły pod śniegiem. Jednak chwilę później but Halisstry zachrząścił na kawałku zamarznętej kości, gruchocząc ją, co przypomniało mu, że wciąż są na Zimnych Polach.

- Nie uda nam się - powiedział Ryld. - Nie bez czyjejś pomocy.

Urwał, gdy ból ścisnął mu wnętrzności, wyrывая z ust jęk.

Halisstra zrobiła wielkie oczy.

- Co się dzieje? - zapytała. - Czar nie mógł przestać działać jest za wcześnie.

Ryld opadł na ziemię i stał przez chwilę z rękami opartymi na udach, oddychając ciężko. Gdy oddech mu się uspokoił, odpowiedział.

- Lewitacja mnie męczy. Jestem słaby. Twoje zaklęcie zatrzymało działanie jadu, ale do tego czasu zdążył on już poczynić spore szkody. - Wskazał ruchem głowy Księżycowe Ostrze przyczepione do jej plecaka. - Ja się nie liczę, ale ty masz zadanie do wykonania. Jeśli chcesz się wydostać z tej równiny, musisz zachować swoją magię dla siebie. Zostaw mnie.

Halisstra nie spierała się. Wpatrywała się tylko w Rylda łzawiącymi oczyma. Z zaciśniętymi ustami wzięła go za rękę i ucisnęła ją. Kiwnął jej głową, dodając otuchy, a ona zaczęła się odwracać.

Ale zatrzymała się.

- Nie - powiedziała, odwracając się z powrotem. - Musi być jakiś sposób. Niech pomyślę. Na pewno znam jakieś zaklęcie, które pomoże mi się szybciej poruszać.

Ryld kiwnął głową, patrząc pustym wzrokiem na sypiący śnieg. Płatki padały z góry w linii prostej, nie wiał nawet najłżejszy wietrzyk. Dziwne, że w takim razie sklezione płatki wydawały się wirować, przybierać rozmaite kształty i znów się rozpadać...

Wzdrygnął się, gdy dotarło do niego, co widzi.

- *Halisstro*, pokazał na migi, nie śmiejąc odezwać się na głos. *Duchy. Otaczają nas.*

- W-k-k-rótcie m-m-możemy do nich d-d-dodać - powiedziała Halisstra, szcękając zębami. - Już prawie ś-świt. P-p-podejdz bliżej, żebym m-m-mogła rzucić...

- *Ciszej*, powiedział Ryld. *Słyszczą cię.*

Jeden z duchów zerknął w stronę Halisstry. W tej samej chwili wydał się bardziej materialny. Ryld rozpoznał w nim żołnierza o twarzy tak pomazanej sadzą, że była prawie tak ciemna jak jego własna. Przód jego drewnianej tarczy był spalony prawie na węgiel. Duch pozostał cielesny na tyle długo, by Ryld zdążył rozpoznać symbol na plecach jego tuniki drzewo armii lorda Velara - a potem rozpadł się w wirze śnieżnych płatków.

Ryld widział dziesiątki widmowych postaci poruszających się w tym samym kierunku co on i Halisstra. Pokazywały mu się tylko na mgnienie oka, tak jak pierwszy żołnierz rozplywając się we mgle, ale to mu wystarczyło, żeby stwierdzić, iż jest to armia w odwrocie. Ze zwieszonymi ramionami i oczyma wbitymi tępo w ziemię żołnierze obojętnie wlekli za sobą broń. Od czasu do czasu mijało ich widmowe zwierzę ze Świata Ponad, które jeździec okładał wściekle po bokach. Za każdym razem piesi oglądali się strachliwie przez ramię, jak gdyby chcąc się przekonać, przed czym ucieka jeździec, a niektórzy puszczali się biegiem. Jednak po kilku chwiejnych krokach znów zwalniali do ciężkiego marszu, niektórzy upadali i już się nie podnosili, a ich widmowe postacie zapadały się w śnieg.

Armia duchów nie zwracała większej uwagi na Rylda i Halisstrę. Żołnierze wyczuwali w jakiś sposób, że drowy też są ranne i że też próbują wydostać się z zimnej, martwej równiny. Jeden z żołnierzy, chorąży wciąż niosący żelazną żerdź zakończoną proporcem przedstawiającym symbol drzewa, zwalił się na ziemię tuż przed Ryldem, w ogóle nie zwracając na niego uwagi. Choć proporzec otarł się o ramię fehmistrza, padając na śnieg, sama żerdź nie zostawiła żadnego odcisku na białej powierzchni. Tak jak ciało chorążego zapadła się w śnieg bez śladu.

Ryld zauważył, że śnieg przed nim wybrzusza się lekko. Zaciekawiony, włożył rękę w zimny puch i wyczuł nią szkielet, a obok niego zimną metalową żerdź pokrytą rdzą. Tak jak widmowy oficer napotkany wcześniej przez fehmistrza, żołnierz odegrał ostatniego chwile swojego życia, padając dokładnie w tym samym miejscu, w którym umarł wieki temu.

Ryld, czując, że ból w brzuchu narasta, zadał sobie pytanie, czy zaraz do niego nie dołączy.

Halisstra dotknęła symbolu Eilistraee, który nosiła przy pasie.

- Z-z-aklęcie - powiedziała, dygocząc na całym ciele, a potem przeszła na język migowy. - *Powinnam je wkrótce rzucić.*

Uwagę Rylda przyciągnął jednak widmowy jeździec pędzący ku nim na wierzchołku mieszkańców powierzchni - „koniu”, przypomniał sobie nagle jego nazwę. Zwierzę nie zostawiało śladów na śniegu, lecz fehmistrz słyszał - słabo - odgłos kopyt uderzających o ziemię. Koń był wciąż silny, nadal zdolny do szybkiego biegu - i był cielesny, przynajmniej w tej chwili. A to podsunęło mu pewien pomysł.

Chwyciwszy żerdź poległego chorążego, wyciągnął ją ze śniegu i stanął tak prosto, jak tylko pozwalał mu na to ból w brzuchu.

- Stój, w imieniu lorda Velara! - krzyknął. - Niosę wiadomość, która musi dotrzeć do uszu twego dowódcy.

Przez chwilę Ryld niepokoił się, że jego fortel nie zadziała. Sztandar w jego dłoniach był stary i przerdzewiały, proporzec dawno już przegnił. Ale oficer wydawał się widzieć go takim, jakim był kiedyś. Duch natychmiast osadził wierzchowca. Całkowicie materialny, wpatrywał się w Rylda. Koń, równie zdenerwowany jak jeździec, rozdymał nozdrza - może wyczuwał zapach smoka, który był już od dawna martwy - i rżał niespokojnie.

Oczy nieumarłego oficera zwężyły się, gdy wodził wzrokiem od Rylda do Halisstry.

- Nie jesteście żołnierzami - stwierdziła zjawa. - Nie jesteście nawet ludźmi.

- Jesteśmy drowami - powiedział szybko Ryld, modląc się w duchu, by jego rasa nie była w stanie wojnie z tymi ludźmi. Mrocznymi elfami z Krain Pod, które przybyły walczyć u boku lorda Velara.

- Spóźniliście się. Rozejrzyjcie się dookoła. Armia lorda Velara została pokonana. Smoki...

Duch wzdrygnął się, nie będąc w stanie dokończyć.

- Tak, wiem. - Ryld uniósł lewą dłoń, pokazując oficerowi pierścień Melee-Magthere w kształcie smoka. - Znam się trochę na smokach i wiem, jak straszliwą potrafią być bronią. Posiadam wiedzę, która może pomóc lordowi Velarowi je pokonać jeśli dotrę do niego na czas. Pożycz mi swego konia, a ta porażka może się jeszcze okazać zwycięstwem.

Halisstra stała, trzęsąc się za plecami Rylda z rękami przyciśniętymi do piersi.

Oficer po raz ostatni obejrzał się nerwowo przez ramię, a potem zsiadł z konia.

- Weź go - powiedziała zjawa, wciskając wodze w ręce Rylda. Duch dobył miecza i odwrócił się w stronę, z której przyjechał. - „Lepiej zginąć z honorem, niż żyć ze wstydem” - powiedział, recytując te słowa jak jakiś cytat.

Widmowy oficer oddalił się, znikając w kłębowisku mgły pośród gęsto padającego śniegu.

Koń jednak został. Gdy przeniósł ciężar ciała z nogi na nogę, zostawił w śniegu bruzdy. Gdy Ryld sięgnął ręką do jego szyi, żeby go pogłaskać i uspokoić, poczuł zapach potu i kurzu oblepiającego jego sierść. Ciało zwierzęcia emanowało przyjemnym ciepłem - ciepłem, które mogło ocalić życie dygoczącej gwałtownie Halisstrze.

- Potrafisz jeździć konno? - zapytał. Trochę poniewczasie, uświadomił sobie.

Halisstra zatrzęsała się, co można było uznać za kiwnięcie głową.

- D-d-d-osiaadałam jaszczurów. To n-n-nie powinno być t-t-rudniejsze, C-c-o to jest?

- Nazywa się koń. Kilka lat temu widziałem takiego na bazarze w Menzoberranzan. Podobno drogo kosztował, ale pożył tylko kilka dni - powiedział, uświadamiając sobie, że czas nagli. - Usiądź w siodle, a ja...

Fala bólu przetoczyła się przez jego wnętrzności, wyrywając mu z gardła jęk.

Halisstra spojrzała na niego z niepokojem.

Poirytowany własnym brakiem opanowania, Ryld wyrzucił ból ze świadomości. Uśmiechnął się do Halisstry w wymuszony sposób, podając jej wodze.

- Ty pojedziesz - powiedział - a ja złapię się ciebie i będę lewitował. W ten sposób zwierzę będzie szybciej biegło. Jeśli będziemy mieć szczęście, dotrzemy do lasu i kapłanek, zanim zakłęcie, które na mnie rzuciłaś, przestanie działać.

- N-n-nie szczęście - skarciła go Halisstra. - B-b-łogostawieństwo b-b-ogini.

Musnęła go w przelocie ustami, które wydawały się zimne jak usta samej śmierci, a potem, wciąż się trzęsąc, wskoczyła na siodło.

ROZDZIAŁ 35

Na chwilę przed tym, jak demon dosięgnął Pharauna, zaklęcie zostało aktywowane i pomiędzy nimi pojawiła się ogromna świecąca dłoń. Dłoń zderzyła się z demonem, przygważdżając go do pokładu i wlokąc po białych jak kość deskach, byle dalej od maga. Skrzecząc z furii, demon usiłował się wyrwać, ale magiczna dłoń była zbyt silna.

Gdy uridezu szarpał się bezskutecznie, Pharaun zbliżył się ostrożnie i złapał dwa końce przegryzionego łańcucha. Trzymając je razem, rzucił prosty czar naprawiający, zadowolony, że spętał demona właśnie w ten sposób. Gdy został przerwany pentagram, trzeba go było narysować od początku, ale łańcuch użyty podczas rzucania zaklęcia zawsze można było odnowić prostym czarem naprawiającym, zakładając, rzecz jasna, że dysponowało się magią potrafiącą najpierw poskromić demona.

W chwili, w której łańcuch się zrosł, Pharaun odstąpił w tył i rozproszył magiczną dłoń. Demon zerwał się na równe nogi, mierząc go wściekłym spojrzeniem zmrużonych oczu. Gdy szarpał łańcuch, Pharaun rozejrzał się za Quenthel i JeggreDEM. Zauważył ich chwilę później zdołali uciec z wiru przy pomocy lewitacji i unosili się w oku cyklonu. Nie mogąc wrócić na statek, gwałtownie się oddalali. Quenthel coś do niego krzyczała, ale czarodziej nie słyszał jej przez huk fal i wycie wichury. Jednak jej wiadomość była nader oczywista, sądząc po sposobie, w jaki wymachiwała rękami. Chciała, żeby Pharaun użył swej magii, aby ściągnąć ich z powrotem na pokład.

Pharaun udał, że nadstawia ucha i teatralnie wzruszył ramionami. Potem odwrócił się, chichocząc. Wbił wzrok w demona, który znów popadł w kwaśną rezygnację.

- No, demonie - powiedział. - Twierdziłeś, że usta znajdują się w ładowni statku?

Demon prychnął.

- Idź i sam się przekonaj.

Pharaun zrobił krok w kierunku otwartego luku, obserwując demona spod oka. Kiedy ten stęzał w oczekiwaniu, stanął.

- Chyba nie.

Zamiast tego wyciągnął z kieszeni słoiczek maści i wtarł odrobinę mikstury w powieki. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że jego ostrożność nic była bezpodstawna. Na pokładzie istotnie znajdował się luk, ale nie otwierał się na schody i ciemną ładownię. Krawędzie luku były w rzeczywistości wilgotnymi fałdami mięsa przypominającymi wargi. Wewnątrz, gdzie wydawało się, że są schody, jeżyło się kilka rzędów ostrych zębów. Za nimi ładownia była pełna kości i czaszek. Wokół nich migotały czerwone światełka, świecące w oczodołach jak rozżarzone węgle.

Usta oddychały, wydzielając ohydny smród stanowiący połączenie swądu spalonego mięsa i węgla kostnego, na które nakładał się odór zgnilizny gorszy nawet niż oddech JeggreDA. Wzdrygając się, Pharaun zatkał nos i odsunął ostrożnie. Cieszył się, że miał na tyle oleju w głowie, żeby kazać otworzyć luk demonowi. Był pewny, że gdyby otworzył go sam, zostałby wessany do środka i pochłonięty.

Szkoda, że nie polecił go otworzyć Quenthel. Efekt byłby nie tylko zabawny, ale i przyniósłby praktyczne korzyści. Aby demon wyprowadził statek z burzy, należało nakarmić czymś paszczę.

Pharaun zastanowił się. Czy aby na pewno? Z tego co wiedział, statek chaosu mógł żeglować latami o jednym posiłku. A nawet wiekami. Ale czy mógł pożeglować bez posiłku z jednego planu na inny? Musiał się tego dowiedzieć. Konieczny był blef.

Założył ramiona na piersi i spojrzał demonowi w oczy.

- Dość już czasu zmarnowaliśmy - oznajmił. - Wyprowadź stąd statek. Żeglujemy na Plan Cieni.

Demon też założył ramiona na piersi, naśladując maga.

- Głupi śmiertelniku - powiedział ze wzgardliwym uśmiechem. - Nic nie rozumiesz. Nie możemy popłynąć tak daleko. Aby statek mógł wpłynąć na Plan Cieni, trzeba go najpierw nakarmić. Pozwól mi otworzyć bramę dla bezwartościowego plugawca, a ja dołożę do ognia.

Pharaun odwzajemnił uśmiech. Demon mimowolnie powiedział mu to, czego chciał się dowiedzieć. Nie miał jednak zamiaru pozwolić mu na rzucanie jakichkolwiek czarów - przez bramę nie wyszłyby plugawce, ale następny uridezu.

- Ogień jest już wystarczająco duży - odparł Pharaun. - Najpierw wypłyniemy z tej burzy, a potem zastanowimy się nad nakarmieniem okrętu. Pamiętaj, im szybciej wypełnisz zadanie, jakie ci przydzieliłem i zaprowadzisz nas do Otchłani, tym szybciej odzyskasz wolność.

Przez kilka uderzeń serca demon starał się zmusić Pharauna do spuszczenia wzroku. Potem wąsy mu zadrgały, a on sam odwrócił spojrzenie. Uniósł stopę, pokazując jak krótki jest łańcuch, którym był uwiązany do pokładu.

- Ktoś musi wziąć za ster - rzekł.

- Ja to zrobię - odpowiedział mistrz Sorcere. - Masz tylko uwolnić statek. - Po czym, zauważając chytry błysk w oku demona dodał: - I bez żadnych sztuczek. Żadnych przechyłów, przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w taki sztorm. - Urwał, gdy spadła na niego piana z rozbijającej się nad nim fali, znów zalewając mu już i tak przemoczone piwafwi. Wskazał na swoje bose stopy, dzięki zaklęciu wciąż trzymające się mocno przechylnego pokładu. - Jak widzisz, nie tak łatwo mnie zmyć przez burzę.

Pharaun odwrócił się i po jednym lepkiem kroku naraz ruszył przez wiatr i pianę na rufę. Rumpel, podobnie jak reszta statku, był zrobiony z kości. Nie ze sproszkowanej i sprasowanej kości, tak jak deski pokładu, ale pojedynczej kości - ogromnej kości promieniowej mierzącej na oko dziesięć kroków. Była smukła i na tyle lekka, że musiała być wydrążona, uznał czarodziej, gdy skrzył ją w stawie. Prawdopodobnie pochodziła ze smoczego skrzydła. Chwyciwszy ją mocno, Pharaun spojrzał w dół za rufę i zobaczył, że pletwa sterowa jest ogromnym sierpem.

- Ruszaj - krzyknął do demona.

Urdezu warknął, a potem uniósł szponiaste łapy nad głowę. Gdy wyciągnął dłonie w kierunku dziobu, poszarpane żagle ze skóry przestały łopotać na wietrze i wydęły się, naprężając liny. Statek zaczął jeszcze szybciej krążyć wokół wiru. Demon nadal poruszał dłońmi, szarpiąc powietrze szponami i przy każdym ruchu napinał albo luzował liny, trzymając żagle.

Pharaun na próbę przesunął ster w lewo. Gwałtowne szarpnięcie odrzuciło go do tyłu, gdy statek odwrócił się w przeciwnym kierunku. Trzymał się rumpla, gdy dziób okręcał się, dopóki nie wycelował prosto w strop jaskini. Z napiętymi żaglami i skrzypieniem desek okręt zaczął się wspinać po wewnętrznej ścianie wiru. Po chwili dziób zrównał się z powierzchnią jeziora i zaczął wspinać po wnętrzu trąby wodnej.

Statek zachwiał się, a potem wyrwał gwałtownie naprzód. Przez kilka straszliwych chwil Pharaun walczył, aby utrzymać się przy sterze, gdy rozbiła się o niego ściana wody, ale statek wypłynął zaraz z trąby wodnej i unosił się wreszcie na powierzchni jeziora. Potrząsając głową, żeby zrzucić z twarzy przemoczony kaptur piwafwi, Pharaun wyszczerzył zęby do wciąż przykutego do środka pokładu demona.

- Bez przechyłów - powiedział czarodziej ze śmiechem, gdy statek sunął po lekko wzburzonej powierzchni jeziora, byle dalej od burzy.

Odgarnął mokre włosy z oczu, spojrzał na skalną półkę, na której wylądowali po przejściu przez portal i skierował statek w tamtą stronę. Najpierw zabierze Danifae i Valasa, a później ściągnie Quentel i Jeggreda z oka cyklonu.

A potem zacznie się zabawa z decydowaniem czym - albo kim - nakarmić najpierw statek.

* * *

Halisstra ponuro ścisnęła wodze w garści, gdy koń galopował przez równinę. Niewiele widziała w sypiącym gęsto śniegu i modliła się, żeby zwierzę nie pośliznęło się ani nie wpadło nogą w jakąś dziurę. Wystarczył rzut oka na to stworzenie, by stwierdzić, jak delikatne są szybkie rumaki Świata Ponad w porównaniu z jaszczurami wierzchowymi drowów. Wystarczyło jedno krzywe stąpanie, by złamał nogę, zrzucając jeźdźca na ziemię.

Gdyby do tego doszło, przynajmniej Rylda chroniłoby przed obrażeniami zaklęcie lewitacji. Fechmistrz trzymał się poły jej piwafwi, ciągnąc się za nią jak płaszcz.

Nad nimi niebo z każdą chwilą robiło się coraz jaśniejsze. Świt nadszedł i odszedł, a po niebie wspinało się wolno słońce, błada łuna za posępnyimi, szarymi chmurami. Zrobiło się na tyle jasno, że coś przed sobą widziała - przynajmniej w tych rzadkich momentach, kiedy śnieg zelżał i w ogóle było coś widać. Co wcale nie podniosło jej na duchu. Pełny wschód słońca oznaczał koniec działania zaklęcia, które rzuciła na Rylda. Trucizna mogła w każdej chwili porwać go z pełną mocą, tak jak przyływ zabierający tonącego.

Halisstra zeszywniała. Czy ta ciemna smuga przed nimi to las? Jeśli tak, wreszcie dotarli na skraj Zimnych Pól.

Odwracając się w siodle, uśmiechnęła się pokrzepiająco do Rylda, ale uśmiech spełził jej z warg, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy. Była zastygła w ponurą maskę skupienia i tylko głębokie linie w kącikach oczu i ust świadczyły o wysiłku, jaki musiał wkładać w odepchnięcie od siebie bólu. Mimo to zdobył się na ponury uśmiech.

- Nie mogę - zaczął, a potem zadygotał.

Jego ciało obwisło na chwilę w powietrzu, ale potem z wyraźnym wysiłkiem udało mu się odzyskać kontrolę nad sobą i lewitować dalej. Zaniepokojona Halisstra zaczęła nieumiejętnie ściągać wodze, rozpaczliwie starając się zatrzymać konia.

Ryld jęknął na głos, po czym wyszeptał:

- Halistro... Ja...

Puścił jej płaszcz i spadł na ziemię. W tej samej chwili koń zmienił się z powrotem w kłęb mgły, znów stając się bezcielesny, a Halisstra wyleciała w powietrze. Ośnieżone gałęzie uderzyły ją w twarz, gdy wpadła na drzewa przed sobą. Upadła ciężko na ziemię, tracąc oddech i leżała tak przez chwilę, oszołomiona, usiłując go odzyskać. Potem uświadomiła sobie, że udało im się - dotarli do lasu.

Podniosła się z ziemi i chwiejnym krokiem wyszła pomiędzy drzew. Nie czuła już stóp - były jak sople lodu gdzieś na dole jej nóg - ale jakoś udawało jej się iść. Z ulgą zobaczyła, jak Ryld siada. Widać nie odniósł żadnych obrażeń podczas upadku. Uklękła obok niego i przerzuciła sobie jego ramię przez plecy.

- Dasz radę iść? - zapytała.

Potrząsnął głową.

Przyjrząwszy mu się bliżej, Halisstra przeraziła się szarym zabarwieniem jego skóry. Szybko opuściła jego ramię.

- Więc zaczekaj - powiedziała. - Pomodlę się.

- Módl się... szybko - wyszeptał, a potem zamknął oczy i osunął się w śnieg.

Halisstra jęknęła z przerażenia. Umarł?

Nie, klatka piersiowa Rylda wciąż unosiła się i opadała. Pochyliła się nad nim i położyła mu dłoń na piersi, z trudem układając skostniałe palce w kształt sierpa księżycy.

- Eilistraee, - modliła się w duchu, nie będąc w stanie wymówić słów z powodu drżenia ust. - Zaklinam cię. Pomóż mi. Ześlij mi magię, której potrzebuję, aby wysączyć truciznę z jego ciała. Nie mogłam zaśpiewać pieśni pochwalnej na twą cześć o wschodzie słońca, ale błagam cię, pozwól mi to zrobić teraz. Okaż łaskę swej służce i obdarz mnie błogosławieństwem, które jest mi potrzebne, aby ocalić życie temu mężczyźnie, który służy... - Urwała, załkała, a potem poprawiła się: - Temu mężczyźnie, którego kocham.

To uczyniwszy, zaczęła nucić poranną modlitwę. Nie była w stanie śpiewać - znów gwałtownie się trzęsła, a jej wargi nie chciały jej słuchać.

Urwała. Czy to trzask łamanej gałązki w lesie?

To nie miało znaczenia.

Śpiewaj dalej, powiedziała sobie.

Szczękając zębami, znów zaczęła nucić, ale nie potrafiła się skupić. Parzące mrowienie w palcach ustąpiło, czuła już tylko przyjemne odrętwienie. Chciała położyć się w śniegu obok Rylda i zasnąć...

Czy ktoś wołał ją po imieniu? Nie, musiała mieć halucynacje.

Nuć dalej, powtarzała sobie. Módl się. Od tego zależy życie Rylda.

Ale jaką pieśń nuciła? Przestała wreszcie dzwonić zębami, ale gdy drzenie ustało, nie była w stanie przypomnieć sobie melodii. Zamiast tego siedziała z wzrokiem wbitym w Rylda. Czy w ogóle jeszcze żył?

Nie miało to znaczenia. Już nie.

Nie dokończywszy modlitwy, westchnęła, a potem runęła na ziemię. Dziwne, śnieg był ciepły jak koc, nie zimny. Leżała w nim, obserwując płatki spływające z bezkresnego szarego nieba. Zabawne, nigdy nie śniła, że umrze, mając nad sobą tyle przestrzeni...

Tam. Tamta ciemna plama. To sklepienie jaskini... a może nie? Więc dlaczego się porusza? Dlaczego pochyla się i bierze ją za rękę?

Jak we śnie spłynęła ku niej twarz Uluyary. Fragmenty zdania wpadły do jej uszu jak płatki śniegu.

- Zaklęcia wieszczące... znalazłyśmy cię.

Halisstra poczuła, jak podnoszą ją jakieś ręce i przez chwilę myślała, że Uluyara przesuwa jej ciało, żeby odpiąć Księżycowe Ostrze i miecz Seyll od jej plecaka. Potem usłyszała melodię modlitwy - to był głos Feliane. Ona też musiała tu być - i poczuła dotknięcie ciepła. Halisstra zrozumiała, że zdjęto jej plecak, żeby Feliane mogła ją podtrzymać, ogrzać ją swoim ciepłem... i swoją magią. Najpierw była w szoku. A potem uświadomiła sobie, że wciąż myśli jak drowka z Podmroku. Rozumiejąc, że została ocalona, krzyknęła z ulgą, a potem dotarło do niej, jak jest samolubna.

- Ryld - wyszeptwała.

- Nie martw się - powiedziała Feliane, której głos stawał się coraz bardziej zrozumiały w miarę jak magia napełniała Halisstrę, ogrzewając ją i przepędzając lodowaty dotyk śmierci. - Żyje. Uluyara właśnie wysącza z niego truciznę.

Wzdychając, Halisstra rozluźniła się wreszcie, pławiąc w ciepłe zaklęcia Feliane. Udało jej się - Ryld trafił w bezpieczne miejsce. Ona też. Zdołała nawet odzyskać Księżycowe Ostrze.

Teraz musiała już tylko zabić nim boginię.

ROZDZIAŁ 36

Gromph czekał w wielkiej komnacie świątyni domu Baenre, patrząc przez oczy Kyorli, jak członkowie gwardii wprowadzają do środka związanych w kostkach i nadgarstkach więźniów, którzy mieli zostać straceni. Kompania żołnierzy z domu Agrach Dyrr próbowała się wymknąć ze swojej siedziby, gdy Baenre wycofali swoje oddziały do walki z tanarukkami, ale na szczęście żołnierze Xorlarrinów zdołali ich pojmać. Dom Baenre otrzymał swój udział w jeńcach, którzy mieli zostać „złożeni w ofierze” w świątyni - choć nie na wiele mogło się to zdać. Gdy bogini milczała, jakie to miało znaczenie?

Gdy kolejny jeńiec został wepchnięty do świątyni - ten w przeciwieństwie do pozostałych nie odniósł poważniejszych obrażeń - Gromph zastąpił drogę wlokącemu go strażnikowi i podniósł rękę. Gwardzista natychmiast stanął posłusznie.

- Tak, arcymagu?

Gromph ukucnął, żeby Kyorli znalazła się na wysokości więźnia. Korzystając ze wzroku szczura, patrzył w oczy jeńca, który mierzył go zuchwałym spojrzeniem.

- Tak. Ten się nada. Ten jeńiec nie zostanie stra... złożony w ofierze - oznajmił gwardziście. - Zabierz go do Sorcere i oddaj mistrzowi Nauzhrorowi. Powiedz mu, że jeńiec jest mi potrzebny... do moich własnych celów.

Z głębi świątyni, zza adamantytowych drzwi prowadzących do wewnętrznej świątyni Lolth, dobiegł ich wysoki, ostry wrzask, po którym rozległ się błagalny głos jakiegoś drowa. Tymczasem niewolnicy wynoszący ciało ostatniego straconego żołnierza minęli Grompha i wyrzucili je na zewnątrz, do stóp wierzchowego jaszczura. Zaraz potem Gromph usłyszał chrupanie i odgłos przetykania - odgłosy wydawane przez jaszczura delektującego się zwycięską ucztą.

Więzień wodził wzrokiem pomiędzy ciałem pożeranym przez jaszczura a Gromphem, jak gdyby usiłował zdecydować, co jest mniejszym złem.

- Dziękuję, arcymagu - powiedział kuzyn Dyrr. - Będę ci dobrze służył.

Gromph uśmiechnął się.

- Być może. Przynajmniej twoja część. - Potem wstał i zwrócił się do gwardzisty: - Zabrać go.

Czekając, aż „składanie ofiar” dobiegnie końca, Gromph odchylił głowę do tyłu i wbił wzrok w sklepienie świątyni. Patrząc oczyma Kyorli, widział na nim jakiś ruch - biegające szybko pająki, których sieci wypełniały wielką kopułę - ale żadnych szczegółów. Pajęczyny tworzyły białą mgiełkę, ich linie były niewyraźne. Wzrok Kyorli miał ograniczony zasięg. Szczury polegały bardziej na węchu i swoich wąsikach niż na wzroku.

Gromph musiał być ostrożny. Triel dowiedziała się od Andzrela, co mu się przytrafiło. Ale na razie uwierzyła w zapewnienia arcymaga, że eliksiry przywróciły mu w pełni wzrok. Tak jak pozostałe wysoko urodzone drowy z domu Baenre nie zwracała uwagi na Kyorli - chowaniec często przesiadywał na ramieniu Grompha - ale jeśli się dowie, że arcymag Menzoberranzan jest ślepy, może go uznać za słabego. A słabeuszy, tak w domu Baenre, jak we wszystkich szlacheckich domach Menzoberranzan, szybko się pozbywano.

Pamiętając o tym, Gromph odwrócił się, słysząc zza adamantytowych drzwi odgłos zbliżających się kroków. Patrząc oczyma Kyorli, wyluskał Triel spośród kapłanek, które ustawiły się łukiem w wielkiej komnacie.

- Matko opiekunko - powiedział, kłaniając się głęboko. - Mam wieści. Dobre wieści.

Triel podeszła do niego. Wąsy Kyorli poślaskotały Grompha w policzek, gdy szczurzyca wychyliła się do przodu, wężąc ochoczo. Gromph zobaczył smugi czerwieni przecinające twarz i włosy matki opiekunki - bryzgi krwi skazańców, których przed chwilą chłostała. Żmije u jej bicza kołysały się łagodnie, zlizując językami jasną krew, która zaplamiła wzór sieci z przodu jej białej tuniki.

- Wieści od Quenthel? - zapytała Triel.

Gromph kiwnął głową.

- Tak.

Zawsze świadomy politycznej sieci powiązań i miejsca, jakie zajmował w niej Pharaun, Gromph nie wspominał o nim. Będzie rozmawiał o swoim podwładnym tylko wtedy, gdy zostanie o niego zapytany.

- Quenthel i pozostali odszukali statek chaosu i mają zamiar popłynąć nim do Otchłani - oznajmił. -

Tam dowiedzą się, co się stało z Lolth. Nasze problemy wkrótce się skończą. Zakładając, rzecz jasna, że nasza siostra okaże się godna zadania, jakie jej powierzyłaś.

Triel uśmiechnęła się i chwyciła przynętę.

- Nasza siostra nie jest może najbystrzejsza, ale jest lojalna... kiedy jest jej to na rękę - przyznała Triel. - Zwłaszcza w kwestiach dotyczących Lolth.

Gromph zaklął w duchu, gdy Kyorli zainteresowała się pajakiem, który nagle opuścił się w dół tuż przed nimi. Twarz Triel rozmazała się, a on nie był w stanie odczytać jej wyrazu, ale gdyby kazał Kyorli odwrócić gwałtownie głowę, mógłby ujawnić swą słabość.

Arcymag kiwnął głową w zadumie.

- Widzę, w czym rzecz.

- Doprawdy? - zapytała Triel lekko drwiącym tonem.

Na szczęście pajak obserwowany przez Kyorli pojawił się za Triel, która znalazła się w polu widzenia szczurzy. Spoglądając przez jej oczy, Gromph zauważył, że palce Triel się poruszają.

- *Więc wiesz, że Quenthel była w Otchłani niejedną raz*, pokazała na migi.

- Oczywiście - odparł gładko Gromph. - Całkiem zgrabnie ukryłaś jej śmierć, ale mam swoje metody poznawania najmroczniejszych sekretów naszego domu. Gdzie indziej mogła przebywać przez te cztery lata, które upłynęły pomiędzy jej śmiercią a zmartwychwstaniem, jeśli nie służąc bogini w Otchłani? Rozumiem, dlaczego ją wybrałaś. Zastanawiam się tylko...

- Co takiego? - burknęła Triel.

- Dlaczego bogini ją odesłała - ciągnął Gromph. - Quenthel z pewnością wiernie jej służyła. Czy Lolth nie wolałaby zatrzymać jej przy sobie?

- Może miała wobec niej inne plany - odparła Triel. - Na przykład przejście kierownictwa nad Arach-Tinilith.

- Albo poprowadzenie naszej misji - dodał Gromph. - Przewidzenie tego kryzysu i przygotowanie się do niego na wiele lat naprzód z pewnością leżało w mocy bogini.

- Rzeczywiście - odpowiedziała Triel. - Kogo wybrać do poprowadzenia wyprawy do Otchłani, jeśli nie kogoś, kto już tam był? - Urwała. - Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Gromph uklonił się.

- Na razie, matko opiekunko. Dam ci znać, gdy tylko otrzymam kolejny raport.

Odprawiając go, Triel oddaliła się.

Wzdychając z ulgą, Gromph potrząsnął głową. Jeśli Triel wiedziała, że jest wciąż ślepy, nie dała tego po sobie poznać. Gdyby Lolth obdarzała ją czarami, Triel albo którakolwiek z kapłanek mogłaby przywrócić mu wzrok w mgnieniu oka. Fakt, że żadna z nich nie była do tego zdolna, znów przypominał Triel o jej niemocy. Pozostawienie mu pozorów wzroku pomagało jej tylko zachować pozory władzy.

Wychodząc ze świątyni Gromph zastanawiał się, co Quenthel odnajdzie w Pajęczynie Demonów i dlaczego powróciła do Menzoberranzan tyle lat temu tylko po to, aby poprowadzić wyprawę we własne życie pozagrobowe. Być może jego siostra rzeczywiście została ściągnięta przez Pajęczą Królową dla jakichś wyższych celów. Jeśli tak, po jej powrocie do Miasta Pajaków równowaga władzy mogła się przechylić na jej korzyść - i z pewnością do tego dojdzie, jeśli wyprawa się powiedzie. Będzie musiał mieć na nią oko.

W pewnym sensie.

* * *

Aliisza przycupnęła na skalnej półce wychodzącej na jezioro i spoglądała na statek w dole. Został wykonany przez demony, to potrafiła poznać po kościach i żywej tkance użytych przy jego budowie. Na pokładzie stała czwórka drowów i draegloth - Pharaun i jego towarzysze.

Czarodziej i kapłanka Quenthel klócili się - tak jak wtedy, gdy Aliisza spotkała ich po raz pierwszy w pobliżu Ammarindaru. Za nimi draegloth drażnił demona uridezu, który wydawał się być uwiązany do pokładu. Uridezu próbował wyrwać się do przodu, zgrzytając zębami, gdy draegloth wyciągnął mu przed nosem trzymanego za ogon szcúra, po czym odgryzł mu głowę. Dwójka pozostałych drowów, najemnik i ładniutka elfka, która tak drażniła Aliiszę, wydawała się nie wtrącać do kłótni i czekała cierpliwie, aż się skończy.

Wzrok Aliiszy zatrzymał się dłużej na Pharaunie, który był jak zwykle wytwornie ubrany i miał cudowne, długie białe włosy. Cieszyła się, że znów go odnalazła, ale tym razem się spóźniła. Z

dolatujących ją strzępów rozmowy wywnioskowała, że grupa drowów ma zamiar zaraz odpłynąć - choć nierozwiązana pozostawała kwestia, ilu z nich ma w nią wyruszyć. Czymś - albo kimś - trzeba było najpierw nakarmić...

Aha. O to chodzi.

- To statek chaosu - powiedziała Aliisza, dumna z siebie i pomyślała, że z pewnością zainteresuje to Kaanyra. - Dokąd zamierzasz pożeglować, drogi Pharaunie? - zapytała Aliisza. - Do Otchłani? - Roześmiała się i odrzuciła na plecy długie czarne loki. - Powinieneś raczej zostać tutaj i spędzić trochę czasu ze mną, zamiast odwiedzać tę swoją paskudną boginię. Ja przynajmniej żyję... i odpowiem na twoje modlitwy.

Chichocząc, postanowiła odłożyć na później zdanie raportu Kaanyrowi Vhokowi, który i tak był zbyt zajęty swoim nudnym obleżeniem. Zamiast tego zostanie nad Jeziorem Cienia i trochę się zabawi.

Przyjemność powinna mieć pierwszeństwo przed interesami.

Zawsze.